



ANDREW FUKUDA

ZDOBYCI

fabryka filmów

**ANDREW FUKUDA**

# **Zdobycz**



*Dla Obaa-chan*

# Rozdział 1

Myśleliśmy, że nareszcie jesteśmy wolni, ale się myliliśmy. Tej samej nocy przyszli po nas. Słyszymy stado łowców, zanim jeszcze docierają do brzegu rzeki - piskliwe krzyki mkną pod nocnym niebem, ochryple i przenikliwe. Koń rozdyma chrapy i wywraca oczami, po czym zrywa się do biegu. Z napiętymi mięśniami i położonymi po sobie uszami galopuje przez ogromną mroczną przestrzeń, białka jego oczu lśnią jak obłądne półksiężycy.

Chwytny nasze torby, na drżących nogach gnamy do zacumowanej łodzi. Liny są grube, a nam drżą palce, trudno rozplątać węzły. Ben próbuje stłumić jęki, Epap stoi już na pokładzie, nieruchomy ze strachu, z głową zwróconą tam, skąd niosą się głosy. Kosmyki włosów sterczą mu na wszystkie strony, rozczochrane po drzemce, której nie powinien był ulec.

Sissy odcina liny. Z ostrzy strzelają iskry, gdy jej ramiona zaczynają poruszać się szybciej, bardziej nerwowo z każdą mijającą sekundą. Nagle dziewczyna nieruchomieje, spogląda w dal. Widzi ich - dziesięć srebrzystych punktów zbliżających się po łące, nim skryją się za najbliższym wzgórzem. Włosy na karku stają mi dęba.

Pojawiają się znowu, dziesięć srebrzystych paciorków przecinających zbocze w niezmiennym tempie. „Srebrzyste kropki”, „paciorki” - co za osobliwe określenia, moje bezskuteczne próby zmiany tego, co przerażające, w coś nieszkodliwego, w część biżuterii. Ale to ludzie. Łowcy. Nadchodzący, aby zatopić kły w moim ciele, wyssać mi krew i pożreć w dzikim szale organy wewnętrzne.

Chwytny młodszych chłopców, pcham ich na łódź. Sissy tnie ostatnią linę, próbując zignorować zbliżające się wycie i skrzeczenie, śliskie i mokre od śliny. Chwytny kij, gotów do zepchnięcia tratwy, gdy tylko cuma puści. W sekundach, które nam zostały, dziewczynie udaje się przeciąć linę, a ja kieruję łódź w nurt na środku rzeki. Sissy wskakuje. Rzeka otacza nas, niesie na środek fal.

Łowcy zbierają się przy brzegu, dziesięć silnych, groteskowo zdeformowanych ciał i brudnych włosów. Nie rozpoznaję żadnego z nich - żadnych śladów Czerwonoustej, Pokazówki, Ponuraka czy dyrektora - ale pragnienie w ich oczach jest aż za bardzo znajome. To impuls silniejszy niż żądza, przesłaniające wszystko inne pragnienie pożarcia ciała hepera i wypicia jego krwi. Trzech łowców skacze do bystrej wody w bezsensownej próbie dogonienia tratwy. Ich głowy wynurzają się raz i drugi, potem opadają bezwładnie.

Przez cztery godziny pozostali ścigają nas brzegiem rzeki. Próbujemy na nich nie

patrzeć, wbijamy wzrok w fale i deski pokładu. Ale nie można uciec od krzyków pełnych niezaspokojonej żądz i desperacji. Czterech chłopców z kopuły - Ben, David, Jacob i Epap - tuli się w kabinie przez większość nocy. Sissy i ja stoimy przy sterze, kierując łodzią za pomocą długich tyczek, żeby utrzymać ją z dala od brzegu. Kiedy zbliża się świt, zachmurzone niebo rozświecła się powoli. Łowcy, zamiast robić się coraz bardziej ospali tuż przed wschodem słońca i nieuchronną śmiercią, krzyczą tylko głośniejsze i z coraz większą wściekłością.

Słońce wznosi się powoli i świeci słabo zza ciemnych chmur. Przefiltrowany, rozproszony ogień. Zatem łowcy umrą stopniowo, straszną i powolną śmiercią. Trwa to prawie godzinę, zanim ostatni gulgoczący wrzask cichnie i po pościgu nie zostaje ślad - nic, co można zobaczyć, usłyszeć lub poczuć.

Sissy odzywa się po raz pierwszy od wielu godzin:

- Myślałam, że odpłynęliśmy wystarczająco daleko. Może to już ostatni z nich.

Jest załedwie wczesny ranek, a w jej głosie brzmi znużenie.

- Było słonecznie - mruknąłem. - Do wczorajszej burzy.

Deszcz i chmury zmieniły dzień w tak ciemny jak noc i pozwoliły łowcom zyskać więcej czasu na pościg i dotarcie tak blisko nas.

Sissy zaciska zęby.

- Lepiej więc, żeby dzisiaj nie padało. - Po czym idzie do szalasu sprawdzić, co z chłopakami.

Rzeka pcha nas coraz szybciej. Spoglądam w dal, gdzie niknie w mroku na horyzoncie. Nie wiem, co nas tam czeka, i niepewność budzi we mnie odrętwiający lęk. Na czoło spada mi kropla deszczu, potem następna i kolejna, wreszcie ulewa moczy mi kark, a zimne strużki wody na przedramionach, niczym wypukłe żyły, wywołują gęsią skórkę. Zerkam w górę. Skłębione ołowiane chmury zasnuwają słońce. Leje jak z cebra. Niebo robi się czarne.

Łowy dopiero się zaczęły. Łowy nigdy się nie kończą.

## Rozdział 2

Siedzimy skuleni blisko siebie w szałasie, starając się schronić przed deszczem. Przemoczone ubrania lepią się do wychudłych ramion i zapadniętych brzuchów jak pomarszczona skóra. Co jakiś czas ktoś - pchany irracjonalnym impulsem - zagląda do torby na jedzenie i znajduje ją (znowu) pustą. Wszystkie jagody i upieczone mięso piesków preriowych zostały dawno zjedzone.

Podczas ulewy nurt rzeki stał się szybszy. Częściej zmieniamy się przy sterze teraz, gdy siły nas opuszczają. Wczesnym popołudniem steruję wraz z Sissy. Dwie godziny później jesteśmy wykończeni. Padamy w szałasie, podczas gdy Epap i Jacob przejmują ster.

Jestem wykończony, ale nie mogę zasnąć. Wiatr śwista nad falami, marszczy wodę wzburzoną już deszczem. Rozcieram sobie policzki w nadziei, że to przywróci im trochę ciepła. Po drugiej stronie szałas Sissy kuli się na boku z głową złożoną na dłoniach. Jej twarz, rozluźniona snem, jest łagodna, rysy zrobiły się mniej surowe.

- Patrzysz na mnie od paru minut - szepcze. Oczy ma wciąż zamknięte. Zaskakuje mnie. Jej usta unoszą się w słabym uśmiechu. - Następnym razem po prostu mnie obudź. Mógłbyś przewiercić stal tym swoim spojrzeniem.

Drapię się w nadgarstek.

Sissy otwiera oczy, siada. Gęste brązowe włosy opadają jej na oczy, splecione niczym frędzle koca, którym otula pochrapującego obok Bena. Potem dziewczyna ziewa, wyciąga ręce nad głowę i wygina plecy. Podchodzi, ominąwszy stosik zaostzonych kijów, które zabraliśmy na pokład, i przysiada obok mnie.

- Prąd jest silny - mówię. - Może za silny. Martwię się.

- Nie, to dobrze. Oznacza większy dystans między nami a nimi.

Minęło zaledwie parę dni od naszej ucieczki z Instytutu Badań Heperystycznych. Ścigał nas żądny krwi i ciała, wygłodniały tłum. Goście z bankietu wybiegali setkami z instytutu pchani niepowstrzymanym pragnieniem. Wobec takiej hordy nasza szóstka nie miała właściwie żadnych szans na przeżycie. Jedyłą nadzieję stanowiła tylko niepewna wskazówka w dzienniku naukowca, zaszyfrowana mapa, która sugerowała ucieczkę łodzią przez rzekę. Rzekę znaleźliśmy przez szczęśliwy przypadek, łódź jakimś cudem tam czekała. Ale nie odgadliśmy powodu, dla którego naukowiec przywiódł nas właśnie tutaj.

- To również oznacza mniejszą odległość między nami i nim - dodaje Sissy, jakby czytała moje myśli. Spogląda na mnie spokojnie i z przekonaniem. Odwracam wzrok.

Wczoraj, kiedy w notesie Epapa natrafiłem na portret ojca, ujrzałem jego twarz po raz pierwszy od wielu lat - głęboko osadzone oczy, kanciasty podbródek, wąskie wargi i kamienny wyraz twarzy, nawet na rysunku zdradzający skrywany wdzięk i smutek.

Teraz zastanawiam się nad tajemnicami, które widziały te oczy, i planami, których nigdy nie zdradziły te usta. Tamtego ostatniego dnia ojciec przybiegł do domu spocony i śmiertelnie blady. Widziałem dwa nakłucia na jego szyi. Tak bardzo musiał się napracować, żeby udać swoją przemianę. Kiedy wybiegł tuż przed wschodem słońca, myślałem, że uciekł w śmierć, aby mnie ocalić.

A tak naprawdę uciekał tylko do wolności i skazywał mnie na śmierć.

Wziąłem dwa patyki ze sterty i zacząłem je o siebie pocierać, jakbym ostrzył nóż.

- Myślisz, że naukowiec zostawił tę łódź dla was, prawda? - rzucam. - Ze zaplanował tę skomplikowaną ucieczkę dla was. Chcesz znać moje zdanie? Łódź nie była przeznaczona dla was. Miała posłużyć jemu i tylko jemu. To on miał uciec rzeką. Ale nie był na tyle bystry, żeby ją odnaleźć. Albo może sam zbudował tę tratwę, ale łowcy dopadli go, zanim zdążył jej użyć.

Sissy przygląda się patykom, potem mnie.

- Mylisz się. Naukowiec obiecywał nam, prawie codziennie, że pewnego dnia wyprowadzi nas z kopuły. Opowiadał o cudownym miejscu, gdzie nie ma niebezpieczeństwa ani strachu, gdzie jest bezpiecznie i ciepło, gdzie żyją niezliczone rzesze innych ludzi. Kraina Mlekiem i Miodem Płynąca, Pełna Owoców i Słońca. Tak nazywał to miejsce. Czasami nazywał ją też Ziemią Obiecaną. A kiedy mówił o ucieczce, chodziło zawsze o naszą ucieczkę.

- To bardzo wielka obietnica.

Sissy zaciska usta.

- Tak. Ale takiej właśnie potrzebowaliśmy. Musisz zrozumieć, urodziliśmy się w kopule, wszyscy. I szczerze wierzyliśmy, że w niej umrzemy po długim i ciężkim życiu w niewoli. To była żalosna egzystencja. Naukowiec... Cóż, pojawił się znikąd. I tą jedną obietnicą zmienił naszą perspektywę, nasze życie. Dał nam nadzieję. Chłopcy, zwłaszcza Jacob, bardzo się zmienili. Nadzieja tak działa na ludzi. - Uśmiecha się. - Nawet nie wiemy, jak wygląda lub smakuje mleko albo miód.

- Pokładasz wielką wiarę w obietnicę jednego człowieka.

Sissy spogląda na mnie.

- Nie znasz go tak jak my.

Prawie się skuliłem, bo jej słowa uderzyły głęboko. Ale umiem się kontrolować.

Szkolenie przez całe życie pomaga zostać ekspertem w ukrywaniu emocji.

- Nie chcesz go znaleźć? - pyta Sissy. - Nie jesteś ani trochę ciekawy, dokąd mógł odejść?

Patyki w moich rękach przestają się poruszać. Prawda jest taka, że o niczym innym nie myślę.

Księżycowa poświata odbita od fal migocze na jej twarzy.

- Powiedz mi, Gene - szepcze dziewczyna, spoglądając mi w oczy.

Zamieram. Jej słowa: Nie znasz go tak jak my wciąż dźwięczą mi w uszach. Och, jak wiele mógłbym jej powiedzieć. Choćby to, że człowieka, którego znają jako naukowca, ja nazywałem ojcem, mieszkałem z nim, bawiłem się i rozmawiałem, poznawałem metropolię w jego towarzystwie, słuchałem opowiadanych przez niego historii. Wiem, że kiedy zasypiał, jego maska opadała, ujawniając twarz małego chłopca, i że lekko chrapał, a jego wielki tors unosił się i opadał raz po raz, a ręce zwisały bezwładnie. I że spędziłem z nim więcej lat niż ci heperzy spod kopuły. I że to sięgało głębiej. Ponieważ byłem kochany przez tego człowieka, miałem jego ojcowską miłość, a ta więź jest silniejsza niż każda inna.

Ale tylko wracam do pocierania patyków.

- Ciężar świata spoczywa na twoich barkach, Gene - mówi cicho Sissy.

Krzyżuję nogi, ale nie odpowiadam.

- Sekrety - szepcze dziewczyna. - One zjedzą cię żywcem.

A potem wstaje i dołącza do pozostałych.

Deszcz ustaje po południu. Promienie słońca przebijają się przez chmury i chłopcy krzyczą z radości. Jacob oznajmia, że teraz wszystko jest cudowne - słońce świeci, łódź płynie szybko.

-1 co, łowcy? - wykrzykuje z brawurą. Pozostali heperzy pękają ze śmiechu na jego widok. - I co? Jedzcie kurz, jaki po mnie został!

Śmiech wzbija się pod rozmyte niebo.

Lecz ja nie dzielę ich szczęścia. Każdy zyskany cal dystansu od łowców oddala mnie również od Ashley June.

Przyszła do mnie w tych ostatnich dniach. Nie zapowiadały tego żadne przypadkowe znaki - ani kształt chmur, ani cienie zawsze pobliskich gór na wschodzie. Z każdą mijającą sekundą, z każdą przepłyniętą falą czuję, jak pętla na jej szyi zaciska się coraz mocniej. Dręczy mnie poczucie winy. Ashley June została sama w Instytucie Badań Heperystycznych, po tym jak się dla mnie poświęciła. Wstrzymała się dla mnie, czekając na ratunek, którego nie zdołałem udzielić. Teraz musiała już pojąć, że nie wrócę. I że ją zawiodłem.



Chłopcy hałasują, radość dźwięczy w ich głosach jasna i lśniąca. Wykrzykują coś o naukowcu i Ziemi Obiecanej.

Odgłos kroków wibruje na deskach pokładu. To Ben.

- Dołącz do nas, Gene! - zaprasza z szerokim uśmiechem. - Na słońcu jest o wiele cieplej niż w szalasiu.

Odpowiadam, że muszę trzymać się z dala od słońca.

- No chodź, chodź. - Ben ciągnie mnie za ramię. Ale ja się wyrywam.

- Nie mogę. Nie nawykłem do słońca. Robią mi się oparzenia na skórze. Nie jestem taki przyciemniony jak wy, hep... - urywam w ostatniej chwili.

Twarz Bena robi się ponura. A potem chłopak cofa się w jasny blask słońca i zostawia mnie samego w zacienionym, wilgotnym szalasiu.

Przez następną godzinę kolumny światła przebijają się przez chmury. Ziemia rozpościera się w przenikających się barwach. Bujna zieleń łąk, głęboki błękit rzeki. Przez całe popołudnie słyszę głosy heperów przenikające przez szczeliny w ścianie chaty. Nawet na małej i ciasnej łodzi chłopcy czują się, jakby znajdowali się o tysiące mil ode mnie.

Światło słońca padające przez dach wygląda jak ziarenka soli sypane w otwartą ranę mojego sumienia.

Późne popołudnie. Jak psy wygrzewające się na słońcu heperzy leżą na pokładzie i drzemią. Stracili trochę energii, brzuchy im się zapadły, burczą podczas snu. Znowu nadeszła moja kolej przy sterze. Upajam się pluskiem wody pod pokładem, rytmicznym, pustym odgłosem, który okazuje się zaskakująco kojący. Nieustanne kołysanie wprawia mnie w senność.

Epap nie śpi. Garbi się, szkicując, całkowicie pochłonięty zajęciem. Ciekawość bierze we mnie górę i podchodzę bliżej. Epap mnie nie widzi.

Rysuje wizerunek Sissy. Na kartce dziewczyna stoi na skale przy wodospadzie, z odwróconą głową i uniesionym ramieniem, jakby wymierzonym w daleki horyzont. Wodospad migocze niczym tysiące rubinów i diamentów. Sissy ma na sobie jedwabną suknię bez rękawów, większe piersi i węższą niż w rzeczywistości talię. Na rysunku ktoś za nią stoi. Nie od razu rozpoznaję, kto to ma być. Epap w opiętej koszulce, z muskularnymi ramionami i kamizelką lśniąca w poświacie księżyca. Jedną ręką obejmuje Sissy w tali, drugą ma opuszczoną na udo dziewczyny, jakby je z czułością głaskał. A Sissy sięga namiętnie w tył, obejmuje go za kark, palce ma wplecione w faliste włosy chłopaka.

- Łał, co za wyobraźnia - rzucam.

- Co...?! - Epap zatrząskuje szybko szkicownik. - Ty podglądacz!

- Co się dzieje? - mruczy Sissy, przecierając zaspane oczy.

- Spokojnie - parskam. - Kiedy skończysz z... um, rysowaniem, mógłbyś mi pomóc przy sterze? Prąd robi się coraz silniejszy.

Wracam na rufę i obracam tyczką steru, dopóki łódź znowu nie znajdzie się w nurcie. Z szalasu dochodzi warczenie Epapa. Po paru minutach pojawia się David, nie Epap, i rusza do pomocy.

Łał - wymawia bezgłośnie na widok fal.

- Płyniemy naprawdę szybko. - Chwyta drugą tyczkę.

Epap rozmawia z Sissy na burcie, macha szeroko ramionami dla równowagi. Dziewczyna w odpowiedzi kręci głową, wskazując na niebo z kolumnami słonecznego światła, jednak nadal ciemne. Epap pochyla się do niej bliżej, gestykuluje w podnieceniu. Pograżają się w dalszej rozmowie, ale pomimo szumu rzeki słyszę słowo, które zmusza mnie do podejścia.

-...rzekę - właśnie to przyciągnęło moją uwagę.

- O czym rozmawiacie? - pytam, gdy jestem blisko.

Epap rzuca mi nieprzyjazne spojrzenie.

- O niczym.

Spoglądam na Sissy.

- O co chodzi z rzeką?

- Rzeka jest w porządku - prycha Epap. - A teraz zajmij się swoimi sprawami.

- Myślisz o przybiciu do brzegu, tak? - mówię do Sissy. - Żeby zapolować na coś do jedzenia.

Dziewczyna nie odpowiada, spogląda tylko na wodę z zaciśniętymi zębami.

- Chciałbym zaznaczyć, że to zły pomysł - mówię. - To błąd.

- Nikt cię nie pytał o zdanie - wtrąca Epap. Staje między mną i Sissy.

- Zejście z łodzi to wielki błąd, Sissy. - Wychylam się zza Epapa. Ramiona mu się napinają z rozdrażnienia. - Niczego się nie nauczyliśmy zeszłej nocy? To jest...

- Której części z „zajmij się swoimi sprawami” nie zrozumiałeś? - warczy Epap. - Właściwie to zajmij się cumami. Trzeba będzie przywiązać łódź, gdy tylko dobijemy do brzegu.

- Rozum ci odjęło? Łowcy chcą nas zjeść...

Epap odwraca się, na jego twarzy maluje się czyste obrzydzenie.

- Och, doprawdy? Sam na to wpadłeś, co?

- Słuchaj, oni nadal mogą być gdzieś...

- Nie, już ich nie ma - syczy Epap. - Nie poznałeś ich jeszcze? Zaskakujące, jak mało o nich wiesz, biorąc pod uwagę, że mieszkałeś wśród nich całe życie. Hej, słońce ich spala. I hej, słońce właśnie świeci.

- Nie dość jasno. Łowcy są sprytni. Improwizują, mają technikę, mają determinację. Niedocenianie ich to dobrowolne wystawianie się na niebezpieczeństwo.

- Jedyne, co jest na łądzie, to jedzenie! - wrzeszczy na mnie Epap. - Wszędzie biegają dzikie zwierzęta. Zupełnie jak w zoo. Widziałem już chyba ze trzy pieski preriowe. A teraz zostaw podejmowanie decyzji mnie i Sissy.

- Epap! - wtrąca Sissy. Potrząsa głową. - Nie wiem. Może to zbyt ryzykowne.

Jego twarz zdradza, że czuje się zraniony.

- Ale, Sissy. Nie rozumiem. Przed chwilą zgodziłaś się zapolować, żeby zdobyć jedzenie. - W jego oczach maluje się zarówno zmieszanie, jak i uraza. - Wiesz, że jesteśmy głodni. Pomyśl o biednym Benie.

- Oczywiście. Ale przemyślmy to na spokojnie, dobrze?

- Nie, Sissy. Już się ze mną zgodziłaś. Powinniśmy przybić do brzegu i zapolować.

- Próbuję zachować ostrożność...

- To ze względu na niego? - Epap wbija we mnie palec. - Wystarczyło tylko, żeby zakazał nam przybijać do brzegu, a już się z nim zgadzasz?

- Przestań.

- To przez niego?

- Epap! Nie mówię, że mamy się trzymać z dala od brzegu przez cały czas. Ale poczekajmy, aż niebo się przejaśni. Aż słońce zacznie naprawdę palić ziemię. Jeżeli to oznacza, że wstrzymamy się jeszcze dzień, to poczekamy. Kolejny dzień głodówki nas nie zabije. Ale pośpieszne i przedwczesne zejście na ląd jak najbardziej.

Epap odwraca się do niej plecami, gniew niemal paruje z jego wąskich ramion.

- Dlaczego tak szybko się z nim zgadzasz? Nie do wiary, że stajesz po jego stronie!

- Nie staję po niczyjej stronie. Staję po stronie rozsądku. Staram się wybrać to, co dla nas najlepsze.

- To, co najlepsze dla ciebie! Chcesz mu się przypodobać, dlatego stajesz po jego stronie!

- Dobrze, mam dość tej kłótni - oznajmia Sissy i odchodzi.

Epap spogląda za nią ze złością. Gniew wcale mu nie minął.

- Widzisz, do czego doprowadziłeś? - rzuca do mnie. - Myślisz, że jesteś taki sprytny, co? Myślisz, że z ciebie twardziel. Och, patrzcie na mnie, przeżyłem wśród łowców całe lata.

Och, patrzcie, jaki ze mnie zuchwalec. Wiesz, jesteś dla mnie po prostu żalony.

Nie dam się sprowokować, odchodzę, powtarzam sobie.

- Chciałbyś być jednym z nich? - syczy cicho Epap. - Wstydzisz się tego, kim jesteś?  
Zatrzymuję się w pół kroku.

- Widziałem, jak na nas patrzysz. Widziałem to twoje przebiegłe spojrzenie. - Usta Eppa wykrzywia grymas. - Patrzysz na nas z góry. Boli cię, że musisz się z nami zadawać. W głębi duszy wolałbyś trzymać z nimi, prawda? W głębi duszy pewnie wolałbyś być jednym z łowców.

- Epap, zostaw to - nakazuje Sissy. Odwróciła się znowu i przygląda nam uważnie.

- Nie masz pojęcia - odpowiadam Eppowi. Głos więźnie mi w gardle.

- Co proszę? - Epap szczerzy się idiotycznie.

- Nie masz pojęcia, jacy oni są. Gdybyś miał, nigdy nie powiedziałbyś czegoś równie głupiego.

- Nie mam pojęcia? Naprawdę? To znaczy naprawdę nie mam pojęcia? - Spogląda na mnie z czystą odrazą. - To ty nie masz pojęcia. No bo i czemu miałbyś mieć? Ocierałeś się o nich, kumpłowałeś z nimi przez całe życie. Nigdy nie widziałeś, jak rozrywają twoich rodziców na kawałki. Nigdy nie widziałeś, jak na twoich oczach odrywają twojej siostrze lub bratu kończyny. Nie znasz ich tak jak my.

- Znam ich lepiej, niż ci się wydaje. - Mój głos brzmi spokojnie, nawet beznamiętnie, ale z napięciem, w gotowości do wybuchu. - Uwierz mi, znam ich. To znaczy co właściwie wy o nich wiecie? Dla was byli tylko niańkami, karmili was, ubierali, piekli torty na urodziny...

Epap naskakuje na mnie z palcem wyciągniętym jak szpon.

- Co ty...

Sissy zmusza go do opuszczenia ręki.

- Dość tego, Epap!

- No i znowu ty! - krzyczy Epap. - Dlaczego zawsze tak szybko stajesz po jego stronie? Dość, Epap, przestań, Epap. Kim on dla ciebie jest? Dlaczego zawsze... Och, zapomnij! - Wrywa ramię z uścisku dziewczyny. - Chcesz przez niego nie jeść, proszę bardzo! Ale jeżeli się rozchorujemy, jeśli się zagłodzimy, to będzie twoja wina, niech ci się nie zdaje!

- Skończ z tym melodramatem, Epap. - Jej pierś unosi się ciężko.

Chłopak odwraca wzrok, ale nic nie mówi. A potem nagle rzuca się na mnie. Impet zwała mnie z nóg i obaj upadamy ciężko na pokład. Deski dudnią głucho i drżą od siły

uderzenia.

Zaskakujący głęboki pogłos rozlega się pode mną. Jakbym coś obluzował pod łodzią.

Epap przeklina i zaczyna mnie bić. Jedyne, co mogę zrobić, to osłaniać się przed jego pięściami. W końcu Sissy odciąga go ode mnie, twarz ma poczerwieniałą z wściekłości.

- Przeszliśmy już dość, żeby się z tym pogodzić! - krzyczy. - Musimy się skupić na walce z łowcami, nie między sobą!

Epap zrywa się, odwraca i spogląda na brzeg rzeki. Przesuwa dłonią po włosach, oddycha ciężko. Lecz ja nie poświęcam mu już uwagi. Skupiam się wyłącznie na pokładzie pode mną. Pukam w deski. Odpowiada mi ten sam głuchy, rezonujący odgłos. Uderzam w pokład jard dalej i dźwięk jest inny, inaczej wibruje.

- O co chodzi? - pyta David. Już wszyscy mi się przyglądają.

Walę w pokład z całej siły. I znowu to słyszę, łomot, jakby coś się obluzowało. Coś było tam ukryte, pod łodzią, z dala od wścibskich oczu. Gardło mi się zaciska, gdy coś sobie uświadamiam.

- Gene? - niepokoje się Sissy. - Co się dzieje?

Spoglądam na nią nieprzytomnie.

- Gene?

- Myślę, że pod łodzią coś jest - stwierdzam. Wszyscy wbijają we mnie spojrzenia pełne niedowierzania. - Mieliśmy to przed nosem cały czas.

Ben przygląda się deskom pokładu bez zrozumienia.

- Gdzie? Niczego nie widzę.

- W jedynej kryjówce, o jakiej łowca by nie pomyślał... nie odważyłby się zajrzeć - wyjaśniam. - Pod wodą.

Skok do rzeki jest jak przebicie się przez lustro. Równie przyjemny na dodatek - jakby zimne okruchy drapały i kaleczyły mi skórę. Płuca zaciskają mi się do rozmiaru szklanych kulek. Wynurzam się, łapiąc powietrze. Prąd jest zabójczy. Chociaż lina otacza mi pierś na wszelki wypadek - nie tak wszelki, jak sobie teraz uświadamiam - niewielka to pociecha. Chwytam się burty. Daję sobie kilka sekund na uspokojenie, po czym nurkuję.

Żeby się utrzymać pod wodą, wsuwam palce między deski pokładu. Nogi szarpie mi nurt, rzuca mną na boki pod tratwą. Jestem jak chorągiewka łopocząca na silnym wietrze. Promienie słońca przesączają się między deskami, cienkie wstęgi światła przecinające mętną wodę. Panuje tu niesamowita cisza, tylko głęboki, żalobny szum sporadycznie zakłócany cichym pluskiem. Rozglądam się, szukam czegoś, co nie wydaje się zwyczajne, czegoś odbiegającego od normy. Jest! Coś kanciastego wisi pod samym środkiem tratwy. Ostrożnie

pozwalam, żeby nurt zniósł mnie w tamtym kierunku. Wreszcie mogę objąć pudło ramieniem, a przy okazji też się na nim wesprzeć. Metalowa skrzynka, nieco pordzewiała, zawieszona pod pokładem. Nie odrywa się za pierwszym szarpnięciem. Szarpię znowu, a wtedy odpada dno. A zaraz za nim wypada duża kamienna płyta. Uderza mnie w tył głowy. Ból mnie odrętwia i dezorientuje. Macham na oślep ręką, żeby złapać płytę, gdy ta zsuwa się wzdłuż mojego ciała. Za późno. Płyta obija mi się o nogi, uderza mnie w lewą łydkę i znika w mulistej głębinie.

Pomimo bolących płuc obracam się do góry nogami, wspieram stopami o dno tratwy. Teraz albo nigdy. Jedyna szansa na zanurkowanie, zanim płyta opadnie tam, skąd nie da się jej odzyskać. Odpycham się od desek. Mknę jak strzała w dół, w ciemność, w chłód.

Na ułamek sekundy przed naprężeniem się liny dotykam palcami kamienia. Zaciskam chwyt. A potem czuję szarpnięcie w górę, przez które omal nie tracę zdobyczy. Przyciskam płytę do piersi, wyczuwam na skórze wyryte w kamieniu litery.

Wynurzam się na powierzchnię, wzbijając płaty piany. Mam wrażenie, że składałam się tylko z ust łapczywie chwytających powietrze. Epap i David dostrzegają kamienną tablicę i wyciągają ją z moich osłabłych ramion. Zostawiają mnie w wodzie, kurczowo ściskającego burtę, choć ledwie się trzymam.

Kiedy wreszcie udaje mi się wdrapać na pokład, ciało mam mokre i ciężkie. A heperzy tłoczą się wokół znaleziska. Pochyleni, niemal stykając się głowami, czytają słowa wyryte w kamieniu.

## ZOSTAŃCIE NA RZECE

Naukowiec

Usta mają rozchylone. Chichoczą i śmieją się głośno. Szczerają się radośnie, z niedowierzaniem, niemal w delirium.

- Mówiłem wam! Mówiłem! - woła Ben i klepie swoich towarzyszy po plecach. - Zaplanował to od początku!

Sissy stoi z rękoma przy ustach, uniesionymi brwiami i oczyma lśnącymi od łez.

- Wiedziałem, że nas uratuje! - krzyczy Jacob. - Ziemia Obiecana! Wiedzie nas do Ziemi Obiecanej, Krainy Miodem i Mlekiem Płynącej, Pełnej Owoców i Słońca!

Sissy uśmiecha się tak, że niemal można wyczuć bijące od tego uśmiechu ciepło. Przymyka oczy z nieskrywaną ulgą.

- Skąd wiedziałeś, że tablica znajduje się pod nami, Gene? - pyta.

Zastanawiam się przed odpowiedzią. Ojciec często bawił się ze mną w szukanie skarbu, gdy byłem dzieckiem. Zostawiał mi wskazówki po całym domu. Pamiętam, jak się

wtedy denerwowałem i złościłem, gdy nie mogłem znaleźć znaku, choć wiedziałem, że musi być gdzieś w pobliżu. Ojciec zmuszał mnie wtedy, żebym zwolnił, wziął głęboki oddech, przyjrzał się otoczeniu bezstronnie. Powtarzał: Patrzysz, ale nie widzisz. Rozwiązanie masz pod samym nosem. I niemal nieuchronnie, gdy tylko się uspokajałem, znajdowałem wskazówkę wsuniętą między listwy podłogi, wystającą spomiędzy kart książki, którą trzymałem cały czas, albo wsuniętą mi w kieszeń.

Jednak nic z tego nie mówię.

- Chyba po prostu miałem szczęście - stwierdzam. Zaczynam drżeć, wiatr wbija mi lodowate ostrza w plecy. Mam na sobie tylko bieliznę, ubranie zdjąłem przed skokiem do rzeki.

Jeden z heperów mówi coś, po czym chłopcy wybuchają chóralnym śmiechem. Sissy się przyłącza, klaszcze. Wylewa się z nich tyle emocji.

Wchodzę do szałas, gdzie zostawiłem stertę swoich ubrań. Ściągam bieliznę, wyciskam ją drżącymi rękoma. Wciąż słyszę śmiech heperów, chichot, który to cichnie, to znów się wzmacnia. Nie mogą po prostu odczuwać emocji bez potrzeby ich ujawniania? Może niewola sprawiła, że skarleli, pozostawiła ich niezdolnych do wyczuwania cudzych uczuć, dopóki nie zostaną wyraźnie okazane niczym kolorowe wymioty.

Grupa znowu zaczyna chichotać i mówić o naukowcu - naukowiec to, naukowiec tamto. To potwierdzenie, że byli pod opieką. Znak, że naukowiec nigdy ich nie opuścił, nigdy nie zdradził i że naprawdę czeka na końcu drogi. Na nich.

Ale nie na mnie.

Mnie pozostawił w metropolii potworów. Żebym sam się bronił. Mnie, chłopca, który jeszcze wiele miesięcy później płakał, aż zmorzył go sen, albo moczył się w łóżku. Lecz to dla nich naukowiec stworzył skomplikowany plan ucieczki wraz z dziennikiem, który wyraźnie to heperzy mieli znaleźć, i tratwę, na której mogli dotrzeć do Ziemi Obiecanej, Krainy Mlekiem i Miodem Płynącej, Pełnej Owoców i Słońca.

Słyszę kolejny chichot, potem znowu, śmiech jest jak dręczące szturchnięcia. Już mam im powiedzieć, żeby się zamknęli, kiedy zapada cisza - tak nagła, że niemal przerażająca. Zerkam przez szczeliny w ścianie szałas. Niewiele widzę, tylko jak David i Jacob podnoszą kamienną tablicę. Ubieram się szybko i wychodzę z chaty.

Właśnie unieśli płytę i postawili pionowo. Woda nadal spływa z wykutych liter po gładkiej powierzchni i zbiera się w kałużę na pokładzie. Raz jeszcze czytam słowa.

ZOSTAŃCIE NA RZECE

Naukowiec

Jednak heperzy z kopuły nie patrzą na front tablicy, lecz na tył. Widzą coś, czego ja nie mogę zobaczyć, wytrzeszczają w zdumieniu oczy, gdy odrywają spojrzenia od kamiennej płyty i wbijają je we mnie.

- Co? - pytam.

Powoli obracają tablicę, żebym mógł sam zobaczyć.

Cztery słowa. Cztery słowa, które wyryją mi się w pamięci równie trwale jak w kamieniu.

### NIE POZWÓLCIE GENE'OWI ZGINĄĆ

Pierwsze od lat słowa ojca skierowane do mnie, o mnie. Szept z przeszłości, urastający do krzyku, a potem do ryku. Wstrząsa mną elektryczny niemal dreszcz i czuję, jakby lód pękał mi w kościach. A wreszcie rozlewa się po moim ciele jasność i nadzieja, i siła. Jedyne, co mogę zrobić, to opaść na kolana.

Jacob i David pierwsi do mnie podbiegają, pomagają mi wstać. Czuję, jak klepią mnie po plecach, mówią głośno, ale już mnie to nie dręczy, ich ciała napierają na moje, lecz nie odbieram tego jako nachalności. Ich ramiona przesuwiają się po moich ramionach, gdy mnie podtrzymują, zdumienie maluje się na twarzach. A potem ciepłe uśmiechy i przyjazne spojrzenia. Sissy zaciska powieki, unosi pięści do ust w podnieceniu. Kiedy otwiera oczy, spojrzenie ma gorące i czułe.

- Wiedziałam - mówi. - To nie przypadek, że jesteś tutaj, Gene. Od początku miałeś być z nami. Należać do nas.

Nie odpowiadam, czuję tylko krople wody z rzeki, które spływają mi po skórze. Wiatr dmucha i znowu przechodzi mnie dreszcz. Sissy obejmuje mnie mocno. Nadal jestem mokry, ale jej to nie przeszkadza.

- Nigdy więcej nie odsuwaj się od nas - szepcze mi do ucha, tak cicho, że słowa mogę usłyszeć tylko ja, po czym ściska mnie raz jeszcze i puszcza. Jej twarz i przód ubrania są wilgotne, gdy otula mnie pledem, którym wcześniej przykryła Bena. Słońce oświetla łądz, rzekę, łąd i nas.



## Rozdział 3

W drugiej klasie omal nie zostałem zjedzony żywcem. Tamtej nocy usiadłem w kącie stołówki. Z okazji urodzin Władcy na lunch podano specjalne syntetyczne steki, wyjątkowo krwiste i świeże. Wszyscy jedli ze smakiem, zatapiaли zęby w mięsie, krew spływała im po podbródkach do misek.

Wgryzłem się w sztuczne mięso i poczułem krew, wypływającą z niego jak woda z wyciskanej gąbki. Trudno było ignorować gumowatą konsystencję. Dawno już pozbyłem się odruchu wymiotnego, jaki wywoływało syntetyczne mięso, ale to nowe, uroczyste danie okazało się wyjątkowo paskudne. Oddychałem głęboko i powoli, pilnując, żeby nie rozdymać nozdrzy. Przymknąłem oczy w udawanym zachwycie i ugryzłem jeszcze raz.

Poczułem ukłucie bólu w górnym dziąśle. Omal się nie skrzywiłem. Zamarłem z zębami wciąż wbitymi w mięso. Krew wezbrała mi w ustach. Pozwoliłem jej spłynąć po brodzie do miski. Ugryzłem ponownie. Tym razem ból był przenikliwy, promieniował mi w czaszce. Z zębami w steku i wciąż zamkniętymi oczami czekałem, aż wyschną łzy wzbierające mi pod powiekami.

W ciemności opuszczonych powiek usłyszałem erupcję syków i trzaskanie karków. Hałas narastał, dochodził z każdego kąta stołówki. Odczekałem parę kolejnych, ciągnących się jak wieczność sekund, dopóki nie miałem pewności, że łzy wyschły. Dopiero wtedy odważyłem się spojrzeć.

Uczniowie rozglądali się w podnieceniu, ślina zmieszana już z krwią spływała im z warg. Paru rzuciło się na swoje steki z nową żywiołowością, błędnie założywszy, że upajający aromat pochodzi od mięsa, które im podano. Inni, starsi uczniowie unosili głowy i węszyli. Wychwycili zupełnie nowy zapach.

Wgryzłem się znowu w mięso, nie do końca pojmując, co się wokół mnie dzieje. Przecież byłem dopiero w drugiej klasie, zaledwie chłopiec, jeszcze dziecko. Znowu dziąsło przeszył ból. W ustach wzbierała mi krew, ale jakaś inna.

Ciepła.

Nie rozumiałem. Pozwoliłem, by krew spłynęła mi na podbródek, czułem wyraźnie jej ciepło na skórze.

I niemal natychmiast wszyscy w stołówce przestali jeść. Rozległy się syki, głośnie i pytające. Paru uczniów wskoczyło na krzesła, instynktownie trzasnęło karkami.

Przesunąłem językiem po górnych zębach. Zaczynając od tyłu, trzonowiec po

trzonowcu, przez fałszywe kły, po każdej krzywiznie, potem po siekaczach i wtedy...

Tam, gdzie powinien być jeden z moich przednich zębów, ziała dziura.

Wpadł mi mleczak.

Wstałem. Połowa zebranych w kafeterii stała albo kuciała na krzesłach. Nawet obsługa kuchni na drugim końcu pomieszczenia przerwała pracę. Tylko przedszkolaki, które błędnie wierzyły, że aromat pochodzi ze sztucznego mięsa, nadal zajęte były jedzeniem - dzieciaki spoglądały dziko, poruszając szczękami.

Chwyciłem swoją miskę na krew. Udałem, że piję, ale pod osłoną porcelanowego naczynia zacisnąłem usta. Pozwoliłem, żeby krew polała mi się po policzkach, po szyi, na ubranie. Było tylko zamaskować krew hepera, na ile było to możliwe.

Odstawiłem miskę, po czym powoli, obojętnie wyszedłem. Kiedy poczułem, że wszystkie oczy zwróciły się na mnie, przykucnąłem, żeby zaciągnąć sznurówki. Zachowywałem się tak, jakbym miał do dyspozycji mnóstwo czasu i żadnych zmartwień. Wyszedłem, krok po kroku, wysysając krew z dziury między zębami, połykając ją, byle choćby kropla nie wydostała się na zewnątrz. Połykałem, połykałem, połykałem...

Zmusiłem się do spokojnego przejścia przez korytarz. Zdusiłem płacz. Niemal straciłem kontrolę nad swoim pęcherzem, co oznaczałoby dla mnie pewną śmierć. Ale udało mi się nad sobą zapanować. Siedmiolatek panujący nad oczami, nogami i pęcherzem. Odcinający się od strachu, od emocji, które mogłyby odbić się na twarzy. Ojciec dobrze mnie wyszkolił.

Moja klasa była pusta - wszyscy poszli na lunch. Kiedy zamknąłem za sobą drzwi, omal nie zemdlałem. Niemal poddałem się panice, prawie pozwoliłem, żeby polały się łzy i uryła niczym potop. Ale wziąłem się w garść i uniosłem klapę monitora na blacie mojej ławki. Nadal zasysając i przełykając krew, żeby na pewno nie kapnęła ani jedna kropla, wpisałem adres e-mail ojca. Palce mi drżały, gdy wciskałem klawisze. To była prosta wiadomość, wiadomość, jakiej mnie nauczył używać w sytuacjach alarmowych.

Pusty e-mail. Żadnego tekstu.

Znaczyło to tylko jedno.

Wcisnąłem „wyślij” i zabrałem swoją torbę. Wyszedłem z klasy. W stołówce narastał harmider. Krzyki i wycie. Przełykałem i przełykałem w nadziei, że to wystarczy.

Ojciec właśnie powinien odbierać wiadomość. I wiedziałem, że nieważne, co właśnie robił i jak był zajęty w tym szklanym drapaczu chmur, rzuci wszystko. Od razu. I przyjdzie do mnie.

Zmusiłem się, żeby iść powoli, jakbym po prostu spacerował. Nie zbliżyłem się do

głównej bramy, gdzie ruch był duży. Przeszedłem przez boisko do piłki nożnej, pole do baseballu, a potem znalazłem się na ulicy. Paru przechodniów odwróciło głowy w moją stronę, gdy ich mijałem. Nozdrza im drżały. Ale przetykałem nieustannie krew, a oczy, niebezpiecznie wilgotne od wzbierających łez, osłaniał kaptur.

Pół godziny później dotarłem do domu. Dopiero gdy zamknąłem drzwi i opuściłem rolety, opadłem na kolana. Siły mnie opuściły. Podkuliłem nogi i objąłem je ciasno, ponieważ tylko to przyniosło mi ulgę. Udawałem, że to objęcia innej ciepłokrwistej osoby, która mnie pociesza.

I tak właśnie zastał mnie ojciec, gdy pojawił się kwadrans później. Wpadł do domu, zatrzasnął za sobą drzwi. Wziął mnie w ramiona. Drżałem, a on otoczył mnie ciepłem swojego ciała. Nic nie mówił, gdy szlochałem mu w koszulę i moczyłem ją łzami. Ojciec tylko głaskał mnie po włosach, a dopiero potem powiedział mi, że wszystko dobrze, że się spisałem i jest ze mnie dumny. Nazwał mnie dobrym chłopcem.

Ale parę godzin później musiał mnie opuścić. Po zachodzie księżyca otworzył drzwi i wyszedł na pustę, skąpane w słońcu ulice. Poszedł do mojej szkoły. Po mój ząb. Musiał go znaleźć. Gdyby ząb został znaleziony przy nodze stołu, podejrzenia i pogłoski, które pojawiały się i znikaly jak wszystkie szaleńcze plotki o heperach, zyskałyby potwierdzenie. A gdyby tak się stało, łatwo dodano by dwa do dwóch i łowcy pojawiliby się w parę minut, nawet sekund. Ruszyliby na wyścigi w pogoń za mną, po czym dopadliby mnie i pożarli.

Po paru godzinach, tuż przed zachodem słońca, ojciec powrócił, jednak z pustymi rękami. Nie udało mu się znaleźć mleczaka. Był zmęczony i walczył ze strachem, ale powiedział mi, żebym się nie martwił. Może po prostu połknąłem ząb i teraz znajdował się ukryty bezpiecznie wewnątrz mnie.

Zacząłem płakać. Myślałem, że to w porządku, przecież byłem w domu, a ojciec pozwolił mi na to wcześniej. Ale teraz mnie upomniął.

- Żadnego płaczu więcej. Żadnych łez - powiedział. - Niedługo musisz iść do szkoły, twoja nieobecność mogłaby przyciągnąć uwagę.

Zdołałem opanować szloch, ale nie udało mi się powstrzymać wstrząsających mną dreszczy. Sądziłem, że ojciec znowu mnie upomni, ale on otoczył mnie ramionami i uściśnął mocno, jakby chciał zaabsorbować wibrację do własnego ciała. Czuję się bezpiecznie w jego objęciach.

- Czemu nie możemy się po prostu zmienić? - wyszeptałem w jego pierś.

Natychmiast zeszywniał.

- Dlaczego tego nie zrobimy, tato? - podjąłem. - Jestem zmęczony udawaniem i

ukrywaniem się przez cały czas. Dlaczego się nie przemienimy? To przecież łatwe, mógłbym znaleźć sposób, żeby przynieść do domu trochę ich śliny.

Tak bardzo pochłonęły mnie własne słowa, że nie dostrzegłem gniewu na twarzy ojca.

- Wystarczy tylko wpuścić kroplę ich śliny do małego skaleczenia na skórze. A wtedy wszystko się skończy, to udawanie. Staniemy się normalni, jak inni. Moglibyśmy zrobić to razem, tato.

- Nie! - to słowo było jak strzał prosto w moją głowę, którego echo nigdy nie ucichnie.

- Nie.

Ojciec objął moją twarz swoimi wielkimi dłońmi, pochylił się, żeby popatrzeć mi w oczy.

- Nigdy więcej tego nie mów. Nigdy więcej o tym nie myśl. Nigdy.

Skinąłem głową, bardziej ze strachem niż zrozumieniem.

- Nigdy nie zapominaj, kim jesteś, Gene. - Jego dłonie przylgnęły mocniej do moich policzków. Nie sądzę, aby ojciec zdawał sobie sprawę z siły, z jaką mnie trzymał. - Jesteś doskonały taki jak teraz. Jesteś cenniejszy niż wszyscy mieszkańcy tego miasta.

A potem mówił jeszcze, obiecywał i przysięgał, że nigdy mnie nie zostawi. W końcu jego głos złagodniał, tembr zadziałał kojąco, przepłynął przez moje ciało i jakby stopił się z DNA moich komórek. Ojciec obejmował mnie mocno, aż się uspokoiłem.

Mój mleczny ząb nigdy nie został odnaleziony. Zapewne go połknąłem. Jednak tygodniami, miesiącami, a nawet latami żyłem w powracającym strachu, że gdzieś, w jakiejś zapomnianej dziurze, szczelinie lub pęknięciu, leży mój mleczak, pusty i pożółkły, a ktoś go znajdzie. Przypominał mi o mojej udręczonej egzystencji - rozdartej i ukrywanej - która w końcu wyjdzie na jaw.

A jednak. Chociaż żyłem na cienkiej granicy między dwoma światami, w ramionach ojca znajdowałem wszechświat ukojenia, rozległy i głęboki jak sama miłość. I tego dnia w jego ramionach złożyłem przysięgę, która stała się tak dogłębnie częścią mnie, że zapomniałem o jej złożeniu. I dopiero dekadę później, kiedy płynąłem na tratwie po rzece i ujrzałem swoje imię wyryte na kamiennej tablicy, przypomniałem sobie i odnowiłem tamtą przysięgę: ojciec jest dla mnie najważniejszy i jeżeli kiedyś zniknie, będę go szukał do końca tego przerażającego świata.

## Rozdział 4

Zapada noc. A wraz z nią znika radość dnia.

Jm Ziemię pokrywa cień, a rzekę marszczą fałdy. Efemeryczne, spienione grzywacze fal rozbijają się na nabrzeżu. Nikt nie wypowiada słowa „łowca”, lecz strach, jaki budzi to słowo, przejawia się w zmarszczkach na czole, w rozbieganych oczach, w napiętych mięśniach, którym nie dane będzie odpocząć tej nocy. Nie jedliśmy od paru dni, lecz nasze ciała przystosowały się do braku pożywienia i zaczęły spalać rezerwy. Szybko jednak - najwyżej w ciągu dwóch dni - rezerwy się skończą i zaczniemy padać jak muchy.

Sissy ostrzy sztylety, stale wpatrzona w brzeg rzeki. Epap chodzi w tę i z powrotem z dziennikiem naukowca w rękę. Od czasu do czasu przewraca strony.

Zagrożenie pojawia się znienacka.

- Sissy... - szepcze David. Oczy ma wytrzeszczone.

Jest ich trzech, około mili za nami na nabrzeżu.

Biegna na czworakach w ciasnym szyku. Niczym gepardy, płasko przy ziemi, wyciągają ramiona, wbijają palce w podłoże i odbijają się tak szybko, że rozmywają się w oczach. Łowca na czele odbija w bok, reszta powtarza manewr. Wiem, co robią - ustawią się jeden za drugim, tak aby jak najlepiej wykorzystać zasady aerodynamiki. Bieg w linii oznacza zwiększenie średniej prędkości grupy o około dziesięć procent. A to się liczy, zwłaszcza w przypadku wyprawy na kilkaset mil.

Wkrótce się z nami zrównają. Urzeczywistnienie koszmaru. Skóra, częściowo stopiona od słońca jak plastik w piekarniku, po zmroku zastygła w zachodzących do tyłu fałdach. Rozsiane po ciałach kępki włosów jeżą się w ohydnych kosmykach. Nie, nie włosy, lecz pozostałości osłon przeciwsłonecznych, wżarte w półpłynną tkanę. Z pianą na ustach i pobliznioną skórą odchodzącą od kości łowcy przypominają bezpańskie psy. Spojrzenie pełne pragnienia i oddania wbijają... w nas.

Trzeci łowca wygląda dziwnie znajomo. Spomiędzy fałd zniekształconej skóry wyziera twarz, którą prawie rozpoznaję. Każdy ze ścigających ma na plecach spory bagaż, pakunki wypycha coś, co wygląda na ciężki sprzęt i zwoje lin. Zabrali chyba z tonę narzędzi. Ich siła jest zarazem straszna, jak i wspaniała.

Pościg przyśpiesza i znika przed nami.

- Sissy?

Ścigający nawet się nie obejrżeli. Tracimy ich z oczu, gdy wbiegają za małe wzgórze.

Zauważamy grupę dopiero na szczycie następnego wzniesienia. Łowcy oddalają się od nas z niesamowitą prędkością.

- Sissy? Co oni robią? - Na twarzy Davida maluje się strach. Chłopak patrzy tam, gdzie zniknęli nasi prześladowcy. - Dlaczego tak pognali?

- Wiesz, prawda? - Sissy patrzy na mnie z niepokojem.

Potrząsam głową. Dla mnie to bez sensu.

- Nie podoba mi się to - szepcze dziewczyna. W jej oczach pojawia się strach. Po raz pierwszy od wielu dni to szczery, prawdziwy strach. - Są coraz sprytniejsi. Z każdym dniem rośnie ich determinacja i pomysłowość.

Ma rację. Po raz pierwszy polują na zdobycz, która dorównuje im inteligencją i determinacją. Okoliczności wymuszają na nich przebiegłość.

Sissy klepie się po udzie. Nie skrywa frustracji.

- Musimy przybić do brzegu, Sissy! - krzyczy Epap. - Skoro są przed nami, nie możemy po prostu płynąć do nich.

Dziewczyna wpatruje się w nurt rzeki.

- Jeśli to pułapka, więcej łowców czai się za nami i czeka, aż się zatrzymamy. Nie dajmy się przechytrzyć.

- To raczej nie jest ich plan - wtrącam. - Oni tak nie działają. Kiedy chodzi o polowanie na heperów, stają się strasznie samolubni. Nie w głowach im teraz altruizm i dobro grupy. Gdyby część łowców czekała z tyłu, wtedy ci, co pobiegli przodem, nic by na tym nie zyskali. - Wbijam spojrzenie w rzekę. - Myślę, że jest tylko jedna grupa, ta, która nas wyprzedziła.

- I rozstawiają pułapkę? - pyta Sissy.

- Chyba tak. - Krzywię się. - Nie wiem.

- To na co jeszcze czekamy? Przybijamy - mówi Epap, sięgając po tyczkę.

- Czekaj - powstrzymuje go Sissy. - Może właśnie o to im chodzi. Krążą w okolicy i śledzą nas zza wzgórz. Może właśnie to jest pułapka: chcą, żebyśmy jak głupcy przybili do brzegu i pozbawili się jedynej przeszkody, która nas od nich dzieli, czyli wody. Jeśli się zatrzymamy przy brzegu, dorwą nas w kilka sekund.

- To co robimy, Sissy? - pyta David.

W oczach dziewczyny błyska determinacja.

- Zostajemy na rzece. Jeśli łowcy rozstawiają pułapkę przed nami, przebijemy się. Nieważne, co szykują, będziemy walczyć. Ale nie będziemy czekać z założonymi rękoma. Podążamy za własnym przeznaczeniem, choć go jeszcze nie znamy. - Patrzy na mnie. -

Właśnie tak ja działałam.

Nie widzimy nic podejrzanego przez ponad godzinę. Płyniemy w dół burzącej się rzeki, w napięciu i niepewności. Stoję na rufie, rozglądam się, oczy mam szeroko otwarte. Woda pieni się na skałach przy cieśninie na wprost nas. Nie dam się, powtarzam sobie w duchu, nie zawaham się ani na chwilę...

Łódź nagle się zatrzymuje, jakby natrafiła na ścianę. Impet przetacza nas po pokładzie, mnie prawie wyrzuca do rzeki. W porę łapię się nadburcia, żeby nie wpaść do wody. Sissy pierwsza zrywa się na równe nogi, rozgląda i próbuje rozeznaczyć w sytuacji. Dostrzegam, co nas zatrzymało - lina rozciągnięta w poprzek rzeki. Któryś łowca musiał nieść harpun, inaczej nie udałooby się im rozpiąć liny w zwężeniu między brzegami.

- Chyba mam złamane żebra - mówi Epał przez zaciśnięte zęby. Ostrożnie przykłada rękę do piersi, jakby trzymał niewidzialne dziecko. - Nie mogę oddychać. Boli...

- Sissy! - krzyczę. - Daj sztylet! Trzeba przeciąć linę!

Dziewczyna podbiega, tupiąc. Przykłęka obok mnie, wychyla się za burtę. Gdy dostrzeżę linę, nie kryje przerażenia. Już ma sięgnąć po zanurzony sznur, ale wtedy zamiera w pół ruchu.

- Tnij, Sissy!

- A jeśli ukrywają się w wodzie?

- Nie potrafią nurkować!

- To gdzie są?!

- Nie mam pojęć...

Kilka stóp od łodzi rozlega się plusk. Woda rozpryskuje się na pokład.

- Co to było?! - jęczy Jacob.

Kolejny plusk, bliżej łodzi.

- Są w wodzie? - Jacob cofa się od burty. - To oni?!

- Nie - krzyczę. - Nie potrafią pływać!

- Więc co...

Coś wbija się w pokład tuż obok mojej stopy, w powietrze wlatują drzazgi. Duży, ostry hak, czarny, z czterema pazurami, tkwi głęboko w deskach pokładu. Przywiązana do niego lina ciągnie się aż na brzeg - do łowców. Kryją się za krzakami, ale lina jest jak strzałka, która wskazuje dokładnie ich pozycję.

Sięgam szybko do haka. Jest cały pokryty kleistą, śliską substancją, śliną łowców. Czym prędzej się cofam.

- Nie dotykajcie haków, są pokryte ich śliną! - ostrzegam.

- Nie ma czasu na cackanie - odkrzykuje Sissy. - Trzeba je wyrwać!

Unoszę wzrok zdumiony ignorancją dziewczyny. Czyżby nie wiedziała? Jeśli ślina łowcy dostanie się do rany, a stamtąd do krwiobiegu, to koniec. Zacznie się przemiana. Ściągam koszulkę i owijam wokół jednego z pazurów kotwiczki.

- Nie dotykajcie haków gołymi rękami! Użyjcie koszulek!

Nie mogę wyrwać haka z desek, wbił się za głęboko. Kolejny uderzył o pokład na prawo ode mnie, o włos minął głowę Davida.

Nasi prześladowcy wychylają się z mroku i zaczynają ciągnąć liny z brutalną siłą. Łódź przybliżyła się do brzegu z niepokojącą szybkością.

- Sissy! Przetnij liny!

Nie słyszy, próbuje wyrwać hak, który tkwi w drewnie jeszcze głębiej niż ten obok mnie. Sięgam do jej pasa i wyjmuję sztylet. Wychylam się za burtę, żeby przeciąć linę, która zatrzymuje tratwę. Serce mi zamiera na widok sznura. Wykonano go z syntetycznego włókna, które - jak przypuszczam - nie podda się ostrzu. Przecięcie tej liny sztyletem zajmie co najmniej kwadrans.

Łódź jest już w połowie drogi do brzegu, na tyle blisko, że widzę łowcę. Syczy, stoi po kostki w wodzie. Zamaszysty wymach i kolejny hak wzbija się w powietrze.

- Uwaga! - krzyczę.

Ben, zajęty szamotaniem się z drugą kotwiczką, nie dostrzega zagrożenia. Epap, choć przyciska dłoń do żeber, odciąga chłopaka w ostatniej chwili. W miejscu, gdzie znajdował się Ben, ląduje hak. Chłopcy upadają na pokład tuż przy kabinie i bezwładnie uderzają w deski. Dostrzegam głębokie rozdarcie na policzku Epapa, które pojawiło się, gdy w tratwę wbił się drugi hak. Płynie krew. Dużo krwi.

Łowcy wyją z rozkoszy w nocne niebo.

Lina spadła na Epapa. Skaczę i odciągam chłopaka, nim sznur się napręży i przyciśnie go boleśnie do pokładu albo co gorsza, rozczłonkuje. Trzy haki wbite w pokład trzymają nas na holu. Łowcy ciągną z taką siłą, że dziób łodzi unosi się stopę nad wodą. Dzięki temu zbliżamy się do brzegu szybciej, jakby popychani bocznymi silnikami.

Sissy przestała się szarpać z zaczepem. Wykonano go z tego samego materiału co linę harpuna. Skupiwszy się, dziewczyna rozważa możliwości, analizuje je w ułamku sekundy, odrzuca niewykonalne, aż zostaje tylko jedno rozwiązanie. Popycha Davida i Jacoba do kabiny, gdzie upadłem obok Bena. Epap leży nieprzytomny, pierś unosi mu się w płytkim, urywanym oddechu.

- Słuchajcie - mówi Sissy. Woda spływa jej po twarzy. - Popłynę do brzegu.



Wyskoczę za szaląsem i popłynę pod wodą, więc łowcy mnie nie zobaczą. Wy musicie odwrócić ich uwagę. I wyrwać haki.

- Sissy, nie! - krzyczy Ben.

- To jedyne wyjście, jakie nam pozostało.

- Musi być jeszcze jakieś...

Sissy chwyta go za ramię tak mocno, że chłopak się krzywi.

- Nie ma, Ben.

- W takim razie ja to zrobię - wtrącam. - Dobrze pływam, dam radę.

- Nie. - Dziewczyna przyczepia sztylet do pasa.

- Więc zrobimy to oboje - naciskam.

- Nie. - Odbiera mi ostrze i wsuwa do pochwy przy pasie.

- Sissy...

Jej spojrzenie jest dzikie, zaskakująca mieszanina złości i zdziwienia. Dziewczyna patrzy mi w oczy trochę dłużej, niż powinna.

- Nie pozwólcie Gene'owi zginąć - szepcze, po czym przemyka obok mnie z szaląsu. Ledwie słyhać, jak wskoczyła do wody. David zaczyna płakać. Podnoszę go, potem Jacoba i Bena. Będą się nawzajem potrzebowali.

- Słuchajcie, chłopaki - staram się mówić jak najpewniej. - Sissy dała wam robotę do wykonania. Wyrwać te przekłete haki z pokładu. Owińcie ręce koszulkami, haki nie mogą dotknąć nagiej skóry, jasne?

Jacob przytakuje. Ujmuję twarz Davida w dłonie. Jego skóra jest delikatna, nie został stworzony do takiego świata. Patrzę mu w oczy. Próbuję dodać mu odwagi. I David też przytakuje.

- Do roboty - rozkazuję i wypycham ich z szaląsu. Rozbiegają się, każdy do innego haka.

Dopiero wtedy podchodzę do burty i skaczę.

Woda jest zimna i ciemna. Prąd ciągnie mnie w dół rzeki. Opieram się, walczę, choć wiry próbują mnie obrócić. Wystarczy, że wpadnę choć w jeden, a całkowicie stracę orientację. Odpycham się mocno ramionami, nie zwracając uwagi na kierunek - chcę tylko odpłynąć jak najdalej od łodzi, zanim pękną mi płuca.

Nareszcie brzeg. Ręce zderzają mi się z ostrym kamieniem, pod palcami przesypuje się piach. Podnoszę się z wody pomimo ciągnących mnie w dół ubrań. Zmuszam się, by zrobić krok. Łódź znajduje się dużo dalej, niż sądziłem. Prąd pchnął mnie kilkadziesiąt metrów w dół rzeki. Ciepła wilgoć spływa mi po dłoni. Wiem, co to, nim jeszcze spojrzę. Z

otartych rąk sączy się krew.

Wysokie, przenikliwe wycie mogłoby strzaskać gwiazdy i przeciąć księżyc. Wyczuli mnie. Wszystkie trzy liny, które wstrzymują łódź, nagle spadają do wody z pluskiem. Łowcy musieli je puścić. I ruszają po mnie.

- Sissy! Gdzie jesteś?

- Tu! Szybko!

Dziewczyna stoi przy stercie rozrzuconego ekwipunku. Liny, haki, załadowany harpun. Prawdopodobnie łowcy zostawili tu dodatkowy sprzęt, na wypadek gdybyśmy przebili się przez pierwszą pułapkę. Po prostu by nas wyprzedzili i rozstawili nową.

- Nadchodzą, Sissy.

- Wiem.

Podnoszę harpun. A raczej próbuję, bo broń waży chyba z tonę. Nie mogę jej podnieść, a co dopiero użyć. Przynajmniej nie sam.

- Sissy, pomóż mi, podniesiemy to razem.

Nie odpowiada.

Rozglądam się. Odeszła.

Słyszę znowu wycie, dużo bliżej. Wbiegam na pagórek. W połowie stoku widzę Sissy w świetle księżyca. Dziewczyna wygląda na znacznie mniejszą niż w rzeczywistości. Ścisną mocno sztylet w zaciśniętej dłoni. Dwóch łowców pędzi na nią. Godziny niedotlenienia i wysiłek wypaliły ich ciała. Zebra wyraźnie wystają na wychudzonej klatce piersiowej, luźna skóra na kościach łopocze niczym pranie na sznurze. Trzeciego łowcy nigdzie nie widać.

Sissy ani drgnie, chociaż przeciwnicy dopadną ją za kilkanaście sekund. Nie spieszy się, próbuje znaleźć najlepszy kąt do rzutu ostrza. Dziewczyna nie rozumie łowców tak dobrze jak ja. Nie zna ich taktyki.

- Sissy. - Ruszam do niej. - Zdejmij ich! Teraz!

- Nie - szepcze. - Za daleko.

- Zaraz się rozdziela, jeden pobiegnie w lewo, drugi w prawo. Zajdą nas z obu stron. Chcą nas dezorientować. Będziesz celować w jednego, a drugi skoczy ci na plecy. Już, Sissy!

Wierzy mi. W okamgnieniu rzuca sztylet, na wschód od zbliżających się łowców. Obracają głowy w biegu, śledząc wirujące ostrze. Patrzą, jak wznosi się łukiem nad wodą i zawraca.

W ostatniej chwili, gdy sztylet już miał ich sięgnąć, łowcy go przeskakują.

Po czym spoglądają na nas i wyją zwycięsko. Wiedzą. Powiedziano im, jak walczy

Sissy.

Nie wiedzą jednak o czymś jeszcze.

To nie było jedyne ostrze, które mknęło przez powietrze.

Gdy wpatrywali się w pierwszy sztylet, Sissy rzuciła drugi.

Jeden z łowców zatacza się, jakby naprężyła się niewidzialna smycz. Sztylet trafił go w szyję. Skóra nie stawiała zbyt dużego oporu, więc ostrze wbiło się aż po rękojeść. Łowca pada na plecy, macha kończynami w powietrzu jak przewrócony żółw. Próbuje się podnieść, ale bez skutku. Ostrze przecięło tchawicę.

Drugi myśliwy wyje. Nie ze strachu, nie ze smutku po towarzyszu, lecz z radości. Będzie miał większą część hepera dla siebie. Patrzy na Sissy, ślini się w maniackalnej żądzy.

Dziewczyna sięga do pasa, gdzie tkwią ostatnie trzy ostrza. Rzuca gwałtownie pierwsze na prawo od siebie. Wszystkie oczy, także łowcy, obracają się w tamtą stronę, żeby śledzić wirującą broń. Ale rzut jest udawany, ostrza nie ma w powietrzu, wciąż jest w ręce Sissy. Przynajmniej przez chwilę. Dziewczyna posyła je niczym bumerang, po łuku, w lewo. Nie patrzy na rezultat, od razu sięga po drugi sztylet i miota nim prosto między oczy łowcy, który wciąż próbuje wypatrzeć, gdzie poleciało pierwsze ostrze. Nie wie, że zaraz otrzyma dwa bezpośrednie trafienia.

Jednak tym razem to my czegoś nie wiemy.

Łowca od początku wiedział, że pierwszy rzut to zmyłka. W ostatniej chwili przypada do ziemi. Dwa ostrza zderzają się i wzniesają iskry tuż nad głową niedoszłej ofiary. Światło sprawia mu ból, ale choć łowca krzyczy, nie spuszcza z nas oka. To jedyny ból, jaki odczuwa nasz prześladowca. A potem podnosi rękę i rozdziera sobie głęboko nadgarstek. W jego oczach tańczy radość.

Został nam ostatni sztylet.

Łowca rusza, dzielą go od nas tylko sekundy.

Sissy unosi ramię, szykując się do rzutu, lecz popełnia błąd. Fatalny. Broń wyślizguje jej się z ręki i spada w mrok. Łowca wyje z rozkoszy, chociaż bardziej przypomina to śmiech. Łowcy jednak się nie śmieją. Ten odgłos jest obsceniczny, niemal perwersyjny.

Sissy odwraca się, gdy sztylet przecina powietrze. Dziewczyna porusza się zdecydowanie i celowo, jakby każda milisekunda została dokładnie zaplanowana. Sztylet łatwo wypatrzeć, odbija blask księżyca.

Nie tylko ja śledzę wzrokiem ostrze. Łowca również wpatruje się w sztylet, który wzleciał tak wysoko, że zmusił myśliwego do podniesienia głowy. Księżycowy blask rozświetla drapieżną twarz. Łowca mruży oczy, potem całkowicie je zamyka i skowyczy

niczym kopnięty pies. Chyba nie może unieść powiek. Teraz dopiero zrozumiałem. Sztylet zaczyna spadać jak bumerang prosto na mnie. Sissy wybija się i łapie broń w powietrzu. Wciąż w locie rzuca sztylet w łowcę. Widzę przelatujące niebezpiecznie blisko mojej twarzy ostrze. Łowca, który wciąż ma zamknięte oczy, nie może dostrzec zagrożenia. Sztylet wbija mu się w skroń i sieje spustoszenie w mózgu. Płyn gałki ocznej zaczyna wylewać się przez zaciśnięte powieki. Łowca upada, wstrząsają nim spazmy. Chce jeszcze wyciągnąć sztylet, ale ból i panika powodują jedynie więcej obrażeń. Dogorywając, kopie trawę i macha rękoma.

Sissy przykuca obok mnie. Kładę rękę na jej ramieniu. Czuję, że ramię dziewczyny drży. Wydaje się, jakby to było najsamotniejsze i najdzielniejsze ramię, jakiego dotykałem.

- Chodź, pomogę ci - mówię.

- Gdzieś jest jeszcze jeden - odpowiada Sissy. Na chwilę opiera się o mnie, po czym zrywa się do biegu.

- Sissy, co ty robisz?

Sissy oddala się na kilkadziesiąt metrów, tam, gdzie upadły dwa sztylety. Podnosi je szybko i biegnie z powrotem, przypatrując się powalonym, jęczącym łowcom. I wystającym z ich ciał ostrzom. Chce je odzyskać, ale wie, że nie należy kusić losu.

Krótkie złowrogie wycie dobiega z głazu po lewej stronie. Na kamieniu w blasku księżyca siedzi trzeci łowca. Obserwował nas cały czas, studiował naszą taktykę i metody działania.

Sissy cofa się do mnie.

- Ten jest inny, bardziej niebezpieczny.

Łowca zeskakuje z głazu niczym kot. Ostrożnie stąpa po nierównej powierzchni. Rozpoznaję go. Ją. To Czerwonousta, jedna z łowczyń wyłonionych w loterii. Teraz jej twarz jest niewyraźna, jakby widziana przez zdeformowaną szybę. Czerwone usta kobiety rozciągnęły się i stopiły z policzkami. Nawet z ciałem o konsystencji owsianki i stopionego plastiku jej ruchy są pełne gracji i dzikości.

- Stań za mną - szepcze Sissy. - Rzucę w nią sztyletami.

- Sztylety tu na nic, nie przeciwko niej. Obserwowała nas, zna wszystkie twoje sztuczki.

Sissy przekłada sztylet z ręki do ręki.

- Cofamy się powoli - szepczę. - Mam plan.

Czerwonousta podchodzi nas czujnie. Jej kończyny poruszają się równolegle - lewe ramię i lewa noga, prawa noga i prawe ramię. Stopy trafiają dokładnie w miejsce, gdzie wcześniej opierały się ręce.

- Jaki plan? - pyta Sissy.

- Harpun.

Sissy potrząsa głową.

- Za ciężki.

- Nie jeśli podniesiemy go razem. Już! - Odwracam się i biegnę do ekwipunku, który minąłem wcześniej. Sissy dotrzymuje mi kroku. Wślizgujemy się za stertę sprzętu, na wilgotnej trawie jest to dość łatwe. Łowczyni ściga nas bez wahania.

- Pomóż! - Sissy podnosi harpun z jednej strony. Unoszę go z drugiej. Waży chyba tyle, co trzech postawnych mężczyzn. Kładę dwa palce na spuście, czy raczej na palcach Sissy, które już tam są.

Czerwonousta na widok wymierzonego w nią harpuna próbuje się zatrzymać.

- Właśnie tak! Cofnij się! - krzyczy Sissy.

Czerwonousta przekrzywia głowę. Odskakuje ostro w bok, po czym jak torpeda pędzi znowu na nas z przeszywającym wrzaskiem.

Razem z Sissy ciągniemy za spust.

Do strzału potrzebna była siła palców nas obojga. Harpun napina się i spazmatycznie szarpie, gdy wylatuje z niego pocisk. Nasza celność może i nie jest za dobra, ale wystarczająca. Czerwonousta unosi rękę, żeby odruchowo zablokować cios, lecz pocisk skutecznie przebija jej dłoń. Ostry koniec harpuna wbija się w lewe ramię łowczyni tak mocno, że ją obraca. Czerwonousta upada z przerażającym, pełnym bólu krzykiem.

- Wracamy! - krzyczy Sissy i łapie mnie za rękę. Szerokim łukiem obchodzimy powaloną łowczynię, która obróciwszy się na bok, próbuje wyciągnąć harpun. Bez skutku. Jest osłabiona i przyściśnięta do ziemi. Nasze oczy się spotykają.

- Twoje oznaczenie to Gene? - pyta. Zamieram. Moje imię w jej ustach mrozi mi krew w żyłach. - To słowo, które wciąż powtarza...

- Kto? - Podchodzę, choć już wiem.

- Blżej - Czerwonousta zniża ochryply głos. - Podejdź bliżej, Gene.

Sissy ciągnie mnie za rękę.

- Gene, nie! Ona chce nas opóźnić, inni mogą już tu biec!

Czerwonousta wpatruje się we mnie.

- Dziewczyna, którą zostawiłeś w instytucie. - Przekrzywia głowę. - Gdy już było po wszystkim, mamrotała tylko: Gene, Gene, Gene.

Krew odpływa mi z twarzy. Gdy już było po wszystkim. Zaczynam gwałtownie mrugać. Ziemia wiruje... Sissy uderza mnie w twarz.

- Musimy uciekać, już!

Ciągnie mnie za rękę, zmusza do biegu. Wrzask łowczyni towarzyszy nam podczas powrotu na łódź. Chłopaki odczepili już wszystkie haki, tratwę wstrzymuje tylko lina z harpunem. Po linie odnajdujemy działko unieruchomione między dwoma głazami.

- Pomóż mi, Gene - rozkazuje Sissy. - Hej! Co z tobą?

Zaczyna kopać wyrzutnię, żeby ją wybić spomiędzy kamieni.

- Łowcy wracają! - krzyczy David z pokładu.

Lepszej motywacji nie trzeba. Sissy mocnym kopniakiem przewraca wyrzutnię, broń znika w dole nad brzegiem rzeki.

Wskakujemy do wody, żeby dogonić tratwę. Zimno mnie otrzeźwia. Wściekle poruszam nogami, żeby płynąć jak najszybciej. Chłopcy wciągają nas na łódź, bez sił padamy z Sissy na pokład i wpatrujemy się w gwiazdy. Są tak nieruchome. Wydaje się, jakbyśmy nie posuwali się dalej. Tylko oddalające się wycie łowców upewnia mnie, że jednak się przemieszczamy.

Epap podchodzi, jęcząc. Chłopcy chcą do niego podejść, ale zrywam się na równe nogi i zatrzymuję wszystkich.

- Nie podchodzić! - rozkazuję.

- Dlaczego? - dziwi się Sissy.

- Może być zainfekowany. Może się przemienić.

Patrzę na mnie bez zrozumienia - nie mają pojęcia, o co mi chodzi.

- Dostał w głowę, gdy spadł jeden z haków, który był pokryty śliną łowców. - Pomagam Epapowi usiąść na pokładzie i sprawdzam dokładnie rany. - Wystarczy, że odrobina śliny dostanie się do krwi, a zacznie się przemiana. Transformacja. Staniesz się jednym z nich.

Chłopcy i Sissy teraz patrzą na Epapa z niepokojem. A Epap spogląda na mnie przerażony i oszołomiony.

- Nie słyszeliście o tym, ponieważ transformacje są bardzo rzadkie. Zwykle nie przeżywamy ataku, tylko zostajemy pożarci.

- Ile trwa... przemiana? - pyta Sissy, wyraźnie zmartwiona.

- Szybko. Od kilku minut do kilku godzin, zależy, ile śliny dostało się do organizmu. Jeśli będzie to ślina więcej niż jednego łowcy, proces przebiega szybciej. - Sprawdzam skórę Epapa, czy nie ma skaleczeń i zadrapań. - Wydaje mi się, że wszystko z tobą w porządku, Epap. Nie masz żadnych objawów, a zwykle pojawiają się od razu.

- Objawów? - denerwuje się Epap.

- Zimna skóra, drżenie, nadmierne pocenie się, przyspieszona akcja serca. Poszczęściło ci się, nic ci nie jest.

Ben rzuca się na Epapa i tuli go mocno.

- Nie zbliżaj się! - Starszy chłopak prostuje się sztywno. - Nie wiemy na pewno, czy to bezpieczne. Mogę być zarażony.

- Nie jesteś - zapewniam. A chłopcy rzucają się, żeby go przytulić. Zza tej plątaniny ramion widzę uśmiechniętą twarz Epapa. Ktoś wyciąga rękę - chyba Jacob? - i łapie moją. Zanim pojmę, co się dzieje, trafiam między szlochającą z ulgi gromadkę.

Łódź dryfuje, nabierając prędkości wraz z prądem rzeki. Przed nami przysadzista sylwetka góry robi się coraz większa i wyraźniejsza. Wychodzę na pokład, jak najdalej od głośnego chrapania w chacie i od Sissy przy sterze. Muszę zostać sam. Na skąpanych w księżycowym blasku równinach nie widać żadnego ruchu, krajobraz jest nieruchomy jak czarno-biała fotografia. Rzeka przypomina żyłaste muskuły, kurczące się i rozluźniające szybko ścięgna. Pręży się, to gorliwa, to gniewna, raz po raz.

Myślę o Ashley June.

Słowa Czerwonoustej odbijają się echem w mojej głowie nawet wiele godzin później.

Kiedy to się wreszcie skończy...

Ostatni raz widziałem Ashley June na monitorze w Instytucie Badań Heperystycznych, gdy pochylała się nad stołem w kuchni i pośpiesznie pisała krótki list. Nadal miałem ten list w kieszeni, mokry i pognieciony, postrzępiony na rogach. Dziewczyna zaryzykowała życie, umknęła do podziemi instytutu, choć istniała bardzo niewielka możliwość, że wrócę i przyjdę jej na ratunek.

Czytałem ten list tysiące razy. Znałem kształt każdej litery, każdą krzywiznę i kropkę. Wyciągam go teraz, kartkę z pismem Ashley June rozmazanym przez wilgoć.

W Prezentatorium pod klapą czekam nie zapominaj.

Po raz ostatni przesuwam palcem po jej słowach. Wiatr śwista, zimny i ostry, i już wiem, co zrobię. Zamykam oczy, niezdolny patrzeć, gdy odrywam mały kawałek z rogu kartki. Wypuszczam skrawek na wiatr. Unosi się i trzepocze jak małeńka ćma, a potem niknie wśród nocy. Odrywam kolejny skrawek, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden... I kiedy księżyc wędruje wyżej, rzucam sto tysięcy tych skrawków na wiatr, a kartka w moich rękach staje się coraz mniejsza. Wreszcie pozostaje kawałeczek nie większy niż paznokieć, tak mały, że nie mogę już go rozerwać. Długo trzymam ten skrawek. A potem z bezgłośnym krzykiem rozpaczliwie uwalniam go, a on znika w ciemności. I nic nie pozostaje mi w ręku.

## Rozdział 5

Budzi mnie szarpnięcie. Widzę nad sobą bladą twarz Davida.

- Co się dzieje? - pytam. Niebo jest ciemne, noc się jeszcze nie skończyła. - Znowu łowcy?

David kręci głową.

- Nie, coś innego.

- Epap? Co z nim?

- Wszystko dobrze... - David milknie niepewnie. - To coś... Nie wiemy dokładnie...

Zrywam się na równe nogi. Prąd jest teraz bardziej gwałtowny, dzikszysy, jakby cierpliwość rzeki całkowicie się wyczerpała. Strugi wody rozpryskują się jak gejzery i rozbijają na pokładzie. Pozostają po nich ślady jak odciski mokrych rąk. Niebo jest równie ciemne i wzburzone jak rzeka - usiane plamami skłębionej czerni.

Wszyscy patrzą na mnie, w ściągniętych ustach i szeroko otwartych oczach czai się strach.

- Nurt jest szybki przez ostatnie deszcze - próbuję uspokoić zszargane nerwy chłopców. - Nie ma się czego bać.

- Straciliśmy tyczki do sterowania. Prąd wyrwał nam je z rąk.

- Co?

- Nie dlatego cię obudziliśmy - stwierdza David. - Słyszysz to?

Początkowo nie słyszę nic oprócz plusku fal o burtę. Ale powoli zaczynam odróżniać słaby, odległy syk jak szum w radio. Niepokojący. Zamykam oczy, żeby się skupić.

- Przed nami. Daleko w dole rzeki.

- Usłyszałem to z dziesięć minut temu - wyjaśnia cicho Epap. - Pojawiał się i znikał. Ale posłuchaj teraz. Zrobił się głośniejszy. Zbliża się.

Patrzę w dal. W tej ciemności mój wzrok nie sięga dalej niż do pięćdziesięciu metrów. Nawet brzegu nie potrafię dostrzec. Lęk brudnymi paznokciami drapie mnie po kręgosłupie.

- Myślę, że to wodospad - wzdycha Epap. - Naukowiec nauczył nas, że narastający syk wskazuje na wodospad, do którego zbliżamy się z góry.

Odwraca się do mnie, twarz ma mokrą od pryskającej wody.

- Co sądzisz, Gene?

- Nic nie wiem o wodospadach. Do tej pory myślałem, że występują tylko w bajkach.

Spoglądam w ciemność. Syczenie zaczęło już bardziej przypominać skwierczenie. Jest



głośniejsze, bardziej przytłaczające.

- Wydaje mi się, że ta łódź kieruje się prosto na wodospad. - Epap też patrzy w mrok. -  
Będziemy musieli popłynąć do brzegu.

Po czym spogląda na mnie. Kiwam głową.

- Przy wiążemy się razem cumą.

Przez następne kilkanaście minut wściekłość rzeki rośnie. Tratwa kręci się bezładnie jak na karuzeli. Do rozprysków dochodzi jeszcze deszcz, a nieustanny syk robi się coraz głośniejszy. Gromadzimy się przy Epapie. Chłopak związuje nas w pasie mocnymi węzłami. Mrużymy oczy od pryskającej wody i zimnego wiatru, gdy staramy się utrzymać równowagę na kołyszącej się i wirującej łodzi.

- Słuchajcie - mówi Epap. - Słuchajcie, wszyscy. Musimy zeskoczyć z łodzi, popłynąć do brzegu...

- Czy ja wiem, Epap? - wtrąca Jacob. - Nurt jest za szybki! Może nas rozdzielić, wciągnąć pod wodę!

- Nie mamy wyboru! - odkrzykuje Epap. - Wszyscy muszą się trzymać liny. Jeżeli zostaniecie wciągnięci lub rozdzieleni, trzymajcie się liny!

- Ale i tak możemy zostać porwani przez nurt! - kręci głową Jacob.

- Nie! - warczy Sissy. - Epap ma rację. Musimy skoczyć.

Z liną przewiazaną pod pachami podchodzimy ostrożnie do burty. Sissy staje przy mnie, jej usta są przy moim uchu.

- Ty i ja. Musimy się trzymać razem. - Sprawdza mój węzeł, szarpie mocno, a na jej dłoniach odcinają się białe kłykcie. - Reszta nie umie dobrze pływać. David i Jacob trochę. Ben i Epap pójda na dno. Rozumiesz?

Kiwam głową. Prędkość łodzi jest już przerażająca. Na okamgnienie kadłub unosi się nad wodę, nim znowu opadnie z pluskiem.

- Skaczemy na jeden! - krzyczy Sissy. - Pamiętajcie, nie puszczajcie liny. Machajcie nogami, nie używajcie rąk. Ręce na linie przez cały czas, jasne? Nie puszczacie!

Patrzę na rzekę, na szaleńczo wirujące fale. To się nie uda, prąd nas porwie. Jacob ma rację. Nurt zrobił się za silny.

- Trzy... - woła Sissy.

Gdy tylko uderzymy w wodę, nurt wciągnie nas w dół, po czym śmiertelnie groźne podwodne prądy rozrzucają wszystkich w różne strony. Wskoczmy w mrok, w wodną czarną dziurę.

- Dwa...

Obok mnie Jacob sztywnieje, jakby coś sobie uświadomił.

- Jeden! - Sissy ugina kolana, gotując się do skoku w mroczne fale. Pozostali wyglądają jak szare smugi, gdy naśladują jej ruch.

I ja uginam kolana, skaczę...

- STAĆ! - krzyczy Jacob, cofając się od burty.

Lina napina się, powstrzymując mnie w pół ruchu. Szarpnięcie ściąga mnie w tył, odbiera dech w piersi, nim uderzam w deski pokładu. Zaraz potem rozlegają się łupnięcia jak opóźnione echo, gdy pozostali lądują na pokładzie.

- Jacob! - wścieka się Sissy. - Co robisz?

- Powinniśmy przepłynąć wodospad! - odkrzykuje Jacob. - Powinniśmy zostać na rzece!

- O czym ty mówisz? - Twarz dziewczyny smagają strugi deszczu.

- Przecież łowcy nie potrafią pływać! - Oczy Jacoba lśnią z podniecenia. - Od razu się topią. Tak nam powiedział naukowiec. Pamiętasz? Powiedział, że wpadają w panikę, gdy woda sięga im po szyję. Zamierają i od razu toną.

- Co z tego? - dziwi się Sissy.

- Pomyśl. Dla nich wodospad to pewna śmierć. Nie odważą się pójść dalej, to dla nich samobójstwo. Ale dla nas niekoniecznie. Umiemy pływać. Możemy przeżyć przeprawę przez wodospad. To jak ucho igielne, przez które tylko my możemy się precyzować. To przejście do wolności, ale tylko dla nas. To dlatego na tablicy było polecenie, żebyśmy zostali na rzece.

- Czy ja wiem... - Sissy ma wątpliwości.

Jacob nie daje się zbić z tropu.

- Myślę, że dlatego naukowiec uczył nas o wodospadach. Żeby nas do tego przygotować. Pamiętacie, że opisywał wodospady jako coś pięknego? Jak bramy raj. - Chłopak z podnieceniem gestykuje, a mnie przypomina się szkic, który zrobił wczoraj Epap. Znajdował się tam wodospad, oaza piękna.

Powinniśmy pozostać na rzece - powtarza Jacob. - I pokonać wodospad.

- Chyba nie myślisz jasno, Jacob - zauważa Sissy. - Przed nami jest wodospad!

- Wiem, wiem! - Chłopak zaciska powieki, potem dłonie. - Ale powinniśmy zostać na łodzi. Jestem pewien.

- O czym ty mówisz?

- Pozostańcie na rzece! - krzyczy Jacob. - Właśnie to było wyryte na tablicy! Właśnie tego chciał od nas naukowiec. Zostać. Płynąć naprzód.

- W granicach zdrowego rozsądku! - oponuje Sissy. - Przed nami jest wodospad! A

twoja propozycja to czyste szaleństwo.

- Proszę, Sissy? - Jacob patrzy na dziewczynę błagalnie. - Niczego nie przekreślamy. Wykonajmy dokładnie to, co nakazał naukowiec. Zostańmy na rzece i nie opuszczajmy jej. Ponieważ właśnie tak dotrzemy do Ziemi Obiecanej. Do mleka. Miodu. Owoców i słońca. Do ulic pełnych ludzi, do stadionów sportowych, placów zabaw, parków i tysiąca odwiedzających je dzieci. Trzymajmy się poleceń naukowca, a dotrzemy tam na pewno.

Kręci gwałtownie głową, pod powiekami wzbierają mu łzy.

- Warto spróbować, żeby to osiągnąć. Proszę, Sissy...

Dziewczyna przygryza usta, na jej twarzy maluje się skupienie. Spogląda na rzekę, potem na Jacoba.

- Zawsze trzymamy się razem, prawda? - zwraca się do chłopców.

- Zawsze, Sissy - głos Jacoba jest zduszony z emocji.

- Więc cokolwiek zdecyduję, wszyscy się zgodzimy? - upewnia się dziewczyna. Jacob kiwa głową. - Ufasz mi?

- Tak.

Sissy nabiera tchu.

- Zeskakujemy z łodzi. Już.

## Rozdział 6

Chłopak garbi się ponuro.

Błyskawica przecina niebo, dobywa z mroku pasmo gór na wschodzie, przygarbionego czarnego kolosa, który teraz wznosi się tak blisko, że czuję zapach lasu. Przez okamgnienie widzę też rzekę. Fale pędzą z przerażającą szybkością i gwałtownością. Rzeka zmieniła się we wściekłą bestię gnającą ze spienionym pyskiem wprost na górę. Nie obok ani przez wąski przesmyk, lecz wprost w jądro ciemności.

Kładę dziewczynie dłoń na ramieniu i kręcę głową.

- Za późno, Sissy. Rzeka jest zbyt wzburzona. Na pewno utoniemy.

Sissy mruży oczy przed wiatrem i deszczem, zaciska zęby ze zdenerwowania. Ale wie, że mam rację. Nie ma nic więcej do powiedzenia. Fale rozpryskują się na wietrze i moczą nam twarze. Patrzymy w dal i zastanawiamy się, co nas czeka.

Parę minut później deszcz ustaje, a temperatura się podnosi. Noc staje się mroczniejsza, otacza nas nieprzenikniona czerń. Ryk rzeki odbija się echem w naszych uszach.

Wpłynęliśmy chyba do jakiegoś skalnego tunelu. W paśmie gór na wschodzie.

- Nic nie widzę, nic nie widzę - szepcze do mnie David. - Jesteśmy w środku góry, w środku góry, jakoś trafiliśmy do wnętrza góry.

Zamykam oczy. Potem otwieram. Nie ma żadnej różnicy - ta sama nieprzenikniona ciemność, dalej też ciemność i ciemność, i ciemność... Dezorientacja niemal wywołuje panikę. Wszystko jest czarniejsze, szybsze, bardziej mokre i głośniejsze. Ryk wodospadu wydaje się przytłaczający.

- Przygotować się! - woła Sissy. Przykucamy blisko siebie, trzymając się za ramiona i łączącą nas linę. - Unieść się na jedno kolano! Skulić się! Bądźcie gotowi, zaraz skaczemy naprzód...

Jej głos niknie w ryku wody. Podnoszę się na kolano, pociągam Bena. Czuję rozpryskujące się krople wody na twarzy. Od wodospadu dzielą nas najwyżej sekundy.

- Gdy zaczniemy spadać, skaczcie jak najdalej w przód, od łodzi! - krzyczę, choć nie wiem, czy ktoś mnie słyszy. - Skulcie się, nie puszczajcie liny. Nieważne, jak daleko upadniemy, nie wolno puszczać liny!

Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy ktoś usłyszał, ale nic nie widzę. Czuję tylko napięte ciała sąsiadów i emanujący z nich strach.

A potem łódź wpływa na wodospad. Ryk wody jest ogłuszający.

Otwieram usta do krzyku, ale nawet strach już uciekł.

Łódź przechyla się w przód. Zanim runiemy w przepaść i ogarnie nas mdlące uczucie spadania, pragnę tylko chwycić Sissy za rękę. I w nieprzeniknionym mroku udaje się, odnajdujemy swoje dłonie. Nasze palce splatają się w uścisku - mocnym, niezdarnym i ciepłokrwistym ludzkim. A potem jest wodospad i zaraz go nie ma, i spadamy w gardziel mroku.

Upadek wydaje się wiecznością.

## Rozdział 7

Woda uderza - gdy już straciłem nadzieję, że osiągniemy dna - z siłą twardego betonu. A potem trafiam do podwodnego świata mulistej ciemności, wśród wirujących bąbelków i ogłuszającego łomotu kaskady. Lina wokół mojej piersi naciąga się mocno, twarda jak metal, odbija się od mojej głowy. Ktoś drapie mnie po twarzy, obok widać poruszające się nogi. Nie wiem, gdzie jest góra, gdzie dół.

Bąbelki zawsze płyną do góry, przypominam sobie. Więc podążam za pęcherzykami powietrza, kopiąc mocno nogami. Czuję szarpnięcie liny na piersi. Pozostali znajdują się przede mną. Ciągnę za sobą łańcuch ciał.

I wynurzam się na powierzchnię, bijąc wściekle rękoma i nogami - z płynnej ciemności w pustkę mroku. Wokół nie widać żadnych kształtów, tylko czarno-szarą plataninę smug. Płynę naprzód, sięgam po czerń mroczniejszą niż otoczenie. Dłoń natrafia na coś twardego. Czuję, że to ocalenie. Chwytam się obiema rękami i podciągam wyżej. Jestem na skale.

Odwracam się, zaczynam ciągnąć linę. I cudem chyba wynurzają się pozostali - jeden po drugim, prychając, krzycząc, przeklinając i kaszląc.

Żywi.

## Rozdział 8

Nocą leżymy skuleni na twardej piaskowej skale. Nie mamy pojęcia, czy jest duża, czy mała, ani też ochoty, aby to sprawdzać. Za bardzo cieszymy się, że przeżyliśmy. Tulimy się i płaczemy z ulgi.

- Poczekamy do rana - mówi Sissy. - Poczekamy na światło.

Nikt się nie odzywa. Ani teraz, ani przez następne kilka godzin. Ale wiem, o czym wszyscy myślą: a jeżeli się myli? A jeżeli rankiem nie pojawi się światło? Może w tym jądrze ciemności poranek nie przerywa nieustannego mroku?

- Łał! - David budzi się pierwszy. Okazuje się, vû niû trofiliômîr - na oamñna cVoiû lûr”7 na oralne nabrzeże otaczające sadzawkę u stóp wodospadu. Z niewidocznych szczelin sączą się promienie słońca. Są tak wyraźne, że wyglądają jak kolumny światła podtrzymujące masywne kamienne sklepienie. Zresztą „masywne” to nieodpowiednie określenie. Jaskinia jest olbrzymia. Wstęgi światła padają pod różnymi kątami i odsłaniają ogromne wnętrza.

Wodospad wcale nie jest tak wysoki, jak się wydawał, gdy z niego spadaliśmy. Rozpryskuje się na grube warstwy mchu na wiszących pod kaskadą skałach. Chociaż po tratwie nie pozostał ślad, kilka naszych pakunków leży przy brzegu.

- Popatrzcie na to! - Ben wskazuje w górę.

Stalaktyty zwisają ze sklepienia setki metrów nad nami jak kły, w promieniach słońca lśnią czerwono-pomarańczowo. Pomiedzy nimi powoje wiją się jak resztki jedzenia między zębami. Wielkie wieże kalcytu wznoszą się z podłoża, a paprocie i bluszcz oplatają je z dołu. Smuklejsze stalagmity stoją wysokie na pięćdziesiąt metrów, jednak to gigantyczne rozmiary jaskini oszałamiają nas najbardziej.

- Można tu zmieścić całe miasto! - wołam, żeby przekrzyczeć łoskot wodospadu. - Wieżowce wysokie na dwadzieścia lub trzydzieści pięter. Dzielnice rozciągające się na mile.

Nikt nie odpowiada, nikt mnie nie słyszy. Ruszam dalej od wodospadu, gdzie jest ciszej.

Inni idą za mną, zbieramy się w wielkiej kolumnie światła. Wspaniałe ciepło. Słońce muska nam skórę, która lśni jak w rozbłysku fajerwerków.

- Co teraz? - pyta Epap. Wszyscy spoglądają na Sissy.

- Rozejrzymy się - odpowiada dziewczyna.

- Czy to tutaj? - niecierpliwi się Ben. - Czy to Kraina Mlekiem i Miodem Płynąca, Pełna Owoców i Słońca?

- Oby nie. - Epap kręci głową. - To miejsce wygląda jak śmietnik. Przykryłbym je kopułą. Nie widziałem ani mleka, ani miodu, ani owoców. Jest tylko słońce, sporo słońca, ale tego mieliśmy więcej pod kopułą.

- Oto, co zrobimy - nakazuje Sissy. - Podzielimy się na dwie grupy. Poszukamy wskazówki, znaku, czegokolwiek. Naukowiec musiał nam coś zostawić. - Rozgląda się, po czym znika w głębi jaskini z Benem i Jacobem drepczącymi jej po piętach.

- No dobra, wy dwaj - mówi Epap do mnie i Davida. - Chodźmy tędy. Oczy szeroko otwarte, chłopaki.

Kierujemy się w przeciwną stronę niż Sissy, wzdłuż brzegu i nurtu rzeki.

Kilka godzin poszukiwań nie przynosi żadnych efektów. Trudno się poruszać po skalistym terenie, gdzie głazy leżą chyba tylko po to, żeby na nich skrócić kostkę. David, Epap i ja idziemy powoli, żeby niczego nie przeoczyć, ale większość czasu wbijamy wzrok w ziemię, wśród kamieni i śliskiego mchu. A chociaż szukamy wyjścia z jaskini, po dwóch godzinach wciąż nie widać światła w tunelu. Dosłownie.

Może wcale nie ma wyjścia. Rzeka spływa stromo po trzech stopniach i nieckach o stromych, zdradliwych zboczach. Kilka razy musimy ominąć spore głazy. Ślizgamy się często na mchu, wymachując rękami, żeby złapać stalagmit pokryty osadem mineralnym albo wysoki, spękany głaz. W końcu drogę zastawia nam ściana żłobionego piaskowca, masywnego i obrośniętego glonami, wysoka na dziesięć pięt. Rzeka prześlizguje się przez dość wąską szczelinę i opada kolejnymi stopniami kaskad. Ruszamy z powrotem, przygarbieni ze zmęczenia, głodu i zniechęcenia.

Pozostała trójka siedzi w kolumnie światła obok wodospadu. Sądząc po ich opuszczonych ramionach i ponurych twarzach, nie powiodło im się lepiej. Podają nam posiłek, parę znalezionych jagód. Połykamy je bez wahania.

-1 tyle, jeżeli chodzi o Krainę Mlekiem i Miodem Płynącą, Pełną Owoców i Słońca - stwierdza Epap. - Ani jedzenia, ani mleka, ani miodu. Nie ma nawet drewna do rozpalenia ognia.

- Musimy stąd wyjść. - Jacob zerka na wodospad. - Musielibyśmy się wspinać z boku wodospadu, a tam jest zbyt stromo i ślisko. Ale nie możemy też tak po prostu tutaj zostać. Potrzebujemy jedzenia. Powinniśmy stąd odejść.

- Nie. - Sissy nawet na nas nie patrzy. - Zostajemy tu.

- Sissy - zaczyna Jacob.

- Ja zostaję! - przerywa mu dziewczyna. - A ty idź, jeśli chcesz. Ale ja zostaję.

Jacob cofa się, wyraźnie zraniony.



- Chodziło mi tylko o to...

- Nie kłóć się z tobą, z żadnym z was! Mamy tylko dwie rzeczy do zrobienia, prawda? Znaleźć jakiś znak pozostawiony przez naukowca i utrzymać Gene'a przy życiu. Czy to wystarczająco proste dla was do zrozumienia? Nasze życie ogranicza się teraz do dwóch podstawowych i najprostszych elementów. Znaleźć znak, utrzymać Gene'a przy życiu. Dwie kwestie, ludzie.

Siedzimy zaskoczeni jej wybuchem. Sissy odchodzi, oddychając ciężko, i znika za wielkim głazem.

Idę za nią. Patrzy na wodospad ze splecionymi na piersi ramionami.

- Hej - odzywam się najciszej jak umiem. Przechodzę po wąskiej ścieżce między głazami.

Nie odpowiada, tylko przygryza usta. Przymyka oczy, a łza spływa jej po policzku. Dziewczyna nie odwraca się, jak tego oczekiwałem. Unosi rękę, jakby chciała otrzeć łzy, ale tylko przyciska drżące palce do ust. Opuszcza głowę.

Dopadło ją napięcie. Na barkach Sissy spoczęła odpowiedzialność za życie reszty grupy.

Kładę dziewczynie dłoń na ramieniu. Sissy nie cofa się, jak się obawiałem, lecz opiera o moją rękę. Krągłość jej ramienia pasuje doskonale do mojej dłoni. Ciało dziewczyny jest miękkie, ale wyczuwam także siłę mięśni pod cienką warstewką skóry i twardość wystającej łopatki. Sissy podnosi wzrok, spogląda na mnie przenikliwie i z palącą intensywnością. Ojciec uczył mnie, żeby zawsze unikać takich spojrzeń. Kontakt wzrokowy oznaczał, że znajduję się w centrum uwagi innej osoby, więc należy czym prędzej usunąć się z jego zasięgu, rozproszyć tę uwagę i zniknąć.

Ale nie potrafię tego uczynić. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bystre i piękne oczy ma Sissy.

- Mam wrażenie, że wszystkich zawiodłam, Gene.

- Nie bądź śmieszna. Gdyby nie ty, dawno byśmy zginęli.

Przysuwam się bliżej, aż wyczuwam pulsowanie jej ciała.

- Jestem z tobą, Sissy. Pragnę znaleźć naukowca równie mocno jak ty. Albo nawet bardziej.

Jej spojrzenie staje się tęskne i łagodne.

To dla mnie za wiele. Odwracam wzrok.

Milczymy przez chwilę, potem Sissy potrząsa głową.

- Mam wrażenie, że umyka mi coś oczywistego - mówi. - Coś, co pozostawił

naukowiec. Wskazówka, znak. Coś, co mam pod nosem. Jak w grach, w które się ze mną bawił.

Ogarnia mnie dziwna zazdrość. Więc ojciec bawił się z nią w to samo co ze mną. A myślałem, że jestem jedyny.

- Wszystko dobrze, Sissy? - To Epap po drugiej stronie wąskiej ścieżki. Sissy odsuwa się ode mnie, gdy chłopak przeciska się między głazami. - Wszystko w porządku? - pyta po raz drugi, przyglądając się dziewczynie uważnie.

Sissy szybko wyciera mokry od łez policzek.

- Tak - mruczy i wymyka się do wąskiego przejścia.

Gdy zostajemy sami, Epap rzuca mi ostre spojrzenie. Opuszczam głowę, gdy ruszam za nim. Kiedy dołączamy do reszty, Sissy już siedzi obok Jacoba i mierzwi mu włosy, a Jacob się śmieje.

Jesteśmy zbyt zmęczeni, by się ruszać. Słońce wciąż rozświetla jaskinię, ale nie sposób przewidzieć, jak długo to potrwa.

Mija godzina, paru chłopców zapada w drzemkę.

- Ale jestem głupia! - Sissy zrywa się i uderza w czoło.

- Sissy? - Epap spogląda na nią z niepokojem.

Dziewczyna nie odpowiada, tylko rusza do wodospadu. Stąpa ostrożnie po mokrym kamiennym nabrzeżu wokół zbiornika pod kaskadą, jakby nie obawiała się, że przewróci ją spadająca woda.

Pozostali chłopcy unoszą głowy.

- Co ona robi? - pyta Ben.

Obok wodospadu Sissy przystaje. A potem przechodzi przez kurtynę wody i znika.

- Sissy! - krzyczy Ben, a zaraz potem wszyscy rzucamy się do kaskady. Ben tak się martwi, że nie panuje nad sobą, dwóch chłopaków musi go powstrzymywać. Z niepokojem zaglądamy za ciężkie strugi spadającej wody.

- Tam! - Jacob wskazuje w bok, gdzie kurtyna wody jest cieńsza.

Sissy jest tylko rozmytą sylwetką za spływającą ścianą wody. Najpierw wysuwają się jej ręce, potem głowa. Dziewczyna garbi się pod strugami wodospadu. Kiedy się wynurza, jest całkowicie przemoczona. Ale uśmiecha się szeroko i promiennie.

- To co, chłopaki, wchodzicie czy nie?

- He? - Epapowi nie udaje się wydusić nic więcej.

- No chodźcie, nie ma się czego bać - droczy się Sissy. - Znalazłam tam jaskinię.

- Czekaj, Sissy - wtrącam. - Skąd wiesz, że właśnie tam mieliśmy się dostać?

- Och, zgadłam - śmieje się. - Może dlatego, że znalazłam komplet suchych ubrań i sznurkową drabinę prowadzącą do wyjścia.

W jaskini jest ciemno. Wnętrze rozświetla tylko jedna kolumna słonecznego światła wpadającego przez otwór w górze. Ubrania mamy przemoczone i zaczynamy się trząść.

- Wspomniałaś o suchych rzeczach... - mówię, szczękając zębami.

Sissy uśmiecha się, prowadzi nas do kosza ukrytego w mroku. Leżą tam ubrania dla tuzina ludzi o różnych rozmiarach.

- Jak wpadłaś na pomysł, żeby zajrzeć za wodospad? - pytam, gdy przebieram się w suchą odzież.

Sissy wciąga parę wełnianych skarpet.

- Jeśli się chce powstrzymać łowców przed odnalezieniem Krainy Mlekiem i Miodem Płynącej, wodospad jest równie dobry jak ogrodzenie pod napięciem. Żaden łowca, zakładając, że przeżyje przeprawę przez wodospad, nie wpadnie na to, żeby zaglądać za ścianę wody. Naukowiec okazał się sprytny. - Uśmiecha się, jej oczy błyszczą. - Postaraj się dotrzymać mi kroku, dobrze?

Gdy już jesteśmy przebrani, dziewczyna prowadzi nas do kolumny światła i wskazuje w górę. Najpierw nie widzę tam nic nadzwyczajnego. Po prostu promień słońca padający z otworu w sklepieniu, oplecionego zwisającymi pnączami. A potem dostrzegam ukrytą wśród pędów sznurową drabinkę.

Znajduje się dokładnie w snopie światła. W jedynym miejscu, o którym łowcy nigdy by nie pomyśleli ani nie ośmieliliby się zajrzeć. Jeszcze jeden zamek pod napięciem.

Wykorzystawszy splecione dłonie Epapa jako podnózek, Sissy podnosi się do drabinki. Udaje jej się chwycić najniższy szczebel, po czym unosi nogi i wplata stopy wyżej. Wisząc do góry nogami, dziewczyna wyciąga ręce do siedzącego już na ramionach Epapa Bena. Nie jest to łatwe, ale Sissy wciąga chłopaka. I w podobny sposób reszta z nas wdrapuje się, po czym zaczyna wchodzenie po drabinie. Nie mamy pojęcia, jak długa i żmudna okaże się wspinaczka. Gdybyśmy wiedzieli, nie narzucilibyśmy sobie tak szybkiego tempa.

Zaledwie godzinę później nasze podniecenie opada, a rośnie wyczerpanie. Ściany komina zamykają się wokół, dopada nas klaustrofobia. Mam najszersze ramiona i najmocniej ją odczuwam. Łokciami uderzam w poszarpane ściany, nawet kolana mam obdarte. Robi się tak wąsko, że rozważamy pozbycie się plecaków. Raz nawet zdarza mi się utknąć w wyjątkowo wąskim przejściu i pomimo wyciągniętych rąk nie mogę się precisnąć. Epap musi mi pomóc, popchnąć mnie z dołu. W okrutnie krępującej chwili czuję jego dłonie na pośladkach.

Światło słońca w tym wąskim kominie nie dociera nieustannie. Po półgodzinie zaczyna przesuwać się w bok, najpierw powoli, potem nieoczekiwanie znika. Tracimy widoczność, otacza nas tylko szarość. A z ciemnością spada również temperatura. To dziwne - coraz większa ciemność i chłód wywołują wrażenie, jakbyśmy zanurzali się w głąb ziemi, a nie wychodzili na powierzchnię.

- Sissy, możesz dostrzec otwór? - pyta Epap spode mnie.

- Widzę tylko punkcik światła. Niewielki. Za mały, żeby ocenić odległość. Ale wydaje się, że jest naprawdę daleko.

Po paru godzinach wspinaczki robimy długą przerwę. Wplatamy nogi i ręce w sznury drabinki, żeby bezpiecznie zawisnąć. Ramiona mamy sztywne, ręce starte do czerwoności od szorstkich sznurów. Przekazujemy sobie ostrożnie resztę jagód. Ben nade mną nie może rozprostować ramion.

- Trzęsą się - mówi. - Nie mogę tego opanować.

Łokcie ma usiane krwawymi zadrapaniami.

Ciała mamy znużone, duch w nas upada.

Po dziesięciu minutach znowu zaczynamy się wspinać. Już pięć sekund później wraca przenikliwy ból. Wszystkim się wydaje, że wcale nie odpoczywali.

## Rozdział 9

Mroźne powietrze krąży w wąskiej studni. Niedobrze mi. Nos wypełnia flegma. Gof rączka łomocze mi w skroniach, topi szron na skalnych ścianach. Dobraliśmy się w pary, Ben z Sissy, pod nimi ja i Jacob, a poniżej David i Epap. Jacob chrapie naprzeciw mnie, po drugiej stronie sznurkowej drabinki, zabezpieczony liną związaną w pętlę pod pachami. Nasze ciała dodatkowo zabezpieczają ciasne ściany komina.

- Dobrze się czujesz? - szepcze Sissy. Mija chwila ciszy. - Pst. Gene. Śpisz?

- Nie. Myślałem, że mówisz do Bena.

- Nie, śpi jak dziecko, jest wykończony. Co z Jacobem?

- Też śpi. Podobnie jak Epap z Davidem.

- To dobrze. Są przywiązani?

- Tak. Sprawdziłem dwa razy.

- Dobrze - wzdycha Sissy. - Dobrze.

Lina skrzypi cicho, gdy dziewczyna zmienia pozycję na wygodniejszą.

- Jutro stąd wyjdziemy.

- Tak myślisz?

- Na pewno. Wiem coś, czego ty nie wiesz.

- Więc mi powiedz.

- Płatki śniegu.

- Nie... Naprawdę?

- Owszem - zapewnia Sissy. - Spadły parę minut temu. Tylko kilka. Poczułam je na twarzy, połaskotały mnie w nos. Musimy być bliżej wyjścia, niż sądziliśmy. Śnieg nie dryfuje zbyt daleko.

- Nic nie widziałem ani nie czułem.

- Bo chyba wszystko zablokowałam.

- Jasne, masz biodra jak u hipopotama, więc blokują wszystko.

- Ha, ha, bardzo śmieszne.

- No z dołu tak to wygląda. Jakby twoje biodra robiły pełne zaćmienie.

Dziewczyna nie odpowiada.

- Gdyby były odrobinę większe, odciąłyby dopływ powietrza.

Drabina znowu się lekko porusza. Wreszcie Sissy parska śmiechem, niezdolna się powstrzymać.

- Przestań - prosi. - Nie gadaj. Twoje biodra są tak wielkie, że korkują przejście.

- Patrzysz na Jacoba.

- Powiedziałam: przestań - śmieje się cicho dziewczyna.

Zapada między nami cisza, ale nie jest niezręczna, wręcz przeciwnie. Ben i Epap chrapią do rytmu, Jacob sapie mi w ramię.

- Hej - szepcze Sissy parę minut później.

- Tak?

- Chyba się przejaśnia.

- Już ranek?

- Nie, poświata jest srebrna. To księżyc.

Milczy znowu. Kiedy podnoszę głowę, widzę tylko ciemność.

- Naprawdę pada - zapewnia cicho Sissy.

- Światło czy śnieg?

- I jedno, i drugie. Czekaj. - Sznury naprężają się lekko, gdy dziewczyna zmienia pozycję. - Dobra, popatrz teraz i powiedz mi, czy coś widzisz.

Dostrzegam zarys jej nóg przyciśniętych do ściany, dzięki czemu słabe pasmo światła może się przedostać niżej. Przez tę wąską szczelinę spadają płatki śniegu. Jeden trafia na mój policzek. Łaskocze. Dotykam skóry i wyczuwam kroplę wilgoci.

Mijają minuty.

Coraz więcej płatków opada sennie jak srebrzyste skrawki księżyca. Kamień spada mi z serca. Wydaje się, jakby przestrzeń wokół zrobiła się większa, spokojniejsza, jaśniejsza.

- Hej, możesz mi coś powiedzieć? - pyta Sissy. Jej głos jest miękki jak księżycowy blask.

- Pytaj.

- Gdy na nabrzeżu zaatakował nas jeden z łowców, wspomniał o dziewczynie - urywa.

Zapada między nami cisza, ale nie jest niezręczna, wręcz przeciwnie. Ben i Epap chrapią do rytmu, Jacob sapie mi w ramię.

- Hej - szepcze Sissy parę minut później.

- Tak?

- Chyba się przejaśnia.

- Już ranek?

- Nie, poświata jest srebrna. To księżyc.

Milczy znowu. Kiedy podnoszę głowę, widzę tylko ciemność.

- Naprawdę pada - zapewnia cicho Sissy.

- Światło czy śnieg?

-1 jedno, i drugie. Czekaj. - Sznury naprężają się lekko, gdy dziewczyna zmienia pozycję. - Dobra, popatrz teraz i powiedz mi, czy coś widzisz.

Dostrzegam zarys jej nóg przyciśniętych do ściany, dzięki czemu słabe pasmo światła może się przedostać niżej. Przez tę wąską szczelinę spadają płatki śniegu. Jeden trafia na mój policzek. Łaskocze. Dotykam skóry i wyczuwam kroplę wilgoci.

Mijają minuty.

Coraz więcej płatków opada sennie jak srebrzyste skrawki księżyca. Kamień spada mi z serca. Wydaje się, jakby przestrzeń wokół zrobiła się większa, spokojniejsza, jaśniejsza.

- Hej, możesz mi coś powiedzieć? - pyta Sissy. Jej głos jest miękki jak księżycowy blask.

- Pytaj.

- Gdy na nabrzeżu zaatakował nas jeden z łowców, wspomniał o dziewczynie - urywa. Milczę przez długi czas.

- Wybacz - mówi Sissy. - Nie chciałam być wścibska.

- Nie o to chodzi. Próbuję znaleźć odpowiednie słowa.

- Nie powinnam pytać, to twoja...

- Nazywała się Ashley June. Jak ja przeżyła w metropolii dzięki udawaniu, że jest jedną z nich. - Słowa wyrrywają mi się szybko, jakby zbyt długo były skrywane. - Zналиśmy się przez wiele lat, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jesteśmy tacy sami. Dowiedzieliśmy się dopiero parę dni temu, gdy trafiliśmy do instytutu. Kiedy to wyszło na jaw, Ashley June poświęciła życie, żeby mnie ocalić.

- Przykro mi, Gene. Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie chciałem jej zostawiać. Próbowałem wrócić. Ale nie miałem wyboru, nie mogłem nic zrobić. Zbyt wielu łowców ruszyło w pogoń, powrót byłby samobójstwem...

- To prawda - potwierdza cicho Sissy. - Nie mogłeś nic zrobić. Byłam tam, Gene. Widziałam tłumy, które ruszyły za nami w pogoń. W takiej sytuacji nie pozostało ci nic innego, jak tylko uciekać.

Jacob jęczy mi prosto w ucho. Dopiero teraz dociera do mnie, że ściszałem go za mocno. Rozluźniam ramiona, którymi go obejmuję.

Po długim milczeniu Sissy odzywa się znowu:

- Nic nie mogłeś zrobić, Gene.

- Wiem.

- Naprawdę mi przykro.

Potem znowu zapada cisza. Sznury trzeszczą, wreszcie nieruchomieją.

- Sissy.

- Tak?

- Chcę ci coś powiedzieć, dobrze?

Cisza.

- O czym? - pyta wreszcie dziewczyna.

- O naukowcu.

- Mów.

- Ukrywałem coś przed wami.

- Chyba wiem co - odpowiada Sissy po chwili.

- Nie, nie wydaje mi się.

- To twój ojciec, prawda?

Szczęka mi opada z hukiem na samo dno studni.

- Skąd... Co?!

- Cii... obudzisz resztę - przestrzega mnie dziewczyna.

- Powiedział wam o mnie?

- Nie. Nigdy nie wspomniał.

- Więc skąd wiedziałaś...

- Ze sposobu, w jaki się poruszasz. Zupełnie jak naukowiec. Jak siadasz na ziemi, wyciągasz wtedy jedną nogę, a drugą unosisz, żeby oprzeć na kolanie podbródek. Z koloru i kształtu twoich oczu. Z wyrazu twarzy, gdy pograżasz się głęboko w myślach. Nawet ze sposobu, w jaki mówisz.

- Inni też się domyślają?

- Ha. Odgadli to w chwili, gdy cię zobaczyli po raz pierwszy.

- Niemożliwe.

Śmieje się cicho.

- Może i żyliśmy w zamknięciu, ale nie jesteśmy ślepi na to, co oczywiste. - Drabina znów się kołysze, gdy Sissy zmienia pozycję. - Myślisz, że naukowiec... czeka w górze?

- Czyli w niebie?

- Nie, na górze, nad otworem tej studni.

- Lepiej, żeby tam czekał. Na niczym mi tak nie zależy jak na jego znalezieniu. - Milknę zaskoczony swoją szczerością. Ale odkąd znalazłem tablicę i zobaczyłem na niej wykute swoje imię, nie mogę myśleć o niczym innym. Zerkam na Sissy, potem mówię cicho:  
- Przemierzę cały świat, jeśli będzie trzeba, Sissy, ale go znajdę.



Dziewczyna nie odpowiada, czeka na ciąg dalszy.

- Możesz mi coś powiedzieć? - pyta w końcu.

- To znaczy?

Waha się.

- Powiedz mi, jak to było. Jak wyglądało wasze życie razem. Miałeś rodzeństwo? Czy twoja matka żyje? Byliście szczęśliwą rodziną? Opowiedz mi o swoim życiu wśród potworów...

Minuty mijają w ciszy.

- Mama i siostra zginęły, gdy byłem mały. Wyszły z domu z ojcem, a po kilku godzinach wrócił tylko ojciec. Zostały zjedzone. Opowiadano o tym przez lata, o wspaniałym, nieoczekiwanym i cudownym odkryciu dwóch heperek, matki i córki, tak blisko, na ulicach miasta, tuż po zachodzie. Opisywano, jak nogi dziewczynki zostały złamane przez powóz, jak matka głupio pozostała przy małej i do końca jej nie opuściła. I o tym, że kiedy tłum do nich dotarł, matka osłoniła dziewczynkę własnym ciałem. Trwało to parę sekund. Przynajmniej jedzenie.

Sznur trzeszczy.

- Wybacz, Gene. Nie musimy o tym już nigdy rozmawiać.

Wydaje się, że to koniec rozmowy. Ale ku własnemu zaskoczeniu znowu zaczynam mówić. Początkowo słowa są zduszone i niepewne, jedno, potem kolejne, wreszcie całe zdanie. A potem coś się we mnie przelamuje, pęka tama i wypływają myśli oraz wspomnienia. Nie mam już wrażenia, że każde słowo muszę wypychać z ust, teraz to katharsis, wyznanie. A kiedy kończę i słowa cichną, dziewczyna milczy. Myślę, że zasnęła, ale wtedy słyszę:

- Szkoda, że nie mogłam trzymać cię za rękę.

Płatki śniegu opadają mi na twarz, przesłaniają wzrok i znikają w ciemności u moich stóp.

## Rozdział 10

Sissy ma rację. Wydobywamy się na powierzchnię następnego dnia, wyjście z pionowego szybu okazuje się zaskakująco blisko.

Gdy tylko promienie słoneczne wypełniają komin, budzimy się i zaczynamy wspinać. Nasze ramiona i nogi są zimne i sztywne, ale padające światło rozgrzewa nam stawy. Wkrótce zapominamy o pęcherzach na dłoniach i krwawiących palcach, skupiamy się tylko na chwytaniu kolejnych szczebli. A potem niczym nowo narodzone dzieci wydostajemy się na polanę, oddychamy głęboko świeżym górskim powietrzem i mrużymy oczy od słońca.

Znajdujemy się na dnie bujnej zielonej kotliny otoczonej granitowymi zboczami. Wśród roślinności płóży się lekka mgła, drzewa wynurzają się z niej niczym gospodarze, którzy pragną nas powitać. Albo ostrzec.

Nad nami góruje szczyt. Pnie się wysoko i arogancko, spękaną i garbatą turnią, jakby marszczył się na zbyt jasne słońce. Albo na nas, żebyśmy nie ważyli się wejść na jego szerokie barki. W połowie stoku kaskada tworzy ścianę czystej wody, która niknie wśród oparów tysiące metrów niżej. Nad wodą wisi ledwie widoczny łuk tęczy.

Na otwartej przestrzeni mróz przenika nas do szpiku kości. Wiatr, choć lekki, wdziera się pod ubrania, dociera do skóry, ścisza zimnem klatki piersiowe. Zaczynam znowu kasłać, pochylam się, nozdrza i gardło wypełnia mi śluz. Dotykam czoła. Jest jak rozpalone żelazo. Ziemia się kołysze, góra i niebo wirują, jakby porwała mnie lawina.

- Do lasu - nakazuję. - Jak najdalej od tego wiatru.

- Czekaj - powstrzymuje mnie Sissy. Klęka przy wyjściu z tunelu i spogląda na jego obwód.

- Co robisz? - pyta Ben.

- Tutaj, popatrz. - Dziewczyna wskazuje część obwodu, przy którym trawa jest zgnieciona i rzadka. - Ktoś, kto używał tego komina, wychodził i wchodził z tej strony. Sądzę więc, że musimy iść przez las w tym samym kierunku.

W lesie panuje ciepło. Wiatr zamarł, gdy tylko znaleźliśmy się między drzewami. Wspaniały aromat wanilii sprawia, że w brzuchach nam burczy. Krążymy bezładnie, zanim pod okryciem z sosnowych igieł wyszukujemy niewidoczną niemal ścieżkę. Ruszamy nią, coraz bardziej podnieceni.

Ale zaledwie po kwadransie musimy się zatrzymać, żeby zaczerpnąć tchu. Opieram się o porośnięte mchem drzewo. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do rzadkiego górskiego

powietrza. Sójka spogląda z wysokiej gałęzi, przekrzywia czarny łepiek raz w lewo, raz w prawo. Skrzeczy przenikliwie, jakby chciała nas skarcić za brak wigoru. Choć zamarliśmy, poruszamy się w wolniejszym, bardziej rozważnym tempie. Dwadzieścia minut później przystajemy.

- Ślad się urywa - oznajmia Sissy i rozgląda się zmartwiona.

- Powinniśmy znaleźć miejsce na noc, prawda? Rozpalić ogień? - Epap szczęka zębami.

- Musimy się śpieszyć - oponuje dziewczyna. - Chłód jest groźny.

- Ty i ja nazbieramy drewna, Ben i Gene zostaną tutaj...

- Nie - przerywa Epapowi Sissy. - Teraz wszystko będziemy robić razem. Nie rozdzielimy się ani na chwilę, rozumiesz? Ten las chce nas rozedrzeć, czuję to.

Wszyscy czujemy. Idziemy ramię w ramię, objamy się o siebie, ale nikomu to nie przeszkadza.

A potem, gdy wydaje się, że las zaraz zmieni się w mroczną, gęstą smołę, natrafiamy na polanę. Kurtyna drzew i ciemności opada. Najdalszy skraj polany urywa się stromym klifem. Z miejsca, gdzie stoję, widzę polodowcowe stawy i łąkę daleko w dolinie. Ale wzrok przyciąga zupełnie inny widok.

Na środku polany, skąpana w słońcu, stoi drewniana chata.

## Rozdział 11

Okna chaty zasłonięte są okiennicami, czarne pokrywy wypełniają drewniane framugi. Drzwi również pomalowano na czarno, pasują tak dokładnie, że wydają się hermetyczne.

Sissy wkracza na polanę, jej buty zanurzają się w puchatym śniegu.

- Sissy! - szepcze Epap.

Dziewczyna odwraca się, gestem nakazuje nam zostać. Kiedy chłopcy cofają się w las, doganiam ją.

- Źle do tego podchodzisz - szepczę.

Dziewczyna przystaje.

- To znaczy?

- Nie podchodź do frontowych drzwi...

- Och, błagam. Przecież nie zamierzam pukać.

- Nie wchodź nawet na ganek. Na pewno zatrzęszczy. - Sissy nie odpowiada, ale wiem, że słucha. - Ja pójde w prawo, ty w lewo. Za pięć minut, jeżeli nic nie usłyszymy, spotkamy się z tyłu. I tylko pod warunkiem, że na tyłach będzie czysto, spróbujemy od frontu.

Dziewczyna kiwa głową, po czym odchodzi.

Śnieg przymarzył do ziemi, więc staram się ostrożnie stawiać kroki. Gdy tylko docieram za róg chaty, podkradam się czujnie pod zamknięte okno. Czekam długo, zanim przyłożę ucho do okiennicy. Ani szmeru.

Chata wydaje się pusta.

Po paru minutach przechodzę ostrożnie na tył domu. Sissy już tam jest, nasłuchując przy okiennicy. Wzrusza ramionami, kręci głową. Nikogo w środku. Unosi brwi. Wchodzimy?

Ganek trzeszczy pomimo naszych wysiłków, aby stąpać jak najciszej. Sissy ujmuje klamkę, krzywi się na zimno, a potem przekręca ją pewnie. Ku naszemu zaskoczeniu drzwi otwierają się bez żadnego dźwięku.

Wchodzimy i szybko je zamykamy. Lepiej jak najszybciej odciąć światło i nie budzić śpiących potworów, o ile jakieś znajdziemy. Wkraczamy w mrok wąskiego korytarza i czekamy, aż oczy przywykną nam do ciemności. Nasłuchujemy tego, czego wolelibyśmy nie słyszeć: szmerów, drapania, syków. Ale wita nas tylko cisza.

Stopniowo dostrzegamy niewyraźne kształty. Na palcach wchodzimy do pokoju po lewej. Deski podłogi skrzypią nam pod butami. Najpierw sprawdzamy sufit - na

najdrobniejszy ślad, że ktoś tam mógłby spać, wycofamy się z chaty i umkniemy. Jednak na suficie widać tylko belki stropowe. W pomieszczeniu znajduje się stół i wielka szafa.

Przekradamy się do pokoju po drugiej stronie korytarza. Na suficie nadal nie natrafiamy na żadne wiszące, kołyszące się we śnie ciała. Okrągły stołek w kącie przypomina otwarte oko, które się nam przygląda. Chyba nikt nie używał tego pomieszczenia, bo poza stołkiem nie ma tu niczego oprócz lekkiego zapachu wilgoci i pleśni. Długie belki podstrzesza wydają się dziwnie przytłaczające.

Coś złego uczyniono w tym pokoju, myślę. Przechodzi mnie dreszcz. Wyślizgujemy się z Sissy.

Pozostało tylko jedno pomieszczenie na końcu korytarza. Dziewczyna idzie dwa kroki przede mną, ogląda się po otwarciu drzwi. Jej twarz rozświetliła nadzieja.

To przez łóżko. Cienki materac na wąskiej ramie, poduszka i pognieciony pled, który przypomina zrzucaną wężową skórę.

Podchodzę do okna, znajduję dźwignię od rolet. Ich podniesienie robi dużo hałasu. Światło wdziera się do środka, jaśniejsze, niż pamiętam, chociaż niebo okrywa warstwa chmur. Dopiero teraz na ścianie dostrzegam intrygującą konstrukcję. Wygląda jak jakiś poskładany latawiec, monstrualna ćma przypięta do drewna.

Sissy pochyła się nad posłaniem, maca materac.

- I co myślisz? - pytam.

- Myślę, że ten dom długo już stoi pusty. - Wciąga powietrze, próbując rozpoznać utrzymujący się słaby odór. - Schronimy się tutaj na noc. Zapolujemy, rozpalimy ogień, odpoczniemy i odzyskamy siły, porządnie się wyśpimy. A jutro o świcie rozejrzemy się i sprawdzimy, czy coś jeszcze znajdziemy.

- A jeżeli dotarliśmy na miejsce? Jeżeli to jest właśnie Kraina Mlekiem i Miodem Płynącym?

Sissy podchodzi do okna i patrzy w dal.

- No to jest.

Spoglądam na łóżko.

- To gdzie jest on?

## Rozdział 12

Późna noc. Wszyscy śpią - chłopcy ścisnęli się na pościeli, ich stopy zwisają za łóżko, Sissy skulona na drewnianym krześle. Przebiegła przez korytarz do innego pomieszczenia. Przy kolacji - upolowanej parze świstaków upieczonej nad ogniskiem - dyskutowaliśmy, czy zamknąć okiennice. W końcu uznaliśmy, że zaryzykujemy i zostawimy je podniesione - najwyraźniej klaustrofobia po przejściu przez skalny szyb dała nam się we znaki. Cieszę się, że tak postanowiliśmy. Zimowy krajobraz w srebrzystym blasku księżyca działa na mnie kojąco. Nawet górski szczyt wygląda teraz majestatycznie, nie groźnie.

Otulam się parką, zadowolony z ciepła. Znaleźliśmy kurtki i inne ubrania schowane w drewnianej skrzyni. Właściwie to Ben znalazł skrzynię pod łóżkiem i wrzasnął radośnie, gdy ją otworzył. Wewnątrz zobaczył kurtki obszyte króliczym futrem, szaliki, wełniane skarpety i rękawiczki. A także dziwną kamizelkę obwieszoną haczykami i karabińczykami z góry do dołu.

Dom nieustannie trzeszczy, drewniane belki pracują przy spadku temperatury. Głośniejsze skrzypienie przerażało Bena, nie chciał się położyć spać.

Wszystko dobrze, Ben - przypominam sobie słowa Sissy. Wszystko w porządku.

Może miała rację. Może dotarliśmy na miejsce przeznaczenia. Do celu, do Ziemi Obiecanej. Do tej chaty, polany, na tę górę. I w każdej chwili może tutaj pojawić się mój ojciec, wyjść zza drzew i stanąć w progu.

Kroki w korytarzu. Zaskoczony obracam się, ręka zsuwa mi się po nieheblowanej ramie okiennej. Kłujący ból sprawia, że cofam się z grymasem. Na palcu wzbiera mi kropelka krwi.

To Epap. Zagląda sennie do pokoju, blask księżyca pada prosto na jego twarz. Chłopak nie dostrzega mnie w ciemności, jest zamyślony. Już ma się odwrócić i odejść, gdy dostrzega coś za oknem.

Twój twarz mu tężeje, policzki bledną. Przykuca szybko.

- Epap? - Wysuwam się z cienia.

Chłopak wzdraga się na mój głos. Ale zamiast się oburzyć, że go przestraszyłem, przyciska palec do ust, po czym skinieniem głowy wskazuje okno. Pochylam się i podkradam, aby spojrzeć.

Ktoś stoi na skraju polany.

Ciemna, szczupła sylwetka odcinająca się od bieli śniegu.

Dziewczyna.

Spogląda prosto na nas.

## Rozdział 13

Stoi nieruchomo podobnie jak my.

Młoda dziewczyna, może trzynasto lub czternastoletnia. Wygląda jak leśny elf z krótkimi, rozwichrzonymi włosami białymi jak śnieg i smukłą figurą. Szyję owija jej czarny szalik. Twarz dziewczyny pozostaje beznamiętna, tylko oczy wędrują to na Epapa, to na mnie.

- Żadnych gwałtownych ruchów - szepczę do Epapa, starając się jak najmniej poruszać ustami.

- Okiennice... Powinniśmy je zamknąć.

- Nie ma czasu. Dorwie nas w dwie sekundy. O ile damy jej powód.

Stoimy bardzo, bardzo nieruchomo.

- Co teraz? - pyta Epap.

- Nie wiem.

Dziewczyna robi krok w naszą stronę. Przystaje. Unosi ramię, powoli, wymierza palec prosto we mnie. Potem opuszcza rękę.

- Wyjdę do niej - stwierdzam.

- Nie!

- Muszę. Ta chata daje tyle ochrony co papierowy kloz. Jeżeli ta mała zechce nas zabić, nic jej nie powstrzyma.

- Nie...

- Ona nie wie, kim jesteśmy. Gdyby wiedziała, już by się na nas rzuciła. Wyjdę, zwabię ją do środka. A wtedy ją powalimy.

- To się nie...

- To jedyne wyjście, jakie mamy. A teraz obudź Sissy. Cicho. - Ruszam do frontowych drzwi.

Żyłem wśród nich przez całe życie. Znam ich zachowania, potrafię rozpoznać i naśladować najdrobniejsze niuanse. Wychodzę spokojnie, nie zdradzając oznak strachu. Kiedy staję na ganku, przystaję na granicy ciemności, po czym wkraczam w księżycowy blask, mrużąc oczy dla lepszego efektu. Staram się stąpać płynnie i z gracją, nie wzburzać śnieżnego puchu. Przybieram na twarz maskę obojętności. Ramiona zwieszam bez poruszania nimi przy chodzeniu.

I wtedy sobie przypominam.



Krew na palcu.

Dziewczyna wzdraga się spazmatycznie. Spogląda na mnie z zainteresowaniem i większą intensywnością. Zgina ręce, przechyla głowę, mruży, po czym otwiera szeroko oczy.

Robi krok w moim kierunku, potem następny i jeszcze jeden, aż jej nogi zaczynają poruszać się coraz szybciej.

Idzie do mnie. Jest coraz bliżej, w jej postawie nie widać śladu wahania.

Przygotowuję się na uderzenie. W szyję. Łowcy zawsze najpierw mierzą w szyję.

Zza otwartych za moimi plecami drzwi słyszę Epapa.

- Sissy, obudź się, obudź! - Jego głos wydaje się odległy jak gwiazdy.

A dziewczyna...

Coś jest nie tak.

Nadal biegnie.

Nie pokonała jeszcze nawet połowy dystansu. Jej ramiona wciąż się poruszają przy bokach, zamiast wbijać się w ziemię przy biegu na czworakach. Pierś nieznajomej unosi się z wysiłku, nogi wzbijają tumany śniegu.

I dopiero wtedy zaczynam rozumieć. Przyglądam się, gdy dziewczyna dobiega bliżej, a moje podejrzenia od razu się potwierdzają.

Ale nie całkiem. Pozostał jeszcze jeden test. Wszystko albo nic.

Unoszę palec, na którym perli się kropla krwi.

Dziewczyna zerka na uniesioną przez sekundę dłoń, po czym kieruje ponownie wzrok na moją twarz. Ani drgnienia powieki.

To nie jedna z nich. To jedna z nas.

- Hej! - wołam, choć nie za bardzo wiem, co powiedzieć. - Hej!

Ale dziewczyna tylko biegnie. Za plecami słyszę narastający tupot stóp na podłodze.

Odwracam się z podniesionymi rękami. Sissy pędzi przez korytarz, dostrzegam w półmroku lśnienie sztyletu tuż przed rzutem.

- Sissy, czekaj!

Za późno. Za progiem Sissy wspiera się na wyciągniętej nodze i miota ostrze. Ponieważ stałem jej na drodze, dziewczyna musiała rzucić sztylet w bok, puścić go do celu łukiem jak bumerang.

Nie czekam, nie ma czasu. Dzięki trajektorii po płaskim łuku zyskuję najwyżej trzy sekundy.

Zrywam się do nadbiegającej nieznajomej. Zbliżam się do niej, a ona do mnie. Słyszę wibrujący warkot, najpierw cichnący, potem coraz głośniejszy.

Sztylet. Zawraca do nieznajomej. Do nas.

Wyciągam ramiona, łapię ją w locie. Przewracamy się na śnieg. Niemal w tej samej chwili ostrze przelatuje tuż nad nami.

Nie tracę czasu.

- Sissy, nie!

Ręka Sissy już się cofa, kolejne ostrze zaraz przetnie powietrze.

- Ona jest jak my! Ona jest jak my! - wrzeszczę.

Sztylet uniesiony nad głową Sissy zamiera, A potem powoli opada. Chłopcy wychylają się z mroku chaty. Oczy mają szeroko otwarte, czoła zmarszczone w zmieszaniu.

Nieznajoma dziewczyna podnosi się i otrzepuje ze śniegu.

- Gdzie jest Początek? - Spogląda na mnie, potem na resztę. W jej przenikliwych jasnoniebieskich oczach nie ma nawet śladu ciepła.

Spoglądamy na nią niezdolni wydusić słowa.

- Początek, gdzie jest Początek?

Wreszcie po długim milczeniu odzywa się Ben:

- O czym ty mówisz?

Tym razem to ona patrzy na nas z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Początek. Powinniście mieć Początek.

Wtedy dopiero Ben zadaje pytanie, które dręczy nas wszystkich:

- Kim jesteś?

## Rozdział 14

Dopiero po wejściu do chaty, gdy wszyscy stajemy w niezręcznym milczeniu wokół stołu, nieznajoma się przedstawia.

- Clair - oznajmia. - Wymawia się jak ser.

Sissy, która przygląda się obcej z nieskrywaną podejrzliwością, pyta:

- Mieszkasz tu? To twój dom?

Młodsza dziewczyna kręci głową.

- Nayden, nark - stwierdza.

Patrzemy bez zrozumienia.

- Proszę? - mówi Sissy. Ale Clair ją ignoruje, odwraca się do mnie.

- Masz Początek?

- O czym mówisz? O co chodzi z tym Początkiem? Drobny podbródek dziewczynki zaczyna drżeć.

Mała mruga, po czym wybiega z pokoju. Pędzi przez korytarz, rozglądając się, wpada do sypialni. Zanim udaje nam się ją dogonić, już otwiera plecak Epapa, wyrzuca jego ubrania i szkicownik na posłanie.

- Hej, wydaje ci się, że co robisz? - Sissy wrywa jej plecak.

- Powiedz mi, gdzie jest Początek! - żąda dziewczynka.

- Nie wiemy, o czym mówisz! - odpowiada Epap.

- Wiecie! Krugman powiedział, że przybędziecie. Powiedział, że będziecie mieli Początek.

- Kto to powiedział? - dopytuje się chłopak. - Kim jest Krugman?

Reszta wzorem Epapa kontynuuje przepytывanie, ale nie ja. Z duszą na ramieniu podnoszę z łóżka szkicownik, kartkuję i zatrzymuję się na portrecie ojca. Pokazuję rysunek dziewczynie.

- Czy to on? - przekrzykuję pozostałych. Przystają mówić, podnoszą na mnie wzrok. - Czy to Krugman?

Clair spogląda na szkic. Otwiera szerzej oczy, jakby rozpoznała twarz, ale mówi tylko:

- Nie, to nie on.

Napięcie ze mnie opada.

- Ten człowiek, który ci o nas powiedział - podejmuje Sissy. - Krugman. Mieszka tu?

Clair kręci głową.

- Mieszka daleko stąd.

- Zabierz nas do niego - proponuję.

- Najpierw pokaż mi Początek - dziewczyna mówi to lekkim tonem, ale słyszę nutki uporu. - Wtedy zabiorę was do Krugmana.

- Najpierw nas do niego zabierz - oponuję - potem ci pokażemy.

Ben spogląda na mnie zdziwiony.

Clair zastanawia się chwilę.

- Dobrze. - Z jej spojrzenia jednak nie znika podejrzliwość. - Wyruszymy o wschodzie słońca.

- Nayden, nark - odpowiadam. - Wyruszymy zaraz.

Clair mierzy mnie wzrokiem. Jej oczy są przenikliwe i tajemnicze, wiem, że skrywają tysiące przelatujących przez głowę dziewczyny myśli. Wydaje się, jakby w spojrzeniu Clair mignęło rozpoznanie, gdy tak na mnie patrzyła.

- Dobrze. Zabierzcie swoje rzeczy. To długa droga.

Mamy tysiące pytań, gdy idziemy za Clair, ale wysiłek, żeby dotrzymać jej kroku, sprawia, że rozmowa staje się niemożliwa. Rozumiem, dlaczego dziewczyna chciała czekać do wschodu słońca. Podróż trwa znacznie dłużej, niż przewidywałem. Przemykamy się w ciemności obok pluszczącego strumyka, potem przez las. Wspinamy się wyżej, zostawiamy daleko w dole linię drzew i przecinamy nieskończoną chyba nagą grań. Od wielu godzin idziemy po tych falistych granitowych kopułach, ich zaskakująco gładka powierzchnia lśni w blasku księżyca jak tłum łysych głów. Krajobraz robi wrażenie - kaskady spadające ze stromych zboczy i gęsty kosodrzew otulający dolinę - ale jestem zbyt zmęczony, żeby podziwiać widoki. I chory. W głowie mi się kręci od gorączki, chociaż zimny wiatr wywołuje dreszcze. Wysokość tylko pogarsza mój stan, czuję się oszołomiony i otumaniony.

Wreszcie ścieżka doprowadza nas do podnóża góry. Para metalowych przewodów wbita w granitową skałę pomaga nam się wspiać. W połowie zatrzymujemy się, żeby zaczerpnąć tchu. Z naszej perspektywy, która mogłaby wywołać tylko większe zawroty głowy, widać w oddali rzekę Nede, lśniąca jak srebrne pasmo, niewyobrażalnie małą i jakże nieważną. Wdrapujemy się wyżej, a kiedy docieramy na szczyt, ledwie trzymamy się na nogach z wyczerpania. Tylko Clair nie zdradza oznak zmęczenia, spogląda niecierpliwie, gdy reszta z nas z trudem łapie oddech. Dziewczyna kopie kamyki, ale jej oczy wracają wciąż do leżących u naszych stóp bagaży. Bez wątplenia Clair szuka Początku, cokolwiek to jest.

Nareszcie, gdy zbliża się świt, a nasze nogi trzęsą się od długiego schodzenia, Clair skręca w lewo i przeciska się przez wąską szczelinę między dwoma wielkimi głazami. Kiedy

wychodzimy po drugiej stronie, mamy wrażenie, jakbyśmy trafili na inną planetę.

Zamiast ostrego wiatru na zboczu góry wita nas spokój lasu sekwoi. Wkraczamy z radością na zieleń trawy, między dumne brązowe pnie i kępki chryzantem. Cichy szum staje się głośniejszy, gdy zbliżamy się do jego źródła - górskiego potoku. Clair nakazuje, żebyśmy się napili. Woda okazuje się cudowna, słodka i krystalicznie czysta. Po zaspokojeniu pragnienia wstajemy z nowymi siłami, a stopy same niosą nas dalej.

- Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmia Clair.

Promienie słońca przesączają się przez korony drzew. Pojawia się coraz więcej kształtów i kolorów, coraz więcej ciepła. W górze słychać świergot niewidocznego ptaka. Za zakrętem Clair przykłada złożone dłonie do ust i jodłuje. Nigdy czegoś podobnego nie słyszeliśmy. Ben tylko wytrzeszcza oczy.

- Uprzedzam Misję - wyjaśnia Clair. - Daję im znać, że was znalazłam.

- Misję? - powtarzam.

Dziewczyna jednak nie udziela wyjaśnienia. Idziemy znowu przez następne kilkanaście minut.

I wtedy... las nagle znika. Przystajemy ze zdumienia.

Przed nami wznosi się warowny mur wysoki na kilka kondygnacji. Zbudowany został z wielkich głazów połączonych betonową zaprawą, metalem i pniami drzew. Słońce wznosi się nad turniami, obnaża zniszczenia w wielkiej konstrukcji. Tylko baszta na rogu muru wydaje się w dobrym stanie, opancerzona gładkimi, ciemnymi płytami stali. Dookoła wieżyczki ciągnie się okno. Szkło lśni w świetle poranka.

- To biuro Krugmana - wskazuje Clair.

Dziewczyna prowadzi nas przez otwartą bramę - dwuskrzydłową, grubą na sześć cali i wysoką jak trzech ludzi. Sądząc po rdzy opadłej na ziemię, wrota nie były zamykane od dawna. Zapewne przez lata. Clair znowu przykłada dłonie do ust i ponownie jodłuje.

Wchodzimy za warowny mur.

- Łał - wzdycha cicho Ben, jakby się bał, że głośniejszym zachwytem rozwieje miraż.

Za murem znajduje się cała wioska, skąpane w czerwonej łunie świtu domy o słomianych strzechach. Z okien sączy się miękki, pluszowy blask, jaki daje tylko płonący w kominku ogień, a z ozdobnych wysokich kominów unosi się smętnie dym. W jednym z domów otwiera się okno, dostrzegam głowę, do której zaraz dołącza druga.

Przed nami pluszcze krystalicznie czysty strumień. Nad nim łukiem wznosi się kamienny mostek zdobiony ręcznie rzeźbionymi ornamentami, które migoczą w słońcu jak przyjazne, porozumiewawcze mrugnięcia.

Otwiera się więcej okien. Znad parapetów wychylają się głowy, większe i mniejsze. Z otwartych na oścież drzwi wysuwają się ludzie.

Ben chwyta Sissy za rękę.

- Sissy - szepcze podekscytowany.

Dziewczyna uśmiecha się, ściska jego dłoń.

- Myślę, że wszystko już będzie dobrze.

Ludzie w jasnych, barwnych ubraniach wynurzają się z domów. Nie poruszają się ani za wolno, ani w zbytnim pośpiechu. Zbliżają się do nas z ciekawością, oczy im błyszczą.

- Ilu tu jest mieszkańców? - pyta Epa.

- Kilkuset - odpowiada Clair.

Stajemy przed mostkiem, a po drugiej stronie gromada miejscowych robi to samo. Spoglądamy na siebie. Twarze mają okrągłe i zdrowe. Wielu ma rozczochrane od snu włosy, przyszli w pidżamach. Na policzkach widać rumieńce.

Z tłumu występuje wielki mężczyzna, brzuch mu się kołysze na pasie. Serce mi zamiera, ale tylko na chwilę. Ten umięśniony wielkolud to nie mój ojciec. Przygląda nam się, po czym odchyła się, ugina łokcie i wybucha śmiechem. To tubalny śmiech, nieskrępowany i szczery. Mężczyzna podchodzi do nas, a gdy wspina się po łuku mostka, wydaje się rosnąć. Na szczycie w połowie kładki wielkolud otwiera ramiona i uśmiecha się szeroko.

- Witamy w Misji - głos ma głęboki i donośny. - Oczekiwaliśmy was.

Kilka kroków przed nami mężczyzna się zatrzymuje. Jego bliskość jest przytłaczająca, emanuje charyzmą jak piec ciepłem. Ogromna sylwetka przesłania wschodzące słońce, w cieniu tego wielkoluda temperatura nieco spada. Ale tylko przez chwilę, bo mężczyzna, jakby zdał sobie z tego sprawę, zmienia pozycję. Nadal uśmiecha się do nas z góry, ale kiwa głową. Próbuje odgadnąć, kto jest przywódcą naszej grupy. Jego spojrzenie mija Epapą, przesuwa się po Sissy, ogniskuje na mnie, wraca do Epapą, po czym z powrotem do mnie. Mężczyzna znowu się uśmiecha.

- Nazywam się Krugman. Niezwykle miło mi cię poznać. To nieopisana, cudowna przyjemność. - Wyciąga rękę, grubą i muskularną. Moja nikt nie w jego uścisku. W dotyku skóra Krugmana okazuje się miękka, gładka, wręcz kobieca. - Chodźcie. - Wielkolud odsuwa się i zapraszającym gestem wskazuje na mostek, który wznosi się jak tęcza. Na końcu tej tęczy czeka skarb, uśmiechnięte przyjaźnie twarze.

Idziemy, początkowo czujnie, potem z narastającym podnieceniem. Sissy i chłopcy całe życie spędzili pod kopułą i nigdy nie widzieli nawet takiego tłumu. Ostrożność sprawia, że przystają w połowie drogi. Ze szczytu kładki wyczuwamy aromat jedzenia. Nigdy w życiu

nie zetknąłem się z tak wspaniałym zapachem. Burczy nam w brzuchach.

- To musi być tutaj! - woła Ben. - Po prostu musi. To Kraina Mlekiem i Miodem Płynąca, Pełna Owoców i Słońca.

Szarpie Sissy za rękaw.

- To tutaj, prawda? To tutaj naukowiec obiecał nas przyprowadzić?

Sissy nie odpowiada, ale oczy jej wilgotnieją.

- To tutaj, prawda? - dopytuje się również David.

W końcu dziewczyna pozwala sobie na ledwie zauważalne kiwnięcie głową.

- Może. Nadal musimy być...

Jednak chłopcy właśnie to chcieli usłyszeć. Chwytają nas za ręce i ciągną przez most.

Tłum rozstępuje się, żeby nas przepuścić, ale tylko trochę. Gdy jesteśmy blisko, mieszkańcy wioski wyciągają ręce, żeby nas dotknąć - klepią nas po plecach i ramionach, kiwają głowami, nawet podskakują podekscytowani, a ich zęby lśnią w uśmiechach czystą bielą. W którąkolwiek spojrzeć stronę, napotykamy przyjazne twarze i pokrzepiające skinienia. Ben pociąga mnie za rękę. Szczyrzy się radośnie, łzy płyną mu po policzkach. Mówi coś, ale przez harmider nic nie słyszę. Pochylam się i wychwytuję tylko znajomą frazę:

-...Kraina Mlekiem i Miodem Płynąca, Pełna Owoców i Słońca, musimy... - Zaraz jednak jego słowa nikną w otaczającym nas hałasie.

Myślę jednak, że chłopak ma rację. Słońce wznosi się wyżej na niebie i robi się coraz cieplej, a światło rozlewa się na góry, wioskę, uśmiechnięty tłum. Słyszę pokrzepiający śmiech, tak głośny, że wibruje mi w kościach, i dostrzegam uśmiech Sissy, szczyry i radosny jak letni poranek. Wtedy ogarnia mnie uczucie, jakiego nigdy wcześniej nie doznałem.

Uczucie, że dotarłem do domu.

## Rozdział 15

Krugman prowadzi nas przez wioskę główną, wybrukowaną uliczką. Jest entuzjastycz-przewodnikiem - zatrzymuje się czasami, żeby pokazać nam ładny widok lub powiedzieć, jak to czy tamto się nazywa. Z bliska widać wyraźnie, że domy zbudowane zostały solidnie na kamiennych fundamentach i z szalunkiem na piętrach. Parapety zdobią wazonami z dzikimi kwiatami, kolorowe bukiety lilii, geranium, nagietków, łubinu i skrzydlinek. Wszystko wygląda schludnie, czysto, jasno. Twarze - zwykle młodych dziewczyn - wychylają się zza wysokich okien. Jeszcze więcej dziewcząt idzie za nami, a te starsze zerkają tylko i szepczą między sobą.

Epap nieustannie się rozgląda. Nigdy dotąd nie widział tylu dziewcząt i obecność takiego tłumu chyba przeciąża mu zmysły. Oszołomiony chłopak nie może nasycić oczu tym widokiem, nerwowy uśmiech wykrzywia mu usta.

Krugman wskazuje nam budynki - składy, klinikę, warsztat stolarza, przedszkole, pracownię krawiecką. Każdy dom jest nieco większy niż te mieszkalne. Znikają jednak na północnym krańcu wioski, gdzie brukowana droga zmienia się w naturalną, pylistą ścieżkę wśród pól. Stoją tam rozrzucone szalasy rzeźników. A przynajmniej tak mówi Krugman, nawet nie patrząc w ich stronę. Mijamy więcej pól z równymi rzędami roślin, nasz przewodnik wyjaśnia, że to kukurydza, ziemniaki, ogórki. Dalej rosną drzewa, jabłonie, grusze i śliwy. Pomiedzy nimi krzątają się jak mrówki drobne sylwetki.

Krugman zawraca między rzędami jeżynowych krzewów na pole ryżu. Nieoczekiwanie pojawia się przed nami polodowcowe jezioro. W przejrzystej, płytkiej wodzie migoczą kolorowe kamyki. Wietrzyk od gór marszczy lustrzaną taflę i rozwiewa odbicie turni, nieba i obłoków. Kilka łodzi kołysze się przy pomoście z drewnianych bali. Kiedy tamtędy przechodzimy, burczy nam w brzuchach jak nigdy. Krugman uśmiecha się na to i prowadzi skrótem przez bujną łąkę z powrotem na plac w środku wioski.

Zostajemy zaproszeni do wielkiej sali jadalnej. Stoją tam długie rzędy pustych stołów i ław. Młode dziewczęta przynoszą nam talerze jedzenia z kuchni. Zerkają ciekawie, gdy szepczą nam nazwy dań. Pożeramy wszystko. Chociaż dławi mnie kaszel, nie mogę przestać jeść. Oczy mi łzawią, z nosa cieknie, a w głowie mi się kręci jak po jeździe na karuzeli. Ale nie mogę się opanować. Owsianka, jajecznica na boczku, świeże bułki. To nazwy jedzenia, jakim nas poczęstowano. Mieszkańcy wioski pozostali na zewnątrz, przyciskają nosy do okien i obserwują. Wszyscy są młodzi i piękni.



I wtedy to do mnie dociera. Dziwność. Większość zgromadzonych tutaj to młode kobiety.

Przyglądam się młodym twarzom stłoczonym w oknie. Dzieci, nastolatki, dorośli. Tylko nieliczni wśród nich to chłopcy, wszyscy w wieku co najwyżej siedmiu lub ośmiu lat.

Wewnątrz sali jadalnej sprawa wygląda inaczej. Zamiast młodych dziewcząt ponad tuzin starszych mężczyzn stoi pod ścianami - łysiejący, brzuchaci, między czterdziestką a pięćdziesiątką. Żaden z nich ani trochę nie przypomina mojego ojca. Pulchni i brodaci, podczas gdy mój ojciec był muskularny, gładko ogolony i przystrzyżony. W kącie dwóch wyjątkowo brzuchatych mężczyzn stoi po bokach Krugmana. A Krugman chyba stracił swoją radość. Oczy i usta ma beznamiętne, poważne, grube ramiona splecione na piersi. Mówi coś, słowo lub dwa, i jeden z przybocznych odwraca się, po czym wychodzi.

Właśnie wtedy dostrzegam portrety. Z tuzin powieszonych na ścianach obrazów rozdzielonych wysokim oknem. Wspaniałe dzieła olejnego malarstwa przedstawiają podobizny dumnych mężczyzn w pozach pełnych godności. Zawieszono je wysoko w ręcznie rzeźbionych ramach. Obojętnie spoglądam na kilka, po czym zamierzam wrócić do jedzenia, ale...

Zamieram. Z walącym sercem odsuwam krzesło i wstaję. Wydaje się, że nikt nie zauważył, przynajmniej nie Sissy ani żaden z chłopaków, zbyt zajętych opróżnianiem misek i talerzy.

To powolny spacer. Długi spacer. Stawianie jednej nogi przed drugą, z oczyma wbitymi w jeden portret ukryty w cieniu. W jadalni nagle zapada cisza, wszyscy przyglądają mi się, gdy jak w transie podchodzę do obrazu.

Kaszlę, żeby oczyścić gardło ze śluzu. Ale idę dalej, a twarz z portretu zdaje się polatywać przed moim zamglonym gorączką wzrokiem. A kiedy stoję blisko, cienie wokół znikają jak pasma mgły na górskich zboczach. Namalowana twarz spogląda na mnie autorytatywnie i życzliwie. Znam te oczy, szczupłe policzki i muskularne ramiona. Mocno zarysowane kości policzkowe, włosy teraz już siwe, głębsze kurze łapki w kącikach oczu.

Mój ojciec.

Kroki za plecami, ciężkie, które cichną parę metrów ode mnie.

- Znasz go? - pyta Krugman.

Zamiast odpowiedzieć, zadaję własne pytanie:

- Kto to jest?

- To starszy Joseph.

Joseph, Joseph. Powtarzam imię w duchu jak zaklęcie, które przywołuje wspomnienia.

Niestety, nic. W głowie mi wiruje i łupie od gorączki.

- Gdzie on jest? - pyta Sissy. Stoi za mną, twarz ma bladą. W głębi sali chłopcy na wpół stoją, na wpół siedzą przy stole i również wbijają wzrok w portret.

- Skąd go znacie? - pyta Krugman.

Znowu ignoruję jego pytanie i zadaję własne, jedyne, które się liczy - pytanie, które zadawałem sobie od lat w niezmałconej ciszy i nieprzerwanej ciemności:

- Gdzie on jest?

Głos Krugmana brzmi ponuro i twardo:

- Nie ma go już z nami.

- A gdzie jest? - tym razem to Sissy zadaje pytanie z naciskiem, ale w słowach czai się strach.

Krugman odwraca się do niej powoli, jego ogromne ciało przesłania cały świat.

- Zmarł. W tragicznym... wypadku.

Cofam się o krok. Ale wcale nie czuję, jak poruszam nogami. Nie czuję, jak dotykają podłogi.

Głowę przeszywa mi ból, jakby część czaszki została usunięta, a w obnażony mózg wbijano gruby drewniany klin. Salę wypełnia migoczące hipnotycznie, oślepiająco czerwone światło. Opadam obłądnie powolną spiralą, widzę rozmywające się w smugi twarze i obracające się księżycy nad światem, który opustoszał i znikł.

## Rozdział 16

Ojciec obudził mnie potrząśnięciem za ramię.

- Co jest? - zapytałem. Nie bałem się, bo na jego twarzy malowało się podniecenie.

- Wychodzimy - oznajmił.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Chodź - nalegał.

- Musimy, tato? Nie chcę wychodzić na słońce.

- Po prostu chodź - powiedział ojciec, a ja oczywiście posłuchałem. Sumiennie założyłem buty, wtarłem masę w ręce i twarz, po czym naciągnąłem kapelusz głęboko na czoło. Wsunęliśmy do kieszeni sztuczne kły. Na wszelki wypadek.

Światło słońca było dla naszych oczu jak kwas.

Szliśmy ulicami. Nie używaliśmy okularów przeciwsłonecznych. Nauczyliśmy się tej sztuczki przez lata. Nie wolno zakładać okularów za dnia, mogą zostawić nieopalone linie na twarzy. Z tych samych powodów nie nosi się zegarka na ręce. Wszystkie te zasady były święte i obowiązywały niezależnie od okoliczności, jednak tamtego dnia ojciec z nieznanых powodów złamał jedną z ważniejszych: jeżeli można tego uniknąć, nie należy wychodzić z domu w słoneczne, bezchmurne dni. Zastanawiałem się nad tym, gdy szedłem obok ojca.

Ale on nic nie wyjaśnił.

Gdy tylko mogliśmy, staraliśmy się posuwać w cieniu wysokich budynków. Ulice były oczywiście puste, cisza otulała betonowe chodniki i chromowane wieżowce, sączyła się z otwartych drzwi kawiarni i sklepów. W fontannie przed Ośrodkiem Zgromadzeń stała nieruchoma woda, w której odbijało się bez przeszkód błękitne niebo.

Ojciec przeszedł przez wahadłowe drzwi do Centrum Rządowego, najwyższego drapacza chmur w mieście, wznoszącego się na sześćdziesiąt cztery piętra. Mieściło się tutaj zarówno Ministerstwo Nauki, jak i Akademia Badań Historycznych. Ojciec pracował w tym właśnie budynku, odkąd sięgałem pamięcią. Ruszyłem za nim przez wahadłowe drzwi do pięćdziesięciodziewięciopiętrowego atrium. Słońce rozświetlało przestronny wewnętrzny dziedziniec i odbijało się oślepiającymi tęczowymi refleksami od metalu i szkła.

- Tutaj. - Ojciec stanął przy szklanej windzie. Wjechaliśmy nią na samą górę. Choć nikogo nie było w pobliżu, ani w budynku, ani nawet na ulicach, rozmawialiśmy, ścisząc głos.

- Co tutaj robimy, tato? - zapytałem.

- To niespodzianka. Przygotowywałem ją od kilku tygodni.

Drzwi windy się otworzyły, a ojciec wcisnął kombinację guzików dla najwyższych pięter. Tylko nieliczni mieli tam wstęp. Spojrzałem na ojca z zaskoczeniem, a on tylko podrapał się w przegub. Winda wznosiła się szybko, musiałem przełykać ślinę, żeby wyrównać ciśnienie w uszach.

Minęliśmy wiele pięter z salami wykładowymi i konferencyjnymi, laboratoriów oraz biur rządowych. A także tajemniczą kondygnację pięćdziesiąt pięć, która pozostawała od dziesięcioleci zamknięta. Wreszcie winda się zatrzymała. Drzwi się rozsunęły. Natychmiast oślepiło mnie jeszcze jaśniejsze niż na dole światło słońca. Ojciec położył mi dłonie na ramionach i pchnął lekko w tę jasność.

Nie czułem zaskoczenia. Byłem na górnych piętrach przynajmniej z tuzin razy przez minione lata. Ojciec z dumą pokazywał mi miejsce swojej pracy. Tutaj jadam lunch, mówił (na schodach i sam, tato?), tutaj przechowuję mopy, miotły i odkurzacz, tutaj pierę ręczniki, tutaj chowam środki czystości, tutaj znajduje się szyb na śmieci. Znał tu każdy kąt. I kiedy wyszedł z windy w oślepiające słońce, poruszał się bez wahania. Ujął mnie za rękę i poprowadził w lewo.

Nasze buty trzeszczały na przejrzystej podłodze. Słońce odbijało się w lśniących metalowych prętach i szybach. Świadecko pilnej, drobiazgowej pracy mojego ojca - woźnego. Na jego twarzy malowała się duma, gdy kroczył przez korytarz migoczący jak setki diamentów. Na tej kondygnacji znajdowały się najtajniejsze archiwa i dokumentacja, było to najlepiej strzeżone miejsce w mieście - najwyższy punkt, w dzień skąpany ze wszystkich stron śmiercionośnymi promieniami słońca. Niedostępny dla nikogo. Oprócz nas.

Jedynym zaciemnionym obszarem był niewielki schowek wciśnięty w północno-wschodni narożnik. To niewielkie pomieszczenie nazywano Schronem. Miało przejrzystoszare ściany wykonane ze specjalnego szkła, które neutralizowało toksyczne właściwości słonecznego światła. Schron zaprojektowano jako zabezpieczenie na skrajnie nieprawdopodobny wypadek, gdyby ktoś został zamknięty na górnym piętrze o świcie. Po naciśnięciu guzika wewnątrz w podłodze Schronu otwierał się szyb prowadzący dziesięć pięter w dół. Czasami określano to pomieszczenie jako najbardziej prywatne, odizolowane i bezpieczne miejsce w całej metropolii za dnia, chociaż nikt nie musiał jak dotąd tego sprawdzać.

Na najwyższym piętrze ulokowanych było tylko osiem gabinetów oddzielonych szkłem. W każdym stało biurko i krzesła zrobione z pleksiglasu. Pomieszczenia przypominały akwaria - z jednego końca piętra można było zobaczyć drugi. Nocą widziało się każdego

pracownika i wszystko, co robił w swoim gabinecie. Przejrzysty rząd, jak mawiano. Urzędnicy rządowi najwyższego stopnia pracowali właśnie na tym piętrze, spędzali noc na oglądaniu miasta rozciągającego się w dole i na wbijaniu wzroku w monitory na biurkach. Na ekranach przelatywały ciągi pulsujących liczb, głowy urzędników kiwały się z prawa na lewo, czasami w doskonałej synchronii. Odzywali się do siebie z chłodnym dystansem, gdy podejmowali kolejne ważne decyzje. Przerywali tę straszliwą monotonię tylko podczas lunchu, gdy mój ojciec przynosił im kawałki surowego, ociekającego krwią mięsa.

Muszę coś szybko zrobić - mówił często ojciec, gdy przebywaliśmy w tym budynku za dnia. Obserwowałem wtedy, jak przechodzi z jednego gabinetu do drugiego, włącza monitory, przeszukuje pliki, niekiedy wpisuje coś pośpiesznie do swojego notesu. Patrząc na jego pochylone plecy i nieskrywaną nerwowość, domyślałem się, że ojciec robi coś nielegalnego. Nielegalnego na tyle, że gdyby został przyłapany, trafiłby bez zwłoki przed pluton egzekucyjny.

Jednak tego dnia tata nie wchodził do gabinetów ani nie kazał mi czekać przy recepcji. Opuściliśmy hol z windą i skierowaliśmy się na schody. Ściany zamykały się nade mną wraz z ciemnością i nie byłem przygotowany na otwartą przestrzeń, jaka roztoczyła się przed moimi oczami, gdy ojciec otworzył drzwi na dach. Zdawało mi się, że zostałem wyrzucony w niebo.

Ojciec poruszał się z nietypowym dla niego podnieceniem, gdy prowadził mnie bliżej krawędzi dachu. Pod stopami przez szklany dach widziałem gabinety na szczytowej kondygnacji.

- Tato?

- Dobrze, zatrzymajmy się tutaj. - Znajdowaliśmy się zaledwie dziesięć stóp od skraju dachu. Widziałem wyraźnie ulice w dole. - Zamknij oczy.

- Tato?

- Po prostu zamknij oczy. - Usłyszałem jego oddalające się kroki.

Wykonałem polecenie. To był mój ojciec, wcale się nie bałem. Po chwili usłyszałem, jak się zbliża.

- A teraz możesz już otworzyć oczy.

Tak zrobiłem. Ojciec trzymał w ramionach skrzydlatą konstrukcję okrytą gładkimi metalicznymi płytkami. Przyglądał się bacznie mojej reakcji. Twarz mu jaśniała.

- Co to jest? - zapytałem.

- Samolot. Pamiętasz, co ci mówiłem o samolotach?

Przyjrzałem się konstrukcji z namysłem.

- Coś, co lata po niebie? Pamiętasz? - Ojciec był wyraźnie rozczarowany.

- Ale teraz nie lata? To umarło? - zdziwiłem się.

- Nie, głuptasku. Jest zdalnie sterowany. - Pokazał mi sterownik, który ścisnął w dłoni, pudełkowaty panel z długą anteną. - Proszę. Podnieś samolot wysoko nad głowę. Nie, trzymaj go tutaj, pod skrzydłami. Właśnie tak, teraz podnieś. I nieważne, co się stanie, nie puszczaj. Gotów?

- Gotów.

A potem ojciec wcisnął przełącznik na panelu sterownika. Samolot od razu zaczął wibrować i mruczeć jak żywy, niczym nietoperz, który próbuje się wyrwać na wolność.

- Szkoda, że nie widzisz swojej miny. - Ojciec podrapał się w nadgarstek wolnymi dwoma palcami.

- Mam go puścić?

- Nie, trzymaj jeszcze. Kiedy powiem „teraz”, wypchnij go najmocniej jak zdołasz. Ukośnie w górę, do nieba, jak najmocniej, dobrze?

- Dobrze.

Ojciec czekał spokojnie. Wibrujący pomruk zaczynał mnie męczyć. Gdy już miałem opuścić ramiona, ojciec rzucił:

- Przygotuj się!

Poczułem podmuch wiatru z tyłu, który zmierzwił mi włosy i wzdął ubranie jak balon. Ojciec czekał. Wiatr zawirował i załopotał moim ubraniem, niemal wyrwał mi z rąk samolot.

- Teraz! - zawołał tata, a ja rzuciłem samolot w niebo. Odleciał niezdarnie, skrzydła zachwiały się szaleńczo. Myślałem, że obróci się i spadnie. Ale samolot odzyskał równowagę i poszybował na wietrze.

- Łał, tato! Lata!

Ojciec przesunął lekko dźwigienki na panelu sterującym i skinął głową. Usta mu drżały lekko, z czego zapewne nawet nie zdawał sobie sprawy. Wtedy chyba jedyny raz widziałem, że ojciec prawie się uśmiechnął.

Samolot wznosił się wysoko w niebo, zataczał coraz szersze kręgi. Ojciec podał mi panel sterujący.

Niemal upuściłem urządzenie, nie z zaskoczenia, lecz ze strachu. Tata przytrzymał mi dłonie własnymi.

- Wciśnij ten guzik - nakazał.

- Co on robi?

- Włącza autopilota.

Obserwowaliśmy, jak samolot staje się coraz mniejszy, gdy się oddalał. Migotał w słońcu niczym gwiazda.

- Dokąd leci, tato?

Ojciec wyciągnął rękę.

- Tam.

- W góry na wschodzie?

Skinął głową. A potem wypowiedział słowa, które mną wstrząsnęły:

- Nigdy nie zapomnij tej chwili.

- Dobrze.

Ale to mu nie wystarczyło.

- Nigdy nie zapomnij, dokąd odleciał samolot. Chcę, żebyś to zapamiętał. Dobrze?

- Dobrze. - Podniosłem na niego wzrok. - Dokąd poleciał?

Zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Już myślałem, że ojciec mnie nie usłyszał, ale wtedy wyszeptał słowa tak ciche, że chyba nie były przeznaczone dla moich uszu.

- Do domu.

Wydawało się, że chce jeszcze coś dodać. Nie słowo lub zdanie, lecz strumień niekontrolowanych myśli. Serce ścisnął mi strach. Pomimo ciekawości uświadomiłem sobie, że nie chcę wiedzieć, nie chcę usłyszeć powstrzymanego zbyt długo wyznania, tajemnic zbyt głęboko ukrytych i ściśle strzeżonych. Nie chcę tego, powtórzyłem w duchu, wcale tego nie chcę.

Ale ojciec zamknął tylko oczy, a kiedy je otworzył, błyszczało w nich zdecydowanie.

- Pamiętaj, dokąd poleciał ten samolot, dobrze? - powiedział.

Wtedy nie wydawało mi się to znaczące, dokąd odleciał samolot. Wydawało mi się, że ojciec wybrał ten kierunek dla kaprysu albo pozwolił, żeby wiatr zdecydował o przypadkowym kursie. Ale później, wiele lat później zrozumiałem, że to było celowe. W każdym innym kierunku samolot w końcu rozbiłby się na bezkresnej pustyni. Ale na wschodzie trafiłby w zupełnie inną okolicę - w zielen górkich łąk, błękit południowych jezior i biel śniegu na szczytach gór skąpanych w czerwieni wschodzącego słońca.

## Rozdział 17

Niewyraźne głosy, potem cisza. Szorstki koc naciągnięty lekko na moje trzęsące się, zmarznięte członki. Ściskam go rozpalonymi od gorączki palcami. Tracę przytomność...

...i budzę się w szarości i ciepłe, a pot przesiąka mi ubranie. Nawet w gorączce wyczuwam upływ czasu - mijające noce i dni, wschody i zachody księżyca i słońca. Zimny kompres na rozpalonym czole, zmieniony raz, potem znowu i znowu. Przyciszone głosy w mroku. Chłodna dłoń wsunięta w moją, odświeżająca i przyjemna jak gładki marmur. Ściskam ją mocno, zanim znowu opadnę w otchłań gorączki i chłodu...

Wiele godzin - może dni? - później udaje mi się otworzyć oczy. Pomieszczenie wydaje się dwuwymiarowe, płaskie jak narysowane, do tego łopocze jak flaga na wietrze. Nade mną pojawia się twarz. To Ashley June. Skórę ma bladą, niezdrową. Ale kolor włosów nie pasuje. A potem rysy twarzy zmieniają się i widzę Sissy. Z jej ciemnych oczu przebija troska. Pokój zaczyna się kołysać, zamykam oczy. Obok słyszę cichy chłupot wody. Potem na czole czuję mokry ręcznik. Świat pogrąża się w ciemności...

...otwieram oczy, mam wrażenie piasku pod powiekami. Minął już dzień i noc, odkąd otworzyłem je poprzednio. I niemal od razu zaczynam spadać w ciemną otchłań. Wcześniej jednak dostrzegam Sissy w oknie, nieświadomą, że się ocknąłem. Jej twarz w blasku księżyca wydaje się napięta. I przestraszona. Coś jest nie tak. Odpływam...

Jestem przytomny. Czuję się jak nowo narodzony - po raz pierwszy od paru dni umysł mam jasny, choć ciało słabe. Dotykam czoła, chłodne i suche. Gorączka minęła. Nabieram tchu, w gardle mi świszczy.

Słońce błyska przez zasłony. Leżę w małym pokoju wyłożonym drewnem, ze sporą alkową. Na obitym skórą fotelu siedzi Sissy. Śpi. Usta ma rozchylone, koc unosi się lekko i opada.

Próbuję usiąść, ale brak mi sił.

- Spokojnie i powoli, wtedy się uda - mówi Sissy, która w okamgnieniu jest przy mnie i podtrzymuje mi głowę, gdy osuwam się na posłanie.

- Jak długo? - pytam ochryple. Nie rozpoznaję własnego głosu, bardziej przypomina krakanie.

- Minęły trzy dni. Traciłeś i odzyskiwałeś przytomność w gorączce przez dwa dni. Szczerze mówiąc, nie sądziliśmy, że to przeżyjesz. Proszę, napij się. - Podsuwa mi miskę. - Gorączka ustąpiła zeszłej nocy.



- Poradzę sobie. - Ale miska waży tonę i omal jej nie upuszczam. Sissy podtrzymuje mi ręce. Piję trochę, po czym opadam na poduszki. Po ciele rozlewa mi się fala ciepła.

Sissy wygląda na wyczerpaną, włosy ma rozczochrane, kilka kosmyków przykleiło się do policzków. Podkowy pod oczami podkreślają tylko napięte rysy jej twarzy. Dzieje się coś niedobrego.

- Jest ranek czy popołudnie?

Pytanie ją zaskakuje.

- Nie wiem. Straciłam rachubę. - Dziewczyna wygląda przez okno, potem spogląda na to po drugiej stronie pokoju. - Chyba popołudnie. Tak, zachód jest po tamtej stronie, więc to popołudnie.

- Gdzie są wszyscy? Chłopcy?

- Tu i tam.

- Wszystko z nimi dobrze?

Sissy kiwa głową.

- Nawet bardziej. Naprawdę im się tutaj podoba. - Próbuje się uśmiechnąć, ale usta ma napięte. - Uwielbiają to miejsce. Są przeszczęśliwi.

- Więc to naprawdę tutaj? Kraina Mlekiem i Miodem Płynąca?

Kiwa głową, po czym milknie.

- Sissy, o co chodzi?

- O nic. Jest wspaniale. Owoce i słońce. Ziemia Obiecana.

Ale nie patrzy mi już w oczy.

- Po prostu mi powiedz - nalegam łagodnie.

Przygryza dolną wargę, zmienia pozycję na fotelu. Przyciszonym tonem wyjaśnia:

- Coś jest nie tak z tym miejscem.

Siadam.

- To znaczy? - Flegma zalega mi w piersi i znowu zaczynam kasłać. Sissy przysiada obok i oklepuje mi plecy. - Powiedz mi, Sissy.

Dziewczyna potrząsa głową.

- Musisz wypocząć.

Chwytam ją za rękę.

- Po prostu powiedz.

Waha się.

- Trudno to określić. Nic wielkiego tak naprawdę, po prostu mnóstwo drobiazgów.

- Chłopcy też to zauważyli? Epap?

Na jej twarzy pojawia się frustracja.

- Tu jest zbyt dużo jedzenia, zbyt wiele atrakcji, które odciągają uwagę. Wczoraj próbowałam o tym rozmawiać z Epapem, ale nie miał pojęcia, o co mi chodzi. Powiedział, żebym się uspokoiła, bo wpadam w paranoję. Powinnałam się rozluźnić i cieszyć tym miejscem. Ale nie mogę. Coś tu jest nie tak.

I właśnie wtedy słychać zbliżające się kroki. Drzwi otwierają się z trzaskiem. Wysoki mężczyzna, nieco przygarbiony, jakby wstydził się swojego wzrostu, zatacza się w progu. Sissy sztywnieje.

- Co tu robisz? - warczy przybyły na dziewczynę. - Niedobrze. Bardzo niedobrze.

- O co chodzi? - wtrącam.

Mężczyzna obraca się chwiejnie i wbija we mnie wzrok.

- Obudziłeś się! - stwierdza.

- Owszem.

Mruga powoli i z wysiłkiem.

- Jestem starszy Northampton. Opiekowałem się tobą. - Przeciąga słowa, oczy ma przekrwione. Nawet z łóżka czuję opary alkoholu z jego ust. Mężczyzna zatacza się do okna, szarpie zatrzask, po czym się wychyla. Uniósłszy dłonie do ust, zaczyna jodłować. Nawet jego jodłowanie jest niewyraźne. Wreszcie odwraca się do mnie znowu. - Przygotuj się, proszę - mówi. - Kolacja będzie za parę minut. Grupa dziewcząt odprowadzi cię niedługo do sali bankietowej. - Wskazuje na szafkę. - Ciepłe ubrania dla ciebie. Dam ci chwilę, żebyś mógł się przebrać. Ale pośpiesz się.

- Powinien zostać w łóżku - oponuje Sissy. - Jest osłabiony. Na pewno możemy mu przynieść coś do jedzenia.

Starszy marszczy z irytacją brwi.

- Ma zjeść z nami - odpowiada. - Wielki starszy Krugman będzie bardzo zadowolony, gdy zobaczy Gene'a. Zadowolony z opieki, jaką go otoczyłem.

Mężczyzna oblizuje wargi. Jego uwaga wraca do Sissy.

- A co ty robisz w tym pokoju? Nie powinno cię tutaj być.

Dziewczyna sztywnieje, ale nie odpowiada.

- Chodźmy. Już. - Starszy wychodzi z pokoju, ale zostawia otwarte drzwi. Jego wyjściu nie towarzyszy odgłos kroków, mężczyzna czeka za progiem na Sissy.

Dziewczyna pochyla się do mnie, wpatruje mi się przenikliwie w oczy.

- Słuchaj, musisz coś wiedzieć - szepcze pośpiesznie.

- Co?

- Chodzi o twojego oj... - Zerka na drzwi. - O naukowca.

Te słowa wysysają powietrze z pokoju. Widzę tylko rozchylone grube wargi Krugmana, paskudny smród jego oddechu i szept przy moim uchu: Zmarł. W tragicznym... wypadku.

Mój ojciec. Zmarł.

Znowu. Kolejny raz muszę go oplakiwać, tęsknić, walczyć z poczuciem, że mnie opuścił. I z pustką w świecie bez niego.

Trudno mi oddychać.

Dłoń Sissy wsuwa się w moją, znajomy miękki dotyk. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że to właśnie Sissy trzymała mnie za rękę przez parę minionych nocy i dni, chłodne remedium na mojej rozpalonej skórze. To ona opiekowała się mną podczas choroby.

- Co z nim, o co chodzi? - pytam.

W korytarzu trzeszczą deski podłogi, starszy ponownie staje w progu.

- Już! - warczy.

Sissy wstaje, by wyjść, ale łapię ją za rękę. Muszę wiedzieć.

Dziewczyna zatrzymuje się, widząc moje błaganie. Bierze mokrą ściereczkę i ostentacyjnie ociera mi czoło. Dzięki temu może się nade mną pochylić tak, by szeptać mi prosto do ucha.

- To było samobójstwo - słyszę. - Powiedzieli, że naukowiec powiesił się w tej górskiej chacie.

- Co?

- Bardzo mi przykro.

Głośniejszy trzask, gdy starszy wraca do pokoju.

- Porozmawiamy później. - Sissy szybko ściska mi rękę, po czym wstaje i wychodzi. Ich kroki nikną w korytarzu. Pozostaję sam w przytłaczającej ciszy.

Samobójstwo nie ma sensu. Ojciec cenił życie. Uczył mnie od dziecka, że życie to świętość. Podczas piekielnej egzystencji w metropolii nie szukał łatwego rozwiązania, jakie zapewniała śmierć, lecz każdego dnia walczył o przetrwanie. Życie było jego dogmatem. A skoro walczył o pozostanie przy życiu przez te wszystkie lata w przerażającej metropolii, dlaczego nagle postanowił popełnić samobójstwo tutaj, w Ziemi Obiecanej?

Chór dziewczęcych głosów dociera przez okno, przerywając mi rozmyślenia.

Dzwonią dzwonki na wietrze, Na słońcu błyszczą naczynia, Każdemu zaraz powiedzcie, Kolacja już się zaczyna.

Ich głosy splatają się bezbłędnie. Odchylam zasłony i widzę je w pobliżu. W dwóch

szeregach po dziesięć stoją w półkolu i śpiewają serenadę. Dla mnie. Ich czyste i gładkie twarze lśnią zarumienione od chłodnego górskiego powietrza. Podnoszą głowy, żeby popatrzeć na mnie w oknie na piętrze. Uśmiechają się szczerze.

Cofam się pod najdalszą ścianę, żeby zejść im z oczu. Serenada brzmi nieprzerwanie, mam ochotę zatrzaskać okno. Mrok we mnie odcina się od słonecznej jasności na zewnątrz, od uśmiechów i harmonii.

Trzy zwrotki później wywlekam się z domu. Słońce przyjemnie grzeje mi skórę. Wraz z orzeźwiającym chłodnym wiatrem od gór daje mi zastrzyk optymizmu. Sissy stoi z boku, ramiona spłotła na piersi. Założyłem, że chór przestanie śpiewać, gdy tylko wyjdę, ale dziewczyny nie przerywają, nawet gdy staję przed nimi. Okrągłe, anielskie twarze rumienią się wstydliwie, gdy na nie spoglądam, ale to nie powstrzymuje żadnej z młodych kobiet. Z otwartymi szeroko oczyma i ustami wyglądają na wiecznie zdumione.

Lekarz pociąga nosem.

- Tutaj chodzi o piękno, spokój i harmonię. To podstawa Misji.

Po ostatniej zwrotce chór się rozprasza wokół nas. Jedna z dziewcząt podchodzi do mnie.

- Chciałybyśmy, żebyś przyłączył się do nas na kolacji.

- Jasne, chyba zrozumiałem - odpowiadam. Staram się, aby moje słowa zabrzmiały dobrodusznie i z zadowoleniem, ale dziewczyna natychmiast się rumieni.

- Tędy, proszę - mówi.

Grupa prowadzi mnie i Sissy po brukowanej uliczce w półksiężycowym szyku. Dziewczęta nieustannie się uśmiechają, białe zęby lśnią w słońcu. Kiedy idziemy na główny plac, z zainteresowaniem przyglądam się młodym kobietom. Wyraźnie się kołyszą przy każdym kroku.

- Dziwnie chodzą - Sissy chyba domyśla się, co zwróciło moją uwagę. - Pytałam o to, ale mnie zbyły. Jak przy wszystkich moich pytaniach.

Ścisza głos:

- Myślę, że to ma coś wspólnego z ich stopami. Są takie drobne.

Ma rację. Buty wysuwające się spod długich sukien są takie nieduże.

Na ulicy pojawia się więcej dziewczyn o pulchnych policzkach i wyraźnych brzuchach. I wtedy dopiero dostrzegam z zaskoczeniem, że nie chodzi wcale o ślamazarność, jak uznałem wcześniej, lecz o coś zupełnie innego: te dziewczyny są w ciąży. A gdy tylko zaczynam przyglądać się uważniej, gdzie spojrzę, natrafiam na młode kobiety w różnie zaawansowanej ciąży. Tak mniej więcej co trzecia. Wszystkie się uśmiechają szeroko,

ukazują lśniące i równe białe zęby.

- Dobrze się czujesz? - Sissy zerka na mnie z niepokojem.

- Tak - zapewniam. Potrząsam głową, żeby oczyścić umysł. - Gdzie reszta naszego gangu?

- Pewnie już czekają w jadalni. Odkąd tu przyszliśmy, tylko jedzą. Nawet zdążyli już dorobić się okazałych brzuchów.

Jak wszyscy tutaj - chcę powiedzieć, lecz właśnie wchodzimy do sali.

Przede wszystkim uderza mnie, jak zatłoczona jest jadalnia w porównaniu z dniem, gdy byłem tu po raz pierwszy. Cztery długie stoły z dębowymi ławami ciągną się przez całą długość pomieszczenia. Przy każdym siedzą dziewczęta i bardzo młodzi chłopcy. Pomimo tłumu panuje tu spokój i porządek. Przez wysokie okna sączą się promienie słońca.

Zostaję doprowadzony do stołu z przodu na podwyższeniu. Siedzą tutaj też chłopcy. Sissy miała rację, wszyscy przybrali na wadze. Twarze mają bardziej okrągłe, maluje się na nich wyraz zadowolonego rozleniwienia. Wyglądają na wypoczętych. Cieszą się na mój widok, Ben, David i Jacob podbiegają, żeby mnie uścisnąć.

- Ben! - rzucam, gdy zajmujemy miejsca. - Twoje policzki! Przypominają balony!

Wszyscy przy stole parszczą śmiechem. Jacob przyłącza się do zabawy.

- Jakbyś przybrał na wadze, a te dziesięć funtów poszło ci tylko w policzki, Ben. - Dobrodusznie szczypie Bena w policzek.

- Jak długo tu jesteśmy? - pytam. - Trzy dni czy trzy miesiące? Wszyscy przybraliście na wadze, chłopaki.

Ben odchyła głowę i uśmiecha się szeroko.

- Nie możesz nas winić - odpowiada wesoło. - Jedzenie tutaj jest po prostu niesamowite.

Na podwyższeniu stoi nie tylko nasz stół. Drugi, mocny i o grubych nogach, wydaje się wyrastać z przodu podium. Na nakrochmalonym obrusie lśnią srebrne sztuce i porcelanowe talerze.

- Przy tym stole zasiadają najważniejsi starsi - wyjaśnia mi Jacob, ale oczy ma wbite w drzwi kuchni.

Jak na życzenie grupa starszych wchodzi do sali. Wszyscy obecni wstają natychmiast i opuszczają z szacunkiem głowy. Starsi podchodzą do stołu, ich okazałe brzuchy kołyszą się nad pasami. Krugman idzie ostatni. Dopiero gdy wszyscy starsi zajmą miejsca, reszta również siada. Robi to w zaskakującej ciszy. Nawet ławy szurają po podłodze z minimalnym hałasem. Potem wszyscy siedzą w bezruchu. Wreszcie Krugman bierze kubek i wstaje.

- Zgromadziliśmy się tutaj znowu, żeby świętować przybycie naszych dzielnych wędrowców. Podróżowali długo i z wieloma niebezpieczeństwami musieli się zmagać, aby do nas dotrzeć. Ten cud wymaga wielokrotnego świętowania. Za naszych braci, utraconych i odzyskanych.

Głośny aplauz rozlega się, gdy tylko Krugman milknie. Spogląda na naszą piątkę z czułością.

Pochylam się do Epapa.

- Gdzie Sissy? - szepczę.

- Cii... - Epap ledwie się do mnie odwraca, wzrok ma wbity w Krugmana.

- Ci z nas - podejmuje starszy - którzy mieli szczęście z nimi rozmawiać, mogą zaświadczyć: wędrowcy są mili, inteligentni, zmyślni i wrażliwi. Wojownicy słusznej sprawy. Witamy ich jak członków rodziny, ciepło i z otwartymi ramionami. Z radością wprowadzamy ich do społeczności naszej Misji. A nasza radość jest dzisiaj jeszcze większa - unosi dramatycznie głos - ponieważ Gene, nieustraszony przywódca grupy naszych nowych przyjaciół, wyzdrowiał po ciężkiej chorobie. Przekazujemy wyrazy naszej wdzięczności starszemu Northrumptonowi za jego doświadczenie i poświęcenie w opiece nad młodzieńcem. Cieszę się, że mogę to ogłosić: młody Gene przeniesie się z kliniki do jednego z domów.

Starszy Northrumpton kłoni głowę na pochwałę.

- Pomódlmy się - oznajmia Krugman. Wszyscy jak jeden mąż pochylają głowy. - Wielki Dawco, wdzięczniśmy za obfitość jedzenia i picia, radość i słońce, którymi tak hojnie nas obdarzasz każdego dnia. Dziękujemy Ci za uzdrowienie naszego nowego brata, Gene'a. Modlimy się, żebyś w swojej mądrości w odpowiednim czasie powierzył nam Początek. Wielka jest Twoja łaska, wielkie jest miłosierdzie Twoje, wielka jest Twoja życzliwość i Twoja opieka nad tą wierną społecznością.

Potem kiwa głową na dziewczynę w drzwiach kuchni i niemal natychmiast pojawiają się dania, podawane przez kołyszające się podkuchenne.

- Gdzie Sissy? - pytam Jacoba, siedzącego po mojej drugiej stronie.

Chłopak słucha tylko jednym uchem, wpatrzony w przynoszone jedzenie.

- Siedzi z innymi dziewczynami głębiej na sali - mamrocze bez zainteresowania. - Dziewczynom nie wolno siedzieć na podwyższeniu.

- Powinieneś nalegać, żeby Sissy...

Ale Jacob już nie słucha. Odwrócił się ode mnie i pokazuje Davidowi potrawy, które niesione są do naszego stołu.

Przyglądam się rzędom dziewcząt. Tam. Z tyłu, wśród innych, na jednej ze środkowych ław siedzi Sissy, równie milcząca jak reszta. Nasze oczy spotykają się tylko na chwilę. Potem widok przesłania rząd dziewcząt, które niosą potrawy.

Jedzenie, znikające równie szybko, jak się pojawia, jest wspaniałe. Podawane na gorąco, parujące i aromatyczne, ma egzotyczne nazwy - dziewczyny, które stawiają naczynie, szepczą nazwę dania. Chłopcy rzucają się na potrawy bez wahania.

- Epap! - mówię cicho. - Powinniśmy żądać, żeby Sissy siedziała z nami.

Epap kręci głową, policzki ma wypchane.

- Nic jej nie jest. Dziewczyny jedzą na sali. Zgodnie z prawem. - Słowa są zniekształcone przez jedzenie. Epap napycha się kolejnym daniem, jakby się bał, że nie zdąży spróbować następnych, które właśnie niesione są z kuchni. A niedługo potem sam robię podobnie. Cóż, jestem wygłodzony, apetyt zaś świadczy, że wróciłem do zdrowia. Kuchnia serwuje kolejne dania, gorące pieczone mięso wiewiórki, królika, świni i krowy, wszystko z wymyślnymi, dekadentckimi wręcz sosami. Od samego zapachu i widoku cieknie ślinka.

- Skąd pochodzi to jedzenie? - Nie zwracam się do nikogo konkretnego i nikt nie fatyguje się z odpowiedzią. Po dwóch kolejkach deseru rozpieramy się na krzesłach, najedzeni i rozleniwieni. Z tyłu sali rozlega się gong, a sztuce natychmiast zostają odłożone i mieszkańcy wioski podnoszą się z ław jak jeden mąż. Tylko starsi nie przerywają jedzenia.

Młoda dziewczyna wychodzi na środek sali.

- Fragmenty prawa - oznajmia. Głos ma czysty, donośny. - Numer pierwszy.

- Pozostawaj w grupie, co najmniej we trójkę lub większej - odpowiadają wszyscy chórem. - Samotność jest niedozwolona.

- Numer drugi - woła wysoka dziewczyna.

- Uśmiechaj się zawsze w imię Dawcy - odpowiadają dziewczęta.

- Numer trzeci.

- Słuchaj starszych jak samego Dawcy.

Stoją, dopóki jeden ze starszych, wciąż jeszcze przeżuając, nie wstanie.

- Mamy wspaniałą wiadomość. Świętujemy dziś urodziny Cassie, Fiony i Sandy. Cassie i Fiona będą spały dziś w tawernie, a Sandy zdrzemnie się po południu tutaj.

Od dziewcząt nie nadchodzi żadna odpowiedź.

Starszy siada.

Na ten znak miejscowe kobiety wychodzą rzędami. Przy wyjściu wisi duża czarna tablica. Każda dziewczyna zwalnia, aby przeczytać, co tam napisano.

- Co to jest? - pytam.

- Ich dzienny przydział - wyjaśnia Epap. - Codziennie każdy mieszkaniec wioski jest przydzielany do innej chaty i związanego z nią zadania: szycia, opieki nad dziećmi, gotowania i tym podobnych. Starsi mówią, że to dobre, żeby nauczyć się wszystkiego. Codzienne zadania są całkowicie przypadkowe. Nigdy nie wiadomo, gdzie się będzie pracowało i gdzie oraz przy kim spało. Bo śpi się w tym samym domu, w którym pracowało się za dnia. Jeżeli pomagało się w farbiarni, to i tam się śpi. Pomaga to w zacieśnianiu społecznych więzi. Takie wymieszanie.

Po kolacji Krugman i paru starszych zabierają mnie na obchód. Epap i pozostali chłopcy już znają Misję, więc się oddalają. Nigdzie nie widać Sissy. Kiedy o nią pytam, starsi tylko wzruszają ramionami. W przeciwieństwie do miejscowych dziewcząt starsi stawiają pewnie kroki, długie i niewymuszone, podeszwy pewnie uderzają o bruk i ziemię.

- W naszej wiosce jesteśmy dumni z dwóch rzeczy - oznajmia Krugman, gestykulując.  
- Z jedzenia i śpiewu.

I jakby na ten znak jednemu ze starszych odbija się głośno, paskudnie i wilgotno, śmierdzącymi jajami i kwaśnym mlekiem. Wyczuwam ten odór.

- Tego nie zaliczamy do śpiewu - prycha inny starszy, a pozostali wybuchają śmiechem z aprobatą.

- Tutaj - wskazuje Krugman chwilę później - znajduje się sekcja kulinarna wioski. Wystarczy wciągnąć zapach, żeby rozpoznać to miejsce. Nawet od tych wspaniałych zapachów można przybrać na wadze.

Rusza do chat.

- Chodź, zajrzyjmy do jednej.

Wchodzimy do najbliższego domu, jak się okazuje - piekarni. Aromat pieczonego chleba, pączków oraz ciastek wypełnia powietrze. Wchodzę pierwszy i przez chwilę, zanim dziewczyny w środku zauważą moją obecność, dostrzegam wyraz ich twarzy. Ponury, smętny, jakby pozbawiony wszelkich barw poza przytłaczającą szarością. A potem dziewczyny uśmiechają się i zaczynają mówić z podnieceniem, jakby za naciśnięciem guzika.

- Witamy, co za cudowna niespodzianka! - odzywa się najbliższa z dziewcząt. Zrywa się z wigorem i uśmiecha szeroko.

- Przygotujcie przysmaki dla naszych szacownych gości, w try miga! - woła Krugman radośnie. Jego oddech wzbija smużki mąki, które unoszą się jak para z oddechu w mroźny dzień.

Zostajemy poczęstowani porcjami ciast, ciastek i innych delicji. Gdy wychodzimy, dziewczęta kłaniają się, splatając dłonie na podołkach, i dziękują nam za wizytę. Wszyscy się



uśmiechają.

- Skąd bierzecie to jedzenie? - pytam Krugmana, gdy idziemy ulicą. Mijamy grupę dziewcząt dźwigających wiadra z chlupoczącą wodą. One także uśmiechają się do nas i kłaniają. - Wszystkie składniki, których używacie - podejmuję, bo Krugman nie kwapi się z odpowiedzią. - Niewiele widziałem farm, więc skąd to wszystko pochodzi?

Krugman przygląda mi się radośnie, jakby ta szczęśliwość miała wystarczyć za odpowiedź.

- Przecież skądś to musi pochodzić... - nie daję za wygraną.

- Dobry Dawca jest hojny - odpowiada Krugman. - Zaopatrzenie przybywa codziennie, każdego ranka.

- Nie sądzę...

- Ach, znaleźliśmy się w miejscu, które koniecznie trzeba odwiedzić! Sekcja śpiewu! - woła Krugman i odwraca się ode mnie. Dwóch starszych przygląda mi się ze świdrującą wręcz przyjacielskością.

- Te chaty - precyzuje Krugman - to oczko w mojej głowie. Tutaj właśnie szkolimy nasz chór. Dopuszczani są tylko ci najbardziej uzdolnieni muzycznie. Posłuchaj, słyszysz to?

Gdy tylko otwiera drzwi, śpiew natychmiast się urywa.

- Starszy Krugman, jakże nam miło, że zechciałeś nas odwiedzić - mówi dziewczyna przy pianinie.

Sądząc po jej brzuchu, jest chyba w siódmym miesiącu ciąży.

Krugman uśmiecha się uprzejmie.

- Mówiłem naszemu gościowi, jak wyjątkową jesteście grupą. Ufam, że w najbliższych dniach go nie rozczarujecie.

- Na pewno nie.

Następuje wymiana uprzejmości. Świergoczące głosy, promienne uśmiechy przylepione do twarzy.

I tak samo jest w każdym domu, do którego zaglądamy - w tkalni dywanów, w warsztacie stolarskim, w szwalni i w pracowni hafciarskiej, gdzie dziewczęta uczą się dziergania na drutach i szydełku, wyszywania, makramy i krzyżkowania. Witają nas pochylone głowy i sztywne grzeczności. Nawet dziewczęta, które mijamy na głównej ulicy, zachowują się z tą samą wymuszoną przyjaznością, szczerząc się w uśmiechach i wbijając oczy w ziemię. Tylko dzieci w żłobku - w ciągnących się rzędach kołysek - nie stosują się do konwenansów i płaczą głośno ze szczerym niezadowoleniem z wizyty obcych.

Wycieczka kończy się z nadejściem nocy. Blask zachodu słońca kładzie się purpurą na

turniach, po czym znika w mroku nocy. Prawie wszyscy starsi oderwali się od naszego grona, wymawiając się umówionymi spotkaniami, i kierują się do gospody. Pozostają ze mną tylko dwaj młodszy starsi, cisi i znudzeni. Zapalają się uliczne lampy.

- Zabierzemy cię do nowego domu - oznajmia jeden z nich.

- Tam, gdzie są moi przyjaciele?

Kręcą głowami.

- Tam nie ma miejsca. Polecono nam zabrać cię gdzie indziej. Spodoba ci się. Dom został zbudowany niedawno, jest zupełnie nowy i nikt tam nie mieszka. Mnóstwo prywatności.

- Wolałbym zostać z przyjaciółmi. Nie rozumiem, dlaczego mam być sam.

- Chodź. Nie będziesz jedynym, który zostanie sam. Dziewczyna, jak jej na imię, jak pisk, Sissy, też jest sama na farmie.

Przystaję.

- Nie ma jej z chłopcami?

- Ma wielkie stopy. Dziewczętom o dużych stopach nie wolno spać w obrębie miasteczka. Wielkostope muszą spać za wsią, na farmie. Tak stanowi prawo.

- O wilku mowa - dodaje drugi ze starszych. - Oto i ona.

Sissy idzie w grupie dziesięciu dziewcząt. Starszy odwraca się za nią i przygląda jej w dziwnym skupieniu. Krągłe ramiona mężczyzny wystają spod kamizelki jak tłuste, owłosione serdelki.

- Hej, Sissy - mówię.

- Hej - odpowiada szybko. - Gene.

W jej głosie słyszę skrywane błaganie. Starszy zachęca dziewczynę, żeby szła za resztą grupy, która podąża wybrukowaną ścieżką. Patrzą, jak znikają w ciemności, a potem pojawiają się znowu w kręgu światła latarni, tylko dalej. Pod ostatnią latarnią Sissy odwraca się i patrzy na mnie. Jej twarz jest mała i blada. Wymawia bezgłośnie słowa. Przyjdź do mnie. A potem odchodzi i znika w mroku.

## Rozdział 18

Ashley June przychodzi do mnie we śnie. To dziwny sen, na granicy prawdziwego koszmaru. Znowu jestem w Instytucie Badań Heperygtycznych, w wolno stojącej bibliotece, gdzie kiedyś mnie zakwaterowano. Wilgotny odór kurzu, zapleśniałych tomów i pożółkłych kart wypełnia powietrze. Ashley June wychodzi z mroku w krynolinie jak weselna suknia. Opuszcza się z sufitu, a na jej jasnej twarzy maluje się nieopisany smutek. Oczy ma nadnaturalnie wielkie, podkreślone czarną kredką i łzami. Ale dziewczyna nie płacze, gdy ujmuje mnie za rękę. Nie, nie za rękę, lecz za nadgarstek. To pierwszy znak, że coś jest nie tak.

Ruszamy brukowaną ścieżką do instytutu. Mijamy ustawionych w szpaler pracowników o poważnych twarzach. Personel spogląda na nas bez zainteresowania, garbi się ze zmęczenia. Jakby wszyscy tutaj czekali bardzo długo na nasze przejście. Nikt się nie odzywa. Nawet wiatr, który unosi tumany piasku znad pustynnej równiny, zachowuje ciszę. A ja i Ashley June wchodzimy do Instytutu Badań Heperystycznych. W holu wkraczamy na dywan, czuję pod bosymi stopami jedwab, jakby każde włókno pieściło mi kostki. Czekają tutaj łowcy, aby nas powitać w milczeniu. Wiszą do góry nogami, nieśpiesznie drapią się w nadgarstki, ich ciała kołyszą się lekko jak na niewidzialnym wietrze. Ich rany, jakie pozostawiło nasze ostatnie spotkanie, zioną otworami w piersiach i głowach. Czerwonousta wisi nieruchomo, nadziana na harpun. Usta ma jasnoczerwone, gdy szepcze wciąż: Gene, Gene, Gene. Przez cały czas Ashley June trzyma mnie za przegub, nie za rękę, a jej palce zakończone są zaskakująco ostrymi paznokciami, które drapią mi skórę. Jakby to wszystko ją śmieszyło, jakby uważała to za jakiś stary żart. Ale tusz spływa z kącika jej beznamiętnych, suchych oczu.

Dziewczyna prowadzi mnie po schodach, oboje kroczymy z gracją. Wietrzny chłód robi się coraz większy, wydaje się, że otaczająca nas ciemność gęstnieje i musimy się przez nią przebijać. Suknia Ashley June lśni, dziewczyna przypomina białą ćmę wpadającą w czarną otchłań. W Prezentatorium Ashley June przywiązuje mnie do słupa. Jest dokładna, lecz znudzona, gdy zaciska więzy na moich nadgarstkach i kostkach. Nie boję się, ani trochę. Dziewczyna jest tu ze mną. Sprawdza węzły, a potem oddala się, jakby odpływała niczym duch do pokrywy dołu. Kłapa unosi się, gdy Ashley June podchodzi bliżej. Dziewczyna znika w podziemiu jak dżin wracający do butelki. Znika lśnienie jej sukni, pokrywa się zatraskuje, a arenę spowija nieprzenikniona ciemność.

I teraz dopiero zaczynam się bać.

Szarpię się w więzach i ku mojemu zaskoczeniu puszczają niczym roztopiony tłuszcz. Próbuję znaleźć pokrywę, ale w mroku jestem ślepy. Wyciągam ręce, rozcapierzam palce.

Ashley June.

Ale potem wszystko mi się miesza. Przekręcam jej imię.

June Ashley.

Nie, nie, potrząsam głową. Ash Junely. Ash July. Przyjdź do mnie, pomóż.

I wtedy trafiam do jej pokoju w podziemiach. Rozpoznaję go przez bliskość wilgotnych ścian.

- July Ash! - wołam. - July Ash!

Wynurza się z ciemności, dostrzegam tylko jej twarz. Ale to oblicze kogoś innego. Czuję się zmieszany. A potem dociera do mnie, że to jednak ona, ale obraz wciąż się zmienia i migocze, oczy się zmniejszają i przekształcają, kości policzkowe unoszą i opadają, nos poszerza się, a potem zwęża, kolor tęczy przechodzi od zielonego przez żółty do czarnego. To ona. A potem Kwiecista Sukienka. Następnie Pokazówka. Na koniec Czerwonousta.

Mówi.

Gene, Gene, Gene - szepcze nieustannie, początkowo nagłaco i ze strachem, potem z rezygnacją, która zniekształca jej wymowę. Gene, Gee-Ge... Wreszcie nie brzmi to jak głos Ashley June, lecz jak amalgamat wszystkich głosów dziewcząt w wiosce, początkowo uśmiechniętych i radosnych, potem coraz bardziej szaleńczych, energicznych, jak tłum, który zaczyna coraz głośniejsz skandować. Szybciej i szybciej, coraz głośniejsz i głośniejsz. Słowa wznoszą się i stają przenikliwe, świdrujące, gorączkowe.

Potrząsam głową, próbując oczyścić umysł. Ale ciemność podziemi wniknęła w bruzdy mojego mózgu. Nie rozumiem już i nie pamiętam. I to jest najstraszliwsze - to uczucie, które sprawia, że budzę się jak pod wpływem koszmaru.

Nie potrafię przypomnieć sobie twarzy Ashley June. Nie potrafię przypomnieć sobie brzmienia jej głosu.

## Rozdział 19

Budzę się z krzykiem. Wspomnienie koszmaru zalewa mi umysł jak żrący kwas. Przez chwilę wydaje mi się, że wróciła gorączka, ale czoło mam suche i chłodne w dotyku. Zamykam oczy, próbując znowu zasnąć. Ale sen mnie opuścił, przepędzony przez koszmar, i tej nocy już nie powróci.

Przyjdź do mnie - wyszeptła bezgłośnie Sissy, gdy się widzieliśmy wieczorem.

Gwiazdy świecą jasno. Nie ma żadnego ruchu, żadnych dźwięków dochodzących z sąsiednich chat, gdy przekradam się brukowaną drogą. Mijam jadalnię i kuchnię, zapachy pieczenia wciąż unoszą się w pobliżu. Tuż za kliniką skręcam na szerszą uliczkę obramowaną podobnymi do pociętych kolumn kamieniami. Wcześniej zauważyłem, że Ben chodzi po nich jak po linie - z szeroko rozłożonymi ramionami dla utrzymania równowagi - i śmieje się radośnie.

Nocną ciszę przeszywa krzyk.

Tak blisko, że omal nie wyskoczyłem ze skóry. Zanim udaje mi się dojść do siebie, drzwi do kliniki otwierają się przede mną. Przywieram do ściany, starając się zniknąć w wąskim paśmie cienia.

Ciemna postać, skryta pod kapturem i przygarbiona, zamyka szpital i mija mnie pośpiesznie. Wyczuwam dziwny zapach ludzkich wydzielin. Postać trzyma jakieś zawiniątko. A potem znika. Ale i tak dostrzegam bladą nogę wystającą spod tkaniny. Nogę niemowlęcia, pulchną, z małutkimi paluszkami zwiniętymi od chłodu nocy. Słyszę cichy, stłumiony płacz.

Zakapturzona postać śpieszy uliczką, a dziecko płacze coraz głośniej.

Śledzę oboje z bezpiecznej odległości. Zakapturzona postać kieruje się do dziwnego budynku bez okien, usytuowanego na tyłach innych chat. Ten dom jest krzywy, pochyla się w bok i opada lukiem na ziemię.

W blasku księżycy skradająca się postać odwraca się gwałtownie. Dopiero wtedy mogę zobaczyć ukrytą pod kapturem twarz.

I rozpoznaję ją. To jeden z przybocznych Krugmana, z ciężko opadającymi powiekami, haczykowatym nosem i skórą znaczoną śladami po ospie.

Skaczę za najbliższą chatę w nadziei, że cień osłoni mnie przed wzrokiem mężczyzny. Słyszę zbliżające się kroki, ciche i płynne. Wstrzymuję oddech, nie śmiem wychylić się zza węgła, nie śmiem się nawet poruszyć. Kroki się zatrzymują. Po chwili znowu je słyszę, ale tym razem oddalają się ode mnie i cichną.

Kiedy wyglądam zza rogu, uliczka jest pusta. Starszy znikł. Nasłuchuję płaczu niemowlęcia, ale bezskutecznie. Powoli ruszam przez uspioną wioskę, jednak staram się pozostać w cieniu.

Wokół panuje spokój i cisza.

Chociaż powietrze jest chłodne, czuję strużkę potu na karku.

Napięcie nie opuszcza mnie nawet wtedy, gdy oddalam się od chat i wędruję przez łąkę do farmy. Stawiam krótkie, nerwowe kroki, czubki butów mokną mi od rosy. Oglądam się w połowie drogi. Poza wąską, jaśniejszą ścieżką, jaką zostawiły moje ślady w trawie, nie dostrzegam oznak obecności kogoś innego. Po prawej rozciąga się polodowcowe jezioro, które migocze w blasku księżyca.

Farma jest cicha. Nie znam okolicy i trafiam do kurnika. Tylko parę ptaków się budzi, unoszą gwałtownie łebki, kręcą nimi z niepokojem, stoszą pióra, a ich zapach uderza mnie w nozdrza. Zawracam do chaty, w której, jak mi się zdaje, może przebywać Sissy. Zaraz jednak zawracam, gdy słyszę kwik i pochrząkiwanie świń.

Tuż przy pastwisku znajduje się samotna chata. Na łące stoją krowy, ledwie widoczne, ale ich obecność wydaje się kojąca. Z nozdrzy zwierząt unoszą się kłęby pary jak dym z komina mroźną porą.

Pokonuję dopiero połowę drogi, gdy drzwi się otwierają i wybiega z nich Sissy. Nie zwalnia, gdy jest blisko, lecz rzuca mi się w ramiona i ściska mnie mocno.

- Och, dobrze cię widzieć - mówi, jej usta poruszają się tuż przy moim uchu. - Gdy tylko cię przeniesiono, nie wiedziałam, do której chaty się pod-kraść. Gdzie cię umieścili?

- Jakże to ma znaczenie?

Sissy tylko potrząsa głową.

- Żadnego. Chciałam cię po prostu zobaczyć. Chyba nabrałam zwyczaju, żeby odwiedzać cię co noc. Upewnić się, że wciąż żyjesz. - Odsuwa się nieco i uderza mnie kilka razy pięścią w pierś. - Dlaczego przyjdzie tutaj zajęło ci tyle czasu? Czekam od wielu godzin!

- Wybacz. Chyba nadal jestem słaby i potrzebuję wypoczynku.

Dziewczyna ciągnie mnie lekko za ramię do lasu.

- Porozmawiajmy. Ale nie tutaj - mówi, zerknąwszy na chatę.

Idziemy w milczeniu przez posrebrzaną księżycem łąkę między drzewa. Dłoń Sissy wsuwa się w moją, splatamy palce. Dziewczyna ma chłodną, gładką i delikatną skórę. Nadal mnie to zaskakuje, dotyk drugiego człowieka. Po krótkim wahaniu ściskam dłoń Sissy. W nagrodę otrzymuję uśmiech.

Cisza i ciemność lasu otaczają nas jak kopuła. Nie ma gdzie usiąść, więc przystajemy

pod sekwoją. Patrzymy sobie w oczy, stoimy blisko siebie, żeby utrzymać ciepło. I nie tylko. Twarze mamy tak blisko, że miesza się para naszych oddechów.

Na rzęsach Sissy dostrzegam lśniąca kropkę. Chciałbym wyciągnąć rękę i zetrzeć tę łzę.

- Dobrze się czujesz? - pytam.

Przygryza wargi, ale kiwa głową.

- Nie do wiary, że oddzielono cię od chłopaków. A potem wyrzucili cię do tej obory.

- To zgodne z ich prawem.

- Mało mnie obchodzi ich prawo! Chłopcy nie chcieli, żebyś z nimi została?

- Oczywiście. Nalegali nawet.

- Więc dlaczego...

- Starsi okazali się bardziej stanowczy. A ja nie chciałam wszczynać zamieszania ani się narażać. Pamiętaj, że wszystko stało się ledwie parę godzin po naszym przybyciu do wioski. Nie byłam pewna, z czym mam do czynienia. Pomyślałam, że lepiej stosować się do miejscowych zasad. Powiedziałam więc Epapowi i reszcie, że nic nie szkodzi.

- Nie rozumiem, dlaczego Epap nie...

- To moje dzieło. Nalegałam.

- Jednak Epap mógł bardziej stanowczo stanąć po twojej stronie.

Dziewczyna lekko potrząsa głową.

- Daruj mu. Wszystkim chłopcom. Po życiu w kopule należało się spodziewać, że to wszystko przewróci im trochę w głowach. - Uśmiecha się. - Dostali jedzenie, picie, zajęcie. A kobiety poświęcają Epapowi więcej uwagi, niż potrafi znieść. Chłopcy są oczarowani tym miejscem.

- Nie kupuję tego, Sissy. Po wszystkim, co dla nich zrobiłaś, po tym jak przyprowadziłaś ich tutaj i uchroniłaś od ran, mogliby okazać ci więcej lojalności.

Dziewczyna ściska mi dłoń.

- Nie zrobiłam tego sama - zauważa.

- Cóż... - Opuszczam wzrok, bo czuję gorąco wpełzające mi na policzki i kark. - Ja tylko się dołączyłem, całą robotę wykonałaś ty.

Sissy marszczy brwi.

- Miałam na myśli twojego ojca. To on wszystko przygotował: mapę, łódź, tablicę...

- Ach, tak, mój ojciec. Oczywiście.

Sissy chichocze. Dziwnie to brzmi, jak poślizg albo wizg. Dziewczyna unosi rękę i gładzi mnie po włosach.

- Myślałeś, że mówię o tobie? - Uśmiecha się szeroko.

- Skądże. Wiedziałem, że mówisz o moim ojcu.

A potem nastrój się zmienia. Może to smutek, jaki dziewczyna dostrzega w moich oczach, albo opuszczenie ramion, ale uśmiech znika. Sissy głaszcze mnie wolniej, bardziej czule.

- Przykro mi z powodu twojego ojca.

- To cios dla nas obojga.

- Ale dla ciebie większy. To był twój ojciec. - Para jej oddechu muska mi twarz. - Powiedziano mi, że został znaleziony w górskiej chacie. Nie zostawił żadnego listu samobójcy. - Sissy kręci głową. - Początkowo nie mogłam uwierzyć. Nie chciałam. To zupełnie do niego nie pasowało.

- Co skłoniło mojego ojca do takiego kroku? - Spoglądam na dalekie światła wioski. - Co skrywa się w tym miejscu?

Dziewczyna mocniej ściska mi rękę.

- Gene, w tym miejscu sporo się kryje...

Kiwam głową z namysłem.

- Zauważyłem. O co chodzi z tymi dziewczynami o małych stopach i w ciąży? I co ze starszymi, którzy nadymają się jak pawie? I te prawa i zabezpieczenia.

I gdzie się podzieli młodzi chłopcy oraz dorosłe kobiety?

- Nie wiesz nawet połowy - przerywa mi Sissy z podnieceniem. - Byłeś długo nieprzytomny, nieświadomy, co się dzieje. Chwilami chciałam cię spoliczko-wać, żebyś się ocknął, byle tylko z kimś porozmawiać.

- A co z Epapem i chłopakami? Nic nie zauważyli?

Dziewczyna nerwowo kręci głową.

- Chłopcy, w tym... nie, zwłaszcza Epap, okazali się beznadziejni. Beznadziejni. Są tak oczarowani tym miejscem, że niczego nie widzą. - Zaciska zęby. - A kiedy próbowałam o tym porozmawiać z Epapem, oskarżył mnie o paranoję.

Kiwam głową, przypomniał sobie, że mówiła mi już o tym wcześniej.

- Nie do wiary, że to ciebie oskarżył o paranoję. Jesteś najbardziej rozsądną osobą, jaką w życiu spotkałem.

Wybucha śmiechem i wyczuwam, że to przynosi jej ulgę, zmniejsza napięcie.

- Och, Gene... Przez nich zaczęłam już wątpić, czy jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach. Szczerze mówiąc, mnóstwo czasu spędziłam na rozmyślaniach, czy to wszystko jest dziwne, czy normalne, a ja po prostu nie nawykłam. No wiesz, całe życie spędziłam pod



szklaną kopułą, co mogę wiedzieć o prawdziwym świecie? - Potrząsa głową, po czym zaczyna bić mnie w pierś. - Nie waż się więcej chorować! I nigdy nie zostawiaj mnie tak samej!

Wiatr szumi i porusza gałęziami. Spadają krople wody zebrane na liściach. Jedna trafia na skroń Sissy i spływa po policzku. Wycieram ją, mokre palce głaszczą miękką skórę.

Nadal mnie bije, ale ruchy są wolniejsze, coraz mniej skupione. Wreszcie Sissy przerywa, lewa dłoń zawisa jej w powietrzu. Spoglądam w oczy dziewczyny. Kiedyś wydawały mi się tylko brązowe, ale teraz dostrzegam w nich odcienie lasu wokół nas - orzechów, kory i cyprysów.

Ostrożnie cofam rękę z jej policzka i obejmuję zaciśniętą dłoń. Sissy chce mi coś powiedzieć.

Ale wtedy odwracam wzrok i puszczam dłoń.

Ręka opada. Stoimy w bezruchu i bez słów.

- Powiedziałas, że nie wiem nawet połowy tego, co tu się dzieje - przerywam w końcu milczenie.

- Co?

- O wiosce. Co jeszcze zauważyłaś?

Sissy rozgląda się zmieszana.

- Och, tak. - Śmieje się, ale bez radości, jakby odchrząknęła, żeby zmienić temat rozmowy. - Chodź tędy. Jednej nocy natknęłam się na coś bardzo dziwnego. Nie wiem, co o tym myśleć.

Prowadzi mnie między drzewami, czasami schyla się, żeby przejść pod zwisającym nisko konarem. Zatrzymujemy się na polanie. Przed nami ciągnie się stromy nasyp, który przecina las.

- Tam. - Sissy wspina się po nasypie.

Gdy wchodzimy po zboczu, spod butów toczą się małe kamyki. Na szczycie znajdują się wąskie metalowe tory o szerokości może ramion dziecka, idealnie równoległe i pozornie bez końca, przynajmniej dokąd sięgam wzrokiem, bo dalej giną w mroku.

Ogarnia mnie przemożny chłód.

Pochylam się, chwytam jedną z szyn. Zimne igły przenikają mi pod skórę, gdy raz jeszcze przyglądam się znikającym w ciemności torom.

- Wiesz, co to jest? - pyta Sissy.

Prostuję się, spoglądam za szynami w drugą stronę, po czym sztywnieję ze strachu. Znam odpowiedź.

- To coś, co nazywano „tory pociągu”. Czytałem o nich jako dziecko. W bajkach dla dzieci.

- Tory pociągu? - Dziewczyna patrzy na szyny. - Co to jest pociąg?

- Coś dużego - odpowiadam cicho. - Pojazd używany do podróży. Na długich, niewyobrażalnych dystansach, nawet na setki mil.

Próbuję ukryć emocje, ale mój strach przebija się w drzeniu głosu.

- Setki mil? - powtarza Sissy. Twarz jej blednie. - Co tutaj robi pociąg?

- Nie wiem.

Dziewczyna zerka na odległe chaty w wiosce.

- Gene - szepcze i wytrzeszcza oczy - co to za miejsce? Gdzie my jesteśmy?

## Rozdział 20

Chociaż byłem na nogach prawie przez całą noc, budzę się o świcie. Jestem w swoim pokoju, ale 'nie w łóżku. Na pościeli leży Sissy i głęboko śpi z głową wtuloną w poduszkę. Lecz nawet we śnie jej ciało wydaje się napięte, jakby wspomnienie minionych godzin - a w jej przypadku nawet dni - nie pozwalało jej się rozluźnić i odpocząć.

Chciała ze mną zostać. Powiedziała mi to na torach. Zapytałem, czy to nie sprowadzi na nas kłopotów. Jeżeli jej nieobecność na farmie zostanie zauważona, nie będzie to naruszeniem prawa?

- Nieważne prawo - odparła.

Prawdę mówiąc, ja także nie chciałem być sam. Wróciliśmy do mojej chaty, a kiedy zdołałem rozpaścić ogień - bo przemarzliśmy do szpiku kości - Sissy zasnęła. Szybko, jakby po raz pierwszy od wielu nocy.

Nie chcę jej budzić, więc cicho przysiadam na sofie i spoglądam w dogasający żar w kominku. Okno po lewej wychodzi na wschód, przez zasłony przesącza się pomarańczowy blask. Ani w ciele, ani w umyśle nie odczuwam senności, we krwi tętni mi adrenalina. W chwilę później narzucam bluzę i wychodzę na próg.

Słońce grzeje coraz mocniej i jaśniej, gdy idę wciąż pustymi uliczkami. Za wioską wznoszą się szczyty gór pozbawione śniegu, oprócz samych wierzchołków, wciąż spowitych bielą. Oddycham głęboko czystym powietrzem.

Uliczka otacza miasteczko, ale krąg się nie zamyka. Kiedy docieram do końca brukowanej części, przyciąga moją uwagę strumień szemrzący po lewej. Udeptana ścieżka wiedzie na nabrzeże i szeroki drewniany pomost otoczony sznurami na pranie. Pod ławą ustawione są równo tarki i wiadra. Chętnie napiłbym się wody. Schodzę.

Woda jest zimna i czysta. Po zaspokojeniu pragnienia przemywam twarz i przeciągam wilgotnymi palcami przez włosy. Zimne krople spadają mi na plecy, pobudzają i orzeźwiają. Czuję, że w głowie mi się przejaśnia, powraca czujność.

Po drugiej stronie rzeczki ktoś stoi. Obserwuje mnie.

- Hej, Clair - witam się. - Clair jak ser.

Nie od razu odpowiada, tylko na mnie patrzy.

- Nie powinieneś tutaj być - odzywa się wreszcie. Jej głos brzmi ostro w spokojnym powietrzu. - To wbrew prawu.

- Ty też nie powinnaś - odpowiadam. - Podejdz.

Zachęcam ją gestem.

Clair nieruchomieje, a potem ulega. Przeskakuje z kamienia na kamień, żeby pokonać szerokość strumienia, prawie nie moczy sobie butów.

- Hej... - Coś sobie dopiero teraz uświadamiam. - Jak to robisz?

Wygłąda na zaskoczoną.

- Przeszłam po kamieniach. Widziałeś, jak...

- Nie, chodziło mi o to, że nie jesteś jak inne dziewczyny. Nie kołyszysz się ani nie chwiejesz. Jesteś... normalna.

- Chcesz powiedzieć: brzydka.

- Co?

- Mam brzydkie stopy, jak mężczyzna. Możesz to powiedzieć.

Spogląda na jej buty, brązowe, z ciemnymi smugami od wilgoci.

- Nie rozumiem, skąd...

- Wiem, wiem. Są wielkie. To stopy mężczyzny, brzydkie. Nie zmieniły się w piękne jak kwiaty lotosu. Nie musisz się gapić. - Dziewczyna krzywi się z odrazą. - Ale mój czas wkrótce nadejdzie. Miałam się poddać przemianie w zeszłym roku, ale dostałam zadanie.

- Zadanie? Jakie? O czym mówisz?

- Jestem zbieraczką drewna. Muszę mieć stopy mężczyzny, żeby wędrować po lesie i zbierać drewno. To moje zadanie.

- To dlatego znalazłaś się tak daleko od wioski. Przy chacie.

Clair rozwiera czujnie oczy, rozgląda się nerwowo.

- Czemu tego jeszcze nie wykrzyczysz, żeby wszyscy mogli usłyszeć? - Podchodzi bliżej. - Proszę, nikomu nie mów, dobrze? Nie powinnam odchodzić tak daleko, już nie.

- Chata w górach. Tam ukrył się naukowiec... Starszy Joseph. Tam mieszkał, w drewnianej chacie, prawda?

Clair potwierdza skinieniem głowy, spuszcza oczy.

- Dlaczego tam mieszkał? Tak daleko od Misji?

- Muszę już iść.

- Nie, proszę. Jesteś jedyną osobą, z którą mogę tutaj porozmawiać. Co się stało z naukowcem?

Dziewczyna podejrzliwie mruży oczy.

- Popułnił samobójstwo. Powiesił się. - Spogląda na mnie uważnie. - Nie powiedziano ci?

- To nie było samobójstwo, prawda?

Twarz Clair ciemnieje, oczy skrywają się pod powiekami.

- Muszę iść - powtarza. - Łamiemy pierwsze prawo: Pozostań w grupie, we troje lub więcej. Samotność jest niedozwo...

- Wiem, jakie jest prawo. Zapomnij o nim przez chwilę, dobrze? - Podchodzę do dziewczyny, staram się mówić łagodniejszym tonem. - To miasteczko wywołuje u mnie gęsią skórę. Możesz mi powiedzieć, Clair. Co się stało z naukowcem?

W jej oczach widzę błysk.

- Nie popełnił samobójstwa, prawda? - powtarzam z naciskiem.

Coś się w niej łamie. Dziewczyna trochę się rozluźnia, już otwiera usta, żeby się odezwać...

Za nami rozlega się śpiew, rapsodia o blasku, łasce i pięknym nowym dniu. Zza zakrętu wychodzi szereg dziewcząt z koszami prania. Dziewczęta zatrzymują się zaskoczone moją obecnością na pomoście.

Odwracam głowę. Clair zniknęła. Spoglądam na las w nadziei, że dostrzegę ruch.

- Clair?

Ale dziewczyna już odeszła.

Zdenerwowany odchodzę, mijając praczki. Pochylają się w niskim ukłonie, szczerzą zęby w grymasie, który ma uchodzić za uśmiech. Tak fałszywy, że nawet moje udawane uśmiechy wyglądają bardziej szczerze.

- Dzień dobry - śpiewają. - Dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry.

Kilka dziewcząt już podwinęło rękawy, przygotowując się do namoczenia prania w strumieniu. Dostrzegam fragment skóry, a potem wypukłą, brzydką bliznę po wewnętrznej stronie przedramienia. Grube, nabrzmiałe i różowe krechy przecinające się w X, jak skrzyżowane pęta. Prawie udaje mi się to zignorować i ruszyć dalej. Ale wtedy dostrzegam identyczne blizny u kolejnej dziewczyny, tym razem po jednej na obu rękach.

Przystaję. Spoglądam na blizny. Dociera do mnie, czym one są. Zaczynam rozumieć, co zrobiono tym dziewczynom.

Zostały napiętnowane.

Praczką dostrzega moje spojrzenie i szybko opuszcza rękaw, żeby zasłonić szramę. Ale tylko lewy rękaw, nie prawy, nadal zawinięty za łokieć. Dziewczyna na prawym przedramieniu również nosi znak. Ale nie wypalone blizny, lecz interesujący tatuaż.

- Jak masz na imię? - zagaduję ją.

Kuli się na dźwięk mojego głosu. Zamiera. Wszystkie zamierają.

- Dzień dobry panu. - Uśmiecha się w ziemię, głos jej drży ze strachu.

- Jak ci na imię? - powtarzam jak najłagodniejszym tonem.

- Nie powinniśmy z panem rozmawiać - krzywi się.

- Dlaczego nie? - Staram się, aby mój głos pozostał opanowany. - Pytałem tylko o twoje imię, to wszystko.

- Debby - udaje jej się wydusić.

- Debby - powtarzam, a dziewczyna wzdraga się na dźwięk swojego imienia w moich ustach. - Co to jest? - Wskazuję na tatuaż.

Zerka, widzi, o co pytam.

- To mój Radosny Znak - wyjaśnia, po czym znowu spuszcza oczy.

- Co to jest Radosny Znak? - dopytuję się z ciekawością. Ale dziewczyna nie odpowiada. Pasemka jej rozpuszczonych włosów drżą na wietrze. - W czym problem? - dziwię się. - Dlaczego nie możesz...

- Zostaw ją.

Na te słowa rozlega się głośne westchnienie. Wszystkie głowy pochylają się jeszcze niżej. Oprócz głowy dziewczyny, która się do mnie odezwała. Ta praczka patrzy na mnie. A w oczach ma strach. Jednak nie tylko. W tym spojrzeniu czai się coś twardego jak kamień, coś, co łatwo się nie ugnie. Jednak zaraz znika. Dziewczyna również opuszcza głowę, wbija wzrok w ziemię.

Przyglądam się uważniej. Dziewczyna jest najwyższa w grupie, ale też najchudsza. Nos i policzki ma usiane piegami. Nie to jednak najbardziej ją wyróżnia. Na przedramionach dostrzegam cztery X. Brutalne, brzydkie piętna wypalone rozżarzoną narzędziem.

Dziewczyna znowu unosi głowę i spogląda mi w oczy. Bez nieśmiałości. Bez wstydu.

Raczej z ostrożną, czujną... nadzieją.

- Co to jest? - Wskazuję na blizny.

- Nazywane są Oznakami Przewiny.

Zerkam na jej prawe przedramię. Nie ma tam ani jednego tatuażu uśmiechniętej buźki.

- Dlaczego macie te... Oznaki Przewiny? Co one znaczą?

Ale dziewczyna mówi tylko:

- Proszę... - Jej głos jest cichy, lecz stanowczy.

- O co?

- Jeżeli odpowiem na twoje pytanie - wyjaśnia - złamię prawo. A jeżeli ja złamię prawo, wszystkie będziemy winne. Tak zapisano w nakazach. Winne współdziału. Nie tylko ja, lecz wszystkie zostaniemy przywołane do porządku.

Znowu spogląda mi w oczy. Czai się w nich nagląca prośba.

- Niektóre z nas mają więcej do stracenia niż otrzymanie jeszcze jednego piętna. - Ścisza głos. - Proszę więc, pozwól nam zająć się naszą pracą. Proszę, zostaw nas w spokoju.

Cofam się o krok, nie bardzo wiedząc, co zrobić.

Piegowata praczka rusza naprzód.

- Chodźcie, dziewczęta - nakazuje, a reszta posłusznie schodzi na pomost. Ich stopy uderzają głucho w deski.

Ruszam uliczką zmieszany. W głowie kłębi mi się tak wiele na wpół sformułowanych pytań, na które, jak się domyślam, nie otrzymam odpowiedzi. Wita mnie barwna wioska, jasne, kwieciste suknie dziewcząt, których coraz więcej pojawia się na uliczkach, jasnoczerwone plamy kominów, przyćmiony beż okiennych ram.

Zanim skręcę za róg, oglądam się na pomost. Wszystkie dziewczyny są pochylone, wyciągają rzeczy z koszy i zanurzają w wodzie pranie. Tylko ta piegowata stoi. Głowę obróciła w bok, ale czuję, że na mnie patrzy, obserwuje czujnie kątem oka. A potem ona również klęka i zabiera się do pracy.

Poranek spędzam na chodzeniu po miasteczku, jakbym był na zwykłym spacerze. Ale tak naprawdę rozglądam się... sam nie wiem za czym. Za czymś. Za czymkolwiek, co odbiega od normalności. Wszystko jednak jest podobne - grupy dziewcząt zajęte codziennymi obowiązkami, noszące worki mąki do kuchni, opiekujące się roześmianymi dziećmi na placu zabaw, zbijające deski na nową półkę w warsztacie snycerskim, przynoszące butelki mleka do żłobka, aby nakarmić niemowlęta leżące w kołyskach ustawionych w niekończących się rzędach. Kiedy nogi zaczynają mnie boleć, siadam na placu i obserwuję życie wioski z ławki. Grzeję się w słońcu. Od czasu do czasu słyszę krzyk przelatującego nisko orła, rozmowy dzieci, brzęk naczyń z kuchni. Łatwo zauroczyć się rytmem wiejskiego życia, ciepłymi kolorami, pociągającymi aromatami. Niemal rozumiem, dlaczego Epap i reszta chłopaków dali się tak łatwo oczarować temu miejscu.

Myślami powracam do ojca. Zastanawiam się, ile razy stąpał po kocich łbach, którymi niedawno wędrowałem, ile razy dotykał klamki lub sztućców, których użyłem. Wszędzie dostrzegam jego ślady. Wydaje się, że obecność ojca unosi się nad ulicami, że patrzy na mnie, jakby usiłowała mi coś powiedzieć.

Kiedy odnajduje mnie Sissy, jestem śpiący i wbrew okolicznościom zadowolony. Dziewczyna natomiast wyraźnie jest napięta, gdy sztywno przysiada na skraju ławki.

- Nie mogę znaleźć chłopców - mówi z irytacją.

- Sprawdzałaś w jadalni? - mruczę. - Tam na pewno znajdziesz Bena.

- Nie ma go - wzdycha. - Tak jest już od tygodnia. Codziennie wychodzą, odkrywają

nowe zajęcia, ciekawostki i zabawy. Nie potrafię dotrzymać im kroku, Gene. Czuję, że chyba ich tracę.

- Nic im nie jest.

- Wiem. - A potem ciszej pyta: - Na pewno nic im nie jest? A nam?

Prostuję się, mrużę oczy od słońca.

- Powinniśmy kogoś zapytać, gdzie są chłopcy.

Sissy tylko prychnęła.

- Powodzenia. Tutejsze dziewczyny nie odpowiadają na moje pytania. Nawet na mnie nie patrzą. Chyba że rzucają mi złe spojrzenia, gdy myślą, że nie widzę. Pewnie dlatego, że łamię znowu któreś z ich ukochanych praw.

I właśnie wtedy słyszymy Epapa. Chłopak krzyczy z podniecenia i podskakuje na ścieżce.

- Sissy! Musisz to zobaczyć, po prostu musisz to zobaczyć!

Stopami wzbija kłęby kurzu, gdy wyhamowuje tuż przed nami.

- O co chodzi? - pyta Sissy. - Uspokój się.

- Nie mogę się uspokoić, mówię ci - dyszy podekscytowany Epap. Ignoruje mnie, ledwie zerka, po czym chwyta dziewczynę za rękę. - Chodź. - Obraca się i ciągnie Sissy, żeby poszła za nim.

Dziewczyna się wyrywa.

- Nie wydaje mi się.

Epap odwraca się z nieskrywaną urazą. Rzuca mi krótkie spojrzenie, a potem znowu spogląda na Sissy.

- Naprawdę musisz to zobaczyć.

- Co?

- Poważnie, to wspaniałe. Zobaczyłem klasę uczniów na wycieczce. Poszedłem z nimi. Nie uwierzysz, co widziałem.

- Dobrze, pójdę, ale nie wyrywaj mi ręki ze stawu.

Epap wzrusza ramionami, po czym idzie pierwszy. Co chwila ogląda się, żeby sprawdzić, czy dziewczyna ruszyła za nim. Prowadzi nas krętą ścieżką obok budynku szkoły.

- Dokąd nas zabierasz? - pytam.

Chłopak mnie ignoruje, tylko przyśpiesza. Docieramy do budynku o dziwnym kształcie, który rozpoznałem - widziałem go zeszłej nocy. Ciemny budynek, do którego starszy zaniósł zawiniątko z niemowlęciem.

- Epap, co to za budynek?



Epap znowu nie odpowiada.

Ponad dwadzieścioro dzieci stoi w kolejce przy dwuskrzydłowych zamkniętych drzwiach. Dwie starsze dziewczyny - nauczycielki? - rozmawiają cicho ze starszym. Wszystkie głowy odwracają się do nas, gdy podchodzimy.

- Czy to żłobek? - pytam.

- Co takiego?

- Czy tu przynosi się małe dzieci?

Epap sztywnieje.

- Nic z tych rzeczy. Żłobek jest daleko stąd - parska, wskazując mniej więcej w stronę głównego placu wioski. - To Pokazywalnia.

- Pokazywalnia? Widziałem niemowlę przyniesione tutaj zeszłej nocy.

Chłopak wbija we mnie oczy.

- Nie rozmawiamy o narodzinach. To wbrew przykazaniom. - Odwraca się.

Marszczę brwi. Już mam zadać mu kolejne pytanie, gdy podwójne drzwi się otwierają. Strumień dzieci mrużących oczy przed światłem wylewa się na zewnątrz. Twarze mają pobladłe, przerażone, jakby właśnie zobaczyły film grozy, którego wcale nie chciały oglądać.

- Epap, co to za miejsce? - pytam.

Ale on jest zbyt podniecony i zbyt zajęty, by precyzyjnie się bliżko Sissy, nawet mnie nie słucha.

Młodszy starszy zwraca się do drugiego w środku, szepczą i zerkają na nas. Wreszcie kiwają głowami na zgodę, po czym pozwalają nam wejść.

Wyłożone metalem drzwi zamykają się za naszymi plecami. Spowija nas ciemność. Przy wejściu rozlega się metaliczny pomruk, po czym zapada cisza. Znajdujemy się w środku i zostaliśmy zamknięci.

- Nie bój się, nie bój się - szepcze Epap w mroku. W jego głosie słychać podniecenie.

- Sissy, to będzie zdumiewające.

Jedna z nauczycielek zaczyna mówić:

- Za chwilę otworzą się kolejne drzwi. Prowadzą na małą widownię. Idźcie ostrożnie, tam jest jeszcze ciemniej. Usiądźcie w drugim rzędzie. Wręczę wam przy wejściu błyskacze, nie przełamcie ich, dopóki nie powiem.

Z brzękiem drzwi się otwierają. Wchodzimy. Dostaję jakiś przedmiot i odruchowo zaciskam na nim palce. Jest miękki, długi może na stopę, zdaje się, że plastikowy. Domyślam się, że to właśnie błyskacz.

Szuramy, żeby przejść wzdłuż półkola siedzisk, potem zajmujemy miejsca. Ciemna

sylwetka pochyla się do mnie.

- Wy troje, chodźcie - mówi do nas nauczycielka. - Mamy miejsca dla VIP-ów, tylko takie są odpowiednie dla szacownych gości. Zwykle tylko star-szyźnie wolno je zajmować, ale dla was zrobimy wyjątek.

Sissy, Epap i ja ruszamy do pierwszego rzędu. Miejsca dla VIP-ów są szersze i wyłożone aksamitnymi poduszkami.

Z tyłu rozlega się głos nauczycielki:

- Witajcie na co dwumiesięcznej wizycie w Pokazywalni. Jak zwykle wizyta ta ma przypomnieć o okrucieństwie świata, którego musimy się strzec. Jesteśmy tu, aby odnowić nasze poczucie celu i misji. Aby ujrzeć prawdę tego, co mogłoby wydać się teorią tylko i abstraktem.

Obok mnie Epap wierci się z emocji.

- A teraz - ciągnie prowadząca - weźcie swoje błyskacze, przełamcie je i rzućcie w przód na około dwadzieścia metrów.

Natychmiast z tylnego rzędu rozlega się szelest i trzask łamanych pałeczek. Zielona poświata rozjaśnia ciemność. Zaraz potem wirujące pasma przelatują nam nad głowami, odbijają się od szklanej tafli i oświetlają zamknięte szklane pomieszczenie. Oraz to, co się w nim znajduje.

Szkoło oddziela pomieszczenie wielkości mniej więcej szkolnej klasy. Wewnątrz stoi drobna, młoda dziewczyna, chudziutka, niemal eteryczna, z długimi kruczymi włosami opadającymi na twarz. Oczy wydają się kocie, o zdumiewająco przenikliwym spojrzeniu, usta małe. Dziewczyna powoli podnosi głowę, jakby z niechęcią. Bez zainteresowania zerka na zgromadzoną widownię, ale gdy jej wzrok pada na naszą trójkę w sekcji VIP-ów, zatrzymuje się na dłużej.

- Co się dzieje? - pyta z napięciem Sissy. - Dlaczego ta dziewczynka jest zamknięta?

Epap ledwie nad sobą panuje. Przysuwa się bliżej, rozciąga wargi w szerokim uśmiechu.

- Dlaczego uważasz, że to dziewczynka? Skąd przekonanie, że to w ogóle człowiek? - Kilkukrotnie nabiera tchu. - To jedna z nich. Zmierchnik. Tak ich się tutaj nazywa. Odpowiednia nazwa, nie sądzisz? Przecież tacy przychodzą tylko nocą. Szkoda, że sami na to nie wpadliśmy. Przez tyle lat przychodzili w nocy, żeby na nas popatrzeć. Miło by było mieć przezwisko, które by można im wykrzyczeć.

Sissy cofa się, jej twarz wykrzywia szok. Zaciska dłonie na siedzisku. Dostrzegam bielejące kłykcie, gdy dziewczyna w napięciu spogląda na więźniarkę. Zmierchnicę.

Powtarzam tę nazwę szeptem.

- Zmierchnica.

Co tutaj robi? Jak tu trafiła?

Epap przełamuje swoją racę. Zielona poświata dobywa z półmroku jego twarz, tym razem nieoczekiwanie poważną. Chłopak zrywa się na równe nogi i rzuca błyskacz z całej siły. Raca rozbija się na samym środku ściany. Epap unosi zwycięsko ramiona, zaraz jednak dostrzega, że na moich kolanach wciąż spoczywa błyskacz. Chwyta go, przełamuje i rzuca z okrzykiem złości. Raca odbija się tuż przed zmierzchnicą. Dziewczyna nawet nie mrugnie. Tylko patrzy. Na nas. Na mnie.

Z tyłu wszyscy milczą. Ani jeden szmer nie dobiega z grupy dzieci.

Epap wreszcie siada.

- Tylko poczekaj, zobaczysz, co teraz będzie - mówi do Sissy. Oddycha ciężko, płytko.

W przejściu między rzędami rozlegają się kroki. Schodzi nauczycielka. Trzyma duży, plastikowy, wąski i wysoki słoik wypełniony ciemną, gęstą cieczą. Zmierchnica prostuje się szybko, wbija wzrok w słoik.

- Nie wolno nam nigdy zapomnieć - szepcze nauczycielka. - Nie wolno nam nigdy zapomnieć o żądzy krwi zmierzchników, o ich głodzie. Nigdy nie zapominajmy, jak bardzo pragną naszej krwi i ciał. Patrzcie, dzieci, i uczcie się.

Nauczycielka staje przed małym przeszklonym otworem, tak wąskim, że ledwie precyzyjnie się przez niego drobna piątka. Młoda kobieta przystaje. Na mocy obopólnej umowy zmierzchnica cofa się pod przeciwległą ścianę więzienia, ale nie spuszcza oczu ze słoja. Nauczycielka czeka, aż zmierzchnica przysiądzie na czworakach, a wtedy wsuwa słoik do otworu i zamyka klapkę. Odpowiednie drzwi i podobny otwór znajdują się wewnątrz szklanej klatki. Gdy tylko się otwierają, zmierzchnica rzuca się do biegu. Nie zatrzymuje się przed szklaną taflą, lecz uderza w nią z siłą, jaka strzaskałaby niejedną czaszkę. Dziewczyna chwyta słoik, zanim spadnie, jej kończyny poruszają się jakby niezależnie od siebie, byle objąć pojemnik.

Jakaś uczennica z tyłu krzyczy z przestachu. Wtórą jej kolejna i zaraz szloch i krzyki przetaczają się przez gromadę widzów.

Zmierchnica przebija kłami pokrywkę, po czym wlewa sobie ciecz do ust. W parę sekund opróżnia słoik, po czym oblizuje ciemne krople z warg. Dopiero wtedy znowu podnosi wzrok. Patrzy na mnie. Z zaskakującym smutkiem i wstydem, a potem odwraca się i odchodzi w najdalszy kąt pomieszczenia. Do jedynego miejsca nadal ukrytego w mroku.

- A to była tylko świńska krew - szepcze nauczycielka wśród szlochających uczniów. - Przy rzadkich okazjach, gdy dajemy mu ludzką krew, zmierzchnik staje się bardziej nerwowy i oszalały, wręcz maniakalny.

Ludzką krew? Na samą myśl robi mi się zimno.

Nauczycielka podchodzi bliżej do zmierzchnicy. Przełamuje kolejną racę, wyciąga ją w stronę uwięzionej dziewczyny.

- Przyjrzyjcie się, jak denerwuje go światło - mówi, gdy zmierzchnica odskakuje i zasłania oczy. - Zmierzchnicy są wrażliwi niemal na każde światło, jakie znamy. Zasłaniają się nawet przed blaskiem księżyca.

- Jak udało się złapać tego zmierzchnika? - pyta w napięciu Sissy.

- Żadnych pytań - stwierdza nauczycielka. - Nie wolno zadawać pytań w Pokazywalni.

- Dlaczego nie?

Cisza.

- Bo tak po prostu jest - tym razem to nie nauczycielka odpowiada. Głos należy do mężczyzny. Starszego, który stoi ukryty w mroku przy drzwiach.

- Chcę tylko wiedzieć...

- Proszę kontynuować. - Starszy skinieniem ponagla nauczycielkę. Ton jego głosu nie zachęca do dalszej dyskusji.

Epap pochyla się do Sissy.

- To najlepsza część - szepcze z podnieceniem.

Druga nauczycielka schodzi z widowni z ciężką sakwą kapiącą od krwi. Przechodzi wzdłuż szklanej ściany do drzwi, których wcześniej nie zauważyłem. Nie bez powodu. Są ledwie widoczne, cieniutki prostokątny kontur w szkle wraz z cienką klamką tylko od zewnątrz. Przed drzwiami znajduje się elektroniczny panel.

Zrywam się z miejsca.

- Nie! Powiedzcie, że nie zamierzacie otworzyć tych drzwi!

Nauczycielka zatrzymuje się spokojnie.

- Oczywiście, że nie. Nie bądź śmieszny. - Po czym przepycha sakwę pod drzwi.

- Czy te drzwi w ogóle działają? - pytam.

- Hę? - Nauczycielka prycha, ale nie wiem, czy z zaskoczenia, czy z wysiłku.

- Te drzwi. Z zamkiem.

- Nie martw się, są bezpieczne. Zawsze zamknięte. Tylko najważniejsi starsi znają kombinację.

- Do czego są używane? Czy to nie zbyt ryzykowne, żeby...

- Żadnych pytań! - głos starszego przerywa mi jak trzask zamykanych drzwi.

Nauczycielka przepycha ciężką sakwę w kąt. Zmierchnica obserwuje, przechyla głowę, po czym rusza do niewielkiego zbiornika z wodą, umieszczonego w podłodze i przylegającego do szklanej ściany. Nie zauważyłem go wcześniej. Tafla wody jest nieruchoma i gładka jak lustro, kwadratowa; może być tam głęboko co najwyżej na trzy stopy. Zmierchnica zatrzymuje się dokładnie przed małym zbiornikiem, wzbity przez nią kurz marszczy powierzchnię.

- Zmierchnicy uwielbiają ludzkie mięso - oznajmia nauczycielka. - Ale pożerają każde inne. Dzisiaj to mięso świni.

I dopiero wtedy dostrzegam jeszcze jeden zbiornik z wodą. Ten znajduje się na zewnątrz szklanej klatki, u stóp nauczycielki, identyczny jak ten po drugiej stronie, niczym lustrzane odbicie. Nauczycielka unosi sakwę dokładnie nad zewnętrzny zbiornik i upuszcza, pakunek spada z pluskiem. Ku mojemu zaskoczeniu sakwa znika wśród bąbelków.

- To studzienka w kształcie litery U - wyjaśnia nauczycielka mnie i Sissy. - Jeden pionowy koniec sięga tutaj, drugi wychodzi wewnątrz. Te dwa wąskie kanały sięgają na dziesięć metrów w dół i łączą się pod ziemią. Są całkowicie wypełnione wodą. Ponieważ zmierchnicy nie potrafią pływać, tępa-ki utopiłyby się w kałuży, jest to całkowicie bezpieczne. Zmierchnicy tak bardzo boją się wody, że większość ludzi uważa tę studnię za najbezpieczniejszą część Pokazywalni. Moim zdaniem, to genialne rozwiązanie, proste, lecz doskonałe. Dzięki niemu możemy karmić zmierchnika większymi kawałkami mięsa, które nie zmieściłyby się w wąskim podajniku.

Nauczycielka podnosi długą tyczkę spod rzędu siedzeń, po czym wsuwa ją do zbiornika. Za pomocą kija wpycha sakwę głębiej. Kiedy tyczka zanurza się prawie w całości, kobieta popycha pod kątem. Wreszcie zadowolona wyjmuje tyczkę.

- Przesunęłam sakwę, za chwilę wynurzy się po drugiej stronie. Wystarczy tylko poczekać. To nie potrwa długo.

Zmierchnica na czworakach wpatruje się intensywnie w wodne ujście tunelu. Jej podbródek dotyka niemal powierzchni, ciało drży w oczekiwaniu, smugi śliny kapią do zbiornika. Światło blednie i nauczycielka przełamuje jeszcze kilka rac. Zmierchnica krzywi się, ale nie odsuwa. Długie czarne włosy opadły jej na twarz, jakby skrywały wstyd. Potem zmierchnica wychyla się, zanurza rękę niemal po bark, odwraca głowę od wody i w okamgnieniu wyjmuje sakwę.

Wreszcie zawiniątko znajduje się poza wodą, a dziewczyna rozrywa płótno. Smugi śliny i krople wody rozbijają się na szybie więzienia. Zmierchnica z warknięciem wbija zęby

w zimne, mokre mięso.

Sissy nagle zrywa się i odchodzi. Starszy przy drzwiach próbuje ją powstrzymać, ale dziewczyna odsuwa jego rękę. Słyszę trzask otwieranych drzwi, dostrzegam smugę światła. Kiedy wybiegam za nią, Sissy stoi z głową uniesioną ku słońcu i mrużąc oczy, chrapliwie łapie oddech.

Zaraz potem Epap przepycha się obok mnie i podbiega do dziewczyny.

- Sissy, co ci jest? - pyta.

Dziewczyna odwraca się od niego.

- Zostaw mnie!

- O co chodzi? - Chłopak jest szczerze zmieszany. Zerka na Sissy, potem na Pokazywalnię. Wreszcie patrzy na mnie. - Co jej zrobiłeś? Obmacywałeś ją? Po ciemku?

- O czym ty mówisz? - pytam zaskoczony.

- Nie, poważnie. Dotykałeś jej?

- Przestań, Epap! - Głos dziewczyny jest głośny, lecz nerwowy. - Nikt mnie nie dotknął.

- Sissy? - Epap próbuje podejść.

Sissy nie odpowiada, odsuwa się i odchodzi na wyraźnie uginających się nogach. Epap rusza za nią, próbuje położyć jej dłoń na ramieniu. Dziewczyna wyrywa się ze słabego uścisku, odpycha chude ręce chłopaka.

A jego zaczyna to złościć.

- O co chodzi, Sissy?

Sissy odwraca się do Epapa.

- Jak mogłeś? Jak mogłeś mi to zrobić? Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

- Co?

- Jak mogłeś nawet pomyśleć, że to coś, co chciałabym zobaczyć?

- Nie, nie, nie rozumiesz. Tam jest całkowicie bezpiecznie. Tę ścianę zrobiono ze szkła takiego jak w kopule. Nie do przebicia. A drzwi zostały zamknięte z zewnątrz. Zbiornik, jak sama słyszałaś, wypełnia woda i zmiernik jej nie przejdzie. Nigdy bym cię nie naraził na niebezpieczeństwo, Sissy, wiesz, że...

Na jej twarzy wybucha gniew.

- Nie o to mi chodzi!

- Nie rozumiem, Sissy! Sissy? - Epap przeczesuje sobie włosy palcami. - Myślałem, że ci się spodoba. Dlaczego nie? Przecież po tym, co nam zrobili zmiernicy, to jak odwet! Niech oni też zobaczą, jaka to przyjemność żyć w szklanej klatce! Być oglądanym jak

zwierzę! - Chłopak zaczyna krzyżeć: - Dlaczego to ci się nie podoba?

Sissy tylko kręci głową, po czym podchodzi do mnie i ujmuje mnie za łokieć.

- Pójdiesz ze mną? - pyta cicho. - Musimy dowiedzieć się wreszcie, o co tu chodzi.

Epap nie wierzy własnym oczom. Nie wie, gdzie podziać ręce, gdzie schować głowę, co zrobić z wdeptanym w ziemię entuzjazmem. Jego wzrok pada na dłoń dziewczyny na moim ramieniu, a kiedy spogląda mi w oczy, widzę w tym spojrzeniu ostrość i ból.

- Co w nim jest takiego? - Wskazuje mnie palcem. - Co w nim takiego, że cię zmienił?  
Wystarczy, że zagwiżdże, a już do niego lecisz?

Epap chwyta Sissy za rękę, odciąga ode mnie.

## Rozdział 21

Sissy wyrywa się, chyba ma ochotę uderzyć chłopaka pięścią. Złamać mu nos, podbić oko.

Ale się powstrzymuje. Zaciska tylko palce.

To bynajmniej nie powstrzymuje Epapa.

- Wiesz, do kogo garną się dziewczyny z Misji? Wiesz, za kim się oglądają? Za mną, Sissy! Za mną, nie za nim! Nie widziałaś tego, Sissy? Nie zauważyłaś, jak za mną chodzą, mówią o mnie, patrzą? Bo może powinnaś. Wtedy przestaniesz mnie traktować, jakbym do ciebie należał. Wtedy zaczniesz mnie wreszcie dostrzegać.

Sissy tylko na niego patrzy z zaciśniętymi zębami.

- Co mam zrobić, Sissy? Przez wszystkie te lata, nasze całe życie, byliśmy razem. To się nie liczy? Ten obcy chłopak pojawił się znikąd, a ty od razu do niego łgniesz. Co w nim jest, czego ja nie mam? Staram się jak mogę, robię, co mogę, a ty mnie odpychasz. Odpychasz mnie, Sissy. - Epap podchodzi bliżej do dziewczyny, jakby chciał ją zastraszyć. Ale Sissy ani drgnie. - Nie rozumiesz, co mogę ci dać?

Tyle dziewczyn mnie chce, ale ja pragnę tylko jednej. Tylko dla ciebie mógłbym wszystko poświęcić.

Gdy chłopak milknie, twarz Sissy łagodnieje. Dziewczyna robi krok do Epapa - a jego spojrzenie od razu się rozjaśnia - po czym go mija.

Chłopak zamiera.

- Przykro mi, Epap - mówi Sissy.

Ujmuje mnie za łokieć i lekko ciągnie. Odchodzimy razem. Dziewczyna nie ogląda się ani razu.

Dokąd idziemy? - pytam Sissy, gdy przemierzamy śpiesznie ulicę.

- Zamierzam dowiedzieć się wszystkiego, Gene.

- Powiedz, jaki masz pomysł.

- Idę do Krugmana. Zamierzam wyciągnąć z niego odpowiedzi.

Dziesięć kroków dalej mówię:

- Sissy, musimy postępować ostrożnie.

Dziewczyna przystaje. Oczy jej płoną.

- Oboje wiemy, że coś jest strasznie nie w porządku z tą wioską. Pojmany zmierzchnik, tory pociągu. - Potrząsa głową. - Nie wspominając, że coś w tym miejscu



doprowadziło twojego ojca do samobójstwa! Czas ostrożności dobiegł końca!

- Wiem, Sissy! Ale dajmy sobie trochę czasu, żeby dowiedzieć się czegoś więcej samodzielnie. Ujawnienie naszych podejrzeń Krugmanowi nie jest najlepszym posunięciem.

Sissy tupie nogą.

- Zapominasz o czymś. Dla ciebie to jest nowe, ale ja mieszkam tutaj już pięć dni. Mam dość podglądania i zabawy w detektywa. Koniec z chodzeniem na paluszkach. - Przeciąga dłonią po włosach. - Chcę prawdy. I pójdę sama, jeżeli będę musiała. Ale wołałabym mieć cię u swego boku, Gene.

Napotykam jej świdrujące spojrzenie. Może Sissy ma rację. Konfrontacja może okazać się jedynym sposobem poznania prawdy. Wracam myślami do praczek spotkanych rano, ich tatuaży i blizn. Niechęci do mówienia. Kiwam głową. Sissy uśmiecha się do mnie z wdzięcznością.

- Gdzie jest Krugman? - pyta Sissy grupę dziewcząt z wioski, gdy je mijamy. Potrząsają tylko głowami i uśmiechają się pusto.

- Gdzie znajdę głównego starszego Krugmana? - pytam inną grupę dziewcząt. Kłaniają się, unikają mojego głosu i kręcą głowami.

- To bez sensu! - wzdycha Sissy zdenerwowana.

- Hej, ty! - wołam na starszego za otwartym oknem. Mężczyzna siedzi w fotelu z nogami na stole i kuflem w dłoni. Na nasz widok starszy mruga niepewnie. Spienione piwo ulewa się z naczynia.

- Co?

- Powiedz mi, gdzie jest Krugman - wołam, wiedząc, że robię zamieszanie. Przez okno dostrzegam innych klientów. Wszyscy to starsi, a budynek pełni chyba rolę gospody. Patrzą na mnie z obojętnym rozbawieniem.

- Nie masz prawa o to pytać - odpowiada jeden z mężczyzn.

- To pilne. Muszę z nim porozmawiać. - Podchodzę do okna.

- Jak my wszyscy... - słowa starszego są rozciągnięte. W środku siedzi wielu mężczyzn w różnych stadiach upojenia. Kufle, lampki wina, szklaneczki do whisky stoją w pobliżu rąk o brudnych paznokciach. Opary alkoholu mieszają się z tytoniowym dymem i ohydny zapachem z ust pijących.

Odsuwam się od okna. Gdy znikam im z widoku, myślą, że się poddałem i odszedłem. Pada cichy komentarz, potem tubalny śmiech. Sissy i ja zaskakujemy ich, gdy wchodzimy przez wahadłowe drzwi. Uśmiechy znikają ze wszystkich twarzy.

- Powiedziałem, że muszę zobaczyć się z Krugmanem. Gdzie jest?

Starszy przy barze odwraca się do mnie twarzą.

- W czym problem? Może będę mógł ci pomóc? - odzywa się gorliwym tonem. Dopiero po chwili dociera do mnie, że mężczyzna sobie ze mnie kpi. Wybuch śmiechu tylko potwierdza moje podejrzenia.

Ale dostrzegam również, że jeden ze starszych, który śmieje się zbyt głośno, nerwowo zerka na drzwi za barem. Zamknięte drzwi.

- Jest tam? - Wskazuję za kontuar. I tak po prostu śmiech milknie. W powietrzu gospody narasta napięcie. - Jest tam, prawda? - I ruszam do zamkniętych drzwi. Sissy drepcze mi po piętach.

Mężczyźni wstają jak jeden mąż, upojenie znika, jakby od początku było zależne od ich wyboru, stolki i krzesła szurają po drewnianej podłodze. Bez słowa starsi zastawiają nam drogę. Jeden z nich odpycha mnie mocno.

- Dość tego, przystojniaczku - mówi.

- Krugman tam jest. Muszę z nim porozmawiać.

- Nie możesz.

- Więc przekaż mu, że chcę porozmawiać.

- Nie. Nie wolno ci...

- Krugman! - wrzeszczę. - Krugman! Muszę z tobą porozmawiać! Teraz!

Pozostali mężczyźni nie tracą czasu. W okamgnieniu otaczają mnie, chwytają za kark, za ramiona...

- Czy to naprawdę konieczne? - Krugman staje w progu. Zamyka za sobą drzwi, palce głaszczą gładkie drewno. Głos ma cichy, obojętny, gdy zapina spodnie i poprawia koszulę. Spogląda łagodnie, uspokajająco. - Doprawdy można by pomyśleć, że zbliża się lawina.

Spogląda na starszych.

- Nie zbliża się, prawda?

- Nie, skądże - odzywa się jeden ze starszych. - Tylko młodzieniec z dziewczyną narobili niepotrzebnego zamieszania.

- Powiedz, dlaczego trzymacie tutaj jednego z nich... zmierzchnika... w tej wiosce - wtrąca Sissy, która staje obok mnie.

- Och, widzę, że mieliście już okazję zajrzeć do Pokazywalni - uśmiecha się Krugman.

- Zamierzałem zabrać was tam osobiście, ale chyba już nie będzie to konieczne. I proszę, wolę każdą inną nazwę, byle nie „wioska”. Przez to Misja wydaje się taka... prowincjonalna.

- Co tutaj robi zmierzchnica?

Krugman kiwa na kogoś przy barze. Chwilę później dwie szklaneczki whisky

pojawiają się na kontuarze. Krugman ujmuje każdą w dłoń.

- Nie uważałeś podczas pokazu? Zmierznik służy do celów edukacyjnych. Przypomina naszym dzieciom w jak najbardziej dosadny sposób o niebezpieczeństwach czyhających za murami naszej osady. Doprawdy powinieneś poświęcić temu więcej uwagi. - Wyciąga do mnie rękę, proponując napitek.

Ignoruję zaproszenie.

- Uważałem podczas pokazu. A teraz ty powinieneś poświęcić uwagę mnie. - Krugman wytrzeszcza oczy. - Żyłem w świecie za tymi murami. Na własne oczy widziałem, do czego zmierzchnicy są zdolni. Nic ich nie powstrzyma, żeby zdobyli ludzką krew. Trzymanie tutaj jednego z łowców to proszenie się o kłopoty we własnym domu.

- Zmierznik jest bezpiecznie zamknięty - zapewnia Krugman z napięciem. - Gdybyś wiedział coś o tym szkłe, nie musiałbyś się martwić, że więzień się uwolni. Tafle są nie do przebiccia. Widzisz, to szkło...

- Znam tę technologię. A jeszcze lepiej znam zmierzchników. Tamta dziewczyna może wyglądać na słabą i potulną w niewoli, ale już próbuje wymyślić sposób, w jaki może się stamtąd wydostać. Wierz mi, na pewno znajdzie wyjście.

Rysy twarzy Krugmana tężeją. Jego pierś się unosi i zatrzymuje, po czym dopiero opada. Ale kiedy starszy zwraca na mnie wzrok, znowu uśmiecha się z wyrozumiałością. Grube czarne znamię pojawia się wśród fałd na podbródku, dokładnie na środku, jak trzecie oko.

- Misja działa jak dobrze naoliwiony mechanizm. Obywatele są zajęci, wypełniają swoje obowiązki. Co więcej, są szczęśliwi. Widziałeś, jak się uśmiechają, słyszałeś ich śpiew. Ich szczęście jest, co tu kryć, najważniejsze. Absolutnie najważniejsze. Nasze zadanie to upewnić się, że mają magiczne, cudowne dzieciństwo. Zaspokojenie potrzeb i pragnień. Z nadwyżką. - Wydaje się, że w jego oczach mieszają się radość i nienawiść. - Zaspokoiliśmy wszystkie twoje potrzeby, gdy tu przybyłeś. Jedzenie, opieka medyczna, ubranie, rozrywka. - Krzywi usta. - Ale może masz inne potrzeby, o których zapomnieliśmy?

- Nie wiem, o czym mówisz - odpowiadam.

- Cóż, oczywiście, że nie wiesz. - Krugman mruga do mnie porozumiewawczo. - Bez wątplenia smakowało ci tutejsze jedzenie. Dostałeś też wygodną kwaterę... - Zerka na zgromadzonych w sali starszych z uśmiechem. - Może powinieneś także poznać bliżej nasze dziewczęta. Bez trudu da się to załatwić.

Paru starszych chichocze. Brzmi to jak świergot.

- Twój towarzysz, Epap, odsunął się od tutejszych dziewcząt. A przecież jest tu z

czego wybierać. Na pewno widziałeś, jak wiele mamy tu piękności. Te... mniej urodziwe trzymamy na farmie, z dala.

- Co z oczu, to z serca - dodaje któryś ze starszych, co wywołuje więcej chichotów.

- Widzisz - podejmuje przemowę Krugman. - Tutaj powinieneś się roześmiać razem z nami. A my klepnęlibyśmy cię w plecy i zabrali do pokoju widokowego.

- Nie rozumiem, o czym mówicie - powtarzam.

- Młodziak nie przeszedł inicjacji - stwierdza starszy, wysoki mężczyzna ze zmrużonymi oczami. Poklepuje się po swoim wystającym brzuchu, a pozostali parszczą śmiechem.

- Młodzieniec jest trochę spięty, biedaczek - przyznaje Krugman. - To przez tłumienie potrzeb. Doprawdy powinniśmy o to zadbać. Może od razu? Zabierzemy go do pokoju widokowego? Znajdzie tam piękne dziewczęta w prawdziwej obfitości.

Zza moich pleców odzywa się Sissy:

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Ale skoro już mowa o obfitości, chciałabym wiedzieć, skąd bierzecie tyle jedzenia? I zaopatrzenie? I co z lekarstwami, narzędziami, zastawą, szkłem...

- Widzę, że macie mnóstwo pytań... - Krugman mierzy nas chłodnym spojrzeniem. Zapada cisza, nikt się przez pełną napięcia chwilę nie odzywa. A wtedy główny starszy uśmiecha się znowu charyzmatycznie. - I nie uspokoić się, dopóki nie otrzymacie odpowiedzi - dodaje niezbyt przyjaznym tonem. - Jesteście jak dzieci, które nie wiedzą, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Jeden ze starszych uśmiecha się krzywo. Krugman prychnął, spogląda na warowny mur za oknem.

- A zatem chodźcie - oznajmia i wskazuje wyjście. - Z radością zaspokoję waszą ciekawość. Ale przejdźmy do mojego biura, dobrze? To baszta na rogu muru. Niedaleko, parę kroków stąd.

I właśnie wtedy zamknięte drzwi za plecami Krugmana otwierają się na oścież. Wychodzi stamtąd młoda dziewczyna. Włosy ma rozczochrane, przyciśnięte z jednej strony do twarzy. Zatrzymuje się zaskoczona na widok mężczyzn, otula ciaśniej pledem, który zsunął jej się z ramienia. Dziewczyna opuszcza szybko głowę, mamrocze przeprosiny, po czym wymyka się z powrotem za drzwi.

Nikt nie komentuje. Dopiero Krugman odwraca się do sali z promiennym uśmiechem.

- No cóż - stwierdza, a ja czuję jego kwaśny oddech. - Ona z pewnością przeszła inicjację...

Ryk śmiechu wstrząsa gospodą. I nawet gdy opuszczamy salę, słyszymy goniący nas rechot. Kierujemy się do biura Krugmana. Mijane na ulicy dziewczęta przystają i kłaniają nam się nisko.

## Rozdział 22

Krugman prowadzi mnie i Sissy przez główny plac. Towarzyszą nam jego dwaj przybocznicy, starszy wskazuje w górę. Długi kabel ciągnie się z dachu jednej chaty do warownego muru.

- Tym kablem przesyłana jest moc do mojego biura - wyjaśnia. - Dla moich zabawek i maszynek, które tam trzymam. Żeby znaleźć moje biuro, wystarczy tylko unieść głowę, a przewód zawsze tam doprowadzi.

Rzeczywiście. Przewód biegnie wśród chat, dalej za brukowaną uliczkę, na łąkę. I do warownego muru.

Wspinamy się po spiralnych schodach wewnątrz wieży, metal dzwoni nam pod stopami. Na górze zostajemy poprowadzeni korytarzem do biura. A biuro robi wrażenie. Okna od podłogi do sufitu biegną po obwodzie, za nimi rozciąga się panoramiczny widok na góry i wioskę. Ostre, kontrastowe barwy na zewnątrz równoważy tradycyjne, ciepłe umeblowanie. Dębowe regały na książki stoją pod jednym z okien. Na półkach jednak nie ma tomów, lecz oprawione obrazki, chyba rysowane przez dzieci, z tęczą, słońcem i zwierzętami. Naprzeciw znajduje się duży kamienny kominek. Leży przed nim okrągły dywanik obramowany kwiatowym wzorem. Nad kominkiem wisi kolorowy, duży obraz w ramie, przedstawiający zieloną łąkę, jezioro, kwiaty i świecące jasno słońce.

Dziewczynka, najwyżej trzynastoletnia, podchodzi i podaje każdemu ze starszych szklaneczkę z whisky.

- Usiądźcie. - Krugman wskazuje dziwnie wyglądającą sofę. Wahamy się. - Nazywa się to szezlongiem - dodaje, gdy zauważa, że się przyglądam. - To stara, tradycyjna nazwa, ale oczywiście tego nie wiecie. Spójrzcie na ręcznie wypełnione trawą morską siedzisko. Cicho trzeszczy przy siadaniu lub leżeniu, może służyć za fotel lub łóżko. W sam raz dla przytulonej pary. Te poduszki, ta organiczna asceza. Uwielbiam ją. - Uśmiecha się. - Ale nie przyszliście tutaj, żeby rozmawiać o wystroju gabinetu, prawda? Słucham, jakie pytania was dręczą?

Sissy i ja spoglądamy na siebie niepewnie. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale nie jestem pewien, jak zacząć.

Krugman na widok mojego zmieszania uśmiecha się szeroko. Gdy spogląda na mnie z góry, zaznacza mu się drugi podbródek. Czarne znamię ukazuje się wyraźniej, włoski drżą jak wąsiki szczura. Starszy uśmiecha się znowu, po czym zajmuje skórzany fotel z wysokim

oparciem.

- No to jesteśmy - oznajmia Krugman. - Nie krępujcie się. Pytajcie o wszystko, co was dręczy.

Odchrząkuję.

- Po pierwsze chciałbym podziękować za wszystko. Tutejsza gościnność jest wspaniała, a powitanie cudowniejsze, niż moglibyśmy sobie wyobrazić. Jedzenie, śpiew...

- Dokąd prowadzą tory? - przerywa mi Sissy.

Krugman powoli wznosi oczy, po czym przymyka leniwie powieki. Wreszcie spogląda na dziewczynę. Wydaje się, jakby starszy czekał na taką właśnie chwilę, gdy w końcu może przyglądać się Sissy bez ograniczeń.

Dziewczyny nie peszy to spojrzenie.

- A to dopiero początek. Wyjaśnij, dlaczego nie byliście zaskoczeni naszym przybyciem. Gdybym tu mieszkała i nagle znikąd pojawiłoby się sześcioro wędrowców, byłabym w szoku. Ale wy zachowywaliście się, jakbyście się nas spodziewali. Wyjaśnij dlaczego.

- Mogę. To zajmie trochę...

-1 opowiedz więcej o wiosce. Skąd bierzecie jedzenie i zaopatrzenie? Te meble. Szkło. Cholerne pianino. Tak wysoko w górach powinniście ledwie sobie radzić. A jednak tarzacie się w luksusie. Mogło to zrobić wrażenie na Epapie i pozostałych, ale we mnie to miejsce budzi tylko więcej podejrzeń, nie podziw.

-1 powiedz nam o naukowcu, o starszym Jose-phie - dodaję. - Jak umarł? Kim był? Kiedy...

Krugman uśmiecha się, jakby...

-...nasze pytania cię śmieszają? - pyta surowo Sissy, spoglądając groźnie na starszego.

Krugman odchyła się w fotelu i wybucha śmiechem, od którego trzęsie mu się pokaźny brzuch. Znamię na jego podbródku znowu się wychyla z fałd na szyi.

- Nayden nark, nayden nark - mówi starszy, a oczy mu łzawią. - Nie to mnie bawi. Po prostu jesteście taką uroczą parą. A to, jak kończycie swoje zdania, to takie miłe.

Skinieniem głowy odsyła służącą. Dziewczynka natychmiast przechodzi między przybocznymi.

- Prawdę powiedziawszy - podejmuje Krugman, gdy drzwi się zamykają - miałem zamiar odbyć z wami tę rozmowę. A przynajmniej z Gene'em. Jako najstarszy mężczyzna w grupie jest prawowitym przywódcą, nieprawdaż?

Wstaje z fotela, odwraca się do nas plecami.

- Łatwiej będzie, jeżeli zacznę od początku. Nie mam pojęcia, ile już wiecie, zakładam zatem, że nie wiecie nic. - Przez długi czas wpatruje się w panoramę za oknami. - Może się to dla was okazać trudne... do zaakceptowania. Jeżeli w dowolnym momencie będziecie woleli, żebym...

- Jesteśmy gotowi - przerwała mu Sissy. - Po prostu nam powiedz.

Mężczyzna nie odwraca się, wciąż patrzy w dal. I właśnie tak opowiada - nie zwraca się do nas, lecz w dal.

- Nazywamy ich zmierzchnikami, bo wychodzą po zmierzchu, te stwory, które pragną nas zjeść, wypić naszą krew. - W końcu Krugman się do nas odwraca. - Ale to, jak widzę, już wam powiedziano. A jak wy ich nazywaliście? Przyznam, że jestem ciekaw.

- Nijak - odpowiadam. - To znaczy... byli po prostu... ludźmi. To my stanowimy aberrację, dziwaczość. Jesteśmy heperami - ostatnie słowo wypluwam z pogardą.

- Zamierzam powiedzieć wam o czymś, co może okazać się... cóż, zaskakujące... z braku lepszego określenia. Wybaczcie, że to wszystko zwali się na was od razu, ale obawiam się, że nie ma innego sposobu. - Po czym Krugman znowu odwraca się do okna i wbija wzrok w odległe góry. - Wieki temu z przyczyn zbyt skomplikowanych, żeby o nich teraz mówić, świat był rozdarty między frakcje wojowniczych narodów. Główne ówczesne potęgi, nazywane Ameryką, Chinami i Indiami, zgromadziły niewyobrażalny arsenał broni nuklearnej, cybernetycznej i biochemicznej. Mniejsze narody w obawie, że zostaną zgniecione, zmuszone były wybrać stronę i wstąpić do szeregu. Na świecie przepełnionym śmiertelnością bronią, gotową odpowiedzieć na najmniejszą nawet prowokację, próbę ataku, stało się jasne, że nikt nie ośmielił się jej użyć. Użycie tego arsenału oznaczałoby bowiem samobójstwo, katastrofę, która zniszczyłaby świat w kilka godzin, jeśli nie minut. Wszyscy by przegrali, nie byłoby zwycięzcy. A to spowodowało zupełnie inny wyścig zbrojeń. Nie chodziło w nim o wynalezienie broni masowej zagłady, tylko czegoś zupełnie innego. Tajnej broni, tak niekonwencjonalnej i nieoczekiwanej, że mogłaby nie tylko zniszczyć wroga nacje, lecz także pozwolić zwycięzcy zająć rumowisko. Ale jaka miałaby to być broń? Jak wyglądałaby, jak działała?

Jeden z przybocznych podchodzi do Krugmana z butelką whisky. Napienia szklaneczkę starszego. Krugman odchyła głowę, pije do dna, po czym ciągnie:

- Mała grupa naukowców renegatów w jednym z małych wyspowych państweczek, w Sri Lance, podjęła próby wynalezienia takiej broni. Naukowcy nazwali siebie Cejlonistami. Nazwa mocno na wyrost, biorąc pod uwagę, że była to tylko banda absolwentów wyższej uczelni z nadmiarem wolnego czasu i wielkimi długami za studia, która w czasach globalnego



kryzysu nie mogła sobie pozwolić na odrzucenie intratnej oferty, jaka zdarza się tylko raz w życiu. Mieli wynaleźć nową broń, nie nuklearną, nie cybernetyczną ani biochemiczną. Genetyczną.

Krugman wybucha piskliwym śmiechem, świdrującym i mało przekonującym o kryjącej się w nim radości.

- Broń genetyczna. A ujmując to w skrócie, genetycznie zmutowany superżołnierz. Odporny na opad radioaktywny. Odporny na każdą broń biochemiczną znaną ludzkości. Wolny od chipów komputerowych i urządzeń wspomagających, w pełni tkankowy, a zatem odporny na cyberataki. I nie tylko odporny, lecz także elastyczny. Superżołnierz zdolny zaatakować nie przez dobrze strzeżone drogi, jak niebo, powietrze czy sieć elektroniczna, tylko z buta, na ziemi. Jakie jeszcze państwo utrzymywało środki obronne przeciwko natarciu piechoty? Wszystkie naziemne systemy obronne od dawna nie były używane, popadały w ruinę jak Linia Maginota, równie przydatne jak spowijające je pajęczyny. Ale atak naziemny przeprowadzony przez superżołnierzy byłby brutalny, zaskakujący i niszczyielski. A gdyby genetycznie skonstruować takiego żołnierza?

Krugman nalewa sobie kolejną porcję trunku. Kręci whisky w szklaneczce i chyba nie zauważa, że kilka kropel spada mu na palce.

- No właśnie. A gdyby tak skonstruować takiego żołnierza? Nigdy się nie dowiemy. Pomysł nie spotkał się z uznaniem i finansjera odcięła fundusze na taki projekt. Jednak jeden samotny maniak, członek Cejlonistów, dwudziestosiedmioletni As-hane Alagaratnam, popadł w obsesję. Nawet gdy stracił wsparcie finansowe, a laboratorium zostało zamknięte, kradł wyposażenie i preparaty, żeby nadal prowadzić eksperymenty. Cejloniści się od niego odcięli, ale Alagaratnam kontynuował badania w ukrytym, prowizorycznym laboratorium. Głupiec. Władze w końcu się ocknęły, aresztowały wszystkich zamieszanych. Poza Alagaratnamem. Zdążył się ukryć, znalazł się poza zasięgiem. Niewiele wiadomo o tym, co się zdarzyło przez kilka następnych lat. Ale wiemy na pewno, że Alagaratnamowi skończyły się środki, nie miał nawet na szczury laboratoryjne. I dlatego użył jedyne szczura, na jakiego mógł sobie pozwolić.

- Użył siebie - szepczę.

Krugman kiwa głową.

- Coś poszło nie tak. Straszliwie nie tak. Tyle że Alagaratnam o tym nie wiedział. Zmiany, jakie w nim zachodziły, były niewidoczne, głęboko pod skórą. Dlatego wciąż eksperymentował na sobie, nieświadomy tego, co w sobie rozpętał. Pierwsze symptomy zmian pojawiały się powoli: wzmożona wrażliwość na światło, narastająca niechęć do

owoców i warzyw połączona ze wzrastającym apetytem na mięso, im bardziej surowe i krwiste, tym lepiej. Aż pewnego dnia...

- Symptomy stały się oczywiste - podsuwa Sissy.

Krugman parska śmiechem, przymyka oczy.

- Mało powiedziane... Katastrofalne raczej. Alagaratnam prowadził videodziennik, teraz przechowywany jako dokument historyczny. Można na własne oczy obejrzyć dezintegrację twórcy koszmaru. Zmiany nastąpiły lawinowo w ciągu kilku godzin. To, co zaczęło się jako niewielkie znamię na twarzy, skończyło się... parę godzin później katastrofalną eksplozją koszmarnych rozmiarów. - Znowu pociągnął łyk alkoholu i spojrzał w dal. - Na szczęście wszystko to stało się na małej wyspie. Oczywiście Sri Lankę objęła niszczycielska epidemia, cała populacja państwa uległa przemianie w ciągu tygodnia. Ale przynajmniej plaga wybuchła na ograniczonym obszarze. Startujące stamtąd samoloty dało się łatwo zestrzelić, statki łatwo zatopić. I tyle wystarczyło, żeby to opanować. Pilnować morza, pilnować nieba. I pozwolić, żeby słońce załatwiło resztę. W końcu zmutowani ludzie zaczęli wychodzić tylko po zachodzie słońca, gdy zapadał mrok. Właśnie dlatego nazwaliśmy ich zmierzchnikami. Nie byli dzikimi zombie, niezdolnymi do refleksji i samoświadomości, czy brutalami myślącymi wyłącznie o zaspokojeniu swoich hedonistycznych, lubieżnych żądz. Poza ich niepoahamowanym pragnieniem ludzkiego mięsa i krwi zachowywali się... cywilizowanie. Inteligentnie. Wiedzieli, kim są, umieli mówić i myśleć perspektywicznie. Kiedy zaczęło brakować jedzenia, nie uciekli się do kanibalizmu. Po prostu umierali z głodu. Albo wybiegali w samobójczych gromadach na słońce.

- I właśnie tak to się skończyło? - zapytałem.

Krugman znowu zamyka oczy, a jego potężne ciało zaczyna się trząść. Nie wydaje żadnego dźwięku. Smugi łez spływają po pulchnych policzkach.

- Doprawdy? Tak właśnie się skończyło? To znaczy doprawdy? Więc skąd się wzięli zmierzchnicy tutaj? Dlaczego stulecia później musimy wciąż się z nimi męczyć? - Śmiech starszego nagle się urywa. - Nie można powstrzymać zarazy. - Słowa są nieco niewyraźne, przeciągnięte.

- Co się stało potem? - pyta Sissy.

- Do dzisiaj nie wiemy, jak rozniosło się zakażenie. - Krugman wyciera łzy. - A przynajmniej nie mamy pewności. Istnieją spekulacje, że ptak ze smugami śliny zmierzchników na piórach przeleciał niepostrzeżenie ze Sri Lanki do Indii. A potem... możliwe, że dzieci z przedszkola podniosły rannego ptaka, odrobina śliny dostała się do ich krwi przez choćby drobne rozcięcie na skórze, na przykład... Kto wie? - Przesuwa palcem po

krawędzi szklanki. - Sytuacja wydawała się rozpaczliwa. Całe kontynenty opanowali zmierzchnicy, resztki populacji kryły się w zapomnianych zakątkach świata. Biegun południowy początkowo cieszył się dużą popularnością, ponieważ panował tam dzień przez całą dobę. To znaczy dopóki nie skończyło się lato i nie zaczęła sześciomiesięczna noc polarna. - Zacisnął usta. - To były trudne czasy dla całego świata. Zagłada ludzkości wydawała się nieuchronna i szybka.

- Co się stało? - pytam. - Z ludzkością.

- Zdarzył się cud. Źródła historyczne są skąpe, ale znikąd pojawił się ktoś, kto zmienił układ sił.

- Ktoś, kto zmienił układ sił? - powtarzam.

- Można powiedzieć, że zmienił przeznaczenie. Przynajmniej tak mi się wydaje. Na małej wyspie przy wybrzeżu Chin, zwanej Chaung Chau. Młoda kobieta, - Jenny Shen, pracowała samotnie w ukrytym laboratorium w opuszczonej wiosce. To właśnie Jenny Shen heroicznie odkryła antidotum. Nie mam czasu na wdawanie się w szczegóły, ale dość powiedzieć, że antidotum okazało się skuteczne. Przez dekady los się odwrócił. W końcu zmierzchnicy musieli się wycofać. W ostateczności dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięćdziesiąt dziewięć procent populacji zmierzchników wymarło.

- A co z tym ułamkiem procentu? - zapytała Sissy.

Krugman namyśla się chwilę.

- Okazali się odporni na antidotum. Z nieznanых przyczyn antidotum nie zabiło wszystkich, nielicznych wzmocniło. Stali się silniejsi, szybsi. Bardziej przerażający. Ale ta grupka była na tyle nieliczna, że udało się w końcu ją otoczyć, uwięzić. Dwa tygodnie dzieliły ją od eksterminacji, tyle miało potrwać wydanie rozkazów zabicia ostatnich zmierzchników. I wtedy liberałom zaczęły krwawić serduszka, wtrącili się również religijni zwolennicy praw... Te dwa stronnictwa połączyły siły - ostatnie słowa Krugman niemal wypluł. - Dziwny to był sojusz, że tak powiem. Zjednoczeni zaczęli głośić z patosem, że ludzkość to gatunek bardziej oświecony i nie wolno jej wydać wyroku śmierci na zmierzchników. Liberałowie nawoływali do poszanowania praw zmierzchników, którzy też przecież są ludźmi. Ewangelisci przypominali, że zmierzchnicy mają duszę, którą trzeba ocalić, żeby dostąpiła odkupienia. Pitu-pitu, ple-ple-ple. Głupcy, obie grupy. I głupia opinia publiczna, która w to uwierzyła. W skrócie koniec był taki, że pozostali zmierzchnicy, dwieście siedemdziesiąt trzy osobniki, zostali ocaleni od śmierci i skazani na wygnanie. Po debatach i dyskusjach międzynarodowy trybunał zdecydował, że zmierzchnicy zostaną wyrzuceni na pustynię. A dokładniej, do opustoszałego miasta na pustyni, idealnego więzienia, gdzie znajdowały się domy i hotele

oraz inne budynki. Wyczyściliśmy im wspomnienia, po czym pozostawiliśmy ich samopas. Daliśmy im trochę surowców, żeby mieli od czego zacząć. Przeczuwaliśmy, że setki mil pustyni pod palącym słońcem wystarczy jako nieprzekraczalny bufor między nimi a nami. I tak się stało. Okazało się, że to lepsze niż grube kraty, najbezpieczniejsze więzienie, jakie kiedykolwiek powstało. Prawdziwa wyspa oddzielona fosą kwasu, nieprzekraczalną galaktyką.

Oblizuje grube wargi.

- Wyniknął jednak problem. Nie spodziewaliśmy się, że zmierzchnicy okażą się tak... - Wzdycha głęboko, ślina pryska mu z ust. - Zesłaliśmy ich, żeby w końcu wymarli, odeszli na swoich warunkach i w sposób, w jaki nie urażą krwawiących serduszek lub uczuć religijnych. Ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak odporni i elastyczni są zmierzchnicy. W ogólnym rozrachunku są odważni, pomysłowi i nastawieni na przetrwanie. I właśnie tym się zajęli. Przetrwaniem. A właściwie przez minione wieki dokonali nawet więcej. Zadbali o przetrwanie i rozwój swojego gatunku. Jak stado szczurów. Wybudowali własną metropolię, wynaleźli technologię. Do tego stopnia, że teraz możemy tylko mieć ich na oku i trzymać się poza ich zasięgiem. Ci zmierzchnicy, jeżeli tylko wyczują nasz zapach, choćby najmniejszy ślad, wyruszą na poszukiwania i nic ich nie powstrzyma, ani ogień piekielny, ani słońce.

Krugman spogląda na szklaneczkę. Odstawia ją, po czym podnosi do ust butelkę whisky. Jego oczy robią się szkliste i przekrwione.

-1 właśnie dlatego, moi drodzy, znajdujemy się tutaj. Dlatego tutaj mieści się Misja. Jest czujnym okiem ludzkości. Przymocowanym stworzonym do obserwacji zmierzchników. Ponieważ ci zmierzchnicy są rozbrykani jak stado psów w rui, że tak powiem. Teraz, po wielu stuleciach, ich populacja liczy prawie pięć milionów, o ile wierzyć naszym rachubom. I dlatego ich obserwujemy. Musimy mieć pewność, że nie wynaleźli technologii, która pozwoli im pokonać pustynię. - Pociąga nosem. - Na szczęście po tych stuleciach obserwacji wygląda na to, że zmierzchnicy nie mają najmniejszej ochoty na wędrówki. Naprawdę nienawidzą słońca.

Zerkam na Sissy. Podobnie jak ja, dziewczyna również jest wstrząśnięta. Ledwie przyjmuje do wiadomości to, co usłyszała. Rozchyliła usta ze zdumienia, twarz jej pobladła. Odwraca głowę. Nasze oczy się spotykają, jakbyśmy chwycili się za ręce.

Odzywam się, ale mój głos jest zduszony.

- Wyjaśnij, co ma z tym wszystkim wspólnego starszy Joseph.

Krugman milknie na długo. Zaczynam już myśleć, że zakończy to spotkanie, wyraźnie niełatwo mu podjąć decyzję. Jednak potem zaczyna mówić, cicho, jakby do siebie.

- Był wybitnym naukowcem, jednym z największych umysłów, z jakimi pracowałem. Młody, odważny, bystry. Darzyliśmy się w młodości sporą sympatią.

- W młodości? - powtarzam.

- Zanim on... - Krugman potrząsa głową. - Zanim się pogrążył. Chociaż nawet wówczas pojawiały się u niego oznaki niestabilności. Pracował bez wytchnienia w swoim laboratorium, z poświęceniem graniczącym z obsesją. Nabral przekonania, że można wynaleźć lekarstwo dla zmierzchników. Jakiś rodzaj uzdrawiającej mieszanki, która może odwrócić, tak, odwrócić, mutacje w sekwencji genów u zmierzchników. Coś, co nazwał Początkiem.

Na moment w jego oczach, które na nas podnosi, pojawia się błysk.

- Ale starszy Joseph chciał lepiej zrozumieć fizjologię zmierzchników, musiał zebrać próbki. I tak doszedł do wniosku, który przyczynił się do jego nieszczęścia: uznał, że musi zamieszkać w metropolii zmierzchników. Był to niedorzeczny pomysł oczywiście i myślę, że w głębi duszy starszy Joseph też to wiedział. Przez lata odwlekał decyzję i próbował znaleźć inny sposób, żeby stworzyć Początek. Ale w ostateczności stwierdził, że nie ma innego rozwiązania. Musiał wyprawić się do metropolii zmierzchników. I nie sam. Musiał zebrać tony próbek, więc potrzebny mu był zespół. Wydaje się to szaleństwem, przecież nikt by się nie zgłosił do takiego zadania. Ale starszy Joseph umiał przekonywać i miał ogromną charyzmę. Zagrał na religijnych sentymentach, argumentował, że to nasz duchowy obowiązek i że to ocali dusze zmierzchników. Niedługo potem udało mu się zebrać prawie trzydzieści osób... Trzydzieści! I wyruszyli przez pustynię do gniazda żmij.

- Kiedy?

- Co? Dwie, trzy dekady temu. Wślizgnęli się do miasta zmierzchników. Zamierzali zostać najwyżej parę tygodni, nie dłużej. Ale poważnie przecenili... wytrzymałość zmierzchników. I stało się niewyobrażalne. Albo raczej przewidywalne, zależy od punktu widzenia, jak sądzę. Nasi ludzie zostali rozdzieleni, a następnie pożarci w parę dni, jeśli nie godzin. Linie łączności zostały wykryte, kanały transportu zniszczone. Nasi ludzie musieli się kryć, gdy wyczerpały się zapasy jedzenia. Zostało im tylko jedno wyjście: przeniknąć do społeczności, udawać zmierzchników. I tak minęły lata, dziesięciolecia bez wieści od nich. Myśleliśmy już, że wszyscy zginęli. I wtedy, parę lat temu, starszy Joseph wrócił. Jak upiór z zaświatów. Wyszedł z lasu, przekroczył bramę i znalazł się w Misji. Nieoczekiwany cud. Albo przekleństwo. Okazało się bowiem, że jest człowiekiem złamanym. Oczy miał rozbiegane, pogrążył się w swoich iluzjach. Uparł się, żeby tu zostać, na przyczółku, i kontynuować badania w laboratorium. Odmówił wszystkim propozycjom honorowego

zwolnienia i powrotu do Cywilizacji.

Na ostatnie słowa Sissy unosi głowę.

- Chwileczkę - przerywa starszemu. - O co chodziło?

Krugman wygląda na zaskoczonego.

- Chciał zostać. Jakie inne możliwości...

- Nie, nie. - Sissy potrząsa głową. - Powtórz to o cywilizacji.

- No cóż... - w głosie Krugmana brzmi niepewność. - To nie jest Cywilizacja. Misja to tylko przyczółek, jak powiedziałem. Nie słuchałaś? Dalej jest cały świat, dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcznych procent globu zamieszkałe przez naszych ludzi, pełne naszych miast, naszej cywilizacji. Musieliśmy podjąć odbudowę po powstaniu zmierzchników i daleko nam jeszcze do czasów sprzed zmierzchników, ale powoli się dźwigamy.

Sissy i ja spoglądamy tylko z niedowierzaniem i brakiem zrozumienia.

- Myśleliście, że co jest dalej? - pyta Krugman, wbijając w nas szkliste oczy. Na jego twarzy również maluje się nieskrywane zdumienie.

- Myślałem, że Ziemię zamieszkują lu... zmierzchnicy - odpowiadam. - Nie sądziłem, żeby zostało nas wielu, może nieliczne, rozrzucone grupy pozostające w ukryciu.

Nie dodaję, że jeszcze trzy tygodnie temu myślałem, że jestem ostatnim ze swojego rodzaju. To znaczy dopóki nie spotkałem grupy spod kopuły. I zanim Ashley June się ujawniła. I zanim dyrektor zdradził, zapewne nieświadomie, że setki heperów żyją uwięzione jak bydło w Pałacu Władcy.

Krugman wytrzeszcza na nas oczy.

- Podejdźcie tu. - Zaprasza nas gestem. Whisky pryska z butelki. - Podejdźcie do okna. Pozwólcie, że coś wam pokażę. - Uderza palcem w szybę. - Tam - oznajmia. - Tam, w oddali. Tuż za szczytami gór, gdzie zbocza opadają w głęboki wąwóz.

Widzimy to. Dwuczęściowy most zwodzony, dwie uniesione w niebo połówki niczym strażnicy po obu stronach rozpadliny.

- Mniej więcej raz na dwa tygodnie - wyjaśnia Krugman - przybywają nasze zapasy. Pociągiem. Jedzenie, ziarno, meble, lekarstwa. Tego właśnie chcieliście się dowiedzieć, prawda? Wszystko przywozi pociąg. Opuszczamy most. Pociąg przejeżdża. Rozładowujemy transport na stacji. Potem odsyłamy pociąg. Podróż trwa około czterech dni w każdą stronę. Trochę krócej podczas powrotu do Cywilizacji ze względu na spadek terenu w górach. Pociąg praktycznie zjeżdża. I jest sterowany całkowicie automatycznie. Cudowna prostota, wystarczy wcisnąć parę guzików i odjeżdża, wystarczy opuścić most, a pociąg znika z gór. Drzwi

pozostają zamknięte, dopóki nie dojedzie na miejsce przeznaczenia, czyli albo tutaj, albo w Cywilizacji. Zwykle odsyłamy pociąg z listą zaopatrzenia potrzebnego poza zwykłymi zapasami. I przy specjalnych okazjach pociąg odjeżdża z pasażerem. Albo dwoma.

Sissy i ja obracamy się do starszego. Ten kiwa głową, spojrzenie nadal ma szkliste.

- Na tych, którzy dobrze służyli, którzy wyjątkowo dobrze wypełniali obowiązki wobec Misji, czeka nagroda, honorowe zwolnienie. Nieliczni wybrani wracają pociągiem do Cywilizacji, gdzie otrzymują hojne uposażenie od rządu do końca swoich dni. Ale trzeba sobie na to zasłużyć.

- Zebrać Radosne Znaki - domyślam się.

Widzimy to. Dwuczęściowy most zwodzony, dwie uniesione w niebo połówki niczym strażnicy po obu stronach rozpadliny.

- Mniej więcej raz na dwa tygodnie - wyjaśnia Krugman - przybywają nasze zapasy. Pociągiem. Jedzenie, ziarno, meble, lekarstwa. Tego właśnie chcieliście się dowiedzieć, prawda? Wszystko przywozi pociąg. Opuszczamy most. Pociąg przejeżdża. Rozładowujemy transport na stacji. Potem odsyłamy pociąg. Podróż trwa około czterech dni w każdą stronę. Trochę krócej podczas powrotu do Cywilizacji ze względu na spadek terenu w górach. Pociąg praktycznie zjeżdża. I jest sterowany całkowicie automatycznie. Cudowna prostota, wystarczy wcisnąć parę guzików i odjeżdża, wystarczy opuścić most, a pociąg znika z gór. Drzwi pozostają zamknięte, dopóki nie dojedzie na miejsce przeznaczenia, czyli albo tutaj, albo w Cywilizacji. Zwykle odsyłamy pociąg z listą zaopatrzenia potrzebnego poza zwykłymi zapasami. I przy specjalnych okazjach pociąg odjeżdża z pasażerem. Albo dwoma.

Sissy i ja obracamy się do starszego. Ten kiwa głową, spojrzenie nadal ma szkliste.

- Na tych, którzy dobrze służyli, którzy wyjątkowo dobrze wypełniali obowiązki wobec Misji, czeka nagroda, honorowe zwolnienie. Nieliczni wybrani wracają pociągiem do Cywilizacji, gdzie otrzymują hojne uposażenie od rządu do końca swoich dni. Ale trzeba sobie na to zasłużyć.

- Zebrać Radosne Znaki - domyślam się.

Na twarzy Krugmana pojawia się lekkie zdziwienie i respekt. Mężczyzna potwierdza skinieniem głowy.

- Niewiele ci umknie. Tak, Radosne Znaki. Wystarczy zebrać takich pięć, a zdobywa się bilet powrotny do Cywilizacji. Pamiętać należy, że zwykle trwa to przynajmniej dziesięć lat wiernej służby.

- Jak można otrzymać taki Radosny Znak? - pytam.

- Och, sposobów jest wiele, jak sądzę. Bezkompromisowe podporządkowanie się

prawu, miłość do starszych i obywateli Misji, urodzenie zdrowego dziecka. Wzorowa pilność przy codziennych obowiązkach przez dekadę służby. Tego rodzaju sposoby.

- A co z Oznakami Przewiny? - dopytuję się. - Jak otrzymuje się takie znaki?

W pomieszczeniu zapada cisza.

- Ach, tak. Oznaki Przewiny. To proste, nieposłuszeństwo wobec prawa skutkuje przyznaniem oznaki lub dwóch. Zależy od ciężaru przewinienia. Ale przecież nie o to chodzi w Misji. Lepiej skupić się na pozytywach, na Radosnych Znakach...

- Niech zgadnę - przerywam, bo przypominam sobie dziewczęta z bliznami i tatuażami na lewym lub prawym przedramieniu. - Jedna Oznaka Przewiny zmazuje jeden Radosny Znak. Jedna blizna anuluje jedną uśmiechniętą buźkę. Co znacznie utrudnia zebranie pięciu pozytywnych znaków.

A co się stanie, gdy zbierze się pięć Oznak Przewiny? Już mam o to zapytać Krugmana, ale starszy przerywa mi namysł.

- Anulowanie, owszem, chyba tak. Ale tutaj, w Misji, wolimy określać to jako dodawanie przez ujmowanie. Żeby utrzymać entuzjazm, morale i zachętę dla obywateli. - Mężczyzna kładzie mi dłonie na ramionach i ściska pokrzepiająco. - Rozumiem, o co ci chodzi. - Zerka na Sissy. - Troszczysz się o swoją dziewczynę. O sporo jej przewinień. Ale nie musisz się martwić. Nie zamierzamy jej o nic oskarżać. W rzeczy samej nie musisz się nawet martwić o Oznaki Przewiny, ani nawet o Radosne Znaki. Wszyscy zostaniecie odesłani wcześniej. Nie musicie czekać ani dekadę, ani rok, ani nawet miesiąc czy dwa tygodnie. Bo pociąg ma przyjechać dzisiaj wieczorem. Kilka godzin zajmie nam rozładowanie zaopatrzenia. A potem, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, cała wasza szóstka wsiądzie jutro do pociągu i pojedzie do Cywilizacji. Do oazy, na którą naprawdę zasłużyliście.

Sissy przyciska dłoń do szyby. Potrząsa głową.

- Wybacz, to wszystko spadło na nas tak szybko.

- Rozumiem.

Przez chwilę patrzymy na most i próbujemy przetrwać tę nową wiedzę, która wyróciła do góry nogami nasze przekonania.

- Dlaczego postanowiłeś odesłać nas wcześniej? - dziwi się Sissy.

Krugman parska śmiechem, zerka porozumiewawczo na pozostałych starszych.

- Jakbym miał w tej sprawie coś do powiedzenia! - Otwiera szufladę biurka, wyciąga kopertę z grubą lakową pieczęcią przełamaną przy otwarciu, po czym wyjmuje i podaje mi arkusz z tłoczonym nagłówkiem. - List ze sztabu w Cywilizacji. Śmiało, przeczytaj jej.

Nawet się nie fatyguję, żeby poprawić Krugmana i zapewnić, że Sissy nie jest



analfaberką. Prostuję arkusz i przesuwam wzrokiem po pochylonych, okrągłych literach. Sissy pochyla się, żeby przeczytać.

Cywilizacja otrzymała ostatnio wiarygodną informację wywiadu, że sześcioro młodych ludzi w wieku pomiędzy pięć i siedemnaście lat uciekło z niewoli zmierzchników. Nasi agenci poinformowali, że grupa prawdopodobnie skieruje się do Misji. Gdy tylko dotrą do miejsca przeznaczenia, powinni być traktowani z najwyższą troską i gościnnością. Mają wsiąść do najwcześniejszego pociągu i pojechać do Cywilizacji. Niezwykle ważne, żeby wrócili z Początkiem.

Z poważaniem Cywilizacja.

- List dotarł do nas zaledwie parę tygodni temu - wyjaśnia Krugman. - Właśnie dlatego nie byliśmy zaskoczeni, gdy pojawiliście się u naszych bram. Czekaliśmy na was, jak widać.

Sissy odwraca arkusz, ale po drugiej stronie jest pusty. Dziewczyna spogląda na Krugmana.

- Więc jutro wsiądziemy do pociągu - w jej głosie pobrzmiewa podejrzliwość. - A kiedy zamierzaliście nam o tym powiedzieć?

Krugman wybucha tubalnym śmiechem.

- Oczywiście, gdy tylko młody Gene wyzdrowieje. Właśnie wtedy. Nie chcieliśmy rozbudzać w was nadziei tylko po to, by ją tłamsić, gdyby okazało się, że młodzieniec nie czuje się wystarczająco dobrze, żeby odbyć podróż. Pamiętaj, że ledwie żył jeszcze parę nocy temu. Nie to, co teraz. - Spogląda na mnie. - Okaz zdrowia, czyż nie? Zatem wyjedziecie jutro z naszym błogosławieństwem i bez wątpienia z samymi przyjemnymi wspomnieniami.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem, jaki słyhać w pomieszczeniu, jest cyk-cyk wielkiego zegara.

- Co z naukowcem? - przerywam milczenie. - Dlaczego on nie został odesłany do Cywilizacji? Można by założyć, że należało mu się to samo traktowanie co nam. Dlaczego nie wyjechał od razu?

W gabinecie rośnie napięcie. W oknie widzę odbicie przybocznych Krugmana - milczących przez całą tę rozmowę. Mężczyźni sztywnieją.

- Odpowiedź jest prosta - mówi Krugman. - W jego przypadku nigdy nie dostaliśmy poleceń od Cywilizacji.

- A dłuższa wersja? - wtrąca Sissy.

Krugman na to parska głośnym chichotem.

- Dłuższa wersja: to skomplikowane.

- Chcemy ją usłyszeć. Tę dłuższą wersję - naciskam. - Powiedz wszystko. Wyjaśnij, dlaczego popełnił samobójstwo.

Krugman pociąga nosem z irytacją.

- Musisz coś zrozumieć. Kiedy starszy Joseph wrócił, nie był całkiem przy zdrowych zmysłach. Okazał się... niechętny do współpracy.

- To znaczy?

- Zamknął się. Nie chciał rozmawiać o swoim życiu między zmierzchnikami. Nikomu innemu nie udało się zamieszkać w metropolii zmierzchników i przeżyć, żeby o tym opowiadać. A starszy Joseph spędził tam ponad dwie dekady. Powinien mieć mnóstwo informacji. Ale nie chciał mówić o tym okresie. A co dziwniejsze, kiedy przyszedł na niego czas, odmówił również powrotu do Cywilizacji. Stanowczo odmówił, właściwie to zamknął się po prostu w laboratorium. Kiedy naciskaliśmy, powiedział tylko, że musi poczekać na Początek.

- A co powiedział o Początku? Nie pomyśleliście, żeby zapytać?

Krugman uśmiecha się krzywo.

- Oczywiście, że pytaliśmy. Odparł jedynie, że to lekarstwo. I że przez wiele lat, gdy mieszkał wśród zmierzchników, zyskał za dnia dostęp do laboratoriów i dokumentów naukowych o najwyższym poziomie tajności. Chyba udawał woźnego w najbardziej strzeżonym budynku metropolii. W każdym razie z dostępem do tych informacji oraz sprzętu Joseph zdołał wynaleźć recepturę. Przepis na Początek. Lekarstwo, które odwróci genetyczne zmiany w ciałach zmierzchników, przywróci im znowu ludzką postać.

- Odwróci skutki zmian? - powtarzam.

- Właśnie to powiedział starszy Joseph. O ile można mu wierzyć.

- To lekarstwo, Początek... - szepcze Sissy równie oszołomiona jak ja. - Nie miał go przy sobie?

Krugman kręci głową.

- Nie mógł go przynieść, ale zapewniał, że pewnego dnia nadejdzie Początek. Był jak szalony prorok, który codziennie przepowiada przybycie młodych z Początkiem. Błogosławione młode stopy, na których nadejdzie Początek, powtarzał. Kiedy nie pracował w laboratorium, które tu mamy, siedział na murze i trzymał wartę przez noc. Jednak pod koniec zaczął tracić zmysły. Trzeba go było izolować w chacie o pół dnia drogi stąd.

Kiwam głową, bo pamiętam drewnianą chatę w górach.

- Jak długo tam mieszkał?

- Niezbyt długo. Najwyżej parę miesięcy. Pewnego popołudnia znaleźliśmy go...

wisiał na belce sufitu. - Krugman spogląda na nas z powagą. - Chciałeś poznać prawdę, więc oto ona. Bez żadnych upiększeń. A prawda boli, czyż nie?

- Ale co pchnęło go do samobójstwa?

Szkliste spojrzenie Krugmana nagle staje się bystre. Mężczyzna patrzy w okno, a kiedy odwraca się do mnie, twarz ma napiętą.

- Zauważyłeś to?

- Co?

- Tę rozmowę. Jest trochę jednostronna. A mnie zaczyna męczyć słuchanie własnego głosu. Dla odmiany chciałbym teraz was trochę posłuchać. Pora, żebyście to wy zaczęli trochę więcej mówić.

Sissy i ja spoglądamy na siebie zmieszani.

- O czym mamy mówić? - pyta dziewczyna.

- O Początku. - Starszy pociąga nosem. - Sądziłem, że starszy Joseph zupełnie stracił rozum, gdy skandował swoje prorocтва, ale oto niktąd pojawiła się wasza szóstka, zgodnie z przepowiednią. A potem Cywilizacja nie tylko nie odrzuciła tej teorii Początku, lecz chyba skłonna jest w nią uwierzyć. Zatem powiedzcie mi. Co to jest? I co ważniejsze, gdzie jest? Chcę go zobaczyć, jeśli można prosić.

- Przykro mi - odpowiadam zdziwiony. - Nie wiemy, co to jest. Nie mamy Początku. I taka jest prawda.

Krugman uśmiecha się pod nosem.

- Potrafię zrozumieć, dlaczego wolicie pozostać ostrożni, nawet podejrzliwi, ale przecież jesteśmy teraz przyjaciółmi, prawda? Może nawet rodziną, nie?

- Nie mamy Początku - powtarza za mną Sissy. - I nie jesteśmy ostrożni.

Starszy wysuwa podbródek, znamię znowu staje się dobrze widoczne.

- Wiecie, w co jeszcze wierzę? - z głosu Krugmana znika ekscytacja. - Wierzę w coś za coś, quid pro quo. Rozumiecie, co znaczy to określenie?

Potrząsam głową.

- Oznacza uczciwą wymianę. Daję wam coś, a wy mi dajecie coś innego. Udzieliłem wam informacji, odpowiedziałem na pytania. W zamian, quid pro quo, wy teraz coś mi dacie. Rozumiecie? Coś za coś. Dałem wam gościnność, a wy dacie mi Początek. - W głosie Krugmana znowu słychać rosnące podniecenie, drży od emocji. - To uczciwe...

- Nie mamy Początku - przerywa mu Sissi, a mężczyzna odruchowo się krzywi. - Nie mamy nawet pojęcia, co to jest Początek. Nigdy wcześniej o nim nie słyszeliśmy, po raz pierwszy dopiero tutaj.

Krugman przygląda jej się długo z namysłem. Potem niemal niezauważalnie kiwa głową, a dwóch przybocznych za naszymi plecami podchodzi do drzwi.

- No cóż. W takim razie zostaniecie odprowadzeni do swojej chaty.

Odwracamy się, żeby wyjść, ale Sissy przede mną się zatrzymuje. Drzwi nadal są zamknięte, blokują je przyboczni. Uśmiechają się, ramiona mają złożone na beczułkowatych torsach.

- Jeszcze tylko jedno - mówi Krugman chrapliwie. - Chcę poprosić was o przysługę. - Krugman przygląda się swoim paznokciom, po czym czyści jeden z nich.

- Słuchamy - odpowiada Sissy. - Jaka to przysługa?

- Pozwól mi cię przeszukać.

Sissy sztywnieje.

- Co proszę?

- Przecież powiedzieliśmy, że nie mamy Początku - wtrącam.

- A ja wam nie wierzę - odpowiada mężczyzna z kliniczną obojętnością. Ale spojrzenie, które przeskakuje to na mnie, to na Sissy, dalekie jest od obojętności. Wrze w nim urażona duma i gniew. Długo powstrzymywane, zaraz wybuchną.

- Posłuchaj - Sissy stara się kontrolować słowa. - To, czy nam wierzysz, nie zmieni tego, że nie mamy Początku. Możesz sobie przeszukać nas od stóp do głów, ale i tak...

- Naprawdę? - W oczach Krugmana pojawia się złowrogi błysk. - Zabawne, że o tym wspomniałaś. Właśnie sam miałem to zaproponować. Od stóp do głów.

## Rozdział 23

Dziewczyna marszczy brwi, nic nie rozumie. Zerka na mnie. O co chodzi?

Za naszymi plecami trzeszczy podłoga. Jeden z przybocznych robi krok w stronę Sissy.

- Zdejmij ubranie. Wszystko. Musimy sprawdzić twoją skórę.

Spoglądam na mężczyzn, potem na Krugmana.

- Każ im cofnąć się od drzwi, Krugman.

- Nie - odpowiada cicho starszy. Jego spojrzenie przesuwa się po dziewczynie powoli, ze wzbudzającą mdłości fascynacją. - Mamy powody przypuszczać, że Początek to jakiś zapis lub wiadomość. Może jakieś równanie lub kod. Rozbieraj się.

- Nie sądzę - uprzedzam odpowiedź Sissy - Wychodzimy.

- Owszem, wychodziecie - przytakuje drugi przyboczny. Głos ma niski, tubalny. - Ty wychodzisz. Ale ona zostaje. Tylko jej jeszcze nie sprawdzaliśmy. - Uśmiecha się lekko. - Sprawdziliśmy już tych czterech chłopaków. I ciebie, ciebie też obejrzelśmy dokładnie, gdy byłeś chory i nieprzytomny. Wszyscy jesteście czysti. - Jego oczy znowu wracają do Sissy. Mężczyzna wyciąga rękę, żeby chwycić dziewczynę.

- Nie dotykaj mnie.

W ciszy tykanie wielkiego zegara wydaje się wyjątkowo donośne.

- No i to jest problem z dziewczynami, które mają stopy jak mężczyźni - odzywa się Krugman za naszymi plecami, a jego ton jest nieprzyjemnie łagodny. - Kiedy ich stopy nie zostaną upiękzone, a gruczoły w stopach zniszczone. Jeżeli się ich nie zniszczy, gruczoły te wydzielają męskie hormony do organizmu dziewczyny. Zmieniają ją z księżniczki w pyską jędzę. Taką, która nie potrafi zrozumieć swojego miejsca w społeczeństwie, której błędnie wydaje się, że może chodzić jak mężczyzna, mówić jak mężczyzna i mieć własne zdanie jak mężczyzna. I może odmówić mężczyźnie. Wielkostopa dziewczyna jest jak wół do karety.

- Patrzcie na te ogromne stopy - syczy drugi z przybocznych. - Skąd pewność, że to w ogóle dziewczyna?

Zapada cisza. Klębowisko myśli, rozważanie możliwości, decyzja o niegodziwości.

- Czasami nie ma całkowitej pewności w takich przypadkach - szepcze pierwszy przyboczny.

- Może powinniśmy się upewnić - podchwytuje drugi. Półprzymknięte oczy przesuwiają się po ciele Sissy. Uśmiecha się oblesnie. - Są sposoby, żeby się upewnić. Odkryć

prawdę.

Ruszają do dziewczyny.

Rzucam się na nich bez gracji, ale z siłą przekonania. Odpycham obu mężczyzn, ich miękkie pośladki zderzają się mocno z drzwiami. Przyboczni odbijają się od nich, na policzkach wykwita czerwień wściekłości. Jeden unosi ramię, gotując się do ciosu pięścią, ale Sissy rzuca się na niego i wbija mu łokieć w podbrzusze. Mężczyzna zgina się, dławi. Padają niewybredne obelgi.

Nie wiem, co by się mogło jeszcze zdarzyć, gdyby Krugman nie zaczął się śmiać. Nie jest to taki zwyczajny śmiech, lecz głęboki, gardłowy ryk, który rozsadza nam uszy. Krugman pada na fotel, łapie się za przeponę i w końcu przestaje się śmiać.

- Ach, dzieci - prycha między napadami chichotu. - Powiedziałem: quid pro quo, nie tête-à-tête.

Znowu śmieje się radośnie, jakby wrócił mu humor.

- Dość tych prywatnych rozmówek! - Twarz mu się rozjaśnia. - Czas na podwieczorek!

Grzbiet dłoni Sissy dotyka mojej skóry. Dziewczyna ujmuje mnie za rękę, nasze zimne palce splatają się doskonale w uścisku.

Krugman nadal się uśmiecha, podbródek i policzki trzęsą mu się jak galareta.

- Chodźmy - mówi w końcu i wsuwa kciuki za pas. - Nie o to chodzi w Misji. Tu ma być pogodnie, radośnie i szczęśliwie. Żadnych kłótni i przemocy.

- Mogłabym się pomylić - prycha cicho Sissy.

- Ty mała wredna harpio! - Zrywa się jeden z przybocznych. - Ty nieposłuszna jędzo, powinniśmy nakarmić tobą...

- Dość - przerywa mu Krugman. Jego głos jest cichy, lecz oczy wciąż błyszczą radością, choć ich wilgoć wydaje się teraz żrąca. - Obawiam się, że to moja wina. Zapomniałem, jak musicie być zmęczeni i napięci po tym, co niedawno przeszliście. Proszę, wybaczcie mi to zaniedbanie. - Uśmiecha się szerzej. - Możemy o tym zapomnieć? Było, minęło? Tak po prostu?

Kiwam głową. Czujnie.

- Chcemy stąd wyjść.

- Jak sobie życzycie. - Krugman gestem nakazuje przybocznym odstąpić. Kiedy mijamy dwóch starszych, mężczyzna coś mamrocze.

- Co takiego? - pyta Sissy.

- Nic, nic - mruczy Krugman.

Na brukowanej ścieżce przechodzimy obok uśmiechniętych dziewcząt. Z wyszczerzonymi śnieżnobiałymi zębami ustępują nam z drogi. Niebo zasnuwają czarne chmury, zwiastujące zmianę pogody. W chwilę później spada jak bicz zimna, ostra ulewa. Sissy i ja przyśpieszamy kroku, idziemy bok w bok. Trzymamy się kurczowo za ręce. Tylko one pozostają ciepłe, resztę spłukał chłód deszczu. Nie mówię dziewczynie, co wymamrotał Krugman, gdy wychodziliśmy. Głównie dlatego, że nie bardzo wiem, co z tym zrobić, jeżeli to była, jak podejrzewam, zawołowana groźba.

## Rozdział 24

Kto czeka - wyszeptał Krugman, gdy z Sissy przekraczałem próg jego gabinetu - ten doczeka.

Kiedy docieramy do chaty, jesteśmy przemoknięci do suchej nitki. Sissy bierze mój bagaż z sofy i wysypuje zawartość torby na łóżko. Resztki jedzenia, szkicownik Epapa, dziennik naukowca i jakieś drobiazgi spadają na narzutę.

- Widzisz coś, co mogłoby być Początkiem? - pyta dziewczyna.

- Na pewno przeszukano już dawno nasze bagaże - odpowiadam. - Zresztą Krugman i reszta są chyba przekonani, że ten Początek jest jakoś wypisany na twojej skórze, prawda? O to chodzi, jak mi się zdaje?

Sissy bierze dziennik naukowca, kartkuje, po czym ze zdenerwowaniem rzuca na łóżko. Zaczyna się trząść. Oboje jesteśmy przemarznięci. Podchodzę do kominka, drżącymi palcami staram się rozpalić ogień.

- P-patrz... - mówi dziewczyna, szcękając zębami. Wskazuje na stolik, na którym zostawiono tacę z jedzeniem, a sądząc po parze, jaka unosi się z naczyń z zupą, przyniesiono to niedawno. - Masz własny pokój z kominkiem, gorący prysznic i na dodatek przynoszą ci jedzenie?

Dotykam kromki chleba na tacy. Nadal jest ciepła.

- Dlaczego nie miałabyś się poczęstować? Trochę mi pewnie zajmie rozpalenie ognia. Zupa cię ogrzeje.

Sissy zgadza się, siada na sofie i siorbie zupę. Krzywi się potem.

- Coś nie w porządku?

Kręci głową.

- Strasznie słona. Ale dobra. I gorąca.

Krzątam się przy kominku, wkładam szczapy wzięte ze stosu obok paleniska. Drewno jest jednak trochę mokre, niełatwo je rozpalić. Sissy kończy zupę, ale nadal się trzęsie.

- Weź prysznic - proponuję. - Rozgrzejesz się.

Jest jej zbyt zimno, żeby się spierała. Podaję jej ubrania z szafy.

- Są na ciebie za duże, ale lepsze suche i za duże niż dopasowane mokre.

Dziewczyna zamyka się w łazience. Korzystam z okazji, żeby również się przebrać. Parę minut potem udaje mi się wreszcie rozniecić ogień. Siadam na sofie. Jej miękkość przynosi ulgę zmarzniętym kościom. Płomienie tańczą i rzucają migotliwe cienie na cały



pokój, zmieniają ściany w nawałnicę czerwieni i oranżu. Z łazienki dochodzi stłumiony szmer wody.

Pomimo ognia i suchych ubrań nadal odczuwam chłód. Ściągam narzutę z pośłania i owijam nią nogi. Spoglądam w kominek. Splątane płomienie przypominają mi własne myśli, niepewne i pogmatwane, nieustannie się zmieniające. Zjadam trochę zupy, ale już wystygła. Rzeczywiście za słońca. Odstawiam miskę z połową zawartości i wyglądam za okno.

Mrok opadł na osadę, przecinany tylko smugami dymu unoszącego się z kominów. Prawie nie widać słomianych dachów. Zapadająca noc skrywa krętą drogę prowadzącą pod próg mojej chaty. Na ciemnym niebie kłębią się chmury, coraz mocniej śwista wiatr. Krople deszczu rozmywają się na szybie jak szybkie cięcia.

Myślę o tym, co powiedział nam Krugman. We wnętrzu czuję inny rodzaj chłodu, bardziej niepokojący, przerażający.

Wchodzi Sissy. Włosy ma mokre.

Staje przed kominkiem, przeczesuje kosmyki palcami. W blasku ognia zdają się płonąć.

- Pysznic naprawdę pomógł. Dzięki. - Migotliwe cienie z kominka tańczą na umytej twarzy. - Ale zrobiłam się strasznie śpiąca. Prawie zasnęłam w łazience.

Siada obok mnie. Przez chwilę siedzimy w milczeniu, grzejąc się przy ogniu. Sissy podciąga kolana, okrywa się pledem.

- Ostatnie dwa dni były szalone - przyznaję.

- Ostatnia godzina była szalona. - Dziewczyna opiera się o poduszki sofy, prostuje z trzaskiem palce. - Zaczynałam się już przyzwyczajać do wioski i do obecności tyłu ludzi. A teraz dowiedziałam się, że dalej jest nas jeszcze więcej. Cały świat. Próbuję to ogarnąć umysłem... ale to jak złapać ulotne piaski.

Kiwam głową.

- Sporo do ogarnięcia.

Ogień trzaska, posyła snop iskier w palenisko.

- Co jest? - Dziewczyna patrzy na mnie uważnie. - Ukrywasz coś przede mną.

Odwracam się, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Krugman może kłamać, Sissy.

Nie od razu odpowiada, przygląda mi się badawczo.

- Krugman powiedział, że pociąg jedzie do Cywilizacji. I może tak jest. Ale...

- Nic nie wiemy o Cywilizacji - kończy Sissy.

- Nic oprócz tego, co nam powiedział. Twierdzi, że to raj, że to niesamowite miejsce.

Ale jeżeli to nieprawda? Jeżeli tam są...

- Co?

Ujmuję jej ręce. Czuję ciepło skóry, puls w koniuszkach moich palców. Nie chcę wcale ujawniać, co wiem, chcę tylko zatrzymać tę chwilę, przeciągnąć ją w godzinę, dzień, rok, dekadę... Chcę tylko być z Sissy sam na sam, bez świata, który by nam przeszkadzał. Ale dziewczyna unosi na mnie wyczekujące spojrzenie, więc mówię:

- A jeżeli pociąg jedzie prosto do zmierzchników?

Wyraz jej twarzy prawie się nie zmienia, ale dłonie nagle sztywnieją.

- Kiedy bytem w Instytucie Badań Heperystycznych, dyrektorowi wymusnęło się coś o Pałacu Władcy. Powiedział, że setki heperów są tam w sekrecie przetrzymywane. Zamknięci w podziemnych zagrodach jak bydło. Na posiłek dla najwierniejszych Władcy. - Spoglądałam w płomienie, potem w blednącą twarz Sissy. - A jeżeli ten pociąg jedzie prosto do Pałacu Władcy?

- Jesteśmy bydlętem? - Zerka na pustą miskę po zupie, na wpół zjedzony chleb. - I właśnie dlatego nas się tuczy?

Zaciskam zęby.

- Nie wiem. Może to paranoja. Może Cywilizacja jest tym, co mówił Krugman. Rajem. Ostatecznym celem, do którego mój ojciec nas prowadził przez cały czas. - Nabieram nerwowo tchu. - To miejsce jest bez wątpienia dziwne. Ale co ja wiem o dziwności? Albo o normalności, skoro już o tym mowa? Rzecz w tym, że całe życie udawałem zmierzchnika w świecie zmierzchników. Co ja wiem o świecie ludzi?

Odwracam wzrok do okna. Niebo zasnuły czarne chmury. Pada deszcz, co tylko pogłębia mrok. Zewnętrzny świat ciemnieje, zamyka się wokół nas i pokoju rozświetlonego migotliwym blaskiem ognia.

- Przez całe życie stałem pomiędzy dwoma światami. Do żadnego nie należę i żadnego nie znam.

- Nie oczekuj ode mnie pomocy, Gene. - Sissy próbuje mówić lekkim tonem, ale w jej słowach kryje się ciężar. - Jestem taka jak ty. Całe życie spędziłam pod szklaną kopułą. Nie znam ani świata ludzi, ani zmierzchników.

Chwytam ją mocniej za ręce.

- Ale masz instynkt, Sissy. Spośród osób, które znam, ty jesteś najbardziej rozsądna i obdarzona największą intuicją. Zaufaj temu, co podpowiada ci przeczucie.

Dziewczyna długo milczy. Wygląda powoli fałdy na narzucie.

- Musimy się dowiedzieć, dokąd jedzie pociąg, Gene. Nie pozwolę chłopcom wsiąść

do niego, dopóki się tego nie dowiemy. Tobie też nie pozwolę wsiąść.

Wytrzymuje moje spojrzenie. Ogień tańczy w jej oczach, które wydają się jednak nietypowo zamglone. Sissy przymyka powieki.

- Nie mamy wiele czasu - zauważam. - Mniej niż dwa dni.

- Wiem... - przeciąga lekko słowa, jakby ze zmęczenia. - Coś nam umyka, prawda? Oczywiście wskazówka, coś, co mamy pod nosem.

Minuty mijają w przyjemnej ciszy. Stukanie deszczu o dach jest hipnotyczne i usypiające, ciało mi się rozluźnia niemal podświadomie. W oknie widzę nasze odbicie, siedzimy przytuleni i skąpani blaskiem płomieni. Po raz pierwszy od dawna mogę zobaczyć swoją twarz. Wydaje się starsza, o twardszych rysach. Chyba coraz bardziej zaczynam przypominać z wyglądu ojca.

Ogarnia mnie odrętwienie. Nie pasuje to do sytuacji - w świetle tego, czego się dowiedzieliśmy i co odwróciło do góry nogami nasze przekonania, oraz wobec dylematu, czy należy wsiadać do pociągu, powinniśmy spacerować jak zwierzęta w klatce, dyskutować z podnieceniem i nerwowością. A ja i Sissy po prostu opadliśmy na sofę i zaczynamy drzemać.

- Wszystko to jakoś łączy się z moim ojcem - mówię, żeby się obudzić i podjąć rozmowę. - Jeżeli dowiemy się, co naprawdę się z nim stało, odkryjemy też, dokąd prowadzą tory. Ojciec jest kluczem do tego wszystkiego.

Myślę, że Sissy odpowie, ale kiedy się do niej odwracam, widzę opuszczone ze zmęczenia powieki i przechyloną głowę. Dziewczyna mruga z trudem, próbuje stłumić ziewnięcie.

- Hej - mamrocze, patrząc na pustą miskę. - Co było w tej zupie?

Oczy robią jej się bardziej zamglone. Sissy zapada się głębiej w siedzisko sofy, jakby wtapiała się w skórzane obicie.

Żadne z nas się nie odzywa. Ogień syczy i trzaska. Ogromny ciężar przyciska mnie, delikatnie, ale stanowczo, do poduszki. Staram się z tym walczyć, nie ulec tej wzrastającej presji. Pokój zaczyna się rozmywać i ciemnieć, jakby szare fale zbierały się w atramentowych kałużach. Spoglądam na miskę, z której Sissy zjadła całą zupę, i na swoją, na wpół opróżnioną. Krawędzie się rozmywają. Wzmaga się we mnie poczucie zagrożenia, ale odległe i stłumione.

- Gene? - mamrocze cicho Sissy.

- Tak?

Dziewczyna osuwa się bardziej na sofie, opiera o mnie bezwładnie. Jej ciało przylega do mojego w doskonałej harmonii. Oboje czujemy to dopasowanie.

- Co jest? - pytam.

Nie odzywa się długo i myślę, że chyba już zasnęła, lecz wtedy słyszę jej szept, cichy jak szmer skrzydeł motyla.

- Nie opuszczaj mnie, dobrze? Obiecujesz? -1 po tych słowach jej głowa opada na moje ramię. Czuję gładkość czoła dziewczyny na szyi, puls Sissy na swoim obojczyku.

Dziewczyna rozchyła usta, jej oddech łaskocze mi skórę. Zasnęła. Dotykam lekko jej twarzy, przesuвам palcami po policzku, po twardych włoskach brwi. Głaszczę ją po włosach.

Płomienie w kominku tańczą jak rozszalałe węże. Mają barwę włosów Ashley June - dziką i splątaną, zazdrosną czerwień. Mogę tylko zamknąć oczy, żeby bronić się przed tym poczuciem winy. Ujmuję dłoń Sissy opartą o mój tors, głaszczę ciepłą skórę w górę i w dół, w górę i w dół. Każde muśnięcie jest dla mnie jak zdrada, zdrada, zdrada.

Sen ogarnia mnie z szybkością, która wydaje się niemal miłosierna.

## Rozdział 25

Budzi mnie bębnienie deszczu o parapet. Za oknem panuje nieprzenikniona ciemność. W kominku tli się tylko żar, w pokoju zrobiło się zimno. Na podłodze, jak zrzucona wylinka, leży pofałdowana narzuta.

Sissy nie ma.

Dotykam miejsca, gdzie wcześniej zasnęła. Jest zimne. Wstaję, deski podłogi zdają się trzeszczeć jak moje zmęczone stawy. Pomieszczenie się kołysze. Zataczam się do łazienki. Po drodze trącam nogami stolik, z którego spadają porcelanowe naczynia.

Zimna woda pomaga. Polewam sobie włosy tak bardzo, że prostuję się, gdy lodowate strużki spływają mi po karku, piersi i plecach. Poczucie zagrożenia i wzmożonej czujności przeszywa mnie jak nóż.

- Sissy! - wołam w ciemny korytarz za drzwiami pokoju, a potem głośniejszym głosem, gdy wychylam się na ulicę. Ulewa zagnała wszystkich do domów, uliczki opustoszały. Ziemia zmieniła się w błoto, odcisnęły się w nim głębokie, duże ślady butów. Zbyt wielkie, by mogły należeć do małych stóp dziewcząt z osady, a zatem musieli to być dorośli mężczyźni. Starsi. Tak na oko przynajmniej trzech.

Ruszam po śladach. Niestety, znikają na brukowanej ścieżce. Spoglądam w dal.

- Sissy! - krzyczę.

W odpowiedzi słyszę tylko szum deszczu na strzechach i kocich łbach. Pędzę na plac przez zamgloną szarość. Zwykle panuje tu harmider, ale teraz napotykam jedynie pustkę i bezruch, nawet barwy wydają się wymyte. Okna chat są pozamykane jak zaciśnięte powieki.

- Sissy! - krzyczę znowu, tym razem unosząc dłonie do ust. - Sissy!

Drzwi jednej z chat się otwierają. W progu staje postać, kryjąc się przed deszczem pod niewielkim okapem. To Epap. Koszulę ma rozchełstaną, zapiętą tylko do połowy.

- Co się stało? - pyta ze znużonym grymasem. - Gdzie Sissy?

- Zniknęła! Pomóż mi ją znaleźć!

Trudno jest odczytać wyraz twarzy chłopaka. Z cienia spogląda na mnie niechętnie, nie chce wychodzić na deszcz.

- Epap?

Potrząsa głową, raz i drugi, mruga powoli. Cofa się do chaty, a ten odwrót zdradza urazę, jaką chowa do Sissy. Odwracam się, wściekły i rozczarowany. Liczyłem na więcej.

Wtedy jednak Epap wybiega znowu, naciągając pelerynę z kapturem na ramiona. Jego

buty rozpryskują błoto.

- Powiedz mi, co się stało - żąda Epap. W jego oczach błyszczy troska i zmartwienie.

- Wkurzyła starszych. A teraz gdzieś ją zabrali.

Chłopak patrzy mi w oczy, jakby chciał z nich wyczytać prawdę.

- To obłąd. Skąd u ciebie to przypuszczenie?

- Doprawili zupę czymś, co ją uśpiło. Nie zjadłem tyle, co ona, więc... Słuchaj, chcesz mnie wypytywać czy pomóc mi ją znaleźć? Myślę, że wpadła w poważne tarapaty.

- Nie przesadzasz za bardzo? - odgryza się Epap, kręcąc głową. - Dla nas byli tylko dobrzy. Dlaczego po prostu się nie odprężysz, nie skończysz z tą paranoją?

Krzywi usta.

- No co? Myślisz, że skoro Sissy nie ma z tobą, to musi koniecznie oznaczać, że coś się jej stało? A może po prostu, och, nie wiem, może po prostu nie chciała już być z tobą? - Unosi ramiona w deszcz, przycha. - Wyciągnąłeś mnie na tę paskudną pogodę tylko dlatego?

Nie mam czasu na przedstawienia albo na wyjaśnianie. Rozglądam się, zastanawiając, którądy powinienem pójść.

Epap chwyta mnie za łokieć. Odwracam się, żeby wyrwać rękę z uścisku, ale powstrzymuje mnie wyraz twarzy chłopaka.

- Czekaj - mówi Epap. Nabiera tchu, nie kryjąc zdenerwowania. - Naprawdę myślisz, że coś się stało?

Kiwam głową.

- Skąd wiesz?

- Epap, jesteś ze mną czy nie? Nie będę tracił czasu na wyjaśnienia.

Wreszcie chłopak ulega.

- No to chodźmy, znajdziemy ją.

I kiedy ruszam, Epap idzie obok mnie, nasze nogi poruszają się równo, błoto pryska nam spod butów jak małe eksplozje.

Jednak na pustych uliczkach i wśród ciemnych domów nie znajdujemy niczego.

- Gdzie się wszyscy podziali? - dziwi się Epap. Oddycha ciężko, gdy się zatrzymujemy. Przy ścianie najbliższej chaty pochyla się i podpira rękami na kolanach.

- Dalej... - Ja również z trudem łapię dech. - Szukajmy.

Kiwa głową, odpycha się od ściany.

- Czekaj. - Powstrzymuje mnie jednak, po czym wskazuje ruchem głowy w prawo.

Dziewczyna z wioski wyślizguje się z jednej chaty. Rozgląda się po pustych uliczkach, a potem rusza chwiejnie w naszą stronę, na ile pozwalają jej maleńkie stopki.

Epap i ja wymieniamy spojrzenia i ruszamy do dziewczyny. Ta zatrzymuje się, czeka, aż do niej dobiegniemy, ale nerwowo zerka na okolicę. Gdy chwyta mnie za rękę, żeby pociągnąć w wąski zaułek, rękaw zahacza o mój i unosi się, odsłaniając skórę. Cztery wypalone znaki po wewnętrznej stronie przedramienia. Dziewczyna ściąga kaptur. Rozpoznaję piegowatą praczkę.

- Już za późno - szepcze. - Wracajcie do swoich chat.

- Gdzie ona jest? - nalegam. - Gdzie ją zabrali?

- Już po wszystkim. Nic nie zyskacie, jeżeli będziecie jej szukać, a możecie wiele stracić. Dla własnego dobra, i jej, wracajcie.

- Nic jej nie jest? Zranili ją? - wtrąca Epap, podchodząc bliżej.

- Wróci w stosownym czasie.

Chwytam dziewczynę za ramię, delikatnie, ale stanowczo. Jest chuda, pod cienką warstwą ubrania wyczuwam twarde, kanciaste kości. W jej spojrzeniu błyska inteligencja.

- Wyszłaś, żeby nam pomóc - mówię. - Więc pomóż. Gdzie jest Sissy?

Dziewczyna waha się. Potem szepcze:

- Już za późno. Ale idźcie do kliniki. Wiecie, gdzie to jest, prawda?

- Do kliniki? - dziwi się Epap. - Wiem, gdzie to jest, ale czemu, u licha, mielibyśmy tam iść?

Dziewczyna wyrywa ramię z mojego uścisku.

- Przyszliście za późno. - Odwraca się i odchodzi, po czym znika w chacie, z której niedawno się wyślizgnęła.

Epap marszczy brwi, rysy jego twarzy napina panika.

- Do kliniki? - Odwraca się do mnie. - Gene, co się dzieje?

Nie odpowiadam, choć ogarnia mnie straszne podejrzenie. Zrywam się do biegu.

Brakuje nam tchu, gdy docieramy do kliniki, ale nie tracimy czasu. Epap wyważa drzwi ramieniem. Dostrzega coś i jego plecy napinają się, jak u marionetki, którą nagle szarpnięto za sznurki.

Sissy znajduje się w zupełnie pustym pomieszczeniu, leży na fotelu, który przypomina dentystyczny. Tyle że z więzami i pasami. Ramiona i nogi ma rozłożone, oczy zamknięte, usta rozchylone.

Słaby odór spalonego ciała unosi się w powietrzu.

- Sissy! - Epap podbiega do nieprzytomnej dziewczyny. Jej lewy rękaw jest podciągnięty, odsłania gładką skórę po wewnętrznej stronie przedramienia. Na środku, jak obca, wyciśnięta żelazem tkanka, widnieje obrzękły znak X. Sissy została napiętnowana.

Nie odzywamy się, tylko ruszamy, żeby ją uwolnić z więzów. Dziewczyna oddycha szybko i płytko, mamrocze bez sensu. Epap czule podwija jej rękaw, żeby szorstka wełna nie drażniła wrażliwej, oparzonej skóry. Podchodzę, żeby podnieść Sissy, ale chłopak mnie odpycha. Unosi ją z siłą i gracją, której przeczą chude ramiona, przyciska dziewczynę mocno do piersi, po czym przyryka oczy z ulgą i zaczyna szeptać.

- Trzymam cię, jesteś już bezpieczna, Sissy.

Kiedy poprawia chwyt pod jej kolanami, głowa dziewczyny uderza go w nos. Epap jednak nie wydaje żadnego okrzyku bólu lub gniewu, lecz tylko przytula Sissy z większą czułością, aż ból minie.

Serce ściska mi nieoczekiwana zazdrość.

Epap rusza na deszcz. Leje jak z cebra, przemakamy w okamgnieniu. Pomimo dodatkowego ciężaru chłopak gna jak szalony, trudno mu dotrzymać kroku. Ale nie da się też długo utrzymać takiego tempa.

- Epap! - Chwytam go za ramię i zatrzymuję. - Dokąd chcesz ją zabrać?

- Do mojej chaty. - Próbuje mi się wyrwać.

- Nie. - Spoglądam mu w oczy. - Twoja chata jest po drugiej stronie wioski, dziesięć minut drogi. Sissy nie powinna tak długo przebywać na deszczu, nie w jej stanie. Zabierz ją do mojego pokoju. Jest bliżej.

Ramiona Epapa zaczynają drżeć z wysiłku. Adrenalina przestała już działać, chłopak jest całkowicie wyczerpany. Kiwa głową.

- Prowadź.

Ale wtedy coś mi wpada do głowy.

- Musimy zabrać chłopców - oznajmiam.

Epap rozumie w lot. Sami nie są bezpieczni. Atak na jedno z nas oznacza atak na nas wszystkich.

- Daj mi Sissy - nakazuję. - Przyrowadź chłopców, Epap. Ty wiesz, gdzie są, ja nie.

Rzuca mi czujne spojrzenie.

- Nie... Zaniósę ją...

- Przez całą wioskę? - Kładę mu dłoń na ramieniu. - Zabiorę ją w bezpieczne miejsce. Obiecuję.

Spogląda na mnie, wyraźnie rozdarty niezdecydowaniem.

- Sissy będzie chciała zobaczyć chłopców, gdy się ocknie. Przyrowadź ich.

To go przekonuje. Pozwala mi wziąć dziewczynę z jego ramion. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tego chciałem - poczuć jej głowę opartą na moim obojczyku, ruch jej



klatki piersiowej przy oddechu. Wiele wysiłku kosztuje mnie, żeby nie objąć dziewczyny mocniej, nie zanurzyć twarzy w jej włosach i odetchnąć jej zapachem.

Epap przygląda mi się podejrzliwie. Opisuję mu położenie chaty, po czym rozstajemy się i biegniemy w przeciwne strony. Nieoczekiwanie przestaję czuć zmęczenie, jakbym czerpał siły witalne z bliskości Sissy. Stopy niosą mnie same coraz szybciej. Przebijam się przez deszcz, rozpryskuję krople na tysiące zimnych drobin mgły.

## Rozdział 26

Po powrocie do pokoju zaczynam działać szybko. Kładę Sissy na sofie. Dziewczyna kuli się, ramiona jej drżą, mamrocze w delirium, ma sine. Podnoszę narzutę z podłogi i owijam ciasno zmarznięte ciało. Pozostawiam na wierzchu tylko napiętnowane przedramię. To za mało, Sissy trzęsie się od długiego przebywania na chłodzie.

Podchodzę do kominka. Zostało jeszcze trochę żaru, więc rozpalenie ognia nie zajmuje mi wiele czasu. Sissy wciąż drży. Skóra wokół rany jest napuchnięta i czerwona.

- Och, Sissy... - szepczę przez zaciśnięte zęby. Odgarniam jej mokre włosy z czoła. Do tej pory nie wiedziałem, że wściekłość i czułość mogą zaistnieć w tym samym momencie.

Parę minut później pojawiają się chłopcy, ich stopy łomoczą na schodach i w korytarzu. Wpadają przez drzwi. Twarze mają pobladłe, włosy rozczochrane i mokre.

- Jak się czuje? - pyta Jacob. Zbierają się przy sofie, głaszczą dziewczynę, nie wiedząc, co zrobić. David wzdycha zaskoczony, gdy dostrzega piętno. Ben zaczyna płakać.

- Przynies z łazienki mokry ręcznik - rozkazuje Epap, żeby dać chłopakowi coś do zrobienia. - Musimy trzymać tę ranę w zimnie.

Ben zrywa się natychmiast. Epap odsuwa pled, po czym spogląda na mnie groźnie.

- Ty głupku! Przecież jej ubranie jest całe przemoczone. Nic dziwnego, że jej zimno.

- A co niby miałem zrobić? Rozebrać ją?

Epap nie odpowiada. Odwraca się do młodszych chłopców, wydaje im polecenia. Wskazuje na komodę z szufladami i szafę, a Jacob rusza, by znaleźć suche rzeczy. David pędzi do łazienki po wilgotny ręcznik.

-1 nie zapomnijcie założyć jej skarpet - kończy Epap, gdy chłopcy zaczynają rozpinąć i ściągać Sissy przemoczone ubranie.

Epap i ja wychodzimy na korytarz, zamykamy drzwi. Epap trze się po karku.

- Zaprawiono czymś jedzenie - mówię mu. - Uśpiło nas oboje. I właśnie wtedy ją zabrali.

Chłopak kiwa głową. Oczekuję wybuchu, wyrzutów, może oskarżeń, lecz jego głos jest zadziwiająco spokojny.

- Z tobą wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest - zapewniam po paru sekundach.

Epap znowu kiwa głową, po czym podchodzi do ściany i opiera się ciężko. Odchyła głowę, zamyka oczy.

- Chcieli ją przeszukać - podejmuję. - A Sissy odmówiła. Chodziło o dokładne oględziny, Epap.

Epap otwiera szeroko oczy.

- Co?

- Chcieli, żeby rozebrała się do naga. Żeby sprawdzić jej skórę.

Chłopak mruga.

- Po co?

- Myślą, że Początek może być inskrypcją lub tatuażem. Równanie, formuła albo coś podobnego. Jakiś rodzaj napisu.

Bezgłośnie powtarza: co?, po czym spogląda na mnie.

- Ale dlaczego tylko ona? Dlaczego nie ty albo ja, albo któryś z pozostałych chłopaków?

- Bo nas już sprawdzili. Mnie, kiedy byłem chory. A ciebie i resztę chłopaków zapewne podczas kąpieli w łaźni.

Epap wytrzeszcza oczy, gdy nagle coś do niego dociera.

- Przydzielili dziewczyny, żeby nas umyły. I wytarły. Dokładnie.

- I nie protestowaliście? Nie odmówiliście?

Epap się rumieni, spuszcza głowę.

- Nie... No bo dlaczego mielibyśmy odmawiać? Myśleliśmy, że to oznaka gościnności.

Prycham na tę odpowiedź, ale tylko w duchu. Odsuwam kotarę okna w korytarzu. Na zewnątrz nie widać żadnego ruchu, tylko kurtynę deszczu.

- Naprawdę dałeś sobie zamydląć oczy - stwierdzam. - Nie masz pojęcia, co? Nic nie wiesz o tym miejscu.

Chłopak splata ramiona na piersi.

- Wiem o napiętowaniu. To nie tak, jak myślisz. Tylko trzeba trochę czasu, żeby się przyzwyczaić. Jak do wszystkich tutejszych... dziwactw. Te dziwactwa są jak piana na piwie. Trzeba je pominąć, żeby się napić dobrego trunku.

- Napiętowano Sissy, Epap. To nie dziwactwo, do którego kiedykolwiek się przyzwyczaję. To nie piana.

Podłoga trzeszczy, gdy Epap się prostuje. Nie mówi słowa. Zza drzwi dobiegają ściszone głosy młodszych chłopców, którzy skończyli przebierać Sissy. Po długiej ciszy Epap pyta:

- Jak sądzisz, co powinniśmy teraz zrobić? Jesteśmy w niebezpieczeństwie? Powinniśmy odejść?

Wzruszam ramionami.

- To ja powinienem zadawać pytania. Ale byłem chory i nieprzytomny przez kilka dni, a ty przez ten czas mogłeś poznać wioskę lepiej. Jednak byłeś zbyt zajęty przymilaniem się do starszych i ignorowaniem „piany”. Znasz to miejsce tylko powierzchownie.

Chłopak przechodzi przez korytarz, po czym wraca.

- To nie fair.

- Powiem ci, co jest nie fair. Pozostawienie Sissy samej na farmie. A właśnie to zrobiliście. Opuściliście ją. Przeprowadziła was bezpiecznie do tej wioski, przez pustynię, przez rzekę i góry, chroniła was raz po raz przed atakami zmierzchników. A co dostała od was w zamian? Gdy tylko postawiliście stopę w tym miejscu, porzuciliście ją jak niepotrzebny bagaż. Odeszliście, zajęliście się zwiedzaniem i podrywaniem...

- Dość!

-...miejscowych dziewczyn, nie poświęcając Sissy jednej myśli.

- Sissy potrafi bronić się sama! Nie trzeba jej trzymać za rączkę...

- Nie o to chodzi! Chodzi o to, żeby trzymać się razem, żeby...

- Powiedziałem: dość! Nie potrzebuję, żebyś to ty mnie pouczał o lojalności! - Jego twarz wykrzywia gniew. Ale nie skierowany na mnie. Epap zaciska pięści przy bokach. Nienawiść do siebie i poczucie winy garbią mu ramiona.

- Zostawiłeś ją samą - mówię teraz ciszej. - Nie powinieneś być tego robić. Mogę zrozumieć młodszych chłopaków, w porządku, dali się oszołomić wszystkim, co tu napotkali, stracili głowy. Ale ty? Ty powinieneś być bardziej opanowany. I nigdy nie powinieneś być zostawiać Sissy, żeby broniła się sama, Epap. Co ty sobie myślałeś, gdy uganiałeś się za tymi dziewczynami? Chciałeś wzbudzić w niej zazdrość, co? - podnoszę oskarżycielsko głos.

Epap zaciska usta. Znowu przemierza korytarz. Krótkie, napięte kroki. Wbija wzrok w swoje buty, jest niepokieszony. Kiedy wraca, idzie wolniej, z namysłem. Wreszcie opiera się o ścianę i kopie ją od tyłu, piętami.

- Nie chciałem w niej wzbudzić zazdrości - wyznaje cicho. - Spędzałem czas z dziewczynami z wioski nie po to, by prowadzić jakąś gierkę. Nigdy nie zrobiłbym czegoś tak... niedojrzałego.

- Więc dlaczego to zrobiłeś?

W oczach wzbierają mu łzy, opuszcza głowę.

- Żeby udowodnić sobie, że potrafię sobie doskonale radzić bez niej. Że jej nie potrzebuję. I że w towarzystwie innych dziewcząt zdołam o niej zapomnieć... - Pociąga nosem. -1 na początku wydawało się, że to możliwe. Kobiety poświęcały mi tyle uwagi, to

było upajające, wiesz? Ale myliłem się... Bardzo.

Spogląda na swoje ręce, bierze gniewny, nerwowy wdech przez nos.

- I masz rację, nigdy nie powinienem był jej tak zaniedbać. Całkowicie zawiodłem.

Podnosi na mnie oczy, tym razem spokojne i zdecydowane.

- Stać mnie na więcej. Naprawię to. Wynagrodzę jej.

Kiwam głową, nie przerywamy ani na chwilę kontaktu wzrokowego. Trwało to ponad tydzień, ale w końcu obaj doszliśmy po raz pierwszy do prawdziwego porozumienia.

- Jest coś niepokojącego w tym miejscu - mówi Epa, rysy mu twardnieją z poczucia winy. - Co mi umknęło?

- Są sprawy, o których dopiero się dowiaduję. A ty na pewno powinieneś o nich wiedzieć. - Wskazuje na drzwi do pokoju. - Ale wracajmy. Chcę, żeby chłopcy też to usłyszeli.

Ruch. Za oknem rząd postaci zmierza w deszczu do naszej chaty.

- Czekaj. - Zatrzymuję Epap. - Ktoś idzie.

Trzy dziewczyny z wioski. Przynoszą medykamenty i bandaże. Klękają przy wciąż nieprzytomnej Sissy, po czym zajmują się nią z wypraktykowaną efektywnością. Pachnąca ostro maść zostaje zaaplikowana na poparzenie, starta po paru minutach, by zastąpił ją żółtawy krem o lżejszej konsystencji. Dziewczyny owijają przedramię Sissy bandażem, ale nie samo oparzenie, lecz wyżej.

- Trzeba wcierać delikatnie maść co godzina - poucza prowadząca dziewczyna. Ma twarde spojrzenie, kontrastujące z pulchnymi policzkami, i włosy zaplecione wysoko w dwa warkoczyki. Wstaje, żeby wyjść. Pozostałe ruszają jak na komendę, deski podłogi trzeszczą pod ich wspólnym ciężarem.

Jedna z dziewcząt, o wysokim, drżącym głosie, odwraca się w progu.

- Starsi pragną wyrazić swoje niezadowolenie. Zabranie tej dziewczyny z kliniki to poważne wykroczenie. Jednak naczelny starszy Krugman uznał, że dalsze dyscyplinowanie nie jest konieczne. Dziś wieczór wymierzono już wystarczającą karę. Sprawiedliwości stało się zadość, porządek został przywrócony - ostatnie zdanie dziewczyna intonuje jak zaśpiew.

- Jednak - dodaje trzecia dziewczyna, o płaskiej, chudej twarzy - starszyzna pragnie również wyrazić życzenie, żeby każdy z was powrócił na swoje posłanie. Miejsca spania są ściśle określone. Odprowadzimy chłopców do chaty i przeniesiemy dziewczynę z powrotem na farmę.

Chłopcy spoglądają na siebie niepewnie.

- Nie - odpowiada Epa. - Nic z tego. Zostajemy tutaj wszyscy. I od tej pory będziemy

trzymać się razem.

- Starszyzna nalega.

- Ja również - odpowiada Epap.

Dziewczyny, nieprzywykłe do sporu z mężczyzną twarzą w twarz, ustępują bez oporu. Jedna wygładza suknię.

- Wiem, co myślisz - mówi. - że to, co się przydarzyło dziś w nocy twojej przyjaciółce, jest okropne.

- A nie jest? - rzucam.

Dziewczyna podsuwa rękaw. Ma trzy piętna na przedramieniu.

- Byłam kiedyś dzika i niezdyscyplinowana. Nie zdawałam sobie sprawy, że moje zachowanie to rak, który może zagrozić harmonii Misji. Ale dojrzałam. I teraz mogę wam szczerze powiedzieć, że odkąd nauczyłam się, że Misja jest ważniejsza ode mnie, odnalazłam spokój i radość, których szukałam w złych miejscach. Nigdy nie sądziłam, że mogę być szczęśliwsza niż teraz, zwłaszcza wiedząc, że pewnego dnia dostąpię najwyższej radości i otrzymam bilet do Cywilizacji.

Dostrzega w mojej twarzy niedowierzenie.

- Starsi uczą nas, i przekonałam się, że to prawda, że Misja będzie trwać lub upadnie zależnie od tego, jak dobrze zsynchronizujemy się w jej harmonii. Właśnie dlatego jakiegokolwiek odstępstwo, nieważne, jak nieznaczne, musi być usuwane szybko, a niekiedy, w rzadkich przypadkach, niestety, drastycznie. Lecz to spokojna, cudowna społeczność. Musisz przestać szukać zła za każdym krzakiem. Ponieważ twoje poszukiwania okażą się nadaremne.

- Zostałaś napiętnowana trzy razy. - Wskazuję na jej przedramię. - Co się stanie, gdy będziesz miała pięć takich znaków?

Dziewczyna nie odpowiada, tylko opuszcza rękaw. Lewa brew jej drży.

- Pora na nas - oznajmia. Jej towarzyszki zabierają koszyki z medykamentami i wychodzą z pokoju. Słyszę ich kroki na korytarzu.

Ale jedna, ta z warkoczami, zwleka. Stoi nieruchomo. Nagle odwraca się i patrzy mi w oczy.

- Bądź bardzo ostrożny - szepcze, zmarszczywszy w napięciu brwi. Wyraźnie się boi.

- Co? - wtrąca Epap. Za głośno.

Oddalający się stukot kroków w korytarzu urywa się, a potem, zamiast cichnąć, staje się głośniejszy. Pozostałe dwie dziewczyny wracają. I to w pośpiechu. Ich kroki są jak narastający łomot pięściami w drzwi.

- Co się dzieje? - szepczę do dziewczyny.

Jednak jest już za późno. Usłyszała kroki i szybko się opanowała.

- Pozwolicie przynajmniej, żebyśmy przyniosły wam coś do jedzenia? - pyta głośno.

Jej towarzyski są znowu przy drzwiach i patrzą na dziewczynę uważnie.

- Nie - odpowiadam. - Nie po tym, co się stało, gdy zjedliśmy zupę.

Dziewczyna wychodzi z pokoju, jej warkocze kołyszą się przy każdym kroku.

Cała trójka oddala się na schody. Słyszemy trzask otwieranych i zamykanych drzwi.

## Rozdział 27

I tak właśnie wygląda sytuacja - mówię do chłopców. Mój głos jest znużony i schrypnięty od długiego mówienia. - Musimy zdecydować, co robić. Wsiąść do pociągu czy nie.

Przez minioną godzinę opowiedziałem im wszystko, co usłyszeliśmy z Sissy w gabinecie Krugmana.

O świecie, o historii zmierzchników, o naukowcu.

I o Początku. Co jakiś czas przerywałem, żeby dać im czas na przetrwanie tej nowej wiedzy. Dodawałem więcej drewna do ognia lub sprawdzałem przedramię dziewczyny. Ja również potrzebowałem czasu. Nie miałem go, gdy omal nie wdałem się w walkę w biurze Krugmana, ani potem, gdy zostałem uśpiony albo szukałem Sissy. Sam jeszcze nie zdążyłem wszystkiego przetrwać. Kiedy podzieliłem się swoimi podejrzeniami dotyczącymi Cywilizacji - że to może nie być Ziemia Obiecana, lecz w Pałac Władcy - głos mi się rwał i musiałem wbić paznokcie w dłoń, żeby powstrzymać drżenie palców.

Epa obejmuje Bena, któremu znowu zbiera się na płacz. Nikt się nie odzywa, siedzimy tylko na dywanie między kominkiem a sofą, gdzie leży Sissy. Chłopcy marszczą brwi w głębokim namyśle. Nakładam świeżą warstwę maści na oparzenie. Sissy oddycha teraz głębiej, bardziej rytmicznie, czoło ma suche. Działanie narkotyku, który jej podano, ustępuje, dziewczyna wkrótce się ocknie. Lada moment.

Za oknami niepostrzeżenie zapada zmierzch skryty za kurtyną deszczu.

- Ale nie wiemy, prawda? - przerywa ciszę Jacob. - Nie wiemy na pewno, tak? Cywilizacja może być Ziemią Obiecaną. A pociąg może nas zabrać do raj.

- Pamiętaj jednak, co powiedziała tamta dziewczyna z warkoczykami - odpowiadam. - Ostrzegła nas, żebyśmy zachowali ostrożność.

- Ale przypomnij sobie, co powiedziała ta druga - oponuje Jacob. - Że nie powinno się szukać zła za każdym krzakiem. Może to miejsce naprawdę jest bramą do raj.

Sissy jęczy z bólu, oczy nadal ma zamknięte.

- To popatrz, co tutejsi ludzie zrobili Sissy - stwierdzam. - Jak możesz zaufać ich słowom?

Jacob podnosi się z podłogi i podchodzi do okna.

- Słuchajcie. Miałem zeszłej nocy taki sen. O Cywilizacji - przerywa z wahaniem. Ale potem zaczyna mówić, a na policzkach wykwita mu rumieniec. - To było takie prawdziwe.



Widziałem stadion wypełniony ludźmi, którzy oglądali zawody sportowe w słońcu. Zupełnie jak w czytanych przez nas książkach. Targowiska pod gołym niebem, setki różnych kramów. Letnie koncerty na bujnej trawie, dzielnice miast z restauracjami i stolikami na zewnątrz, gdzie ludzie siedzieli, pili i jedli... sałatki. I były tam place zabaw z czarodziejskimi zamkami i podniecającą kolejką. Karuzele z roześmianymi dziećmi, magiczna łódź ze śpiewającymi zabawkami, o której opowiadał nam naukowiec. Nie możemy tam nie pojechać.

- Och, Jacob, to tylko sen. Nie możemy podejmować decyzji w oparciu o przyjemne złudzenia - prychna lekko Epap.

- To takie same złudzenia jak wasze domysły. - Jacob przeczesuje sobie dłonią włosy.  
- Próbuję tylko powiedzieć, że nic nie wiemy. A przynajmniej nie mamy pewności.

Znowu popadamy w milczenie. Dorzucam do ognia i wszyscy wbijamy wzrok w płomienie, jakby to one skrywały odpowiedź, jakiej szukamy.

- Ale jedno wiemy na pewno. - To Ben. Jego głos brzmi piskliwie. Chłopak podkulił kolana i oparł na nich podbródek. Teraz podnosi głowę z szerokim uśmiechem. - Początek. Wiemy, co to jest.

Wszyscy wbijamy w niego wzrok.

- Albo raczej kto - wyjaśnia Ben. Unosi ramię i wskazuje na mnie palcem. - Ty jesteś Początkiem. To takie oczywiste.

- Ja? Skąd ten pomysł? - Mam ochotę prychnąć, ale jakoś mi nie wychodzi. Robi mi się gęsia skórka.

Chłopcy przyglądają mi się z tym samym wyrazem twarzy co parę dni temu. Na tratwie, kiedy odwrócili kamienną tablicę i zobaczyli wykute w niej słowa...

- Nie pozwólcie Gene'owi zginąć - mówi Ben.

- Nie pozwólcie Gene'owi zginąć - powtarza Jacob powoli i z namysłem, jakby smakował każde słowo. Podnosi na mnie wzrok, wytrzeszcza oczy. - Ben ma rację. Początek to nie rzecz. To człowiek. Ty. Musisz być Początkiem.

Za moimi plecami trzaska kłoda w kominku.

- To nawet ma sens. - Epap skubie dolną wargę. - Chodzi o to, że szukaliśmy tego wszędzie. Przejrzeliśmy nasze bagaże, ubrania. Przekartkowaliśmy wiele razy dziennik, ale zawsze na próżno. Gdyby Początek był przedmiotem, jaki mamy, już byśmy go znaleźli.

Zerka na Sissy, leżącą na sofie.

- Starsi wierzą, że to jakiś napis, może słowa wytatuowane na skórze, jak powiedziałeś. Ale może przekazu nie ma na skórze, tylko...

-...jest w imieniu. W twoim imieniu - kończy Ben, patrząc na mnie.

Gene. Gen.

- A jeżeli Początek masz w swoich genach? - pyta Ben. - Może to genetyka. Coś związane z DNA, o którym uczył nas naukowiec.

Przyglądają mi się, jakby nagle wyrosła mi druga głowa. Albo pięć.

- Niece - zaprzeczam. - To nie może być takie proste. - Marszczę brwi, gdy dostrzegam swoje odbicie w szybie. - Jest?

- Gene - Epap powoli się podnosi - czy twój ojciec coś ci wspomniał?

- O czym? - dziwię się.

- Czy powiedział ci, dlaczego dał ci na imię Gen? - pyta Epap. Jeżeli drwi ze mnie lub sobie żartuje, nie ujawnia tego ani brzmienie głosu, ani stanowcze spojrzenie.

- Czekajcie. - Unoszę ręce. - Myślicie, że jestem Początkiem, ponieważ... mam to w genach? Myślicie, że lekarstwo dla zmierzchników jest zapisane w moim kodzie genetycznym?

Ich wytrzeszczone oczy i otwarte usta są wystarczającą odpowiedzią.

- No nie! - pryham. - Nie bądźcie śmieszni! Przecież to tylko imię! Dźwięk. Nie ma w nim żadnego dodatkowego znaczenia! - Spoglądam na Epa. - Chcesz powiedzieć, że Epa ma jakieś specjalne znaczenie? Albo Ben? Albo Jacob?

- Właściwie... - Chłopak rozpromienia się, gdy sobie coś uświadamia. - Owszem, mają. Wszystkie nasze imiona mają dodatkowe znaczenie. Naukowiec powiedział, że ochrzcił nas, żeby podkreślić nasze unikalne cechy. Ben dostał imię po Big Benie, mitycznym wielkim zegarze, bo w dzieciństwie miał pulchne ręce i nogi. Jacob nosi imię biblijnej postaci, bo lekko utyka. A Sissy to właściwie Sis, żeby Ben pamiętał, że są rodzeństwem, no, przynajmniej w połowie. Zaczęliśmy nazywać ją Sissy, bo lepiej się to wymawia. Mnie nazwał Epap...

- Dobra, dobra, rozumiem - przerywam. - Naukowiec dał wam śliczne imiona. Cieszę się z wami.

Ale powiem wam jedno: mnie nigdy nie wyjaśnił, dlaczego tak mam na imię. To tylko imię. Bez żadnego ukrytego znaczenia.

Ale oni jakby mnie nie słyszeli. Uśmiechają się, patrzą na mnie z podziwem.

- Przez cały czas... - Jacobowi błyszczą oczy. - Przez cały ten czas mieliśmy to pod nosem. Początek. Lekarstwo dla zmierzchników, ratunek dla ludzkości. Przeklęty Początek.

Stoję przed nimi i czuję się niezręcznie, gdy poświęca mi się tyle uwagi. Wolałbym, aby nie wyciągali tak niesprawdzonych wniosków.

I wtedy słyszę skrzypienie skórzanego obicia sofy.

- Jest dla was jeszcze nadzieja, głupki.

To Sissy się odezwała. Odwracamy się do niej jak jeden mąż. Dziewczyna oczy ma otwarte, unosi głowę. Próbuje się uśmiechnąć.

- Może powinnam częściej tracić przytomność. Usuwać się. Najwyraźniej zmusza was to do samodzielnego myślenia. I potraficie wpadać na całkiem dobre pomysły.

- To ja, Sissy - wykrzykuje Ben rozpromieniony i podbiega do sofy. - To ja na to wpadłem pierwszy!

Dziewczyna całuje go w policzek.

- Oczywiście, że ty. Jesteś moim bratem, prawda?

Ben wskazuje na mnie z dumą.

- A on jest Początkiem.

## Rozdział 28

Sissy jest na nogach zaledwie parę minut, a już gwałtownie wymiotuje do miednicy. 'Wyciera usta z resztek śluzu, zapewnia, że czuje się lepiej, gdy pozbyła się tego z organizmu. Smród jest okropny, więc wynoszę naczynie za chatę. Kiedy wracam, pozostali prowadzą gorącą dyskusję.

- Powinniśmy wsiąść do pociągu - argumentuje Jacob. - Naprawdę wierzę, że właśnie dlatego naukowiec przyprowadził nas do Misji. To miejsce jest jak poczekalnia, z której wyruszymy pociągiem do rajy. No dobrze, muszę przyznać, że to trochę dziwna poczekalnia. Są tu ekscentryczne prawa i rządy twardej ręki. Rozumiem to. Ale to jednak poczekalnia... - Wzdycha nerwowo. - Za tydzień będziemy jeść wykwintne potrawy albo luksusowo zwiedzać miasta i będziemy śmiać się z tych głupich podejrzeń. To pora na świętowanie, nie na domysły, czego chciałby naukowiec. Przywiódł nas tutaj, żebyśmy wsiedli do pociągu. Co może być bardziej oczywistego?

- Skoro o to chodzi, dlaczego sam nie wsiadł do pociągu? - pyta Epap.

- Czekał na nas, na Gene'a. Czekał, aż przybędzie Początek. Zapewne czekał, żeby pojechać z nami i osobiście odprowadzić nas do Cywilizacji. - Jacob machnął nerwowo rękami. - Przewróciłby się w grobie, gdyby nas teraz słyszał.

- I właśnie potwierdziłeś mój kolejny argument. Ponieważ naukowiec jest w grobie. Skoro na nas czekał, dlaczego się zabił? - odpowiada Epap.

Jacob przelyka z trudem ślinę.

- Nie wiem - głos mu drży. - Może spodziewał się, że przybędziemy o wiele wcześniej. Miesiące, lata wcześniej. A kiedy się nie pojawialiśmy, może uznał, że nas zawiódł i nie zasługuje na powrót do Cywilizacji. Ale możemy uhonorować jego pragnienie i udać się tam, gdzie przez tyle czasu starał się nas zabrać, do Cywilizacji.

W pokoju zapada ciężka cisza.

- Nie wiem, Jacob - odzywa się cicho Sissy. - Przykro mi, ale jest coś niepokojącego w tej Cywilizacji. I w samobójstwie naukowca. Myślę, że uhonorujemy go najlepiej, jeżeli zachowamy czujność i postaramy się myśleć. Musimy dowiedzieć się więcej, zanim wsiądziemy do pociągu.

- A ile to potrwa? Tydzień? Miesiąc? Rok? - Wzrok Jacoba zatrzymuje się na piętne dziewczyny. - Nie możemy tutaj zostać na czas nieokreślony.

Sissy dostrzega spojrzenie chłopaka utkwione w jej przedramieniu i odwraca

częściowo rękę.

- Mamy tu jedzenie i dach nad głową - stwierdza. - Ten znak, który mi zrobili, to nic. Ledwie zadrapanie. Prawie nie boli. - Posyła Jacobowi uśmiech. - Nic nam tutaj nie grozi.

Jacob opuszcza głowę, oczy mu błyszczą.

- Znasz mnie, Sissy - szepcze tonem nabrzmiałym od emocji. - Nigdy nie sprzeciwiałem się twoim decyzjom, które dotyczyły nas wszystkich. Skoro mówisz, że potrzebujesz więcej czasu na zebranie informacji, wierzę ci. Ale postaraj się to zrobić jak najszybciej, dobrze? I obiecaj, że nie będziesz nas tutaj trzymać ani chwili dłużej, niż to konieczne.

Dziewczyna podchodzi do niego i przytula. Ciało Jacoba, napięte i sztywne, odpręża się z ulgi. Chłopak obejmuje Sissy w pasie, drży. Spod zamkniętych oczu płyną mu łzy.

- Ani chwili dłużej, niż to konieczne. Będziesz pierwszym, który się o tym dowie. Hej, żadnych łez! Jesteś za duży na płacz.

Jacob kiwa głową, wyciera mokre policzki.

- Ależ z ciebie głuptas, wiesz? - Sissy mierzwi mu włosy.

## Rozdział 29

Idą spać. Trzej młodszy chłopcy dzielą łóżko, Sissy leży na sofie, Epap na dywanie. Wynoszę wysoki W drewniany stołek na korytarz, stawiam przy oknie. Mówię, że na wszelki wypadek będę trzymał wartę.

Słyszę ich stłumione głosy z pokoju, ponurą wymianę zdań. W końcu rozmowy cichną, potem rozlega się ciche pochrapywanie i równe oddechy, podświadomie zsynchronizowane nawet podczas snu. Zastanawiam się, czy nie wrócić do pokoju i nie położyć się na łóżku. Chłopcy zrobią mi miejsce, jak zawsze. Ale zostaję twardo przy oknie. Muszę trochę pobyć sam.

Ulewa niczym ta trwająca przez czterdzieści dni i nocy wreszcie ustaje. Po godzinie woda przestaje nawet spływać z okapów. Wioskę otula cisza. Chmury zaczynają się rwać, księżycowa poświata sączy się pasmami z poszarpanego nieboskłonu na górskie grzbiety.

Gene.

Gen.

Czy powiedział ci, dlaczego nazwał cię Gen?

Z zamyślenia wyrywa mnie skrzyp podłogi. Sissy - blada jak duch - przemyka przez mrok korytarza. Otuliła się narzutą jak szalem.

- Dlaczego nie wróciłeś do pokoju? - pyta dziewczyna cicho. Podchodzi bliżej, nie mogąc doczekać się odpowiedzi. Nasze ramiona niemal się stykają, gdy Sissy również wygląda za okno. Rękaw ma podwinięty, ciemność skrywa ranę na przedramieniu.

Ostrożnie przyciągam ją w światło księżyca. Wypalone piętno wygląda jeszcze gorzej, z opuchlizny sączy się ropa.

- Och, Sissy...

Spojrzenie jej twardnieje, ale tym razem jest inne. By ukryć przed chłopcami ból, skupiała wzrok niczym ochronną tarczę. Lecz mnie udaje się za tą zasłoną dostrzec skrywaną głęboko urazę i gniew.

Sissy twierdzi, że niewiele pamięta. Przypomina sobie tylko senność, która ogarnęła ją po zjedzeniu zupy, wrażenie niesienia, a potem już nic, dopóki nie znalazła się znowu w moim pokoju. Tam dopiero zobaczyła swoje piętno.

- Na pewno też mnie obejrzeni - mówi dziewczyna i nawet w jej szepcie słyszę gniew.

- Nie wiem, co jest gorsze: wiedzieć, że to zrobili, czy nie pamiętać, że to się w ogóle stało.

- Przykro mi. Próbowaliśmy cię odnaleźć... obaj z Epapem próbowaliśmy. Ale...

- Nie możemy pozwolić, żeby to nam przeszkodziło - przerywa mi cicho Sissy, ale znowu dostrzegam błysk gniewu w jej oczach. - To znaczy nie zrozum mnie źle. Chcę ich sprać na kwaśne jabłko. Ale nie możemy sobie pozwolić na rozproszenie uwagi. Naszym najważniejszym celem - podnosi na mnie oczy - jest dowiedzieć się wszystkiego o pociągu. Zajmowanie się teraz osobistą zemstą tylko by nas od tego odciągnęło.

Smugi pary z jej oddechu osiadają na szybie. Ramię Sissy drży lekko pod moim dotykiem.

- Na pewno dobrze się czujesz, Sissy? - Wyciągam rękę, żeby odgarnąć jej włosy z czoła. - Hej, może po prostu powinniśmy się stąd wynieść? Spakować nasze rzeczy i odejść w las.

- Nie - odpowiada Sissy bardzo cicho. - Dokąd byśmy poszli? Jak mielibyśmy przeżyć? Nadchodzi zima. Zresztą Jacob ma rację, może pociąg naprawdę jedzie do Ziemi Obiecanej. Nie wolno nam zbyt wcześnie odrzucać tej możliwości, może to najlepsze wyjście, jakie mamy.

Popadamy w milczenie. Chmury się rozwiewają, księżycowa poświata pada na wioskę. Stopniowo Sissy zaczyna się rozluźniać, rysy jej łagodnieją. Dziewczyna opiera się o mnie, nasze ramiona się dotykają. Jestem nieoczekiwanie bardzo świadom tego dotyku. Trzymałem jej ramię przez cały czas. Powoli cofam rękę. Ramię dziewczyny opada.

- Co się stało? - pyta Sissy.

Przetykam ślinę.

- Nic.

Spoglądamy znowu na wioskę za oknem. Po korytarzu niesie się chrapanie.

- No to chodź - decyduje Sissy. - Powinniśmy odpocząć. Wracajmy do pokoju, tam jest mnóstwo miejsca i ciepło... - Ujmuje mnie za łokieć. - Sen oczyści nam myśli. Rano może coś wymyślimy.

Kręcę głową. Sissy spogląda na mnie uważnie.

- Samotny wilk z ciebie, Gene.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Odpowiedzi gdzieś tu są. W wiosce. Nie w naszych głowach. - Wsuwam rękę do kieszeni parki. - Powiedziałaś raz, że mój ojciec bawił się z tobą w szukanie skarbów. Ze mną też tak się bawił. Cały czas. Ukrywał nagrodę i zostawiał mi bardzo niewiele wskazówek, jak ją znaleźć.

Oczy dziewczyny rozjaśniają się na przywołane wspomnienie.

- Rozwiązanie masz przed sobą. Tuż pod własnym nosem.

Kiwam głową.

- Nie mogę pozbyć się wrażenia, że gdzieś w wiosce znajduje się wskazówka, którą dla mnie zostawił. Tuż pod nosem. Muszę tylko ją odnaleźć. - Odwracam się do Sissy. - Odpowiedzi są gdzieś tutaj. I czekają tylko na odnalezienie.

Dziewczyna ujmuje mnie za rękę.

- Chyba wiem, gdzie powinniśmy szukać.

Przemykamy się przez skąpane w księżycowej poświacie uliczki. Głębokie kałuże lśnią w ciemności jak sadzawki rtęci. Sissy odzyskała siły, dotrzymuje mi kroku, woda tryska nam spod podeszew przy każdym stąpieniu. Wydaje się, jakby chaty nas osaczały, dlatego nie odzywamy się, aż miniemy plac, a główna ulica zmieni się w błotnistą drogę.

- Tędy. - Dziewczyna wskazuje kierunek, gdy znajdujemy się w połowie odległości wioski od farm i pól.

Otulam się ciasniej kurtką, żeby osłonić się przed chłodem. Idziemy do budynku stojącego kilkaset metrów w bok, na skraju lasu. Dom jest kwadratowy i pudełkowaty. Prosty. Żadnych okien, tylko metalowe drzwi w betonowej ścianie. Połowę budynku spowija księżycowe światło, reszta skrywa się w cieniu rozłożystych drzew.

- To laboratorium naukowca - wyjaśnia Sissy, gdy dochodzimy bliżej. - Przeszukałam je w środku z tysiąc razy, gdy leżałeś chory. Wiem, że starsi przetrząsnęli tu każdy cal, żeby znaleźć Początek. Ale chciałam zobaczyć na własne oczy, nad czym pracował twój ojciec.



## Rozdział 30

Powietrze wewnątrz jest zatęchłe, wilgotne i przesiąknięte zapachem pleśni. Sissy przyciskiem włącza lampy jarzeniowe zwisające z sufitu. W pracowni stoi pięć dużych stołów, na każdym leżą probówki, małe palniki, zlewki i pipety. Na ławach i nawet pokrytej kurzem podłodze widzę otwarte książki, notesy z odręcznymi wpisami. Charakter pisma rozpoznałbym wszędzie. To notatki mojego ojca.

- Musiał sypiać tutaj. - Sissy wskazuje wiszący w kącie hamak. - Szczur laboratoryjny, badający, sprawdzający i prowadzący doświadczenia o określonych porach.

Podnoszę jeden z notesów. Wypełniony jest od pierwszej do ostatniej strony bezsensownymi równaniami chemicznymi i wzorami. Jeżeli mają jakiś ukryty sens, nie potrafię go dostrzec. Wyglądają na szalone zwidy zapisane przez człowieka, który popadł w obłąd.

- Przejrzałam wszystkie notesy - stwierdza Sissy. - We wszystkich jest to samo. Te równania i wzory. Mówią ci coś?

Kręcę przecząco głową. Ruszam wzdłuż ściany, przyglądam się uważnie. W wysokiej szklanej szafce stoją rzędami nieprzeliczone fiołki, wiele wypełnionych tylko do połowy przezroczystym płynem.

- Co on tutaj robił? Nad czym pracował?

Głos Sissy z drugiego końca laboratorium odbija się echem od ścian.

- Myślę, że wymyślił świecący zielony płyn do błyskaczy. - Dziewczyna podchodzi bliżej i wyjmuję z szafki dwie fiołki. Zawartość jednej wylewa na blat stołu, tworzy się mała kałuża. Sissy wlewa do niej ciecz z drugiej probówki. Zmieszane płyny natychmiast zaczynają świecić na zielono. - Z tego, co udało mi się zrozumieć w notatkach, pracował nad tym płynem przez kilka lat. To źródło jakiejś alternatywnej energii. - Sissy podnosi notatnik i klepie się nim w udo. - Zastanawiałam się, czy kryje się w tym coś więcej.

Podnoszę kolejny notes. Więcej równań i wzorów chemicznych, najwyżej pojedyncze zdania z podmiotem, orzeczeniem i dopełnieniem. Ani jednego zaimka osobowego.

- I tyle? Tylko tym się tutaj zajmował? Pracował nad jakąś głupią cieczą? - Podnoszę następny notes, kartkuję, po czym upuszczam na podłogę. - Musi być coś więcej.

- Przejrzałam wszystkie notatki, Gene. Nie ma w nich nic oprócz wzorów i równań związanych ze świecącym płynem.

Przechodzę między stołami, rozglądam się, szukam. Kilka szuflad zawiera brudne

pipety, flaszki, zmatowiałe plastikowe gogle, metalowe linijki, które zaczynają już rdzewieć.

- Znak, wskazówka, cokolwiek. Musi tu być.

- Może - wzdycha dziewczyna. - To potrwa, ale jeżeli coś mi umknęło, pewnie to znajdziesz.

Otwieram przeszkloną szafkę, odsuwam zlewki i pipety, sprawdzam ławki i spody stołów w nadziei, że natrafię na wryty napis albo dziurkę, przez którą przedostanie się promień słońca. Jednak po godzinie takich poszukiwań nadal pozostaję z pustymi rękoma. Wszystko gładkie i oczywiste. I pusta cisza.

- Gene, szukaliśmy wszędzie. - Sissy przygryza usta. - Tu nic nie ma.

A ja właśnie zaczynam zrzucać ze stołów próbki i zlewki, nie przejmując się, że rozbijają się na podłodze w drobny mak, potem kopię stolki, odpycham je z drogi. Ściągam zakurzone kurtki i szaliki z wieszaków. Szukam swojego imienia, napisanego, wrytego lub wygrawerowanego na drewnie, na plastiku lub szkłe. Szukam litery G, litery E, litery N. Szukam swojego ojca.

- Gene.

Podnoszę inne notatniki, kartkuję szybko, ale nie znajduję nic poza bezsensownymi równaniami i tumanami kurzu, który prószymi mi w oczy, zmusza do mrugania i drażni pod powiekami, wywołując łzy. Tak wiele czasu poświęconego pisaniu, tak wiele liter. Ale ani razu żadnej kombinacji G, E i N.

- Gene.

Szarpię okładki notesów ojca, rozdieram je na pół. Grzbiety chrzęzczą, gdy rzucam strzępami w przeszklone szafki. A potem wyłączam światło, wbijam wzrok w ciemność z nadzieją, że ujrzę świecące litery, sekretną wiadomość pozostawioną tylko dla mnie. Ale nie dostrzegam nic, tylko czerń. Wtedy szarpię klamkę. Potrzebuję powietrza. Powieki mam zaciśnięte mocniej niż pięści, którymi biję w metalowe drzwi, ciało mi drży z gniewu, który bardziej przypomina żal i rozpacz.

- Gene.

Sissy podchodzi do mnie, staje w smudze czystego księżycowego blasku, który pada również na mnie. Znajdujemy się jakby pod srebrzystym namiotem, gdzie światło barwi włosy dziewczyny w odcienie sepii.

Dotyka mojej twarzy. Nie spuszczając ze mnie oczu, Sissy przesuwając palcami po moim policzku. Czuję miękkość jej skóry i twardą krawędź paznokcia, gdy przesuwając mi się po szyi i po jabłku Adama.

Przyciskam czoło do zimnej metalowej framugi.

- Była taka noc, gdy miałem siedem lat. Ojciec musiał wyjść, żeby poszukać zęba, który zgubiłem w szkole. Nie było go parę godzin, ale wydawały się wiecznością. Myślałem, że zostanie pożarty. Byłem przecież tylko małym chłopcem. Ale kiedy już straciłem nadzieję, ojciec wrócił. Wtedy zmusiłem go, żeby obiecał, że nigdy mnie nie opuści. A on powiedział, że nigdy tego nie uczyni i nawet jeśli będzie się wydawało, że odszedł daleko, zawsze wróci. Obiecał, że nigdy mnie nie opuści.

Potrząsam głową, wypuszczam drżący oddech.

- Dlaczego obiecał, a potem mnie zostawił? I dlaczego przyprowadził mnie tutaj, żebym musiał się dowiedzieć, że znowu mnie porzucił? Ani słowa. Ani jednej przekłętej notatki. Jak trudno by było napisać: Drogi Gene?

Sissy głaszcze mnie po głowie, jej palce przeczesują mi włosy, miękka dłoń muska ucho.

- Jeżeli to prawda, że jestem Początkiem, czy nie znaczyłem dla niego nic więcej niż projekt naukowy?

- Gene - szepcze dziewczyna. Jej kciuk przesuwają mi się po kości policzkowej, ściera spływającą kroplę. Sissy pochyla się powoli. Nasze usta dotykają się w ciszy, delikatnie jak chmury na nieboskłonie płynące do najbardziej miękkiego obszaru wszechświata.

Zamykam oczy.

I wtedy ziemia zaczyna drżeć. Leciutko, ledwie wibruje.

Otwieram szeroko oczy, ale jedyne, co widzę - jedyne, co się liczy na świecie - to brązowe tęczówki z pasemkami zieleni. Źrenice dziewczyny rozszerzają się, wciągają mnie. Czuję, jak dłonie Sissy przesuwają mi się po plecach.

Wtedy ją przyciągam, obejmuję mocno. Przytulamy się kurczowo, a poczucie, że to odpowiednie i nieodpowiednie zarazem, miesza się we mnie tak, że nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. Więc tylko ściskam Sissy jeszcze mocniej. Nasze skronie się dotykają, czuję nasz zgodny puls. Tętno dziewczyny wydaje się lekkie jak muśnięcie ptasim piórem, a kosmyk jej włosów, który łaskocze mnie w czoło, wydaje się pieszczotą kojącą napięcie.

Wtedy jednak łomot brzmi wyraźniej, wstrząsa nawet szklanymi przyborami wokół nas. Sissy odwraca głowę, a mnie ogarnia nagła pustka.

Cofamy się.

- Co się dzieje? - pyta dziewczyna.

Wychodzimy z laboratorium. Pod naszymi stopami ziemia lekko wibruje. Ale to dźwięk przyciąga naszą uwagę - metaliczny stukot i głośny, wybuchowy syk. Dobiega z lasu.

- Pociąg - domyśla się Sissy.

Coś jeszcze przyciąga naszą uwagę. W oddali grupa dziewcząt drobi zapewne w kierunku stacji. Jak czarne mrówki, które wyszły ze swoich podziemnych tuneli, maszerują równo i cicho przez łąkę lśniąca od kropel deszczu.

## Rozdział 31

Sissy i ja podkradamy się na skraj lasu, gdzie niełatwo będzie nas wypatrzeć. Po drugiej stronie gęstwy drzew dochodzimy do dużej polany. Na środku znajduje się chyba stacja. Tuziny dziewcząt stoją na dwóch peronach i pracują. Wraz z Sissy przykucamy za wielkim zwalonym pniem na granicy drzew. Księżycowa poświata przesącza się przez gałęzie.

Pociąg stoi pomiędzy dwoma peronami. Para bucha z silnika na przedzie, nadal gorącego po długiej podróży - maszyna syczy i trzeszczy, gdy stygnie. Przyczepiono do niej co najmniej tuzin wagonów niczym czarne ogniwa wielkiego łańcucha. Każdy wagon jest otwarty, ozebrowany metalowymi prętami, przez co przypomina olbrzymią klatkę dla ptaków. Pręty, zbyt blisko siebie, żeby precyzyjnie się między nimi nawet chude dziecko, nie zasłaniają przed warunkami z zewnątrz - wagon jest otwarty na deszcz, wiatr czy śnieg. I co najważniejsze, również na słońce. Innymi słowy, te wagony zbudowano tak, aby były odporne na zmierzchników. Nawet podłogi są ze stalowych płytek. Gdyby jakiś zmierzchnik chciał się przejechać na gapę, nie znalazłby tu schronienia przed zabójczym światłem. Po paru minutach zostałyby po takim pasażerze co najwyżej mokra plama, spływająca po metalowej podłodze na ciągnące się tory.

W wagonach znajdują się różnorodne rzeczy - od spakowanych w plastikowe przezroczyste pudła puszek, butelek i słoików po stoły i krzesła, poustawiane równo jak w układance i owinięte przezroczystą folią. Butelki wina, piwa i whisky zostały przewiezione w szklanych skrzyniach z kontrolowaną temperaturą i odpowietrznikami.

- Patrz - szepczę. Na peronie znajdującym się bliżej nas jakaś dziewczyna podnosi gumowy przewód podłączony do jakiegoś generatora. Dziewczyna staje w rozkroku, pochyla się nisko, żeby nie stracić równowagi, po czym wciska przełącznik.

Z węża tryska struga wody. Dziewczyna musi się zapierać, żeby ciśnienie wody jej nie przewróciło. Kiedy zaczyna oblewać ustawione w wagonie pakunki, dołączają do niej pozostałe dziewczęta z obu peronów. Rozstawiają się wzdłuż pociągu, każda z własnym wężem. Oczywiście jest, że umycie plastikowych opakowań i kontenerów to priorytet. Nie opuszczają ani cała powierzchnię. Zmywają nawet spody każdego wagonu. Wokół pociągu unosi się mgła wilgoci.

Kilku starszych przechadza się wzdłuż peronu z tabliczkami w dłoniach. Jeżeli jednak planują zrobić inwentaryzację transportu, najwyraźniej nie ma pośpiechu. Podchodzą do

ostatniego wagonu, gdzie zebrała się grupka dziewcząt.

- Podejźmy bliżej - szepcze Sissy. Przekradamy się pod osłoną drzew, po czym prześlizgujemy przez łąkę. Nikt nas nie zauważa, cała uwaga skupia się na pociągu. Zwłaszcza na ostatnim wagonie. Zgromadzeni tam starsi krzyczą na dziewczyny, żeby przerwały polewanie. Generator zostaje wyłączony, strugi wody zmieniają się w krople. Stopniowo wilgotna mgła przesłaniająca ostatni wagon opada.

Sissy ujmuje mnie za rękę i mocno ściska.

W wagonie, po którego metalowym ożebrowaniu jeszcze spływają krople wody, widać ruch.

Tylko ja i Sissy zamieramy ze strachu. Nikt na peronie nawet nie pisnie ani się nie napina. Za prętami tłoczą się jak wiry w morzu zwierzęta. Gdy generatory cichną, słychać inne odgłosy - piski, skrzeczenie, gdakanie i pochrząkiwanie ze strachu, zmęczenia i głodu.

Nabieram głęboko tchu przez nos. Ogarnia mnie niemal namacalna ulga, gdy ściskam dłoń Sissy.

- Co to jest? - pyta dziewczyna.

- Inwentarz.

Spogląda na mnie pytająco i bez zrozumienia.

- Zmierzchnicy uwielbiają mięso niektórych zwierząt - wyjaśniam. - Na przykład krów, kur i świń. Ich apetytu na te zwierzęta nie da się porównać z pragnieniem, żeby zjeść nasze ciało i wypić krew, ale jednak... Przez apetyt zmierzchników krowy, kury i świni prawie wymarły. Obecnie tylko przedstawiciele najwyższych elit mogą je jeść, i to przy rzadkich okazjach. Zwyczajni obywatele nigdy nawet nie spróbowali tego mięsa, większość musi się zadowolić syntetycznymi, sztucznymi wyrobami mięsopodobnymi.

Głos mi drży z narastającego podniecenia.

- Sissy, zmierzchnicy nigdy nie oddaliby tego inwentarza. Zwłaszcza ludziom.

W oczach dziewczyny rozpała się zrozumienie.

- Co znaczy, że tam, gdzie wraca pociąg...

-...najprawdopodobniej nie ma zmierzchników - kończę i znowu ściskam jej dłoń. - Zatem to miejsce zamieszkują podobni do nas. Cywilizacja to Ziemia Obiecana! Jacob miał rację, niepotrzebnie się martwiliśmy.

Sissy spogląda na tory niknące w mrocznej dali.

Mówię dalej:

- Myślałem, że mięso, które tu jedliśmy, pochodzi z farm, nie z transportu. Ale to ma sens. Przy takiej ilości zjedanego w wiosce mięsa żadne stado bydła by nie przetrwało.

Większość mięsa musi być dostarczana.

Ale Sissy nadal spogląda na tory. Zęby ma zaciśnięte, gdy na mnie zerka, po czym odsłania piętno na przedramieniu.

- Czy ja wiem, Gene... - Marszczy brwi, przygryza usta. - Możesz mnie uznać za nadmiernie ostrożną, ale potrzebuję więcej informacji.

W milczeniu obserwujemy krzątanie na peronach. Pojawia się więcej starszych. Śmieją się, okazują zadowolenie z zaopatrzenia. Kilku już otworzyło skrzynie z alkoholem i odkorkowało parę butelek. Słyszę tubalny śmiech Krugmana niosący się wśród nocy, nim jeszcze pojawi się wysoka postać przywódcy wioski. Naczelnym starszym ścisną za szyjki dwie butelki, jakby dusił parę gęsi.

Dziewczyny pracują w milczeniu, ruchy mają wprawne i skoordynowane. Rzędami opuszczają stację, dźwigając pudła, podczas gdy grupy bez ładunku wracają jak fale przyboju. Poruszają się wolno ze względu na swoje maleńkie stopy, ale liczebność pracowników zapewni stały postęp rozładunku. Skończą do świtu albo najwyżej do południa. I wtedy pociąg będzie gotów do drogi powrotnej.

Sissy wie, co to znaczy. Będzie musiała podjąć decyzję. I to wkrótce. Ale jej twarz wykrzywia niepewność.

- Mam pomysł - oznajmiam. Zmieniam pozycję tak, aby położyć jej ręce na ramionach. - Wsiądę do pociągu. Ale tylko ja. Ty i chłopcy zostaniecie w wiosce. Nie, pozwól mi skończyć. Pojadę do celu. Jeżeli tam znajduje się to, co sobie wymarzyliśmy, jeżeli to naprawdę Ziemia Obiecana, wrócę następnym pociągiem i zabiorę ciebie z chłopcami. I wtedy wszyscy opuścimy wioskę.

- A jeśli...

- Jeżeli nie wrócę, będziesz wiedziała, że nie wolno wsiadać do pociągu.

Nadal kręci głową, ale teraz, gdy kończę mówić, coraz wolniej. Waha się przez okamgnienie, plan wydaje się przecież sensowny, a dziewczyna zdaje sobie z tego sprawę. Ale zaraz spogląda mi prosto w oczy.

- Nie ma mowy - stwierdza.

- Sissy...

- Nie. Nie będziesz odgrywał bohatera, nie pozwolę ci się poświęcać.

- Nie próbuję nikogo odgrywać. Przemyśl to, Sissy. Dzięki temu ty i chłopcy zostaniecie razem. Czy nie tego chcesz?

Odwraca oczy, ale zaraz znowu patrzy na mnie.

- Zostajemy razem. Tego właśnie chcę.

- Chłopcy sobie beze mnie poradzą.

Dziewczyna przykładła mi dłoń do policzka.

- Kiedy powiedziałam, że zostajemy razem, miałam na myśli ciebie i mnie.

Zsuwam dłonie z jej ramion.

- Sissy...

- Nie chcę się z tobą rozstawać - mówi dziewczyna. Wiatr smaga trawę na łące, targa włosy Sissy. Widzę jej oczy, przenikliwe i pełne uczuć, nawet przez splątane kosmyki. Poświata księżycy dodaje im srebrzystego blasku. Mam wrażenie, jakby ucichły wszystkie odgłosy, szelest wiatru w trawie, głosy na peronach, harmider robiony przez inwentarz... Jakby w całym wszechświecie pozostał tylko głos Sissy. - Nie chcę, żebyśmy się rozdzielali. Nawet na tydzień. Albo na jeden dzień. Ani nawet na godzinę, Gene.

Unoszę rękę, żeby odgarnąć jej włosy z czoła za ucho. Przytula policzek do mojej dłoni. Zamieram w zamyśleniu.

Musiała poczuć, że podjąłem decyzję, zauważyć zwężenie źrenic, napięcie mięśni, ponieważ gdy tylko się cofam, Sissy wyciąga rękę, by mnie powstrzymać. Ale jest za późno.

- Gene! Nie!

Gnam przez polanę do peronu. Słyszę szelest kroków biegnącej za mną Sissy. Ale zdążyłem ją sporo wyprzedzić. Przeskakuję po trzy stopnie schodów prowadzących na stację.

- Krugman! - krzyczę. Mężczyzna jest w połowie platformy. Biegnę do niego, przede mną rozstępują się pracujące dziewczęta. - Wsiądę do pociągu - oznajmiam, gdy znajduję się blisko. Z trudem łapię powietrze i jednocześnie próbuję mówić. - Ale tylko ja. Inni zostaną i poczekają na mój powrót. Dopiero wtedy odjedziemy razem.

Sissy dołącza parę sekund później.

- Cokolwiek ci powiedział, tak się nie stanie - dyszy dziewczyna. Odwraca się do mnie z nieskrywanym gniewem. - Nie wsiądziesz do tego pociągu sam.

- Pozwól mi to zrobić - oponuję.

Krugman zaczyna się tubalnie śmiać, do tego tupie nogą jakby dla podkreślenia swojej wesołości. Tłumek starszych za jego plecami zerka na siebie, po czym też się uśmiecha. Paru nawet dołącza z chichotem do przywódcy.

- O rety... - Krugman klepie się po brzuchu. - Trafiłem na kłótnię kochanków! Kto by pomyślał, że oglądanie tego będzie tak zabawne. Taki... dramat.

A potem śmiech się urywa i wesołość znika. Starsi również przestają się uśmiechać, zaciskają wargi, aby ukryć zęby. Krugman spogląda na nas, pulchne policzki mu obwisają.

- Rzecz w tym, że to nie zależy ani od nas, ani od was. Ta dyskusja jest czysto



akademicka. Wszyscy wsiądziecie do pociągu. Czytaliście oficjalne rozkazy od Cywilizacji: macie odbyć tę podróż. Wszyscy razem. Koniec dyskusji. Za kilka godzin pociąg będzie gotów do odjazdu.

Kolejne słowa Sissy wypowiedziane zostają cicho i ze spokojem, ale starszyzna wzdraga się przy każdej sylabie.

- Nie sądzę - stwierdza dziewczyna. - Nie wsiądziemy.

Krugman wciąga policzki i marszczy się groźnie.

- A dlaczego nagle postanowiliście nie współpracować?

- Sądzę, że i tak to wyjdzie - odpowiada Sissy ledwie słyszalnym szeptem. - Dlatego powiem otwarcie. Mamy wątpliwości co do Cywilizacji. Nie wiemy, czy jest ona taka, jak opisywałeś.

- Tyle sam się domyśliłem - prychna Krugman. Powoli wypuszcza z płuc powietrze, śluz w jego gardle miesza się z cuchnącym oddechem. - Postaram się nie czuć urażony tym jawnym brakiem zaufania. Postaram się również nie poczuć... zdradzony... czy to nie za mocne słowo? Nie, nie sądzę, przecież uznaliście, że kłamałem o Cywilizacji. - Spluwa na ziemię. - Po tym, co dla was zrobiłem, po tym, jak was ugościłem, co dostaję w zamian? Nie tylko czarną niewdzięczność, lecz podejrzania? A cóż takiego uczyniłem, żeby sobie zasłużyć na takie nieufne traktowanie?

- Spróbuj zgadnąć - rzuca Sissy ostro w powietrzu gęstym od narastających emocji.

Krugman uśmiecha się, po czym pochyla, żeby spojrzeć na przedramię dziewczyny. Przesuwa językiem w kąciku warg.

- Chyba wdało się zakażenie - stwierdza niewinnie.

Dziewczyna szybko chowa rękę za plecy.

- Traktowałem was jak gości w moim domu - mówi Krugman. - Jednak to mój dom. Obowiązują w nim prawa i zasady, których wszyscy, nawet szacowni goście, muszą przestrzegać. Przykro mi, że postanowiłaś łamać te zasady, ale to był twój wybór.

Patrzy z czułością na stojące w pobliżu dziewczęta. Opuszczają głowy, gdy tylko spoczęło na nich jego spojrzenie, kulą się wewnątrz.

- Masz tak niskie mniemanie o tych prawach i zasadach? A przecież to tylko pled, który zapewnia ciepło i przytulność tej społeczności.

- Przykro mi, ale jakoś nie wyczuwam tutaj ani ciepła, ani przytulności - odgryza się Sissy.

- Och, widzę, że masz dzisiaj mnóstwo interesujących uwag do powiedzenia. - Krugman pstryka palcami i jedna z dziewcząt podchodzi ze szklaneczkami whisky na tacy.

Mężczyzna wypija jedną, po czym wyciera usta grzbietem dłoni, lecz tak zamasyście, że zostawia sobie mokrą smugę na policzku. - Pozwól, że dam ci drobną radę. Wiele przeszłaś, to prawda. Wyglądasz na zmęczoną. Dlaczego po prostu nie rozluźnisz się przez parę najbliższych godzin? Niech Misja stanie się dla ciebie przed odjazdem prawdziwym Szangrila. Do jutra, gdy wszyscy razem odjedziecie stąd do Cywilizacji. A do tego czasu po prostu usiądźcie, przestańcie zadawać niegrzeczne pytania i cieszcie się ostatnim dniem pobytu w naszej szczęśliwej Misji.

- Twierdzisz, że Cywilizacja to raj? - Wysuwam się przed Sissy. Zachowanie Krugmana sprawia, że znowu robię się podejrzliwy. Z każdą sekundą uchodzi ze mnie niedawny optymizm.

- Niemal pod każdym względem - potwierdza mężczyzna.

- Więc jestem nieco zmieszany... - zawieszam głos. - Może mógłbyś mi pomóc?

- Jak?

- Jeżeli Cywilizacja jest taka wspaniała...

- Tak?

-...to zastanawiam się, dlaczego naukowiec nie chciał tam pojechać? Dlaczego odmawiał wyjazdu pociągiem?

Grymas na twarzy Krugmana tężeje. Oczy starszych za plecami mężczyzny wbijają się we mnie jak zimne stalowe włócznie.

Krugman długo się nie odzywa.

- Rozmawialiśmy o tym wcześniej. Nie był w pełni sobą. - Jego słowa padają nie jak sugestia, lecz jak jawna groźba, wyzwanie, żebym zaprzeczył. - Popelniliśmy błąd, że nie zmusiliśmy go do powrotu do Cywilizacji. Ten człowiek potrzebował profesjonalnej terapii. Należało go odesłać do odpowiedniej instytucji.

- Doprawdy?

- Zresztą któż mógłby go winić, że chciał zostać tutaj, w Misji? Owszem, to nie Cywilizacja, ale też nie żaden nędzny śmietnik, nieprawdaż? Prawie Cywilizacja, jeśli chodzi o mnie. Misja jest jak garnek złota na końcu tęczy, jak promyk słońca. Tutaj śpiew, uśmiech i radość są obowiązkowe.

- Cóż, to rodzi kolejne pytanie - mruczę.

- Śmiało.

- Jeżeli ta wioska jest jak promyk słońca...

- Tak?

-...dlaczego naukowiec popełnił w niej samobójstwo?

Cisza.

- Ostrożnie, chłopcze - ostrzega jeden ze starszych.

- No przecież sam powiedziałeś, że to miejsce jest jak garnek złota na końcu tęczy. Cytuję twoje słowa. Dlaczego więc naukowiec postanowił się tutaj zabić, skoro to naprawdę takie cudowne miejsce? Jak sądzisz?

Krugman odpowiada ostro i szybko:

- A kto by zrozumiał szaleńca? Zresztą on stanowił wyjątek. Wszyscy tutaj są szczęśliwi. Rozejrzyj się i sam powiedz, czy nie widzisz wokół tylko uśmiechniętych twarzy.

- Masz na myśli twarze wytatuowane na rękach? - wtrąca Sissy.

- No nie. Nie mówiłem o tych twarzach. Ale możemy i o nich porozmawiać. Dziewczęta noszą swoje tatuaże z dumą, powiedziałbym nawet, że uwielbiają pokazywać swoje Radosne Znaki. To jak trofea. I chyba naprawdę tym dla nich są. To przecież oznaki, jak niewiele im pozostało do spełnienia marzeń i otrzymania przepustki do Cywilizacji.

- Co oznacza, jak mi się zdaje, że wszyscy chcą stąd wyjechać - stwierdza Sissy.

Krowa w wagonie muczy głośno.

- Zdaje się, że nikogo nie obchodzi ta wioska. Jej zasady, jej pra...

- Dość - przerywa jej Krugman.

-...jej starszyczna, jej...

Wychwytnię ruch po prawej, jeden ze starszych występuje o krok z tłumu i celuje palcem w Sissy.

- Posunęła się za daleko! Powinniśmy po prostu rzucić ją zmie...

- Dość! - ryczy Krugman, a jego głos wibruje. Wzdragam się odruchowo. Twarz ma obwisłą, a włochate znamię podskakuje, gdy mężczyzna mówi.

Starsi zamierają jak jeden mąż, krąg wokół mnie wydaje się zaciskać jak pętla na szyi. Przez chwilę Krugman wzdycha ciężko, jakby żałował swojego wybuchu. Jednak zaraz zaczyna szeptać, a każde słowo wypowiedziane jest groźnym, ponurym tonem. Wtedy już mam pewność, że bynajmniej nie chodzi o żal.

- Wszyscy wsiądziecie jutro do pociągu. Nie ma o czym dłużej dyskutować.

- Owszem, jest. Jest mnóstwo spraw do przedyskutowania. Ale prywatnie, tylko między nami. Tylko nas sześcioro. Chodźmy - zwraca się do mnie Sissy. - Ta rozmowa jest skończona.

- Będzie skończona, gdy my tak uznamy - warczy starszy z brodą poprzetykaną nitkami siwizny.

- Pozwól, że coś ci wyjaśnię - odpowiada dziewczyna. - Wracamy teraz do chaty. I

życzymy sobie, żeby zostawiono nas w spokoju. Sami zdecydujemy, czy wsiąść do pociągu, czy nie. Jeżeli postanowimy nie wsiąść, nie martwcie się, opuścimy waszą cudowną wioskę. Pójdziemy przed siebie, sprawdzimy, co znajduje się dalej. Ale to my wybierzemy swoją drogę. A do tego czasu nasza szóstka będzie się przygotowywać i jeść własne jedzenie.

- No, teraz po prostu przesadzasz...

- Chodźmy, Gene. - Sissy ciągnie mnie za rękaw. - Chodźmy stąd.

Zaczynamy się wycofywać.

- Nie chcemy chórów i serenad, które zbudzą nas o poranku. Nie życzymy sobie jedzenia przynieszonego przez uśmiechnięte dziewczyny machające racami...

- Bezczelna z ciebie smarkula, wiesz? - wybucha Krugman głośno i z jadem, jakiego wcześniej nie było słyhać w jego głosie. Coś w nim wreszcie pękło. Jakby władzę nad jego ciałem przejął zupełnie inny człowiek.

Grupa dziewcząt z wioski stojąca w pobliżu zaczyna się szybko od nas odsuwać.

- Powinnaś znać swoje miejsce, dziewczyno! - Uszy Krugmana robią się czerwone. - Widziałas, żeby któraś z dziewcząt w wiosce przerywała mi, choćby nawet odezwała się do mnie bez pytania czy ośmieliła się spojrzeć mi w oczy? Niczego się nie nauczyłaś. - Głos mężczyzny jest cichy, lecz napięty z gniewu. - Jedno piętno nie wystarczyło, co?

- Jedyna osoba, która powinna zostać napiętnowana - odgryza się Sissy - to ty.

Krugmanowi opada szczeka. Obwisłe, tłuste policzki trzęsą mu się, jakby właśnie został spoliczkowany.

- Ty bezczelna, wyszczekana, wielkostopa jędzo - szepcze. - Niech ci się nie wydaje, że możesz tak się do mnie odzywać w obecności starszych i wyjść z tego cało. Nie będziesz mi się odszczekiwać publicznie, przed dziewczętami, i nie ponosić konsekwencji.

Po czym robi trzy kroki do Sissy, unosząc grube ramiona.

Staję przed dziewczyną.

- Dość tego! - krzyczę.

Krugman zatrzymuje się w pół kroku. W jego oczach wściekłość wrze jak lava, na policzkach wykwita krwawy rumieniec. Z rozdętymi nozdrzami mężczyzna oddycha płytko, jego beczułkowaty tor unosi się i opada. Spojrzenie Krugmana przeszywa mnie, jakby chciał dosięgnąć Sissy za moimi plecami.

- Zachowywałem się jak dotąd uprzejmie - rzuca Krugman, patrząc groźnie na dziewczynę. - Grzecznie prosiłem. Ale najwyraźniej było to złe podejście. Potrafię być jednak brutalny. Czy tego właśnie chcesz? Bo jeżeli tak, mogę być niedobry.

I nagle skacze z przerażającą szybkością, odepchnąwszy mnie w tłum starszych z tyłu.

Twardy cios w głowę sprawia, że nogi się pode mną uginają. Osuwam się bezwładnie na ziemię.

- Gene! - przez oszołomienie przebija się krzyk Sissy.

Słyszę plaśnięcie jak przy policzkowaniu i walczę, by nie stracić przytomności. Dostrzegam Sissy wleczoną za kark jak szczeniak. Ciągniętą do pociągu przez grube ramiona zaciśnięte wokół jej szyi jak ciasna obroża.

- Brać ją - wrzeszczy Krugman do innych starszych. - Zamknąć ją w pociągu!

- Zabieraj od niej łapy! - krzyczę. Jakoś udaje mi się zerwać na równe nogi. Biegnę, chwytam tłustego mężczyznę, który złapał Sissy. Starszy ma ciało gumowate i płynne. Uderzam go w twarz. Czuję trzask kości, widzę, jak po ciosie falują obwisłe podbródki. Mężczyzna pada na kolano, puszcza dziewczynę i wyciera usta. Na grzbiecie jego dłoni pojawia się rozsmarowana krew z rozciętych ust.

- Udało ci się - mówi, a mnie przechodzi zimny dreszcz.

Kopię go w twarz. Wtedy upada i rozbija sobie nos o ziemię.

Wokół zbiera się rozwścieczony tłum. Pięści, ramiona, stopy - wszystkie próbują trafić mnie w brzuch. Paruję tyle ciosów, ile tylko mogę, ale jest ich zbyt wiele. Impet ataków obraca mnie, pozbawia tchu. Przed oczyma robi mi się szaro. Na kończynach zaciskają mi się palce niczym zakrzywione szpony.

Za plecami rozlega się brzęk stali, tryskają iskry.

Sissy.

W dłoniach unosi dwa sztylety. Jeden zza pasa. Drugi z ukrytej pochwy w bucie. Dziewczyna kręci ostrzami, lecz nie na pokaz. Tyle mogę wyczytać z wyrazu jej twarzy. Sissy zamierza poradzić sobie z każdym, kto tylko spróbuje ją powstrzymać. A ten, kto ośmieli się stanąć jej na drodze, gorzko będzie tego żałował do końca swoich dni.

Krugman jej nie docenia. Rzuca się na Sissy.

Dziewczyna odskakuje, unosi prawą dłoń nad głowę. Po czym spuszcza tę rękę, gdy Krugman atakuje. Spodziewam się usłyszeć wywołujące mdłości mlaśnięcie ostrza wbitego w grube cielsko, ale słyszę tylko głucho łupnięcie.

Sissy trzasnęła Krugmana nie ostrzem, lecz ręką sztyletu.

Mężczyzna chwieje się, a potem wywracają mu się oczy, aż widać tylko białka. Powieki mu opadają i Krugman zwala się ciężko na peron. Kołysze się jeszcze, pojękuje.

Gdy tylko przywódca został obezwładniony, starszyzna się wycofuje.

Sissy i ja zaczynamy przemieszczać się na schody z peronu. Dziewczęta spoglądają na nas z przestachem, ale w kilku twarzach dostrzegam też podziw.

- Zasłużył sobie na to - mówi dziewczynom Sissy.

Jeden ze starszych odzywa się za naszymi plecami. Jego poznaczona ospą i zmarszczkami twarz przypomina łupinę orzecha.

- Mylicie się. Śmiertelnie się mylicie. Niedługo się przekonacie. Śmiertelny błąd.

Starszyzna parska śmiechem. Początkowo tylko chichotem, ale zaraz narasta do jowialnego ryku, który sprawia, że po plecach przechodzą mi ciarki.

- Nie zatrzymuj się - szepczę do Sissy. - Po prostu idź.

Po powrocie do wioski zastajemy pusty plac i uliczki. Nie widać ani żywej duszy. Drzwi chat są pozamykane na głucho, okiennice również. Echo śmiechu mężczyzn na peronie w oddali ściga nas przez całą drogę do mojej chaty.

## Rozdział 32

I czekamy na świt. Pochyleni nad naszymi bagażami, gotowi do ucieczki z pierwszymi promieniami słońca. Sissy, Epap i ja ułożyliśmy plan - ruszymy wzdłuż torów. Pieszko. Na wędrówkę, która może potrwać nawet kilka tygodni, jeśli nie miesięcy. Ale przynajmniej będziemy wolni, a nie zamknięci w wagonie jak w klatce. Będziemy mogli zbierać jagody i polować. A gdy tylko dotrzemy blisko miejsca przeznaczenia, będziemy mogli przyjrzeć mu się z ukrycia i zdecydować, czy tam iść, czy nie. Właśnie ta możliwość decydowania o swoim losie sprawiła, że wszyscy przystali na ten plan.

Sissy chciała wyruszyć natychmiast, ale udało mi się ją przekonać, żebyśmy poczekali do rana. Ciemność w lesie byłaby tak gęsta, że wystawilibyśmy się tylko na niewidoczne zagrożenia. Lepiej poczekać na świt. Zresztą nie zdołamy przekroczyć zwodzonego mostu, który opuszcza się tylko po odjeździe pociągu. Lepiej się przyczaić, pozostać w ciepłe, zebrać siły. Przespać się, o ile się uda.

Skuleni przy kominku spoglądamy w tańczące płomienie. Ben narzeka, że chce mu się pić. Chwyciwszy dzban, Sissy z Epapem wymykają się nad strumyk, przynoszą dość wody dla wszystkich. Nikogo nie ma na uliczkach, wszędzie panuje spokój - relacjonują. Mrok się pogłębia, gęstnieje od grozy. W wiosce nie płonie ani jedno światło, ani świeczka, ani zielonkawa poświata. To budzi niepokój.

Zmęczenie w końcu bierze górę, chłopcy zaczynają ziewać. Decydujemy się na godzinne zmiany warty. Na pierwsze oznaki kłopotów uciekniemy razem. Nadal jestem rozbity po walce na peronie, więc zgłaszam się na pierwszą turę. Pewnie minie wiele godzin, zanim zdołam zasnąć. A przynajmniej tak mi się wydaje.

W chacie zapada cisza. Mijają minuty. Chyba słyszę ciche pochrapywanie. Mój oddech skrapla się na szybie, po czym znika i pojawia się znowu przy następnym wydechu. Efemeryczny upiór.

Z oddali dochodzi śpiew. W pierwszej chwili myślę, że to chłopcy na górze nucą sobie do snu. Ale gdy głosy stają się bardziej wyraźne, zaczynam rozróżniać słowa. Wtedy dopiero uświadamiam sobie, że śpiew dochodzi z zewnątrz.

Pochyliłam się, spoglądam przez oszronioną szybę. Ciemno choć oko wykol, nic nie widzę. Uchylam okno, śpiew słychać wyraźniej. Tutaj, w Misji, śpiew to nic nadzwyczajnego, jednak tym razem wydaje się uderzająco odmienny.

Przede wszystkim to solówka. Spłaszczona, niemal naga w porównaniu z codziennymi

chóralnymi występami. Ale nie tylko. Głos przesycony jest żalem i smutkiem, brzmi zupełnie inaczej niż codzienne radosne śpiewy. A w słowach nie ma wcale przesłodzonego optymizmu, jaki zwykle obowiązuje w Misji.

Panie, Wszechmocny Boże, Chroń i wesprzyj mnie w tę noc, Panie, Wszechmocny Boże, W tę noc i w każdą noc.

Mój oddech szroniący szybko przyśpiesza. Znam tę pieśń.

To kołysanka, którą śpiewała mi matka.

Oczywiście brzmi zupełnie inaczej. Głos mojej matki - jedyne, co o niej pamiętam - był czysty i wysoki, a ten tutaj rwie się i chrzęści jak ciągnięty po kamieniach łańcuch. Ale melodia się nie zmieniła. Nawet słowa, chociaż ich nie znam, układają się i pasują, jak zagubiony klucz do zapomnianego zamka.

Chwilę później gnam do drzwi, wybiegam w zimną noc. Śpiew cichnie. Ale dostrzegam niewyraźny kształt. Rzucam się w pogoń.

Jest szybki. To musi być mężczyzna, żadna dziewczyna z wioski na swoich zmniejszonych stopach nie mogłaby osiągnąć takiego tempa.

- Hej, ty! - wołam. - Czekaaj!

Uciekinier nie odwraca się ani nie zwalnia. Jeszcze przyśpiesza. Umyka za chatę. Gdy tam docieram, nikogo już nie widzę. Tylko ciche domy i mrok. Ale potem - tam. Postać jak cień przecina łąkę w stronę warownego muru. W ciemności błyskają niemal białe włosy. Już wiem, kogo ścigam.

- Clair - wołam.

Nie przestaje biec. Pod stopami czuję ostrą trawę, próbuję dotrzymać dziewczynie kroku. Wreszcie Clair dociera pod mur. I przepada jak kamień rzucony w czarną otchłań jeziora. Była tam, a teraz znikła.

Dobiegam do muru. Dotykam zimnej, ciemnej stali. Gładka. Żadnych wklęśnięć wskazujących na wejście. Dostrzegam jednak ślady stóp, niewielkie srebrzyste wgniecenia w zroszonej trawie. Prowadzą wzdłuż ściany do baszty na rogu. Pędzę tam, znajduję drzwi. Wchodzę. Tupot butów Clair niesie się po spiralnych schodach.

- Czekaaj, Clair!

Mój głos odbija się cichnącym echem raz po raz. Przystaję zaskoczony. Potem zaczynam się wspinać po metalowych stopniach, a łomot moich kroków zagłusza inne dźwięki.

Dziewczyny nie ma w gabinecie. Musiała wyjść przez otwarte drzwi prowadzące na szczyt muru. I rzeczywiście dostrzegam ją tam, gdy tylko przekraczam próg. Stoi w połowie



długości i spogląda na turnie. Czeka na mnie.

Nie odwraca się, dopóki nie podchodzę na parę metrów. Przynajmniej nie ucieka. Obłoczki pary unoszą się z jej ust w spokojnym, równym rytmie.

Wreszcie Clair podnosi na mnie wzrok. Oczy ma lśniące i wilgotne od łez.

- Wiedziałałam, że to ty - oznajmia. - Jesteś taki, jak opisał cię twój ojciec.

## Rozdział 33

Cco? - zająkuję się. Zbyt wiele myśli kłębi mi się w głowie. Podchodzę do dziewczyny na drżących nogach.

- Od chwili, gdy cię ujrzałam - uśmiecha się smutno Clair. - Wiedziałam, że to musisz być ty. Jego syn.

- Powiedział ci o mnie?

- Wiedziałam, że to nie może być żaden z pozostałych chłopaków, za młodzi. A starszy, Epap, po prostu nie wyglądał. Ale ty... Masz w żyłach tę samą determinację. To samo spojrzenie w oczach, gniewne i zarazem smutne.

- Clair! O czym ty mówisz? - Chwytam ją za łokieć. - Skąd tyle wiesz?

Dziewczyna wygląda na przestraszoną, więc rozluźniam chwyt.

- Masz Początek? - pyta. - Powiem ci wszystko, przyrzekam, ale powiedz mi, proszę, czy masz Początek?

Puszczam jej ramię.

- Nie wiem. Nie jestem pewien. Powiedz mi, co tu się dzieje, wytłumacz.

Clair spogląda na łąkę spadającą w mrok urwiska. Na zboczach spoczywają rozrzucone wielkie głazy.

- Nie mam wiele czasu - wzdycha. - Byliśmy śledzeni, a raczej to ty byłeś śledzony. Na stacji naprawdę wkurzyłeś starszą.

- Jakoś to przeboleją.

- Wierz mi, tak się nie stanie.

- Nie przejmuj się, dobrze? Nikt nas nie śledził, przestań wyobrażać sobie naj...

- Nikt nie śledził mnie. Wymknęłam się cicho jak mysz. Ale ktoś śledził ciebie. Poruszałeś się równie niezauważalnie jak spadająca lawina. - Wskazuje na skupisko chat. - Spójrz tam. Dostrzeżesz przynajmniej dwóch ludzi. Idą tutaj.

Ma rację. Widzę dwa pochylone, szarawe cienie ostrożnie przekradające się obok ścieżki. Śledzą nas.

- Pośpiesz się więc - nalegam.

Zaczyna mówić bez wahania; logiczne myśli, zdania płynące jak przygotowane.

- Powiedział mi, że ta piosenka przyciągnie jego syna. Niepodważalny dowód. I miał rację. - Uśmiecha się. - Powtarzałam ją w pamięci codziennie, żeby nie zapomnieć.

- Dlaczego czekałaś tak długo? Jestem na nogach już od paru dni.

- Wierz mi, próbowałam. Ale nie mogłam przecież śpiewać z dachu. Słowa są wywrotowe, starszyzna by mnie załatwiła na śmierć. Musiałam czekać na dobrą porę.

- Dziś wieczór.

- Niezbyt idealny czas, gdy wszyscy są zdenerwowani po tym, co stało się na stacji, ale skoro jutro masz odjechać do Cywilizacji, nie miałam wyboru.

Spoglądam na łąkę. Dwóch mężczyzn pochyla się i przygląda trawie. Ruszają do warownego muru.

- Szybciej - poganiam. - Wyjaśnij mi wszystko.

Clair nabiera głęboko tchu.

- Misja została zbudowana wiele dziesięcioleci temu...

- Przejdź do sedna. Udawaj, że rozmawiamy już od pięciu minut. Powiedz mi, co się dzieje.

Potrzęsa głową.

- To nie takie proste. Muszę ci powiedzieć o...

Zaciskam zęby ze zdenerwowania.

- Szybciej, proszę.

Clair wzdycha.

- Powiedz mi, co już wiesz, i przejdę dalej.

- Mój ojciec stał się odludkiem - mówię szybko. - Zapewne majaczył coś o lekarstwie dla zmierzchników, o Początku. W końcu został przeniesiony do chaty, w której nas znalazłaś. I tam popełnił samobójstwo.

Nie odpowiada, tylko spogląda w kierunku dwóch nadchodzących intruzów. Są już bliżej. Dziewczyna chwyta mnie za ramię i prowadzi pośpiesznie do pomieszczenia w baszcie. Zamyka drzwi, ogarnia nas ciemność. Trzaśnięcie plastiku, potem kolejne. Pomieszczenie zalewa zielona poświata.

- Większość tego, co powiedziałaś, to prawda. - Clair podaje mi ramię. - Twój ojciec nie potrafił powtórnie dopasować się do życia w społeczeństwie Misji. Twierdził, że sytuacja zmieniła się na gorsze, oskarżył Krugmana o wprowadzenie... - urywa, żeby sobie przypomnieć. - Dyktatury totalitarnej. Starsi nie wiedzieli, co z nim zrobić. Niektórzy uważali, że twój ojciec jest rakiem dla morale Misji, i chcieli go odesłać do Cywilizacji. Inni wierzyli, że nadal ma wartość i z czasem może okazać się atutem. Dlatego osiągnęli kompromis. Twój ojciec mógł zostać, ale z dala od wioski. Pozwolili mu zamieszkać w chacie.

- Samotnie?

Clair potwierdza skinieniem głowy.

- Zrobili mnie łączniczką. Zaglądałam do niego dwa razy na tydzień z zapasami i lekarami. Właśnie dlatego nie obwiązano mi stóp, lecz pozwolono rosnąć jak męskim... żeby mogła wędrować wiele mil, wspiąć się po drabinie sznurowej. Na początku tego nienawidziłam, głównie przez swoje wielkie, brzydkie stopy. Inne dziewczyny drwiły ze mnie bezlitośnie. Wielkostopa, męskostopa... - Dziewczyna krzywi się na wspomnienie. - Ale potem samotne wędrówki zaczęły mi się podobać. I w końcu także towarzystwo twojego ojca. Najpierw zaproponował mi szklankę wody. Później częstował przekąskami, z czasem zaczęliśmy wspólnie jadać posiłki. Po kilku miesiącach zaprzyjaźniliśmy się. Opowiedział mi o swojej rodzinie, żonie, dzieciach. O tobie. O swojej pracy w...

- Co powiedział? - Mój głos wydaje się głośniejszy w tym pomieszczeniu.

- Co?

- O mnie. Co powiedział o mnie? - Słowa łomoczą między nami jak tocząca się po schodach drewniana belka.

- Że kiedyś tu przyjdiesz. Był tego pewien.

Przestępuję z nogi na nogę.

- Coś jeszcze?

Clair ze znużeniem unosi rękę.

- Przestań przerywać! Muszę powiedzieć wszystko po kolei, inaczej zapomnę o jakimś ważnym szczególe...

- Nie, po prostu przejdź do sedna. Powiedz, co jeszcze o mnie powiedział.

Dziewczyna nabiera tchu.

- Dobrze.

Z zewnątrz dobiegają głosy, jeszcze daleko, ale coraz bliżej.

- Powiedział, że jesteś chłopcem, który urodził się z misją. Z przeznaczeniem.

- Ja?

- Że masz cel, powołanie. Twoje życie ma większe znaczenie, niż można sobie nawet wyobrazić. - Naciąga kaptur bardziej na oczy. - Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Nie wiem, o czym mówisz. Ojciec nigdy mi o tym nawet nie wspomniał. Co to za misja?

- Powinnam ujawniać ci to stopniowo.

- Ostatnio nic nie dzieje się dla mnie ani łatwo, ani stopniowo. Po prostu powiedz.

Clair podchodzi bliżej, spogląda mi w oczy.

- Nie bądź zaskoczony ani przerażony tym, co ci powiem.

- Jaką mam misję, Clair?

- Nie wsiądziesz do tego pociągu, Gene. - Świdruje mnie spojrzeniem. - Ani jutro, ani pojutrze. Nigdy. Musisz udać się gdzie indziej.

Przyglądam się jej twarzy bez zrozumienia.

- Co? Gdzie?

- Do swojego ojca, Gene. On żyje.

## Rozdział 34

Jej słowa działają na mnie jak policzek. Nogi się pode mną uginają.

- Żyje? Gdzie jest? - ledwie udaje mi się. Wydaje się, jakby mój głos dobiegał z nieopisanej dali, zagubiony wśród splątanych myśli, które kłębią mi się w głowie.

Clair chce coś powiedzieć, ale tylko kręci głową.

- Nie ma czasu - mruży cicho, jakby do siebie. - Chodź tutaj.

Przechodzi na drugą stronę pomieszczenia, przesuwając parę pustych kartonów i pudeł, aż ukazują się niewielkie drzwi.

- Nie... - jękam się. - Nie mów mi, że on tam jest.

- Oczywiście, że nie - prychna Clair. - Nie bądź śmieszny.

Otwiera drzwi i wchodzi. Ruszam za nią. Słyszę trzask plastiku i otoczenie zalewa zielona poświata.

Znajdujemy się w korytarzu, którego koniec niknie w ciemności. Na ścianach wisi kilka urządzeń przypominających wielkie latawce z długimi ogonami.

- Jesteśmy wewnątrz muru - wyjaśnia Clair.

- Co to jest?

- Nazywa się to lotnie.

Dotykam najbliższej. Tkanina okazuje się syntetykiem, plastikiem.

- Na początku, gdy w Misji traktowano jeszcze obowiązki wartownicze poważnie, ludzie latali na lotniach na zwiady. Zawsze pod osłoną dnia. Żeby mieć oko na zmierzchników. Żeby upewnić się, czy zmierzchniki pozostają w mieście i nie próbują przedostać się przez pustynię.

Spoglądam na tuziny lotni przypiętych na całej długości ścian.

- Dlaczego przestali latać?

- Starsi stali się zbyt duzi i ciężcy, żeby sterować lotniami. No i zabronili dalszych lotów po tym, gdy parę dziewcząt, jak głosi plotka, odleciało i nigdy nie wróciło. Teraz nikt nie może latać. Starsi są za grubi, a dziewczyny nie mogą biegać przez swoje małe stopy. Zresztą nikogo to nie obchodzi. Wszyscy zapomnieli o ich istnieniu.

Idę przez długi korytarz z uniesionym błyskaczem, zielona poświata rozjaśnia ściany wokół mnie, ukazując coraz więcej zakurzonych lotni.

- Nadają się jeszcze do latania?

Clair się uśmiecha.

- Daleko byś nie zaleciał. Prawie wszystkie są nie do naprawienia. Te sprawne zostały spalone wiele lat temu. - Dostrzega moje zmarszczone brwi. - Spalono je na wielkim stosie z rozkazu starszych. Ten korytarz, jak mi się wydaje, był kiedyś warsztatem naprawczym. Starszyzna zapomniała o tych lotniach.

Cofnąwszy się, dotykam wielkiej lotni najbliższej drzwi. Ma wyjątkowo dużą rozpiętość, a syntetyczny materiał lśni od barw.

- Ta tutaj wygląda na nową - wskazuję.

Clair kiwa głową.

- Względnie. To jedyna, na której moim zdaniem da się jeszcze latać.

- Mój ojciec?

Dziewczyna przesuwa palcem po tkaninie.

- Skonstruował ją. To model szkoleniowy. Mogą na nim latać dwie osoby. Lataliśmy razem, twój ojciec i ja. Nauczył mnie, jak to się robi.

- Często latał?

- Tak. Oczywiście w tajemnicy, nocą. Starsi nigdy by na to nie pozwolili. Gdy wygnano go do chaty, uwolnił się od ciągłej obserwacji i mógł więcej latać. Trzymał drugą lotnię w chacie.

Kiwam głową, przypomniawszy sobie konstrukcję na ścianie w górskiej chacie.

- Dokąd odszedł?

- Wszędzie. Gdzieś. Nie wiem.

Przesuwam palcem po lotni. I wtedy przychodzi mi do głowy pewna myśl.

- Ojciec użył lotni do ucieczki. - Aż drzę z podniecenia. - Starsi nie mogli pozwolić, żeby mieszkańcy wioski się o tym dowiedzieli, dlatego wymyślili historyjkę o samobójstwie. Zdemaskowałem ich, tak?

Clair przytakuje.

- Więc dokąd się udał?

Ale dziewczyna kręci głową.

- Nie mogę ci powiedzieć, dopóki czegoś nie zrobisz.

- To znaczy?

Składa ręce na piersi.

- Nie mogę ci powiedzieć, gdzie jest twój ojciec ani jak do niego dotrzeć, dopóki najpierw nie pokażesz mi Początku.

- Żartujesz sobie? Nic takiego nie mam. Tylko niepewne spekulacje, niepotwierdzone domysły. Powiedz mi, gdzie jest mój ojciec!

- Kazał mi przysiąc, że nie powiem, dopóki najpierw nie pokażesz Początku. Ponieważ właśnie na tym polega twoja misja, Gene. Masz zabrać Początek do ojca.

Oddycham głęboko, żeby opanować frustrację.

- Dobra, jak chcesz. Patrzysz na Początek.

Wygląda na zmieszaną, gdy mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- Gdzie... - urywa. Potrząsa głową, otula się ciaśniej swoim wełnianym płaszczem. - Marnujesz mój czas. Jeżeli chcesz o tym żartować, to...

- Nie, poważnie.

- Nie ma jak...

- Clair! Mówię ci, co wiem. - Składam błagalnie ramiona. - Słuchaj, mój ojciec na pewno dawał do zrozumienia, że Początek wiąże się jakoś z zapisem, mapą lub czymś podobnym. Założę się, że to sugerował. Prawda?

Dziewczyna spogląda na mnie czujnie.

- Gene - mówię. - To przecież takie oczywiste, ale nikt tego nie dostrzega. To właśnie taka wskazówka, jakie mój ojciec lubił zostawiać, tuż pod nosem wszystkich. Oczywiście, a zarazem niedostrzegalna.

- Przestań!

- Nie, poważnie. To jest w moich genach. To ja. Ja jestem Początkiem!

Przygląda mi się uważnie, mojej szyi, klatce piersiowej, ramionom. Dostrzegam, jak wymawia bezgłośnie Początek, a jej blade policzki bieleją jeszcze bardziej.

- A teraz mi powiedz, gdzie jest mój ojciec - rozkazuję.

W jej oczach błyska irytacja.

- Mam ci powiedzieć tylko wtedy, gdy będę absolutnie pewna, że masz Początek. A takiej pewności nie mam. Ale nie zostało dość czasu, żeby się upewnić.

- Zrozumiałe. A teraz powiedz, gdzie jest mój ojciec.

- Na wschodzie.

- Na wschodzie? Niczego nie ma na wschód stąd. - Spoglądam na milczących słuchaczy tej rozmowy, lotnie, i na dziewczynę o białych włosach, podobną do elfa. - Wiesz co? Czemu właściwie miałbym ci wierzyć? To, co mówisz, nie ma sensu. Skąd mam wiedzieć, że sobie tego nie zmyśliłaś?

- Twój ojciec powiedział, że możesz nie uwierzyć. Dlatego kazał coś ci pokazać. - Clair podchodzi do małej skrzyni skrytej w ciemnym kącie, podnosi wieko. Kiedy się odwraca, trzyma model samolotu.

Serce mi zamiera, brakuje mi tchu. Rozpoznaję to urządzenie. Zdalnie sterowany



samolot, który ojciec wypuścił z miejsca swojej pracy, z dachu najwyższego drapacza chmur w metropolii zmierzchników. Samolot jest mniejszy, niż pamiętam, jego chromowana powierzchnia zmatowiała, powygięła się i wyszczerbiła, ale gdy przyglądam mu się uważniej, nie mam wątpliwości. To ten sam.

- Powiedział mi, że zaprogramował go, żeby poleciał do określonego miejsca - mówi Clair. - Wiedział dokładnie, gdzie wylądować ten model. A wiele lat później, gdy twój ojciec powrócił do Misji, oczywiście znalazł ten samolot. Poobijany, przerdzewiały, zaplątany w gałęzie, ale nie dalej niż sto metrów od miejsca, gdzie miał wylądować.

Obracam samolot w dłoniach. Został naprawiony, wyczyszczony i polakierowany. I znajduje się na nim napis. Pod spodem, wzdłuż skrzydeł, dostrzegam ten sam pochylony charakter pisma co w dzienniku i notesach. Nie można było go nie rozpoznać. Pismo mojego ojca.

Tylko pięć słów.

- Kieruj się rzeką na wschód - odczytuję szeptem.

- Musisz udać się na wschód - potwierdza cicho Clair. - My musimy się tam udać.

Polecieć lotnią. Będę sterować tą lotnią dla dwojga.

Spuszcza oczy, na jej twarzy maluje się wyraźnie poczucie winy.

- Polecimy nad rzeką. Przecina góry. Potem płynie cały czas na wschód.

- Tam nic nie ma. Tylko jałowa, naga ziemia.

- Twój ojciec tam jest. W miejscu, które opisał jako Krainę Mlekiem i Miodem Płynącą, Pełną Owoców i Słońca.

Mogę tylko przesuwać dłońią po powierzchni samolotu, który trzymam, dotykać metalowych płytek.

- To cel twojego życia, Gene. Tak powiedział mi twój ojciec. Całe twoje życie sprowadza się tylko do tego: udać się na wschód z Początkiem. Po to przyszedłeś na świat. To twoja misja.

Z zewnątrz niosą się głosy. Blisko, chyba tuż pod warownym murem.

Dziewczyna zaczyna mówić szybciej, urywanie.

- Musimy wyruszyć dzisiaj. Ale nie teraz, gdy starsi są tak blisko. Zresztą powinnam wrócić do swojego pokoju i zabrać plecak z zapasami, który ukryłam. Podróż potrwa parę dni. Spotkamy się tutaj za godzinę.

- A co z moimi przyjaciółmi? Nie mogę ich tak po prostu zostawić.

Dziewczyna waha się, znowu na jej twarzy pojawia się to poczucie winy, jakie dostrzegłem wcześniej.

- Może jeszcze Sissy... - zaczyna, ale zaraz potrząsa głową. - Nie, na lotni jest miejsce tylko dla ciebie i dla mnie...

Robi się nerwowa. I ten dziwny wyraz malujący się na jej twarzy, poczucie winy i świadomość, że postępuje źle...

- Musimy zabrać także innych. - Kręczę głową. - Co ja mówię? Mam tyle pytań...

-1 będzie czas na nie, gdy tylko znajdziemy się w powietrzu. - Clair ciągnie mnie do drzwi, pozostawia w korytarzu dogasające błyskacze, zamyka drzwi. W ciemności ustawia kartony i pudła tak, aby zasłoniły przejście, po czym otwiera przesuwane, wąskie okno.

- Starsi tu idą. - Odwraca się do mnie. - Wyjdę przez to okno i przejdę murem. Ty jesteś za duży, nie przecisniesz się. Zejdź do nich po tych schodach. Powiedz po prostu, że szukałeś Krugmana. - Naciąga kaptur na głowę. - Odlatujemy dzisiaj. Wróc za godzinę. Nikomu nie mów, dobrze?

- Nie, nie dobrze.

Ale ona jakby nie słyszała. Wysuwa nogę za okno, po czym jeszcze się zatrzymuje.

- Twój ojciec coś mi powiedział. Czasami latał do metropolii zmierzchników. Zajmowało to cały dzień, żeby pokonać odległość w tę i z powrotem. Ale chciał cię zobaczyć. Nawet jeżeli tylko z daleka, z nieba.

Łapię ją za ramię.

- Dlaczego zostałaś? Jeżeli Kraina Mlekiem i Miodem Płynąca naprawdę istnieje, dlaczego sama stąd nie odleciałaś?

Wyrywa ramię i przeciska się przez okno na parapet. Zatrzymuje się jednak, zanim wyjdzie.

- Ponieważ twój ojciec poprosił, żebym została. I czekała na ciebie. - Dziewczyna spogląda mi w oczy. - Był dobrym człowiekiem. Zrobiłabym wszystko, o co by poprosił.

A potem zeskakuje z parapetu i odbiega po murze, dopóki nie skryje jej ciemność.

- Slip.

## Rozdział 35

Spotykam ich na schodach, parę starszych o twarzach czerwonych albo od alkoholu, albo wysiłku, a może jednego i drugiego. Nie odzywają się do mnie, tylko próbują łapać mnie za ramiona. Wrywam się, ale kiedy dociera do nich, że nie uciekam, po prostu za mną idą. Nie pada ani jedno słowo. A gdy tylko stawiam stopę na bruku uliczki, znikają. Jeszcze przed chwilą byli za moimi plecami, a teraz już ich nie ma.

Dziwne, że nie odprowadzili mnie do chaty. Staram się o tym nie myśleć. Ale ogarnia mnie niepokój. Zatrzymuję się, nasłuchuję oddalających się kroków, ale w wiosce śwista tylko wiatr.

Na policzek spada mi kropla deszczu. Jest duża, ciężka i zimna. A potem kolejna i jeszcze jedna. I nieuchronnie zaczyna się rzęsista ulewa.

Lecz nie dlatego czuję chłód. Rozglądam się. Kurtyna deszczu jest ciemna, gęsta i szara, bębni mocno o kocie łby. Odgłos przypomina tysiące uderzających o skałę kamieni.

Ruszam szybko do chaty. Strach dodaje mi skrzydeł, stopy ślizgają się na bruku. Na placu wioski przystaję, znowu nasłuchuję. Cisza i bezruch, tylko serce mi łomocze. Coś we mnie pęka, mam złe przeczucia. Rzucam się do biegu. W wyobraźni wpadam do sypialni, budzę wszystkich - Epapa, Davida, Bena, Jacoba i Sissy, mówię, że musimy uciekać, teraz, zaraz, w tej chwili, ponieważ nie tylko już wiem, że Kraina Mlekiem i Miodem Płynąca, Pełna Owoców i Słońca leży na wschodzie, ponieważ okazało się, że ojciec żyje i oczekuje mnie tam, ale czuję też, że nasz czas w Misji dobiegł końca. Ostatnie ziarenka piasku przesypany się w klepsydrze i pozostała tylko koszmarna pustka i mrok. Oczyma duszy widzę, jak łapiemy wszyscy za bagaże, przekradamy się do ciemnego lasu... Przyśpieszam kroku, starając się odegnać myśl, że jest już za późno.

Otwieram pośpiesznie drzwi. Już mam wbiec po schodach, gdy coś dostrzegam. W jadalni. Migotliwy blask dogasających płomieni tańczy na ścianach. Lecz to nie światło przyciąga moją uwagę.

To David.

Tyle że chłopak na mnie nie patrzy. Stoi w kącie twarzą do ściany, z rękoma przy bokach. Jak na baczność. Ale wyraźnie się trzęsie.

- David?

W płomieniach kilku świec na stole dostrzegam Epapa. Siedzi pochylony i jak automat je zupę. Wsuwa sobie łyżkę do ust tak pośpiesznie, że zawartość rozpryskuje się na

blacie i na koszuli chłopaka.

Podnosi na mnie wzrok. Oczy ma opuchnięte i czerwone. Nie okazuje zaskoczenia moją obecnością, ale wyczuwam w nim desperację. Łzy spływają Epapowi po policzkach, ale nie przerywa jedzenia.

W kącie za nim stoi ktoś jeszcze. Tyłem do mnie, drżąc.

- Jacob? - rzucam, ale wzrok przesuwam mi się odruchowo do kolejnego kąta. Stoi tam Ben, przyciśnięty do ściany i odwrócony do niej twarzą. Włosy ma rozczochrane, jakby szarpane w różne strony.

Spoglądam znowu na Epapa. Jakby pod wpływem mojego wzroku łyżka wypada mu z dłoni i toczy się po stole. Chłopak nie patrzy już na mnie, lecz za moje ramię...

Słyszę trzeszczenie podłogi za plecami.

Wyczuwam obecność intruza, zwinną i mroczną jak skrzydło nietoperza. Ogarnia mnie chłód. Odwracam się.

Błada twarz, okrągła, pulchna, z wyłupiastymi oczami, tuż za mną. Jak księżyc, jak księżyc w pełni.

Ale oczy pozbawione są światła. Puste, nieobecne. Gdy intruz mruga, powieki opadają niczym ostrza gilotyn w zwolnionym tempie. Chcę krzyknąć.

Ale zanim jeszcze otworzę usta, twarde uderzenie spada mi na kark. Mam wrażenie, że pęka mi czaszka, a mózg ściska się przy czole. Wszystko we mnie szarzeje i ciemnieje. Padam bezwładnie, nierealnie i nic już nie widzę, nie słyszę, i nie czuję.

## Rozdział 36

Ciemność szorstka jak asfalt, oblepiająca mi oczy tysiącem warstw. Nie ma różnicy, czy zamknę, czy uniosę powieki, wokół panuje ta sama nieprzenikniona ciemność.

Nie wiadomo, ile upłynęło czasu. Instynkt nakazuje mi nie ruszać się i kontrolować rytm oddechu. Unikać wywołanej paniką hiperwentylacji. Wdech-wydech w absolutnej ciszy. Zorientować się w otoczeniu bez poruszania się, bez mówienia.

Wiem jedno: nie jestem na zewnątrz. Krople deszczu nie padają mi na twarz. Nie widzę gwiazd, nie wyczuwam najmniejszego ruchu powietrza. Powoli kładę ręce dłońmi do dołu. Ubita ziemia, sucha, ziarnista. Jestem w pomieszczeniu. Zamkniętym. Cichym jak trumna.

Słuchaj, Gene, słuchaj.

Nic, tylko łomot mojego serca.

Przelykam ślinę, poruszam jabłkiem Adama.

Zachowaj spokój. Nie panikuj. I znowu to wewnętrzne przeczucie. Nie ruszaj się.

I wtedy pomiędzy głośnymi uderzeniami serca słyszę coś. Ledwie szmer, niemal niesłyszalny. Potem cichnie, może mi się tylko zdawało. Ale nie, znowu to słyszę - cichy charkot.

Oddech.

Obok znajduje się ktoś jeszcze.

Zachowaj ciszę. Nie daj się zauważyć.

Nic więcej nie mogę usłyszeć. Tylko serce i krew tętniącą mi w uszach zbyt głośno. Zmuszam się do zwolnienia oddechu. Powoli, spokojnie nabieram powietrza przez otwarte usta, aby uniknąć jakiegokolwiek niepożądanego świstu.

Gdzie jestem? Kto jest ze mną?

Unoszę ostrożnie ręce, rozkładam na boki. Dotykam czegoś twardego, gładkiego i zimnego. Szkło? Okno? Odwracam głowę tam, gdzie spoczywa moja dłoń. Nic nie widzę. Ani ręki. Ani szkła. Tylko ciemność. A wewnętrzny instynkt podpowiada mi raz po raz: zachowaj ciszę i spokój, nie ruszaj się.

- Hej?

To nie mój głos. Dobiega z prawej. Głos cichy jak dym, niemal niesłyszalny, jakby wcale go nie było.

To Sissy.

Nie ruszaj się, nie odzywaj, nie ruszaj się, nie odzy...

- Sissy? - Walczę z pragnieniem, by się podnieść.

- Gene? - szepcze dziewczyna.

Bardzo powoli, cal po calu, przesuвам się w jej stronę. Końce naszych palców stykają się i natychmiast splatamy dłonie, potem obejmujemy się mocno, ściskamy i przetaczamy po ziemi. Ręce mamy zimne jak lód, uściski dzikie, nabrzmiałe od emocji.

I tak po prostu zamieramy w całkowitym bezruchu.

Ponieważ oboje to wyczuwamy. Nie jesteśmy sami.

Sissy nabiera tchu, ja nabieram tchu. Cisza.

A potem w oddali, za jej ciałem, słychać szmer oddechu innej osoby. Ciche posapywanie we śnie.

Sissy chce się przysunąć do źródła dźwięku. Zaciskam mocniej chwyt na jej dłoni, żeby powstrzymać dziewczynę. Zamiera. A potem wrywa rękę. Zaciskam mocniej. Nie ruszaj się.

Ale Sissy nalega. Przysuwam się tak, aby moje usta znalazły się przy jej uchu.

- Nie - szepczę.

Wtedy i ona się przysuwa, przyciska mocniej, żeby usta niemal dotykały mojego ucha.

- Gdzie jesteśmy? - pyta.

- Nie wiem. W niebezpieczeństwie.

Wyczuwam nacisk przy biodrze, w kieszeni. Sięgam tam, wyciągam. Plastikowa rurka. Macam kontury, staram się wybadać ją dotykiem. Błyskacz, to musi być błyskacz.

Ramiona Sissy przesuują się do butów. Słyszę szmer i cichy brzęk metalu. Dziewczyna wyjęła sztylety, które miała ukryte w butach.

- Mam racę - szepczę. - Była w kieszeni.

Rozlega się szelest ubrania, po czym Sissy potwierdza.

- Ja też. Co się dzieje?

- Musimy być cicho. I nie ruszać się.

Czuję, że dziewczyna kiwa głową przy moim policzku.

- Nie używaj racy - nakazuje. - Jeszcze nie.

Ściskam jej dłoń na potwierdzenie, że rozumiem.

Leżymy nieruchomo. Znowu słyszę oddech, głośniejszy, zaniepokojony, nierówny. Sissy zaczyna się ostrożnie poruszać. Podciąga nogi, próbuje się zorientować w otoczeniu.

Co się dzieje?

Nasze oczy próbują przebić mrok, wychwycić jakiegokolwiek kształty wśród czerni. Ale

słyszemy tylko odgłos - kaszel, krótki, niemal jak kichnięcie. Sissy napina się jak struna. Znowu kaszel, tym razem dłużej, zakończony warknięciem, które powoli cichnie.

I znowu niedosłyszalne niemal posapywanie, teraz jednak jakby cięższe, zduszone.

Sissy zaciska dłoń na moim nadgarstku. Wiem, czego chce. Tego samego co ja. Wynośmy się stąd. Nieważne, gdzie jesteśmy.

Podnosimy się ostrożnie. Odsuwamy się jak najdalej od obcego oddechu, idziemy z wyciągniętymi rękoma, powoli stawiając stopy, żeby nie potknąć się o nic, co mogłoby leżeć na ziemi. I nagle dotykam szkła. Zaraz potem dłoń Sissy również zatrzymuje się na szklanej tafli.

Dziewczynie zapiera dech w piersi.

- Gene... - to najcichszy krzyk, jaki w życiu słyszałem. - Wiem, gdzie jesteśmy.

Cofa dłoń i zostaje sam w powodzi mroku.

- Sissy?

Tylko cisza. Nie ma nawet odgłosu sapania w oddali.

Wyciągam ręce tam, gdzie wcześniej stała dziewczyna. Pustka, jakby wyparowała. Ruszam naprzód, macając dłońmi, ale napotykam tylko próżnię. Ani śladu Sissy, ani jednej szarej smugi ruchu w ciemności.

Ohydny warkot rozdziera ciszę, zaśliniony i ostry.

Okrzyk - Sissy - potem tupot i szelest ziaren piasku uderzającego w szkło.

Przełamuję błyskacz. Zielonkawe światło płonie wokół mnie.

Znajduję się w Pokazywalni.

Wewnątrz szklanego pomieszczenia.

W szklanej klatce. Ze zmierzchnicą.

Rozmazana plama. Smuga gnająca prosto do Sissy. Krucze włosy rozwiewają się za bladą twarzą. Wyszczzerzone kły.

Sissy już rzuciła sztylet. Światło odbija się od klingi zmierzającej do dziewczyny-zmierzchnicy.

W połowie drogi zmierzchnica robi unik, przypada do ziemi i wrzeszczy piskliwie, przenikliwie.

Z brzękiem rzucony przez Sissy sztylet odbija się od szkła. Chybiła.

Spoglądam na zmierzchnicę. Kuca i wyje, zasłaniając oczy. I wtedy do mnie dociera - ona cofa się przed zielonym światłem. Dziwne. Jej reakcja jest o wiele gwałtowniejsza niż wczoraj, gdy świeciło wiele błyskaczy. Zapewne szyba rozpraszała najbardziej bolesne pasma jasności. Ale teraz zmierzchnica jest w pełni wystawiona na światło. Dla jej oczu ta

zielonkawa poświata okazuje się bardzo bolesna.

- Twoja rasa, Sissy! Użyj jej! Światło oślepi zmierzchnicę!

Sissy wyjmuje błyskacz, przełamuje go i zapala. Bardziej intensywna poświata wypełnia przestrzeń szklanej klatki. Zmierzchnica wyje.

Nie tracę czasu, pędzę do szklanej tafli. Drzwi, gdzie są drzwi?

Tafla jest gładka, bez żadnych wgłębień wskazujących na położenie drzwi. Uderzam gniewnie w szkło. Twarde jak diament, nawet nie zmatowiało. Wtedy jednak dostrzegam tuż obok - cienki prostokątny zarys jakby wyryty w szkłe. Macam w poszukiwaniu klamki, uchwyty, czegokolwiek.

Ale drzwi są gładkie. Klamka znajduje się po drugiej stronie, wszystko jest po drugiej stronie szklanej ściany - zwłaszcza klawiatura panelu sterowania.

I wtedy dostrzegam starszych. I Krugmana. Siedzą po drugiej stronie, przyglądają się z podnieceniem. Zielonkawa poświata odbija się od ich twarzy. Dali nam błyskacze dla własnej rozrywki. Żeby lepiej widzieć naszą śmierć.

Uderzam w szkło z wściekłością.

- Gene!

Odwracam się. Zmierzchnica czai się z zaciśniętymi powiekami, jej blada skóra wydaje się zielonkawa i poplamiona.

- Nie odzywaj się, Sissy! Zdradzasz swoją pozycję!

I jak na potwierdzenie moich słów zmierzchnica przysuwa się bliżej mnie na ugiętych nogach, po czym skacze z wyciągniętymi ramionami. Czarne, ostre paznokcie przypominają wymierzone we mnie zatrute strzały. Robię unik, przewracam się niezdarnie na bok.

Zmierzchnica mijają mnie, zderza się ze ścianą. Na okamgnienie zastyga na tafli jak rozplaszczona żaba, po czym bezwładnie osuwa się na ziemię. Ale nawet teraz maca wokół, jakby chciała znaleźć mnie na oślep. Piszczy i skrzeczy jak wściekły królik.

Odtaczam się, zrywam na równe nogi. Sissy łapie mnie za ramię, odbiegamy pod przeciwną ścianę.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się stąd wydostać - krzywi się dziewczyna ponuro.

- Wraca...

- Nie, słuchaj! - Szarpie mnie za rękę tak mocno, że niemal wrywa ją ze stawu. - Ona może dopaść tylko jedno z nas naraz. Niech zaatakuje mnie. Wytrzymam najdłużej jak zdołam. Kiedy będzie zajęta, poderżnij jej gardło od tyłu. Tym. - Wręcza mi sztylet.

Próbuję cofnąć rękę, choć czuję dotyk rękojeści w palcach.

- Nie...



- Nie ma innego wyjścia! Tnij mocno i głęboko...

- To ja ją zatrzymam! Ty lepiej sobie radzisz z nożem.

- Słuchaj, po prostu słuchaj, dobrze? Nie kłóć się ze mną. Tylko jedno z nas może przeżyć, oboje to wiemy!

- Więc ty...

- Nie pozwólcie Gene'owi zginąć! - krzyczy Sissy. Zmierchnica podkrada się do nas, skamląc z żądzy krwi.

Instynktownie rzucam sztylet, a w tej samej chwili Sissy ciska błyskaczem. Sztylet uderza w racę tuż przed twarzą zmierchnicy. Błyskacz eksploduje oślepiającą zielenią, która wżera się w skórę napastniczki jak rozgrzana lawa w lód.

Przerażający wrzask wstrząsa szklaną klatką. Zmierchnica upada między nas, zwija się w kłębek z bólu, drze palcami oczy. Niesie się od niej obrzydliwy smród, zgnilizny i spalenizny. Zmierchnica chce, musi pozbyć się tej palącej cieczy.

Oczy same przesuwają mi się na gładką jak lustro tafłę wody. W najdalszym kącie klatki znajduje się wyjście, podziemny tunel w kształcie litery U, przez który dostarczana jest żywność. Tym tunelem zaledwie wczoraj nauczycielka przepchnęła worek mięsa. Najpierw przez studnię, potem krótki poziomy odcinek i znowu przez pionowy szyb.

Zmierchnica zaczyna się czołgać do wody.

A ja uświadamiam sobie, że to właśnie nasze wyjście. Jakże oczywiste... Strach musiał mi sparaliżować myślenie. To nasze jedyne wyjście. I musimy do niego dotrzeć przed zmierchnicą. Musimy dotrzeć tam natychmiast, już, szybko i po sprawie.

Chwytam Sissy za ramię, ciągnę ją. Nie ma czasu na wyjaśnienia.

Ale dziewczyna próbuje zabrać sztylet z ziemi, myśli, że to okazja do zabicia zmierchnicy. Podnoszę ją niemal, na wpół niosę na drugi koniec.

- Co robisz? - krzyczy Sissy. - To nasza szansa...

- Ratuje nas - odpowiadam.

Stajemy nad studnią, węższą, niż sądziłem. Wygląda na wystarczająco szeroką dla Sissy. Dla mnie - to się dopiero okaże.

- Pamiętasz tę studnię? W kształcie litery U, dziesięć metrów w dół, zakręcającą pod ziemią i wychodzącą w górę po drugiej stronie...

Ale dziewczyna kręci głową.

- Za ciasno, za głęboko, utopimy się.

Zmierchnica idzie do nas z wyciągniętymi pazurami. Chwieje się przy każdym kroku. Słyszy nasze głosy, syczy zjadliwie. Światło z rac zaczyna blednąć. A wraz ze

znikającym światłem upływa czas i nasze życie.

Sissy to rozumie.

- Ty pierwszy - szepcze.

- Nie.

- Gene.

- Nie ruszę, dopóki ty się nie zanurzysz.

- Nie. Nie pozwólcie Gene'owi zginąć - cytuję znowu, a w jej oczach płonie determinacja.

- A Gene nie zamierza się zanurzyć, dopóki ty tego nie zrobisz - odpowiadam z równą stanowczością.

- Niech cię - syczy Sissy, po czym obejmuje mnie za szyję, przyciska gładki policzek do mojej twarzy. Odsuwa się równie szybko i staje na krawędzi otworu z wodą, bierze głęboki oddech i skacze głową w dół. Ostatnie, co widzę, to jej nogi, potem tylko stopy znikające pod wodą, w głębi studni.

Na chwilę ogarnia mnie zmieszanie. Dlaczego skoczyła na główkę?

I wtedy to do mnie dociera. Oczywiście. Oczywiście Sissy musi przepłynąć to głową w przód. Gdyby dotarła do dna najpierw stopami, nie miałyby miejsca, żeby się obrócić i wypłynąć, tunel jest na to zbyt wąski. Tylko w ten sposób dziewczyna zdoła się zgiąć w dole i przepchnąć na drugą stronę.

Ma tylko jedną próbę. Wszystko albo nic. Nie zdołałaby się cofnąć i zaczerpnąć ponownie powietrza, gdyby się rozmyśliła.

Za plecami słyszę warknięcie, stopy i paznokcie szurają po klepisku. A potem cisza, co oznacza tylko jedno - zmierzchnica już skoczyła.

Nie oglądam się, wiem, że to tylko strata czasu. Rzucam się w prawo, przetaczam po ziemi, podczas gdy zmierzchnica uderza w ziemię tuż obok mnie. Odwracam się, uwalniam rękę, która utknęła mi pod ciałem za plecami, prostuję. Rękę, w której trzymam błyskacz.

Raca ledwie się jarzy, przygasająca poświata niemal nie rozprasza ciemności. Ale świeci jeszcze wystarczająco, żeby wyłowić z mroku twarz łowczyni, zaskakująco blisko mnie. Prawe oko dziewczyny napuchło, spływa z niego biała ropa, ale drugie jest czyste - błyszczący w nim głód i żądza.

Mam tylko jeden atut. Wsuwam sobie błyskacz między wargi, odgryzam końcówkę, wypływam i pozwalam, żeby zawartość racy przelała mi się do ust. Ciecz jest gęsta, kleista i kwaśna jak ocet.

Zmierzchnica skacze na mnie...

...dopada mnie, siada okrakiem, przytrzymuje mi ramiona. W zdrowym oku płonie triumf, po podbródku spływa ślina jak kipiące mleko.

Ma mnie.

I w tym ułamku sekundy, gdy zmierzchnica odchyła głowę i obnaża zęby, aby wbić mi je w szyję - wypluwam ciecz prosto w jej twarz.

Zmierzchnica wrzeszczy, odskakuje, zasłania dłońmi oczy. W powietrzu słychać trzaskanie jak przy smażeniu.

Już pędzę do otworu studni. Nie mogę go znaleźć, nie w ciemności. Tam! O kilka kroków falująca lekko w mroku tafla. Gdy tylko moje palce stykają się z wodą, nie marnuję czasu. Wskakuję - a lodowata woda ogarnia mi głowę, ramiona, tors...

I już. Jestem pod powierzchnią.

Zimno to szok dla mojego organizmu. Płuca mi się zaciskają, tracę dech w piersi. Nagła zmiana środowiska jest obłądona, oszalamiająca.

A studnia okazuje się bardzo wąska. Niewiele szersza od moich ramion. Zaczyna ogarniać mnie panika, choć staram się odepchnąć poczucie dezorientacji, gdy jestem odwrócony do góry nogami, do tego w wypełnionym wodą wąskim szybie. Przynajmniej nie zapomniałem przy zanurzeniu wyciągnąć przed siebie ręk. Gdybym tego nie zrobił, ręce miałbym teraz przyciśnięte do boków. Byłbym w pułapce.

Niewielka pociecha. I nie czas, żeby popadać w samozadowolenie. Chociaż dolną (górną?) część ciała mam pod wodą, reszta wciąż bezradnie kopie powietrze w bezowocnej próbie znalezienia podparcia. Wydaje się, jakby moje nogi miały własny rozum i wyciągały się jak macki ośmiornicy tysiące mil nade mną. Zazdroszczę im dostępu do powietrza. Chciałbym zaczerpnąć głęboko oddechu, szkoda, że nogi to nie słomki...

Słyszę warkot, stłumiony, lecz przerażający. Nawet pod lodowatą wodą czuję wibracje zewu zmierzchnicy. Idzie po mnie. A przynajmniej po moje nogi. Czuję coś w rodzaju irracjonalnej ulgi. Przecież poza nogami jestem już bezpieczny, one mnie chronią. Zmierzchnica może je sobie zabrać, o ile tylko mnie zostawi w spokoju.

Umysł. Myśli. Splątane. Nie myślę jasno.

Zaczynam się szarpać na boki. Potrzebuję powietrza. W pośpiechu zapomniałem zaczerpnąć go przed zanurzeniem. Teraz brakuje mi tchu. Tak szybko. Dopiero co się zanurzyłem, nie zacząłem jeszcze płynąć, mam do pokonania cały dystans, a zabrakło mi tlenu.

Obracam się, próbuję wyciągnąć się z szybu. Dopiero teraz przychodzi mi do głowy, że powinienem był się rozebrać, bo ubranie nadyma się w wodzie. Szarpię się, wiercę.

Nerwowe ruchy sprawiają, że zapadam się głębiej o parę stóp. Dłonie ślizgają się po gładkim metalu w poszukiwaniu oparcia. Natrafiam na drobne wybrzuszenie, może nie do końca dopasowany nit. Ale tyle wystarczy, żeby oprzeć palce i wciągnąć ciało głębiej o kolejne parę stóp. Zanurzam się cal po calu, aż całkowicie znajduję się pod wodą. Ale to trwa za długo, za wolno. Niedobrze. Oczy mam otwarte, choć nic nie widzę, zimno przenika mnie do szpiku kości, brakuje mi tchu, to był błąd, powinienem jakoś zawrócić, zaczerpnąć powietrza, tego cennego powietrza...

Czuję chwyt zaciskający mi się na kostce.

Resztki powietrza wyrywają mi się z płuc, bąble umykają w górę jak z przebitego balonu.

But zostaje ze mnie zdarty niemal ze skórą. Kopię, skrzeczę w ciemność wody, staram się zanurzyć głębiej.

Chwyt znika. Moje ciało spada w dół o kilka stóp. Znowu zaczynam macać metalową ścianę, szukać palcami oparcia. Ściągam, ile mogę, ramiona...

Ostry paznokieć drapie mnie w bosą piętę.

Odruchowo otwieram usta do krzyku. Nic się nie wydostaje. Nie ma już powietrza, nie ma dźwięku.

Nie połykaj wody! Nie połykaj! Kropla wody w tchawicy wywoła fatalne spazmy. Kopię na oślep. Natrafiam stopą na owalną miękkość - policzek zmierzchnicy? Kiedy cofam nogę, czuję na kostce pieszczotę długich włosów.

Ogarnia mnie panika. Drapię śliskie ściany, desperacko szukając oparcia. I wtedy zdarza się cud - tunel nagle się rozszerza. Może trochę ponad cal po każdej stronie, ale mnie się wydaje, że to niemal otwarta przestrzeń. Ciało opada mi znowu o kilka stóp, potem ze dwa metry. Przesuwam ramiona, zanurzam się głębiej, poruszam szybko, nerwowo nogami. Przepływam chyba galaktyczną odległość pięciu metrów. Czuję szarpiący ból ciśnienia w uszach.

Jestem poza zasięgiem zmierzchnicy. Nie ośmieli się ścigać mnie w wodzie...

Ale wtedy czuję jej palce zaciskające się jak imadło na mojej stopie. Chwyt jest pewny. Krzyczę. Szarpię nogą, ale to chyba tylko zachęca zmierzchnicę, jej palce zaciskają się mocniej. Znowu kopię i tym razem trafiam w coś twardego, może w głowę.

Zmierzchnica jest w wodzie. Z zanurzoną głową. I jakby to właśnie sobie uświadomiła, zaczyna się szarpać. Czuję, że rozluźnia uścisk palców na stopie, ale ręka utknęła jej w nogawce moich spodni. Przez moje nerwowe ruchy i ciasnotę tunelu zmierzchnica podarła tkaninę na strzępy splątane jak sieć i teraz nie może uwolnić dłoni.

Łowczynię ogarnia panika, gdy płynę głębiej w studnię - krzyki tłumi woda, podobnie jak trzask stawów i kości. Zmierchnica szarpie rękę, wybijając sobie palce. Czuję ostatnie brutalne pociągnięcie, a potem nic. Zmierchnica znieruchomiała. Utopiła się.

Wytrzeszczam oczy, staram się wypatrzeć dno. Ale wszędzie panuje nieprzenikniona ciemność. Mogę tylko zanurzać się głębiej w otchłań, jard po jardzie. I wtedy ogarnia mnie myśl, która mrozi mi krew w żyłach.

A jeżeli na dnie natrafię na ciało Sissy? Jeżeli dziewczyna się utopiła, a jej zwłoki zablokowały drogę, ubranie się wzdęło, twarz wykrzywiła w grymasie bolesnej śmierci, a włosy kołyszą się leniwie wokół niej?

Zaciskam powieki, pragnąc wyrzucić ten obraz z głowy. Płynę, a temperatura wody spada. Krew szumi mi w uszach...

Nie uda się. Nie mam już sił.

Ani powietrza. Skrzeczące delirium ogarnia mi umysł, ostre jak brzytwa pazury rozdierają płuca. Pragnę tylko, żeby te spazmy się skończyły, żeby to ostatnie stadium tonięcia wreszcie dobiegło końca i śmierć litościwie pozbawiła mnie świadomości.

Wtedy jednak natrafiam na coś palcami. Dno studni. Wyciągam ramiona w poszukiwaniu miejsca, gdzie szyb zakręca na drugą stronę szklanej ściany. Nie mogę nic znaleźć. Dopiero gdy płynę dalej, gdy czołem uderzam w dno, wtedy dopiero dostrzegam ujście. Dokładnie przed swoją twarzą.

Jest przerażająco małe.

Ramiona ledwie mi się tam zmieszczą. Może. Może nie. Wyciągam rękę. Nie pozostało mi już nic innego, jak tylko utopić się, próbując...

Poziomy szyb nie jest długi. Wręcz przeciwnie, krótszy niż moje ramiona. Mogę sięgnąć na drugi koniec i chwycić się krawędzi, po czym mocno przeciągnąć ciało. Głową przesuwam po metalowej ścianie, aż znajduje się na równi z barkami. Widzę kolejny pionowy tunel. Po tej stronie okazuje się znacznie szerszy. Wystarczy, że odbiję się mocno. Do powietrza dotrę w parę sekund. Parę sekund...

Ale jestem uwięziony. Coś mnie spowalnia. Zmierchnica. Chociaż utonęła, jej zaciśnięte palce wciąż zaplątane są w podartą nogawkę. Martwy ciężar przytrzymuje mnie na dnie poziomego szybu.

Uderzam mocniej nogami, czuję, że opór nieco ustępuje. Mogę już wyciągnąć się bardziej z tunelu do szerszej studni. Ale znowu coś mnie spowalnia. Bezwładna ręka zmierchnicy nadal trzyma mnie za nogawkę i choćbym nie wiem jak kopał i szarpał, nie puszcza. Nawet utopiona zmierchnica okazuje się śmiercionośna.

A zatem to koniec. Jestem sam w mogile mrocznej wody. Świat ogarnia mrok. Życie wysącza się ze mnie powoli, samotność, poczucie klęski, desperacja - wszystko znika w tej podwodnej trumnie. Robię się bezwładny, napięcie uchodzi z moich mięśni. Spazm, potem już nic - rozluźniam się. Nawet łomot krwi w moich uszach zwalnia, cichnie...

Ramiona unoszą mi się bezwładnie niczym dwie smugi dymu nad stosem pogrzebowym.

Śmierć nie jest taka zła. Tylko tak długo trwało dotarcie do tego momentu. Tyle lat...

## Rozdział 37

Nade mną pojawia się anioł, szara, rozmyta postać. Włosy odgarnięte do tyłu, gdy sięga do mnie, nadpływa z szeroko otwartymi oczyma. Jestem gotów, gdy chwyta mnie za rękę, skórę ma gładką jak porcelana. Szarpie mnie raz, drugi, trzeci. Ale utknąłem. Ciało anioła zanurza się za mną.

Ciężar u nogi znika, a anioł wyszarpuje mnie w górę, unosi w dal. To bez znaczenia. Czuję dotyk ciepłego ciała, miękki i pewny. Wynurzamy się powoli, ręce anioła podtrzymują mnie pod pachami, czarne ściany przesuwają się w dół. Wypływamy ze studni, przebijamy sufit Pokazywalni, mijamy chmury i gwiazdy, wznosimy się do nieba... Tyle że nie ma żadnych gwiazd, nie ma chórów anielskich, ulic ze złota, mleka i miodu, owoców i słońca. Jest tylko czerń i mrok, a potem nie ma już nic.

Do przytomności przywracają mnie ostre, szarpiące skurcze i rytmiczne, bolesne uderzenia w klatkę piersiową. Ogarnia mnie szara nicość.

Potem czuję aksamitne usta, słodkie i wilgotne. Miękki dotyk żywych, kuszących warg. Stają się nalegające, mocne.

W usta napływa mi powietrze, przeciska mi się do tchawicy. Tlen wypełnia mi płuca, w mózgu wybucha zjadliwa biel. A potem krztuszę się i dławię, gdy z ust wypływa mi woda, cuchnąca i mętna, jakby gniła we mnie od lat. Wciągam haust powietrza, zastrzyk tlenu przywraca mi ostrą jasność myśli.

- Obróć się na bok - mówi Sissy i pomaga mi się ruszyć. - Wykasłaj to.

Woda wylatuje ze mnie, więcej, niż mogłoby się wydawać. Konwulsje są tak silne, że mam wrażenie, jakbym wypluwał z siebie kawałki wątroby, żołądka czy nerek. Pozostaję na boku, zbyt zmęczony, żeby się ruszyć. Sissy dźwiga mnie do pozycji siedzącej. Podciąga mi koszulę, dotyka mojej klatki piersiowej i brzucha.

- Sissy? - udaje mi się wykrztusić, woda spływa mi z warg.

- Masz zadrapania? Skaleczenia? Ugryzienia? Dopadła cię?

- Nie wiem.

- Dopadła cię, Gene? Powiedz! - W oczach dziewczyny czai się strach. I naraz mnie również ogarnia lęk, pobudza umysł do czujności. Sissy ma rację - jeżeli choć jedno z nas zostało podrapane przez zmierzchnicę, ulegnie przemianie. Objawy tej ponurej dezintegracji nadchodzą zawsze jak lawina, mimo że cały proces może trwać nawet kilka godzin. Dziewczyna przygląda mi się czujnie. Włosy przylegają jej do alabastrowych policzków,

woda spływa z kosmyków jak pot.

Zrywamy się jednocześnie. Sissy ściąga mi koszulę, ja odpinam guziki jej bluzki, przylegającej jak gorset. W dogasającej poświacie błyskaczy sprawdzamy naszą skórę. Przesuwam palcami po ciele dziewczyny w poszukiwaniu skaleczeń, zadrapań, wkłuć.

Dłonie Sissy docierają do moich kostek. Cofa się szybko.

- Co jest? - pytam.

- Gene - głos ma zduszony strachem - nogawki masz poszarpane.

Mijają dwie najdłuższe sekundy w moim życiu, gdy Sissy podciąga podartą tkaninę. Otwiera usta w przerażeniu na widok długich, białych zadrapań w miejscach, gdzie dosięgły mnie paznokcie zmierzchnicy. Ale jest tam też wyraźne krwawe skaleczenie, gdzie pazury przecięły skórę i którędy do krwiobiegu dostała się zakaźna ślina.

Nasze oczy się spotykają.

A potem odskakuję od dziewczyny.

- Uciekaj ode mnie! - krzyczę. - Biegnij, Sissy!

Ale dziewczyna ani drgnie, tylko patrzy na mnie uważnie, jakby próbowała wstrzyknąć mi lekarstwo siłą swojego spojrzenia.

- Sissy, musisz uciekać. Zanim się przemienię!

- A przemieniasz się, Gene?

- Co?

- Przemieniasz się? Bo mnie się zdaje, że nie.

Jej słowa sprawiają, że zamieram zaskoczony.

Przyciskam dłonie do piersi, jakby tam znajdowała się odpowiedź. Ale Sissy ma rację. Nie doświadczam żadnych objawów przemiany, które ojciec wbił mi do głowy przed laty. Żadnych dreszczy. Żadnego bólu, jakby rozrywało mi organy wewnętrzne. A skóra się nie rozgrzewa od rosnącej gorączki.

- Sam powiedziałeś, że symptomy pojawiają się od razu po zarażeniu, najwyżej w ciągu minuty. Ale minęło już więcej czasu, a ty wydajesz się całkiem normalny. - Jej oczy przesuwają się po moim ciele. Potem dziewczyna odwraca się do widowni. Podchodzi do pierwszego rzędu, gdzie wcześniej widziałem starszych. Ława jest teraz pusta, leży na niej tylko kilka rac, jakby porzuconych podczas pośpiesznej ucieczki. Dziewczyna podnosi błyskacz i przelamuje go.

Rozjarza się zielone światło.

Nie cofam się ani nie krzywię. Nawet nie mrugam. Światło wcale mnie nie rani. Wręcz przeciwnie, to najpiękniejszy, najbardziej intensywny kolor, jaki w życiu widziałem.



Barwa się rozmywa i dopiero wtedy dociera do mnie, że oczy mi łzawią.

Słyszę trzask plastiku i na twarz spadają mi krople cieczy.

- Hej - oburzam się. - Przestań!

Lśniące jasno zielone krople plamią mi skórę i ubranie.

- Wybacz. - Sissy powstrzymuje uśmiech satysfakcji. - Musiałam się upewnić.

Unosi rękę, wyciera mi zielonkawe krople z czoła. Koniuszki palców przesuwają na policzki i przyciska tam dłoń.

- Gene - szepcze - naprawdę jesteś Początkiem. Po skaleczeniu powinieneś się przemienić. Ale tylko spójrz na siebie.

W jej oczach odbija się podziw.

Nie mogę wydusić słowa, tylko patrzę w oczy Sissy.

Zmierchnica skaleczyła mnie, a ręce i paznokcie na pewno miała mokre od śliny, gdy się na mnie rzuciła do szybu. Ale może zanim mnie skaleczyła, woda zmyła zakaźną ślinę.

- Nie wiem, Sissy.

- To prawda... - Dziewczyna jakby mnie nie słyszała. - Jesteś jedyny. Jesteś Początkiem.

Potrzęsam głową z powątpiewaniem.

- Może woda zmyła ślinę, zanim zmierzchnica mnie skaleczyła. No wiesz, w tym tunelu była woda. Jeżeli zmierzchnica skaleczyła mnie paznokciem, kiedy rękę miała już w wodzie, ślina mogła się rozpuścić i dlatego nie zostałem zakażony. I dlatego się nie przemieniłem. To możliwe.

Ale Sissy nadal spogląda na mnie z podziwem.

- Muszę cię sprawdzić - oznajmiam szybko. - Odwróć się.

Robi, co każę, powoli w zielonym świetle. Przesuwam palcami po wystających łopatkach, po kręgosłupie. Plecy są gładkie, wklęsłe jak wnętrze muszli. Zatrzymuję dłoń na krzyżu dziewczyny, wyczuwam zmianę napięcia. Jej klatka piersiowa unosi się i opada szybciej, bardziej. Sissy odwraca głowę, spogląda na mnie przez ramię.

- Wszystko w porządku - zapewniam cicho. - Żadnych ran.

Podaję jej bluzkę, Sissy szybko się ubiera.

- Wdmuchałaś mi powietrze w płuca. Skąd wiedziałaś, co robić?

- Naukowiec nam to opisał - wyjaśnia. - Zawsze się bał, że utopimy się w stawie pod kopułą.

Milknie, w zamyśleniu patrzy na drzwi. Są obramowane światłem poranka, na zewnątrz właśnie wschodzi słońce.

- Tutaj nie jest bezpiecznie - mówi Sissy. - Nigdzie już nie jest bezpiecznie.

- Byli tutaj - dodaje. - Grupa starszych. Przyglądali się naszej śmierci.

Dziewczyna przytakuje.

- Widziałam ich. Dlaczego to zrobili? Dlaczego chcieli nas zabić? Myślałam, że rozkazy Cywilizacji chronią nas przed... egzekucją.

Podnoszę swoją koszulę, wyciskam wodę.

- Posunęliśmy się za daleko tam, na peronie. Na oczach całej wioski zaatakowaliśmy starszych, choć tylko w samoobronie. Nie mogli pozwolić, żeby to się rozeszło. Zwłaszcza że patrzyło tyle dziewcząt. Musieli zrobić z nas przykład, rozkazy przestały się liczyć.

- Musimy zabrać chłopców. - Sissy kończy zapinać bluzkę. - A potem uciekniemy do lasu, jak najdalej stąd. Zapomnijmy o czekaniu na opuszczenie mostu. Po prostu się stąd wynośmy.

Kładę jej rękę na ramieniu.

- Muszę ci coś powiedzieć. To ważne.

Przypominam sobie wszystko, co powiedziała Clair. Powtarzam to szybko, choć cały czas czuję, że natychmiast powinienem wracać do chaty po resztę chłopaków.

- Na wschód stąd? - Sissy otwiera oczy ze zdumienia. - I naukowiec wciąż żyje?

- Wiem, że to sporo zaskakujących wieści. Ale jedyne, co powinniśmy teraz zrobić, to odlecieć. Potem będziemy się zastanawiać. Teraz uciekniemy, opuścimy góry, wrócimy do rzeki i ruszymy wzdłuż niej na wschód.

Sissy jednak już nie słucha. Ani na mnie nie patrzy. Wbija wzrok za moje plecy, w miejsce przy szklanej ścianie. Poblądlszy, wskazuje na otwór z wodą.

Zmierchnica - nieruchoma i z twarzą w dół - kołysze się na powierzchni. Jej długie włosy rozciągają się po tafli jak pęknięcia na szkle. Zmierchnica zacisnęła palce na nogawce moich spodni i pociągnęła ją na drugą stronę szybu. I teraz wypłynęła z pionowej studni.

Sissy rusza w jej stronę.

- Ona nie żyje, Sissy.

- Muszę się upewnić.

Zmierchnica jest przesiąknięta wodą i zbyt ciężka. Sissy obraca ją na krawędź otworu, bezwładne ciało zawisa tam jak czarny, wstrętny od choroby język.

Trącam głowę zmierzchnicy stopą, żeby się przyjrzeć twarzy. Zamknięte oczy, usta rozchylone, końce kłów oparte o dolną wargę.

Zmierchnica jęczy.

Sissy i ja odskakujemy.

Ze skóry zmierzchnicy zaczyna unosić się pasemko szarego dymu. Dziewczyna szarpie się, palce jej drżą. To światło błyskaczy - nie dość mocne, żeby zabić, ale wystarczające, by zadać potworny ból oparzeń.

- Musimy to skończyć. Zniszczyć ją. Zabieram ją na zewnątrz. Na słońce.

- Sissy, nie ryzykujmy. I nie traćmy czasu.

- Nigdy nie zasnę spokojnie, wiedząc, że w górach jest żywy zmierzchnik.

- Sissy - w moim głosie brzmi naleganie i wątpliwości - to zbyt niebezpieczne. Może się ocknąć.

Ale dziewczyna mnie nie słucha. Pochyla się nad zmierzchnicą, unosi ją, chwyciwszy pod pachami. Wyciąga mniejszą łowczynię z otworu studni i wlecze tyłem do drzwi. Nogi zmierzchnicy ciągną się bezwładnie po ziemi. Ale przemoczona i bezwładna łowczyni jest zbyt ciężka. Zaledwie po paru krokach Sissy zwalnia chwyt i upuszcza ciało. Zmierzchnica jęczy cicho.

Podnoszę zmierzchnicę, przerzucam sobie przez ramię. Jej głowa opada mi na wysokości łopatek, kły znajdują się niepokojąco blisko mojej skóry. Wolę mieć te kły na oku, więc zmieniam pozycję, trzymam łowczynię na rękach. Jej twarz jest zaskakująco drobna. Długie ciemne rzęsy odcinają się od białej skóry. Unosi się z niej coraz więcej dymu, ostry zapach spalenizny wypełnia mi nozdrza.

Stajemy przed drzwiami Pokazywalni. Przez szczeliny przesączają się promienie słońca.

- Może się ocknąć. Z bólu. Uważaj, patrz jej na usta, na kły.

Sissy zajmuje miejsce blisko u mojego boku.

- Blokuję jej ramiona - mówię. - Ty obserwuj usta, kły...

- Rozumiem.

Chwytam zmierzchnicę mocniej, przyciskam do piersi i ruszam biegiem do podwójnych drzwi.

Otwieram je siłą rozpędu. Oba skrzydła odbijają się z głośnym traskiem od ściany. Słońce oślepia nas całkowicie, ale nie zwalniamy, przyspieszamy nawet, gdy zmierzchnica zaczyna się szarpać w moich ramionach, a jej skóra skwierczy. Pędzimy jak najszybciej i jak najdalej od Pokazywalni, gdzie w ciemnym wnętrzu łowczyni mogłaby znaleźć schronienie.

W łunie poranka zmierzchnica wydaje mrozący krew w żyłach wrzask. Otwiera i zamyka usta z traskiem przypominającym pęknięcie kamieni.

Potykam się. Nie wiem, czy to kamień, czy coś innego, ale nagle tracę grunt pod stopami. Przetaczam się, przewracam niechcący Sissy, uderzam brzuchem w zimną,

oszronioną ziemię. Kulę się, próbuję złapać oddech. Nie zauważam nawet, kiedy zmierzchnica wyrywa mi się z rąk.

- Gene!

Widzę tylko wyszczerzone kły, złośliwy uśmiech. I rozmazaną smugę, gdy zmierzchnica odskakuje ode mnie i rzuca się do ucieczki.

Zrywam się na równe nogi pół sekundy później i ruszam w pościg. Zmierzchnica jest szybka, ale osłabiona. Prawie utonęła, na dodatek pali ją zabójcze słońce. Wyraźnie traci tempo, potyka się, gdy nogi mięknią jej jak masło na patelni, a kości zmieniają się w galaretę. Słońce ją spala, zwęglone ciało traci kształt.

Skaczę na nią, przyciskam do ziemi. Ale zmierzchnica straciła już wolę walki. Impet naszego zderzenia oderwał ciepłe strzępy skóry i tkanek, gdy potoczyliśmy się razem. Zatrzymuję się na górze, przygniatam zmierzchnicę swoim ciężarem, przytrzymuję ręką czoło, żeby nie dosięgły mnie kłapiące coraz wolniej zęby. Palce zapadają mi się w czaszkę, miękką teraz jak jajecznicę.

A potem zmierzchnica nieruchomieje. Nie pozostał jej żaden mięsień, którym mogłaby poruszyć, wypaliło się też pragnienie krwi i chęć życia. Piers łowczyni unosi się i opada coraz wolniej i słabiej. Dziewczyna wzdycha, przechodzi ją dreszcz. Tylko jej włosy pozostają nietknięte przez słońce. Umiera.

A jednak jeszcze szepcze, mamrocze.

Sissy przysuwa się bliżej, klęka obok mnie. Zmierzchnica topi się, wokół nas zbiera się żółtawa kałuża. Powietrze wypełnia surowy, drażniący odór spalonego ciała.

- Uważaj na kły! - ostrzega Sissy.

- Już dobrze, dobrze, to już koniec.

Zmierzchnica otwiera szeroko usta jak przy ziewaniu, ukazuje rzędy ostrych zębów. Szczęka jej drży, wibruje. Dobywa się z niej ochryply szept.

- Wyy... - szepcze zmierzchnica, próbując ułożyć roztapiające się wargi w słowo.

Sissy i ja spoglądamy na siebie zaskoczeni i przerażeni.

- Wyy... - powtarza zmierzchnica ledwie słyszalnie.

Pochylam się, żeby lepiej słyszeć.

- Nie, Gene, to podstęp...

Odsuwam powstrzymującą mnie dłoń.

- Już dobrze... - szepczę, ale nie do Sissy. - Już dobrze, to koniec.

A potem pochylam się tak, że ucho znajduje się tuż przy ustach umierającej.

Zmierzchnica bierze ostatni oddech, otwiera szeroko oczy. Unosi ramię, a

przynajmniej to, co z niego została Pięć znaków w kształcie X niknie w słońcu.

I wreszcie zmierzchnica wypowiada ostatnie słowo. Pochylam się niżej.

- Wybacz... - szepcze.

A potem zamyka oczy.

Sissy i ja milczymy. Kładę rękę na ciemnych włosach i początkowo z wahaniem głaszczę wciąż mokre kosmyki. Zmierzchnica wydaje ostatnie tchnienie, a potem nie pozostaje po niej nic oprócz włosów.

## Rozdział 38

Pędzimy przez wioskę. Słońce wzeszło i miejscowe dziewczęta wychodzą na uliczki. Sissy i ja porzucamy nadzieję, że nikt nas nie zauważy, i po prostu biegniemy otwarcie główną drogą. Dziewczyny oglądają się za nami, lecz odwracają głowy, gdy je mijamy.

Do chaty wchodzimy jednak cicho i czujnie nasłuchujemy odgłosów ze środka. Jadalnia jest pusta. Omijamy trzeszczące stopnie, gdy wspinamy się po schodach. Drzwi do sypialni są lekko uchylone. Zaglądam ostrożnie. Chłopcy leżą na posłaniu, każdy ma ręce przywiązane do osobnego słupka u wezglowia lub w nogach łóżka. Tylko David mnie zauważa, wytrzeszcza oczy. Przykładam palec do ust. Chłopak mruga gwałtownie, podbródkiem wskazuje w niewidoczny kąt pokoju.

Starszyzna postawiła strażnika.

Dużego, ale co ważniejsze, śpiącego. Pusta butelka po winie leży obok mężczyzny, oparta o nogę krzesła. Usta starszego są otwarte, chrapanie wzbiera mu w gardle, ale jakoś nie może się stamtąd wydostać. Krugman i reszta wyraźnie nie spodziewali się, że chłopcy stawią opór lub nadejdzie ratunek.

Sissy wślizguje się do sypialni za mną. Wyjmuje sztylet i zaczyna przecinać więzy. Chłopcy, wszyscy już rozbudzeni, wiedzą, że lepiej się nie odzywać. Podchodzę do strażnika, butelkę po winie ściskam już w rękę. Jeśli tylko zauważę najdrobniejsze oznaki, że mężczyzna się budzi, uderzę go w głowę.

W chwilę później chłopcy są wolni. Bagaże, które spakowaliśmy wcześniej, leżą przy drzwiach. Zabieramy je i na paluszkach opuszczamy pokój. Zamykamy cicho drzwi, pozostawiając uśpionego starszego w błogiej nieświadomości.

Na zewnątrz pędzimy ścieżką. Mamy przewagę. Na otwartej przestrzeni łatwo nam omijać brzuchate dziewczyny o małych stopach. Nasza ucieczka jest pewna. Mijamy grupy gapiących się miejscowych, przebiegamy przez brukowe uliczki na ubitą drogę. Dziewczyny piorą na pomoście przy strumieniu. Przystają na nasz widok. Jedna z nich odwraca się, robi kilka pośpiesznych kroków w naszym kierunku. To ta piegowata, z którą rozmawiałem. Macha do nas podniesioną ręką, jakby chciała, żebyśmy się zatrzymali. Ale nie mamy czasu. Mijamy je, przecinamy strumień i pędzimy do lasu. Teraz mogłoby nas równie dobrze dzielić setki mil, żadna z praczek nie zdołałaby nas dogonić.

Nie przestajemy biec jeszcze przez dobry kwadrans. Szemrzący strumyk daje nam pretekst, byśmy się zatrzymali. Napelniamy manierki, zadowoleni, że możemy złapać oddech.

Sissy sprawdza głowę Bena, gdzie wcześniej uderzył go starszy. Chłopak ma niedużego guza, ale chyba nic mu nie jest. U Epapa też dostrzegam siniaki i parę zadrapań na twarzy i ramionach. Chłopak wyjaśnia, że udało mu się rozdać parę celnych ciosów, zanim został obezwładniony.

Nagle otula się ciasniej kurtką i zatacza za drzewo. Słysząc tylko torsje, potem suchy kaszel. Epap wraca, oddech ma kwaśny, twarz bladą. Przyklęka przy strumieniu, spryskuje się wodą.

- Lepiej ci? - pyta Sissy.

- Wciąż jestem trochę ospały. To od tej zupy, którą we mnie wmusili. Grozili chłopcom. Powiedzieli, że sprowadzą was, gdy tylko wypiję. - Epap krzywi się, potrząsa głową. - Ale ta zupa sprowadziła tylko senność i omdlenie. Zimna woda pomaga. No i bieg, wypociłem ją. - Wstaje. - Ech, za szybko. Nadal mam zawroty głowy. Dajcie mi chwilę.

Dajemy. Wykorzystuję czas, żeby opowiedzieć chłopakom, czego się dowiedziałem od Clair - o Misji, o ojcu, o konieczności wędrówki na wschód. Kiwiają z powagą głowami, gdy mówię, zerkają czujnie w stronę Misji.

Tylko Jacob jest rozdarty. Powoli podnosi swój plecak, po czym opuszcza go na ziemię.

- Więc teraz naprawdę jesteśmy zdani na siebie.

- Poradzimy sobie, Jacob - zapewnia go Sissy. - Będziemy trzymać się razem i przeżyjemy.

Chłopak kopie kamyk do strumyka.

- Więc mamy po prostu iść wzdłuż rzeki.

- Aż dotrzemy do Krainy Mlekiem i Miodem Płynącej.

- A jak długo potrwa ta podróż? Parę dni? Tygodni? Miesiące? Rok?

- Nie wiem, Jacob.

Policzki trzęsą mu się z emocji.

- O co chodzi, Jacob? - wtrąca Epap.

- Dlaczego nie wyruszymy na zachód? - Jacob spogląda nam w oczy. - Tam jest Cywilizacja. Możemy iść wzdłuż torów. Przynajmniej wiemy, że tam coś jest. Nawet jeśli potrwa to wiele tygodni, przynajmniej wiadomo, że ujrzymy światło w tunelu. Dotrzemy do miejsca, gdzie żyją krowy i kury, znajdziemy tam jedzenie i zapasy. I ludzi. Cywilizację.

- Ale nie tam powinniśmy iść - oponuje. - To nie Kraina Mlekiem i Miodem Płynąca, Pełna Owoców i Słońca.

- Kto tak powiedział? - oburza się Jacob. - Ta dziwna dziewczyna? Może się myli. A

może kłamie. Dlaczego mielibyśmy jej wierzyć?

- Wolisz raczej uwierzyć starszym? Wybacz, ale czy to nie właśnie ci starsi próbowali zabić mnie i Sissy? Czy to nie oni was związali i zamierzali siłą wrzucić do pociągu?

Policzki Jacoba płoną czerwienią, lecz nie z gniewu, ale ze wstydu. Czuję wyrzuty sumienia, że tak na chłopaka naskoczyłem.

- Chcę tylko dotrzeć do Ziemi Obiecanej - mówi, wbiwszy wzrok w ziemię. - Tam, gdzie obiecał nas doprowadzić naukowiec. Tylko tyle.

- I ta ziemia leży na wschodzie, Jacob - mówię ciszej, łagodniejszym tonem. - Zabiorę cię tam. Obiecuję.

Podnosi na mnie oczy wilgotne od łez. Kiwa krótko głową, ale wyczuwam, że to dar, cenny i kruchy, który mi powierzył.

- Dobrze - przerywa Sissy. - Ruszajmy dalej. Chcę dotrzeć do chaty przed nocą.

I znowu biegniemy przez las. W stronę słońca. Na wschód.

Wędrówka jest trudna. Po paru minutach zwalniamy tempo do szybkiego marszu, zwłaszcza ze względu na krótkie nogi Bena i jego młody wiek. Chłopak się stara, pod zimową czapką włosy kleją mu się do skóry od potu, policzki czerwienieją z wysiłku. Stopniowo runo leśne ustępuje dywanowi z sosnowych igieł, a kiedy pozostawiamy za sobą drzewa, podeszwy butów uderzają w nagą skałę. Granitowy, poszarpany pejzaż ciągnie się na wiele mil niezakłócony ani jednym cieniem, wszystko skąpane jest w oślepiającym słońcu.

Robimy kolejny postój na krawędzi stromego zbocza. Zwisa z niego ta sama drabina z metalowych lin, po której wiele dni temu wspinaliśmy się na ten szczyt. Na widok stromizny zamiera serce, a zejście zapowiada się na trudne i wyczerpujące, dlatego Sissy chce mieć pewność, że odpocznimy, zanim ruszymy w dół. Siadamy na twardym podłożu, wyciągamy nogi, opieramy plecy o bagaże. Ostry wiatr śwista nad turniami i gwizdże w rozpadlinach.

Dziewczyna przeszukuje plecak, wyciąga lornetkę. Z miejsca, gdzie siedzimy, mamy niemal panoramiczny widok. Sissy ogląda okolicę, która została za nami. Ziemia rozciąga się tam jak pled. Po lewej w słońcu migocze cienka nić rzeki Nede. Sissy kieruje lornetkę na wschód. Może ma nadzieję zobaczyć coś na horyzoncie, znak, który potwierdziłby istnienie Ziemi Obiecanej. Dziewczyna jednak nic nie mówi.

- Mogę spojrzeć? - pyta Epap.

Sissy ignoruje prośbę, przesuwając lornetkę bardziej w lewo.

- Jak daleko jeszcze? - odzywa się Ben.

- Wydaje mi się, że jesteśmy w połowie drogi - odpowiada mu Epap. - Jeszcze najwyżej cztery godziny i dotrzemy do chaty. Hej, Sissy, daj mi lornetkę, dobrze?



Ale dziewczyna jakby go nie słyszała. Jest całkowicie pochłonięta obserwacją, palcem wskazującym przesuwając kółko regulacji ostrości raz w przód, raz w tył, coraz krótszymi posunięciami. Czoło Sissy przecina głęboka zmarszczka. Dziewczyna nagle sztywnieje.

- Wszystko w porządku? - pytam.

Dziewczyna otwiera usta szeroko, opuszcza lornetkę i patrzy w dal. Na jej twarzy maluje się niepokój i niedowierzanie.

Wstaje. Podnosimy się również. Sądzę, że Sissy dostrzegła grupę starszych schodzących z gór. Ale lornetka była skierowana nie na turnie, lecz w dół, na doliny pod nami.

- Nie wierzę - odzywa się w końcu Sissy. Wiatr porywa jej słowa, rozdziera je w przerażony szept.

Epap wyjmując dziewczynie lornetkę z rąk. Początkowo nic nie dostrzega. Ale potem unosi brwi, cofa się, niemal upuszcza lornetkę.

- Co to jest? - pyta David. On również wpatruje się w dół.

Epap potrząsa głową, jakby chciał oczyścić umysł.

- Nie wiem... To niemożliwe.

- Co to jest?

- To na pewno złudzenie, wyobraźnia płata mi figle, bo to...

- Łódzie - dopowiada Sissy. - Płyną z nurtem rzeki.

Wyrywam Epapowi lornetkę. Parę sekund zajmuje mi znalezienie rzeki, ale nawet wtedy widzę tylko fale migoczące odbitymi promieniami oślepiającego słońca. To mnie początkowo dezorientuje. Zaczynam nawet podejrzewać, że Sissy i Epapowi coś się przywidziało.

Ale wtedy widzę.

Owalny statek, przypominający kształtem kopułę. Światło lśni na metalowych, chromowanych płytach kadłuba. Łódź kręci się i kołysze pchana szybkim nurtem, jakby skazana tylko na miłosierdzie rzeki. Cienkie liny zwisają na burtach jak odnóża wielkiego owada. Na końcu każdej coś przywiązano. Reguluję powiększenie, żeby się przyjrzeć dokładniej.

Te obłe kształty to utopione konie, bezwładne i pozbawione życia. Kołyszą się na linach jak wisielcy na szubienicach. Wcześniej te zwierzęta zapewne utrzymywały statek na kursie za dnia, gdy zmierzchnicy kryli się pod nieprzezroczystą kopułą. Po trzy konie na każdym brzegu, przywiązane do statku i ciągnące go po rzece. Kiedy nurt stał się silniejszy, konie zostały zmuszone do kłusa, potem do galopu, a gdy opadły z sił, wciągnęła je rzeka.

- Co to jest? - słyszę głos Bena. Wydaje się, jakby dochodził z odległości tysiąca mil.

Przesuwam lornetkę dalej po rzece. Na falach kołysze się więcej łodzi osłoniętych kopolami, wszystkie ciągną zwłoki koni na końcach lin.

- Widzisz zmierzchnika? - pyta Ben histerycznie piskliwym tonem.

Poprawiam ostrość, palec na kółku mi drży. Coraz więcej łodzi pojawia się na rzece, cała flota dryfująca wśród fal. Prąd znosi je do górskiej jaskini. Do nas.

Opuszczam lornetkę.

Ben wbija we mnie wzrok.

- To zmierzchnicy, tak? Grupa łowców... - głos mu się zacina.

Potrząsam głową.

- To nie grupa. To cała armia łowców.

Sissy pochyla się, opiera się dłońmi na udach jak uderzona w brzuch.

- Pamiętasz ten atak na rzece, gdy użyli haków? Powiedziałam, że robią się coraz sprytniejsi. - Kręci głową. - Nie miałam pojęcia, jak bardzo.

- Jak to w ogóle możliwe? Jak udało się im zbudować te łodzie tak szybko? - Epap spogląda na mnie, jakbym znał odpowiedź.

- Może... Nie wiem.

- Flota tylu łodzi... nie buduje się ich w parę dni - podejmuje Epap z niedowierzaniem.

- To trwa miesiące, lata. Jako jedyny żyłeś wśród zmierzchników. Nie słyszałeś o konstruowaniu łodzi i zbieraniu floty?

- Nie, nic.

- Skupmy się na tym, co wiemy - przerywa Sissy. Głos ma stanowczy i spokojny. - Wiemy, że zmierzchnicy za parę godzin dopłyną do jaskini. Wodospad zabije wielu z nich, jak sądzę, ale większość przeżyje. A w jaskini jest ciemno i ci, co przeżyją, przyczają się tam do zmroku.

- A potem co? - pyta Ben.

- A potem przyjdą po nas - odpowiada David. Wydaje się taki mały, kuli drżące ramiona.

- Nie - zaprzeczam. - Nie przyjdą.

Wszystkie oczy kierują się na mnie.

- Weźcie pod uwagę wiatr. Wieje z zachodu na wschód.

- To znaczy?

- To znaczy, że łowcy najpierw wyczują Misję. Tak długo, jak będziemy szli na wschód, znajdziemy się z wiatrem. Społeczność Misji to setki ludzi. Nas jest tylko sześcioro.

Misja stanowić będzie wulkaniczną erupcję zapachów, my tylko słaby ślad. Jeżeli szybko oddalimy się od wioski i będziemy poruszać się z wiatrem, nic nam nie grozi. Pobiegniemy. Przeżyjemy. Dotrzemy do Ziemi Obiecanej.

- Łowcy ruszą za nami.

Kręcę głową.

- Będą tak zajęci pożeraniem ludzi w Misji i tak oszołomieni ludzkimi zapachami wokół, że nie wyczują naszego śladu dochodzącego z odległości wielu mil. - Spoglądam na rzekę. Nawet bez lornetki można dostrzec czarne przecinki łodzi. - Ale musimy ruszać. To jedyny moment, kiedy możemy uciec, innej okazji nie będzie. I musimy się śpieszyć.

Chwytam plecak, zarzucam na ramiona. Ruszam pierwszy do metalowej drabiny, chłopcy drepczą mi po piętach. Epap zgłasza się na ochotnika, żeby schodzić jako pierwszy, bierze też plecak Bena.

- Nie patrzcie w dół - pouczam pozostałych chłopców. - Patrzcie tylko na szczeble przed sobą. Powoli i spokojnie, dobrze?

Epap chwyta się łańcucha i stawia nogę na pierwszym stopniu, ale wtedy się zatrzymuje.

- Sissy? - rzuca.

Dziewczyna nie poszła z resztą. Nadal stoi w tym samym miejscu, wyraz jej twarzy zdradza wewnętrzny konflikt.

- No dalej, Sissy - wołam. - Musimy się śpieszyć!

Wtedy się uspokaja, zmarszczki się wygładzają.

Wewnętrzna bitwa się zakończyła, Sissy podjęła decyzję. Spogląda na mnie ze spokojną stanowczością, choć oczy ma wilgotne.

- Hej! - krzyczę. - Chodźmy!

- To nie takie proste - odpowiada Sissy.

- Co nie jest proste?

- Ucieczka.

- Co?

- Musimy wrócić.

- Do Misji? Straciłaś rozum?

- Powinniśmy ostrzec mieszkańców wioski o łodziach zmierzchników.

Podchodzę do dziewczyny.

- Jeżeli wrócimy, zginiemy. Jeżeli odejdziemy teraz, przeżyjemy - mówię stanowczo. - To jest proste. Jeżeli wyruszymy teraz, dotrzemy do Ziemi Obiecanej. Znowu zobaczymy

mojego ojca. Nic prostszego.

- Wracam do Misji.

Patrzę na nią uważnie.

- Po co? Mieszkańcy wioski już i tak są martwi. Nawet jeżeli ich ostrzeżemy, jak daleko zdołają uciec na tych małych stopach?

- Nie mogę tego zrobić, Gene. Nie potrafię zostawić ich tak po prostu na pożarcie.

Odwracam się do Epapa.

- Przemów jej do rozsądku, dobrze?

Ale Epap tylko patrzy na Sissy z wahaniem i niepewnością.

- O nie, i ty też, Epap?

Sissy spogląda na rzekę.

- Naukowiec powtarzał nam, żebyśmy nigdy nie zostawiali swoich. Jeżeli tak po prostu odejdziemy, wiedząc, co się dzieje, zdradzimy wszystko, czego nas uczył.

Z gniewem wskazuję palcem na wschód.

- Naukowiec chce, żebyśmy ruszyli na wschód. Naukowiec chce, żebyśmy poszli do Krainy Mlekiem i Miodem Płynącej, Pełnej Owoców i Słońca. Naukowiec tam na nas czeka. Idziemy na wschód. Tego właśnie chce naukowiec! Więc nie mów mi, czego twoim zdaniem chce naukowiec!

Głos dziewczyny brzmi cicho i spokojnie w porównaniu z moim oskarżycielskim tonem.

- Jeżeli odejdziemy, będziemy mieli ich krew na rękach. Krew dziewcząt z wioski, dzieci. Setek ludzi. Nie będę mogła z tym żyć.

- Och, przestań, Sissy. Sami to na siebie sprowadzili.

- Nie! - dziewczyna podnosi głos. - My to na nich sprowadziliśmy. Nie rozumiesz? - Spogląda mi w oczy. - To przez nas są teraz w niebezpieczeństwie. Gdybyśmy nie przyszli do Misji, łodzie nigdy nie popłynęłyby tak daleko. Gdyby nie my, zmierzchnicy nie odkryliby Misji.

Wiatr śwista nad granitowymi kopułami i zarzuca długie pasma włosów Sissy na jej twarz. Dziewczyna ich nie odgarnia.

- Wracam do Misji - oznajmia. - Wiem, że tylko tyle mogę zrobić. Powiem ludziom z wioski o zmierzchnikach. Przekonam ich, żeby wszyscy wsiedli do pociągu i natychmiast odjechali. Nie zostanie im dużo czasu, ale jakoś sobie poradzimy.

- Oszalałaś? Sissy, nie wiemy, dokąd jedzie pociąg! Właśnie dlatego opuściliśmy Misję.

-I właśnie dlatego wrócimy. Ponieważ nie wiemy. Pociąg może okazać się wybawieniem. Za to jeżeli mieszkańcy Misji nie wsiądą do pociągu, ich śmierć będzie pewna - w głosie Sissy brzmi stanowczość. - Ich życie było wystarczająco ciężkie. Nie zostawię ich na pożarcie zmierzchnikom, jeżeli tylko mogę temu zapobiec. Nie będę mogła żyć ze świadomością, że ich porzuciłam na pastwę łowców.

Posyłam jej wściekle spojrzenie.

- Sissy, nie rób tego.

Ignoruje moje słowa, odwraca się do pozostałych chłopaków.

- Pójdziecie z Gene'em. Pomożecie mu znaleźć naukowca. Nie martwcie się, nic mi się nie stanie.

- Nie. - Epap mruga szybko, twarz ma bladą. Podchodzi do dziewczyny. - Jestem z tobą, Sissy, to, co chcesz zrobić, jest słuszne.

- Ja też idę z tobą. - David ociera z oczu łzy. - Wracajmy do Misji.

-I ja też - przyłącza się Jacob, a choć głos mu się rwie, lekki odważny uśmiech błąka mu się na wargach. - Też idę z tobą.

A potem Ben pędzi do Sissy, obejmuje ją mocno w pasie. Dziewczyna mierzwi mu grzywkę wystającą spod czapki. Wreszcie patrzy na mnie.

Odwracam wzrok. Wiatr, choć wcale nie dmucha mocniej niż wcześniej, przenika przeze mnie, jakbym był pusty, jakby wszystko, co materialne, zostało ze mnie wysane. Kopię kamień za krawędź stromizny.

- Tego właśnie chcecie? - rzucam. - Stać się znowu zwierzyną łowną? Chcecie przez całe życie być zdobyczą, na którą polują łowcy? Urodziliście się jako ofiary, więc chcecie umrzeć jak ofiary?

Spoglądam na nich po kolei.

- To nasza szansa, żeby być kimś więcej niż zdobyczą. To szansa, żeby od tego wszystkiego uciec. Ale wy wolicie do tego wrócić niczym zwierzęta, które po ucieczce wracają prosto do klatki.

Nikt nie odpowiada. W oddali na rzece widać coraz więcej kropek w coraz gęściejszych skupiskach.

- Możemy być wolni! - głos mi się załamuje. Wyciągam ramiona w stronę horyzontu na wschodzie. - Właśnie tam powinniśmy iść. Na wschód. Tam, gdzie jest mój ojciec.

Ogarnia mnie nagle zawrót głowy, podłoże pod stopami wydaje się niematerialne. Pochylam się i czekam, aż świat przestanie wirować.

- Nie róbcie tego, chłopaki - mówię, ale słowa porwane przez wiatr tracą swoją moc,

zmieniają się w ledwie słyszalny szept. - Nie zostawiajcie mnie samego.

Przez chwilę milczą. Stoją w absolutnym bezruchu. Tylko włosy targa im wiatr. A potem David podchodzi do mnie, a chociaż to tylko krok, wydaje się, jakby pokonywał wielki dystans między nami.

- Chodź z nami, Gene - mówi spokojnie. - Proszę?

I na to ostatnie słowo coś we mnie pęka.

Odwracam głowę, patrzę na wschód. Szeroka przestrzeń pusta i jałowa po widnokrąg.

- Gene - tym razem odzywa się Jacob - chodź z nami. Jesteś jednym z nas, naprawdę tak czuję. Doskonale do nas pasujesz. Jesteśmy rodziną. Nie pozwolimy ci odejść!

Nikt mnie jeszcze nie błagał o nic ani nie prosił. Przez chwilę nie potrafię wykrztusić słowa, czuję tylko rozlewające się wewnątrz ciepło tam, gdzie wcześniej była tylko pustka. Znowu przyglądam się twarzom chłopaków. Ben patrzy na mnie z nadzieją i oczekiwaniem. Dostrzega w wyrazie mojej twarzy decyzję, której podjęcia ledwie jestem świadom, po czym wyszczerza się w szerokim uśmiechu. Szarpie Sissy za rękę.

- Idzie z nami! Gene idzie z nami!

Epap kiwa mi głową, jego spojrzenie jest pełne ciepła.

- Powinniśmy ruszać - stwierdza. - Czeka nas długa droga do Misji. Poprowadź, Gene, ja pójdę na końcu, dobrze?

Widzę siebie jakby z dystansu, gdy dołączam do grupy. Niemal czuję, jak klepią mnie po plecach, radość rozjaśnia im twarze, a mnie wracają siły, gdy kieruję się z powrotem do wioski.

Ale wcale się nie ruszyłem. Nogi wrosły mi w ziemię. Raz jeszcze spoglądam na wschód. Mam wrażenie, jakby tysiące dłoni próbowało mnie przeciągnąć w przeciwnie strony.

- Pójdę za Gene'em! - Jacob podnosi swój plecak. A jednak nadal stoję nieruchomo.

Wtedy odzywa się Sissy, która milczała tak długo. W przeciwieństwie jednak do chłopaków w jej głosie nie słychać podniecenia.

- Gene - wypowiada cicho tylko to słowo, tylko moje imię. W jej głosie brzmi niewyobrażalny smutek, a to mnie przygniata. A potem Sissy spogląda mi w oczy i potrząsa głową. W tym małym ruchu skrywa się tysiąc niewypowiedzianych słów, oboje wiemy i rozumiemy się wzajemnie bez nich.

Chłopcy patrzą na dziewczynę pytająco, na ich twarzach maluje się nieskrywany niepokój.

- Sissy? - pyta Ben. - O co chodzi...

- Gene nie pójdzie z nami - oznajmia Sissy, patrząc tylko na mnie.

- Co? Co to znaczy, że nie pójdzie?

- Jego przeznaczeniem jest wschód - odpowiada dziewczyna ze spokojem. - To droga, którą przeznaczył mu naukowiec.

- Nie - głos Davida drży z emocji. - On jest jednym z nas, więc zostanie z nami...

- On jest Początkiem - wyjaśnia Sissy. - Jego przeznaczenie jest inne niż nasze.

- Ale, Sissy - wtrąca Ben. - On chce iść z nami i...

- Nie pozwólcie Gene'owi zginąć - cytuje Sissy. - Gene jest Początkiem. Jest lekarstwem. Musi pozostać przy życiu. Musi iść na wschód. Nie ma nic ważniejszego.

Chłopcy błędną. Ale ich otwarte szeroko oczy i drżące wargi zdradzają niechcianą świadomość, że dziewczyna ma rację.

- Gene musi odnaleźć naukowca - tłumaczy Sissy z wymuszonym spokojem. - Właśnie do tego został przeznaczony i tego pragnie naukowiec. Nie możemy pozwolić, aby nasze uczucia w tym przeszkodziły.

Przy ostatnich słowach twarz jej twardnieje. Dziewczyna zerka na mnie i po raz pierwszy jej głos załamuje się pod wpływem sprzecznych myśli i pragnień oraz niepokoju.

- W głębi duszy Gene też tego pragnie.

Chłopcy wbijają we mnie wzrok. A Ben dostrzega w wyrazie mojej twarzy inne uczucia, które sprawiają, że chłopakowi znowu zaczyna trząść się podbródek, a oczy napelniają się łzami.

- Gene? - jego pytanie zawisa między nami na wietrze.

Sissy podchodzi do mnie z napięciem.

- Gene pragnie swojego ojca. I nic innego, ani nikt, nie liczy się bardziej. Nie możemy mu tego zabronić. Musimy pozwolić mu odejść.

Stoi teraz naprzeciw mnie, tak blisko, że dostrzegam pęknięcia w jej masce opanowania, cieniutkie zmarszczki cierpienia.

- Pójdiesz za nim choćby na koniec świata, prawda, Gene?.

Za jej plecami chłopcy patrzą na mnie uważnie. Niebo jest przejrzyste błękitne, nad horyzontem nie pojawia się najmniejsza chmura. Ben zaczyna szlochać, a Epa obejmuje go krzepiąco ramieniem.

- Nie zostawię was - mówię twardo.

- Musisz - odpowiada Sissy spokojnie. - Nie pozwolę ci zostać.

- Mam dość opuszczania...

Dziewczyna kładzie mi palec na ustach, zmusza do milczenia.

Słońce, które odbija się od granitowych skał, niknie w głębi jej źrenic i rozświetla

tęczówki. Pamiętam, gdy po raz pierwszy zobaczyłem te brązowe oczy - na monitorze szkolnego komputera. Wtedy, gdy wyciągnęła numer w loterii do Wielkich Łowów. Tyle dni temu, a jednak wciąż pamiętam to spojrzenie, pomimo że było tylko zdigitalizowanym obrazem, zbiorem pikseli na ekranie. Te oczy kryły w sobie zarówno siłę, jak i łagodność.

I taki sam jest jej dotyk, gdy dziewczyna kładzie mi dłoń na policzku. Siła i łagodność.

- Gene - szepcze i wreszcie głos Sissy zdradza jej uczucia. Dziewczyna przełyka z trudem ślinę. - Idź.

Na chwilę z jej spojrzenia znika stanowczość, pojawia się wahanie. Dziewczyna milczy, jakby chciała dać mi szansę na protest. Lecz ja także nic nie mówię. Sissy zamyka oczy i odwraca się do chłopców.

Nie poruszam się. Nie od razu. A potem powoli, jakby trwało to wieczność, staję na drabinie. Nic nie wydaje się rzeczywiste, ani granit pode mną, ani moje ciało. Mam wrażenie, że wiatr mógłby mnie rozwiać - ciało i kości porwane w nicość. Stawiam stopę na pierwszym szczeblu.

- Gene! - krzyczy David. - Zobaczymy się znowu. Pewnego dnia, dobrze?

Kiwam głową. David uśmiecha się i czuję, że moje wargi równie naturalnie rozciągają się w półuśmiechu. Nie wiedziałem, że można uśmiechać się ze smutku. A potem robię coś jeszcze, przed czym ojciec zawsze mnie przestrzegał - unoszę rękę i macham powoli. Chłopcy machają w odpowiedzi, wszyscy, ze łzami w oczach.

Jakby ściągany ciężarem, jaki spoczął mi w piersi, schodzę na następny szczebel i kolejny. Widok Sissy i chłopców znika, przed oczyma mam tylko granitową ścianę i metalową drabinę. Stopy odruchowo odnajdują kolejne szczeble, schodzę coraz niżej i niżej.

I oto jestem znowu sam na świecie.



## Rozdział 39

Wędruję szybko, choć z trudem. To najlepszy sposób, żeby utrzymać wysoki puls serca i głęboki oddech, żeby myśleć o tym, co przede mną, nie o tym, co zostawiłem. Jestem tylko kropeczką przesuwającą się po ogromnej, zapomnianej ziemi, wyjąłowanej ze wspomnień, zastygłej w stanie, który nigdy się nie zmienia.

Kiedy słońce zniża się nad horyzontem, podeszwy moich butów natrafiają już nie na granit, lecz na miękkie poszycie lasu. Tutaj jest zimniej i ciemniej, jakby mrok zapadł o wiele wcześniej. Utrzymuję szybkie tempo, chcę pokonać jak największy dystans.

Ale gęsto rosnące drzewa i ich podobieństwo dezorientują, gubię kierunek. Spoglądam w górę, lecz zbite korony sekwoi ukazują zaledwie poszarpany skrawek nieba i przesłaniają pozycję słońca. Nie wiem nawet, gdzie jest wschód. Odcień na niebie też zaczyna mnie martwić, już nie błękitny, lecz czerwony - zwiastun zmierzchu.

Dzień dobiega końca.

Jestem chłopakiem z miasta, nieprzywykłym do poruszania się po dziczy. Ruszam, lecz ogarnia mnie panika. Dziesięć minut później muszę przyjąć do wiadomości to, o czym wolałem nie myśleć jeszcze godzinę temu. Zabłądziłem, moje wewnętrzne poczucie kierunku padło. Nie wiem, czy idę w dobrą stronę i czy oddalam się od Misji. Straciłem cenny czas.

Z niepokojem dostrzegam pierwsze gwiazdy. Noc zapada nad światem. W dole, w górskiej jaskini, setki zmierzchników czekają na nadejście ciemności. Na samą myśl robię się nerwowy. Wkrótce zmierzchnicy zaczną wspinać się po ścianach pieczary, czepiając się pnączy i innych roślin, po czym wydostaną się przez otwór, przez który padało za dnia światło słońca. Wyleją się tamtędy niezliczoną chmarą i przesłonią zbocza jak rosnąca plama czarnego oleju. Pognają do Misji.

Mam nadzieję, że Sissy i chłopcy dotarli do wioski bezpiecznie. Mam nadzieję, że zdołają przekonać dziewczęta, żeby wsiadły do pociągu, i zdążą odjechać przed przybyciem zmierzchników. Kiedy idę, czuję rosnący w piersi ciężar. Opuściłem ich. Zdradziłem ich tak samo jak Ashley June. Przyspieszam kroku w przekonaniu, że zmęczenie uwolni mnie od tych myśli.

Pół godziny później opieram się o pień, z trudem nabieram tchu, wypatruję oczy w ciemności lasu. Powinienem być już po drugiej stronie góry, wiele mil stąd, z daleka od łowców i z wiatrem, a nie błądzić w mroku i ciszy wśród drzew. Wiele dni temu, gdy prowadziła nas Clair, las tętnił życiem, lecz teraz panuje tutaj niepokojąca cisza. Jakby

zwierzęta wyczuły zbliżanie się zmierzchników i czym prędzej uciekły.

Kiedy mój urywany oddech nieco się uspokaja, wychwytyuję cichy szmer strumienia. Wlokę się tam, nie z pragnienia lub potrzeby, by znaleźć wodę - przypominam sobie, że strumyk płynie niedaleko drewnianej chaty. Może to właśnie ten.

To bulgocząca, bystra struga. Przykucam, spryskuję wodą twarz. Zimne krople wyrrywają mnie z odrętwienia zmęczeniem i przywracają czujność.

W głowie rodzi mi się pomysł. Pomysł, jak się wydostać. Nie jest doskonały, wręcz przeciwnie. Jednak kiedy wokół robi się coraz zimniej i chłód pełza mi po karku, uświadamiam sobie, że to jedyny skuteczny sposób ucieczki. Poprawiam plecak, ściągam mocniej paski, po czym ruszam szybko wzdłuż rzeczki. Wyglądam chaty.

W chacie wisi bowiem lotnia mojego ojca.

Niemal mijam chatę. Uratowało mnie wycie jakiegoś zwierzęcia. Niesie się w nocne niebo, niepokojąco blisko. Zatrzymuje mnie. I wtedy dostrzegam. Nie dom, przynajmniej nie od razu, lecz polanę. Przecinam ją biegiem, wpadam na ganek.

Kiedy naciskam klamkę, chór kolejnych krzyków unosi się w niebo, przenikliwe pragnienie wyrażone połączonym głosem. Cienkie pasma chmur zabarwionych na czerwono przez zachodzące słońce przypominają głębokie, krwawe skaleczenia. Rozglądam się po otaczających polanę drzewach. Żadnego ruchu. Na wschód ode mnie polana urywa się stromym klifem. Wiatr dmie nad opadającym zboczem. Właśnie tam ojciec odlatywał na lotni.

W chacie jest ciemno. Wyciągam z bagażu błyskacz i przełamuję go. Lotnia wisi tam, gdzie pamiętam, na ścianie w sypialni. Teraz, kiedy wiem, że muszę na niej polecieć, wydaje się cieńsza i zarazem bardziej niezdarna. Oglądam ją dokładnie, zastanawiając się, jak posłużyć się tą płataniną rozpór i linek. Nic z tego nie ma dla mnie sensu. Musi być coś jeszcze. I wtedy sobie przypominam. Otwieram skrzynię z ubraniami, wydaję dziwną kamizelkę, która zwróciła moją uwagę już za pierwszym razem. Rozpinam zamek, starając się rozszyfrować przeznaczenie metalowych haczyków, karabińczyków i zapięć, jakie z niej wystają. Zakładam kamizelkę, wsuwam nogi w uprząż. Teraz lotnia staje się bardziej sensowna - haki trzeba połączyć z odpowiednimi hakami, karabińczyki z innymi w tym samym kolorze.

Wrzask na zewnątrz wprawia szyby w drzenie.

Za oknem panuje mrok, niebo spowija czerń.

Jakby na oficjalne powitanie nocy wrzask niesie się po górach. Głośniejszy, drapiący w okno jak paznokcie po tafli lodu. Słyszę także trzaski przypominające te przy łamaniu

patyków - nie od razu rozpoznaję, że to odgłosy zwalanych drzew, pni rozdrapanych na drzazgi przez hordeę zmierzchników. Zapachy heperów docierające do gór doprowadzają łowców do szaleństwa.

Odkładam lotnię na łóżko i wybiegam przed dom. Z ganku dostrzegam oznaki zbliżania się tabunu. Wysokie drzewa w oddali kołyszą się mocno.

Nadchodzą. Nadchodzą. Przez przypadek lub wyrokiem losu chata znajduje się na ich drodze.

Wracam do środka. Zastanawiam się, czy nie zamknąć okiennic i nie zabarykadować się w chacie. Ale odrzucam ten pomysł od razu - chata nie oprze się naporowi zmierzchników, ma takie same szanse jak papier w ogniu. Łowcy w kilka sekund rozniosą dom w drzazgi.

Podnoszę lotnię, wychodzę korytarzem do frontowych drzwi. Zimny wiatr dmie wokół szaleńczo, w oddali wycie odbija się echem wśród turni.

Teraz albo nigdy, gotów czy nie. Wybieram teraz i mam nadzieję, że jestem gotów.

Wpinam hak w jego odpowiednik pod skrzydłem lotni. Ruszam do klifu, po drodze zapinając karabińczyki, przeciągam paski przez pętle, wszystko na domysł, bez żadnej pewności w tym, co robię. Mogę tylko liczyć, że trafiam tam, gdzie należy.

Ziemia pode mną zaczyna drżeć.

Wrzaski niosą się z lasu z tyłu i obok mnie. Ton jest inny, gwałtowniejszy, przesycony przyjemnym zaskoczeniem z niespodziewanego odkrycia.

Rzucam się do biegu. Nieprzyięte karabińczyki objają mi się o ciało niczym natrętne dzieciaki - jakby nalegały: napraw mnie, napraw - ale nie ma już na to czasu. Uszy przeszywa mi kolejny krzyk zmierzchników, mam wrażenie, że fizycznie kaleczy mnie w kark i po piętach, jakby wyciągały się do mnie zakrzywione szpony. Unoszę metalową poprzeczkę lotni nad głowę, upewniam się, że nic mi nie przeszkodzi, i przyśpieszam. Gdybym się potknął, byłby to fatalny błąd.

Otacza mnie ciemność.

Nie oglądaj się. Nie patrz na boki. Patrz na krawędź urwiska. Pędź do niej, pędź, pędź.

I oto widzę ją, krawędź klifu, granicę, za którą zaczyna się otchłań bez dna. Nie wiem, co powinienem teraz zrobić, ale już za późno, żeby się wycofać. Ziemia wibruje, powietrze przecinają okrzyki żądz z tysiąca gardeł, a ja rzucam się w przepaść nieprzeniknionej czerni.

I właśnie wtedy słyszę jedno słowo, które wzbija się nad wycie. Gene!

Nogi bezradnie kopią powietrze, gdy zbocze klifu zostaje z tyłu. Nie ma wiatru. Lotnia spada jak ranny ptak, histerycznie trzepoczący skrzydłami. W brzuchu czuję ciężar

narastającej paniki.

Straszny podmuch pojawia się znikąd. Lotnia rozkłada się na wiatr ze słyszalnym trzaskiem. Nocne powietrze - niedawno tak puste - nagle nabiera solidności, zmienia się w niemal namacalny kobierzec, który unosi mnie w niebo.

Z duszą na ramieniu zaciskam palce na poprzeczce tak, że bieleją mi kłykcie, i dopiero wtedy spoglądam w dół. Zmierchnicy tłoczą się i spadają z klifu w otchłań. Lotnia się chwieje. Skupiam wzrok na poprzeczce i na bieżącym zadaniu. Przechylam ciało raz tak, raz tak, sprawdzając ostrożnie mechanikę lotu. Zwykle szybko się uczę, więc wkrótce udaje mi się wyczuć, na czym polega sterowanie lotnią. Trzeba wykonywać ruchy powoli i łagodnie, bez gwałtownych szarpnięć i manewrów. Nie jest to takie trudne, gdy opanuje się początkowy strach.

Właściwie latanie zapiera dech w piersiach. Szybowanie w otwartych przestworzach, gdy zaskakująco łagodny, orzeźwiający wiatr muska mi twarz. Daleko w dole wprost ze zbocza tryska gigantyczny wodospad, rzeka Nede wypływa z górskiej rozpadliny. Tafla lśni jak smuga magnezji, drogowskaz skierowany na wschód. Na Ziemi Obiecaną. Na mojego ojca. Jeżeli ten wiatr na wschód się utrzyma, dotrę tam bardzo szybko.

Rzucam ostatnie spojrzenie na górę. Księżycowa poświata pada na turnie, dostrzegam rzesze srebrzystych i czarnych punktów rozciągających się jak peleryna. Falami zmierchnicy wylewają się w górskie rozpadliny. Niedługo dotrą do Misji.

Próbowałem o nich nie wspominać, ale odruchowo wracam myślami do Sissy i chłopców. Zapewne już dotarli do wioski. Na chwilę ogarnia mnie poczucie pustki większej niż bezkres nieba.

Spoglądam martwo naprzód. Gdzieś tam, gdzie mój wzrok nie sięga, jest mój ojciec.

Zastanawiam się, ile dziewcząt przekonała Sissy, aby wsiadły do pociągu.

Ojciec będzie opalony, jak mi się zdaje, ponieważ już nie musi unikać słońca. I może pełniejszy w pasie od jedzenia i picia dostępnego w Ziemi Obiecaniej.

Ciekawe, czy Sissy i chłopcy już wsiedli do pociągu. I czy dziewczyny z wioski tłoczą się z nimi, gdy zaczyna pracować silnik lokomotywy.

Ojciec pewnie zapuścił brodę albo wąsy, a może nosi tylko kilkuniedniowy zarost. Na ramionach rosną mu włosy, na nogach też. Podkowy pod oczami zmniejszą się albo znikną dzięki miesiącom lub latom regularnego snu. Będzie wyglądał inaczej, ten mój ojciec, ale wolny od masek, które nosił przez całe życie, ukaże swoją prawdziwą twarz bez skrępowania.

Ciekawe, czy Sissy i chłopcom się uda. Chyba wiedzą, że muszą wyruszyć natychmiast? Czy zdają sobie sprawę z liczebności zmierchników, którzy nadciągają do

Misji?

Po raz pierwszy w życiu zobaczę, jak mój ojciec się uśmiecha. Ujrzę jego najczystsze emocje, które kiedyś nauczył się tłumić. Zobaczę, jak rozchyła wargi, odsłania białe zęby z wyćwiczoną już naturalnością, a oczy mu rozblyszają. Ojciec nie uniesie rąk, żeby udawać radość przez drapanie się w nadgarstek. I właśnie to zrobi na mój widok - uśmiechnie się. Uśmiechnie się, stojąc w słońcu, i nie będzie miał poczucia, że powinien ukryć się w cieniu.

Ciekawe, czy Ben jest bardzo zmęczony po całodziennej wędrówce. Czy David wie, że przydadzą się wszystkim rękawiczki i szaliki, bo wiatr świszczący przez pręty wagonów będzie ostry i przenikliwy. Zastanawiam się, czy rana na przedramieniu Sissy goi się dobrze, czy organizm pokonał zakażenie w wypalonym piętnie. Ciekawe, czy pozostali myślą o mnie jak ja o nich. I czy Sissy nie wolałaby być ze mną. Bo ja chciałbym być z nią.

Gwiazdy migoczą wokół mnie, wydają się na wyciągnięcie ręki. Mógłbym sięgnąć po nie i zrzucić z nieba - szybowałoby i spadały jak płatki śniegu.

Spoglądam na wschód. W wyobraźni widzę ojca, który stoi w blasku słońca, ale rozmywa się i znika jak złuda. Widzę, jak rozpływa się, blaknie jak każdy sen z nieuchronnym nadejściem poranka.

Mocniej zaciskam dłonie na poprzeczce. A potem przechylam nogi w bok i skręcam ciało. Gwiazdy się przesuwają, księżyc kołysze się jak balon na sznurku, gdy zawracam lotnię. Srebrzysta rzeka również obraca się pode mną.

A potem widzę przed sobą zbocze góry i szczyt przechylony jakby w zaskoczeniu lub zmieszaniu.

Lecę na zachód.

Z powrotem do Misji.

## Rozdział 40

Misja skrywa się między dwoma zboczami gór i nie znajduję jej przy pierwszym okrążeniu, most - jego dwie uniesione połowy - okazuje się doskonałym punktem orientacyjnym. Okrażam go, dostrzegam parę iskier migoczących wśród rozpadlin. Podlatuję bliżej. Misja wynurza się z ciemności, widać poświatę z okien domów. Zaskakuje mnie, jak mała wydaje się wioska z lotu ptaka.

Moje lądowanie, jak już wywnioskowałem ze smutną rezygnacją i odrobiną strachu, będzie paskudne, zapewne też bolesne i może fatalne w skutkach, jeżeli nie dopisze mi szczęście początkującego. Miałem sporo czasu, żeby to przemyśleć - lot powrotny trwał około kwadransa - i uznałem, że najlepiej będzie przyziemić na zamrzniętym jeziorze za Misją. Jednak to, co wydawało się niezłym i pomysłem, jest wyjątkowo trudne do wykonania. Z wysokości jezioro przypomina niewielką monetę - śmiesznie mały pas do lądowania, na dodatek otoczony granitowymi rozpadlinami i gęstym iglastym lasem, w którym korony drzew kształtem przypominają szpikulce.

Lądowanie na lodzie jest jak uderzenie w kamień. Podłoże nie ustępuje i nie hamuje mnie jak woda. Nogi, a potem reszta ciała ślizgają się po nierównej powierzchni. Nieoczekiwanie lotnia spada w zimną głębię, a mój świat przewraca się do góry nogami w ciemności i wśród bąbelków. Całkowicie dezorientowany odpinam się i szarpnię, żeby uwolnić się z uprzęży i tonącego skrzydła.

Obserwuj bąbelki, pływaj za nimi, obserwuj bąbelki. Wynurzam się na powierzchnię pod bezkresną kopułą rozgwieżdżonego nieba, nabieram łapczywie tchu.

Podpływam do brzegu jeziora. Jestem obolały i przemoczony. Marznę. Muszę się śpieszyć. Kończyny mi się trzęsą jak galareta, przez głowę przelatują strzępy myśli. Potykając się na niepewnych nogach i szczękając zębami, ruszam do najbliższej chaty. Otulam się ramionami, wciskam dłonie pod pachy. Ledwie udaje mi się zacisnąć palce na klamce. W środku jest ciemno. Otwieram skrzynię, ściągam mokre ubranie, przebieram się w suche.

I właśnie wtedy dociera do mnie, że jak dotąd nie zauważyłem ani jednego człowieka.

Wybiegam na ulicę, choć trzęsę się z zimna.

Rozglądam się po placu, ale nic się tam nie porusza, nikogo w pobliżu nie ma. Już się cieszę, że Sissy jednak przekonała wszystkich, by wsiedli do pociągu, gdy zauważam grupę dziewcząt. Ich pół przymknięte sennie oczy otwierają się szeroko na mój widok.

- Gdzie moi przyjaciele? - pytam. Pierwsze słowa, jakie wypowiedziałem od wielu

godzin, brzmia piskliwie i drżaco.

Dziewczeta tylko przyglądają mi się czujnie.

- Słyszycie, co mówię? Moi przyjaciele: Sissy, Epap, chłopcy. Udało im się tutaj wrócić? Widziałyście ich?

Ale dziewczyny patrzą bez wyrazu, obojętne na moje naleganie. Oprócz jednej. Ta wygląda na skamieniałą.

- Udało im się wrócić? - pytam ją ostro.

Potwierdza skinieniem głowy.

- Gdzie są? - dopytuję się.

- Na stacji - odpowiada dziewczyna cicho. - Większość z nich.

- Co to znaczy większość z nich?

Zaciska dłonie na spódnicy, mnąc tkaninę.

- Co się dzieje? - naciskam. Ogarnia mnie rosnący niepokój.

- Nie mogę powiedzieć więcej. Nie mogę. - Dziewczyna sztywnieje.

- Co tutaj się dzieje? - nie odpuszczam. Ale kiedy żadna z młodych kobiet nie odpowiada, żadna nie podnosi nawet oczu, rzucam się biegiem na stację. - Idźcie do pociągu! - wołam przez ramię. - Jeżeli wam życie miłe, wsiadajcie do pociągu!

Na peronach panuje ruch. Pewnie z połowa wioski jest tutaj i nadal rozładowuje wagony. Nadal rozładowuje wagony.

- Sissy! - krzyczę.

Głowy odwracają się w moją stronę, widzę pucułowate, zaspane twarze. Ale ani śladu Sissy albo chłopców.

- Epap! David!

Wszyscy zatrzymują się, odwracają, żeby na mnie spojrzeć. Na wszystkich twarzach maluje się zaskoczenie, ale nikt się nie odzywa.

I wtedy z końca pociągu dobiega jej głos. Sissy krzyczy:

- Tutaj, Gene! Tutaj! Pośpiesz... - słowa przerywa odgłos uderzenia w policzek.

Nogi same mnie niosą. Pędzę po peronie, odpycham pojemniki i generatory, przeskakuję przez węze zwinięte na ziemi. Przy ostatnich wagonach tłoczy się grupa starszych.

Zatrzymuję się przed nimi, oddycham głęboko, wciągam spazmatycznie zimne powietrze. Starsi rozstępują się, potem mnie otaczają. Wtedy ich dostrzegam. W wagonie, związanych. Sissy i chłopców. Prawie wszystkich chłopców.

- Gdzie jest Ben? - pytam.

- Krugman zabrał go do swojego gabinetu - odpowiada Sissy. Na policzku ma siniaka. Dłonie, podrapane i pokaleczone, przywiązano jej nad głową do jednego z metalowych prętów - żeber wagonu. - Nie słuchali nas. Złapali i zawlekli siłą do wagonu.

Obok niej David trzęsie się niemal we łzach. Po drugiej stronie wagonu przywiązany jest Jacob. Widzę supły na linach łączących się z prętami. Epap jest chyba w najgorszym stanie. Sam w kącie, z zaczerwienionymi i podpuchniętymi oczyma. Garbi się, ledwie przytomny, z ramionami spętanymi z tyłu. W przeciwnym kącie dostrzegam jeszcze kogoś - dziewczynę. Oczy jej płoną. Clair.

Odwracam się do starszych. Uśmiechają się do mnie groźnie.

- Dobra, dobra - mówię. - Poddajemy się. Wsiądę do pociągu. Odjedziemy natychmiast.

Mężczyźni marszczą brwi. Oczekiwali oporu, nie kapitulacji.

- Tylko przyprowadźcie Bena. A potem możecie nas odesłać.

- Świetnie - odpowiada jeden ze starszych. - Wsiadaj.

- Gdy tylko Ben tu będzie - oponuję. - Wtedy wsiądę.

Starszy uśmiecha się ciepło, na policzkach rysują mu się zmarszczki.

- Dobrze - zapewnia. - Cokolwiek zechcesz. Ale to może potrwać... och, może z godzinę lub dwie. Najlepiej daj nam trzy.

Krąg mężczyzn wybucha donośnym śmiechem.

Zerkam na Sissy. Dziewczyna kręci głową. To nie działa - mówi jej spojrzenie.

Próbuję innej taktyki.

- Posłuchajcie mnie uważnie - mówię do starszych. - Pozwólcie, że podkreślę: musimy odjechać jak najszybciej.

- Jak się tego domyśliłeś? - parska jeden z mężczyzn.

- Nadchodzą łowcy.

- Kto?

- Zmierznicy.

Starszy uśmiecha się pobłaźliwie. Wskazuje na Sissy.

- Ona też tak twierdzi. Och... Tak się boimy. Och... zmierzchnicy płyną rzeką w ślicznych, małych łódkach.

- Powinniście się bać. - Spoglądam w jego uśmiechniętą twarz, aż radość z niej znika.

- Widziałem ich. Teraz są już na zboczu. Pędzą tutaj, gdy rozmawiamy, przewalają się w tych górach jak lawina mrocznych pragnień. Niedługo dotrą do Misji.

Przez chwilę dwóch, trzech nieruchomieje. Zapada cisza. A potem ryk śmiechu.



- Och, świetnie zagrane, chłopcze, świetnie! - wybucha starszy. - Muszę przyznać, że prawie nas nabrałeś. - Przystaje się śmiać, jego ton brzmi teraz poważnie. - Ale nie dość dobrze, nawet nie w połowie dobrze. - Twarz mu twardnieje. - A teraz wsiadaj do pociągu.

- Najpierw przyprowadź Bena. I niech dziewczęta zaczną też wsiadać.

- O co ci chodzi? - pyta jedna z dziewczyn. To ta piegowata praczka. Jej głos jest stłumiony i pełen obaw, jakby dziewczyna nie ufała nawet sobie. Ignoruje groźne spojrzenia starszych, patrzy tylko na mnie. - Wyjaśnij.

- Cicho bądź, ty... - rzuca jeden ze starszych.

- Wszyscy musimy odjechać - krzyczę do dziewczyn. - Pociąg to nasza szansa ucieczki. Jedyna szansa!

Dziewczyny słuchają uważnie, podchodzą nieco bliżej.

- Myślicie, że zmierzchnica w Pokazywalni była straszna? Wyobraźcie sobie tuzin takich. Wyobraźcie sobie setki zmierzchników wdzierających się do wioski!

Pieguska cofa się z grymasem na mój krzyk.

- Wyobraźcie sobie, że chwytają was i pożerają. Za kwadrans tak właśnie się stanie.

Mała dziewczynka, która stoi blisko nas, nie starsza niż siedem lat, wybucha płaczem. Pieguska obejmuje ją pokrzepiająco ramieniem, ale ręka jej drży.

- Nie słuchajcie go! - woła starszy. - Ten smarkacz łże w żywe oczy.

- Słuchajcie! - przekrzykuję go. - Włączcie silnik lokomotywy. Opuśćcie most. Musimy szybko odjechać!

Nikt się nie rusza.

I wtedy nareszcie zdarza się coś, co wymusza działanie.

Przenikliwe gardłowe wycie niesie się wśród nocnej ciszy.

To nie zew wilka czy innego zwierzęcia, nie brzmi też samotnością. Wycie przesycone jest tęsknotą i szaleństwem. Dobywa się z głębi duszy, ale nie ludzkiej. Zaraz dołączają kolejne głosy, aż bestialski zew wstrząsa lasem.

Starsi wytrzeszczają oczy i bledną. Oto spełnia się dawny koszmar. A potem robią coś dziwnego. Nie rozkazują, żeby dziewczęta wsiadły do pociągu, sami też nie próbują wejść do wagonów. Starsi po prostu odwracają się i w milczeniu odchodzą jak aktorzy ze sceny. Ich twarze zdradzają zupełne zaskoczenie. Mężczyźni drepczą do wioski przez ciemną łąkę. Do łowców.

- Co oni robią? - dziwi się Clair. - Dokąd idą?

Nic z tego nie ma sensu. Dziewczęta, które początkowo ruszają za starszymi, zatrzymują się teraz na peronie i spoglądają na siebie pytająco. Wyraźnie widać, że toczą

wewnętrzną bitwę między tym, co podpowiada im naturalny instykt przetrwania, a wyuczonym posłuszeństwem wobec starszych.

Kolejny krzyk. Nie zmiernika, lecz człowieka. Daleko od nas, z gospodarstwa na najdalszych krańcach Misji, co bynajmniej nie tłumi czystej grozy, jaką niesie ten krzyk. Dzikie przerażenie, które niesie się pod gwiaździstym niebem w urywanych piskach i jękach. Oczyma wyobraźni widzę dziewczyny uciekające do rzeźni, chwytające tasaki i noże, aby bronić się przed łowcami. Nie zdają sobie sprawy z bezsensowności takiej obrony, nie wiedzą, że widok i zapach krwi, choćby zwierzęcej, tylko bardziej zachęci łowców.

- Jeżeli chcecie przeżyć, wsiadajcie do pociągu! - wołam.

Piegowata dziewczyna wysuwa się naprzód. Głos jej się rwie i trzęsie, gdy nakazuje pozostałym wykonać moje polecenie. Ale dziewczynom nie potrzeba dalszej zachęty, ruszają do wagonów z zaskakującym spokojem, z tłumu wrywa się tylko pojedynczy szloch lub stłumiony krzyk.

Jedna z dziewcząt podnosi coś z ziemi. To ta z warkoczykami - trzyma pas ze sztyletami Sissy. Klęka przy dziewczynie, wyciąga jedno z ostrzy i zaczyna ciąć sznury. Po chwili Sissy wstaje, rozciera przeguby. Posyła dziewczynie z warkoczykami pełne wdzięczności skinienie głową, po czym wyjmuje drugi sztylet z pochwy przy pasie. Obie zaczynają rozcinać pęta chłopcom i Clair.

- Jak uruchomić ten pociąg? - pytam pieguskę.

- Z panelu kontrolnego na końcu peronu - odpowiada. - Ten panel steruje wszystkim. Sekwencja klawiszy włącza autopilota pociągu. Potem w ciągu piętnastu minut uruchamia się silnik, wszystkie drzwi wagonów się zamykają, hamulce zostają zwolnione, pociąg rusza, a most opada. Nie można zatrzymać tego procesu, gdy raz się go włączy. Przynajmniej dopóki pociąg nie dojedzie do miejsca przeznaczenia, do Cywilizacji.

- Wiesz, jak obsługiwać ten panel?

Dziewczyna kiwa głową, spogląda na mnie spokojnie. Z nieoczekiwaną siłą.

- Obserwowałam wiele razy, jak robią to starsi - przyznaje. - To bardzo proste. Wszystko oznaczone jest kolorami i symbolami.

Od wioski dochodzi znowu wycie, głośniejsze teraz, przeplatane krzykami bólu. Rozpoczął się przelew krwi. Nie mogę wyczuć zapachu, ale czuję to w powietrzu. Ciemność nocy przesycona jest śmiercią.

- Ruszaj - rozkazuję piegowatej dziewczynie. - Uruchom silniki.

Zrywa się natychmiast i idzie do panelu, na ile pozwalają jej małe stopy.

Dostrzegam, że David szepcze do Jacoba. Odwracają się, gotowi do działania.

- Dokąd się wybieracie? - Chwytam ich za kurtki.
- Zabrać Bena. - David odpycha moją dłoń.
- Nie ma mowy. Zostajecie tutaj.
- Nie zostawimy go, Gene.
- Wiem. - Zaciskam zęby. - Dlatego ja po niego pójde.
- My oboje - dodaje Sissy.
- Lepiej radzę sobie sam - protestuję.
- Nie tym razem. Chodzi o Bena. - Dziewczyna odwraca się do Davida i Jacoba. -

Zostaniecie z Epapem, upewnście się, że nic mu nie jest. Te dwie dziewczyny - wskazuje na tę z warkoczykami i pieguskę - wiedzą, co robić. Pomóżcie im.

A potem Sissy zeskakuje z peronu i zapina pas ze sztyletami. Ruszam za nią przez łąkę. Od wioski niesie się coraz więcej krzyków. Groza z całą siłą panoszy się już na ulicach i wśród chat. A my pędzimy prosto na nią.

- Dlaczego Krugman zabrał Bena? - pytam.
- Sissy kręci głową, w spojrzeniu ma strach.
- Nie wiem... - Jej stopy uderzają w ziemię szybciej, mocniej.

W połowie drogi oglądam się na peron. Głośny mechaniczny trzask przecina powietrze, a zaraz potem z lokomotywy buchają kłęby szarego dymu. Silniki zostały uruchomione. Piętnaście minut. Tyle czasu nam zostało. Zakładając, że zdołamy w ogóle wrócić żywi.

Przy pierwszej z chat przyciskamy się do ściany i zerkamy zza węgła. Uliczka jest pusta. Za plecami słyszymy kroki. To Clair.

- Iść dalej to pewne samobójstwo - dyszy ciężko. - Słyszycie te wrzaski? Wracajcie do pociągu.
- Musimy zabrać Bena z gabinetu Krugmana - wyjaśnia Sissy. - Nie odjadę bez niego. Obie dziewczyny spoglądają na siebie. Clair spluwa na ziemię.
- W takim razie idę z wami. Mogę pomóc. Znam krótszą drogę tam i z powrotem.
- Clair... - zaczynam, ale dziewczyna mi przerywa.
- Ruszajmy. Nie ma czasu do stracenia.

Zrywa się do biegu, wiedząc, że popędzimy za nią, po czym zaczyna kluczyć alejkami, przeciskać się wąskimi zaułkami wśród chat. Zwinna i szybka znika co rusz za tym czy innym rogiem, by pojawić się przy płocie, który zaraz przeskakuje. Po drodze wpadamy na grupki dziewcząt miotających się po ścieżkach, krzyczących i pierzchających na swoich małych stopach ile sił w nogach.

- Idźcie na pociąg! - rozkazuję. Ale chociaż widzę, że wypełniają polecenie, wiem, że nie mają szans na ucieczkę przed zmierzchnikami.

A zmierzchnicy są wszędzie i nigdzie. Żadnego jeszcze nie dostrzegłem, chociaż ich wycie niesie się z każdego zakamarka wioski. Sądząc po hałasie, jaki robią, domyślam się, że nadal nadchodzą, niezliczone rzesze łowców. Są podnieceni metalicznym zapachem naszej krwi, gdy pędzą po uliczkach i wpadają do chat, rozdzierają nasze ubrania, naszą skórę i mięśnie, i tłuszcz, dobierają się do organów wewnętrznych i naczyń krwionośnych.

- Tędy! - pogania Clair. Głos ma stłumiony. Przyśpieszamy.

Przed nami z chaty wybiega dziewczyna. Krzyki i panika wywabiły ją z kryjówki w środku. Mała jest zdezorientowana i niepewna. Obraca się w naszą stronę. Nawet nie dostrzega...

...jak porywa ją czarny cień szybszy od wiatru. W okamgnieniu ciemna sylwetka zwała ją z nóg i wciąga do domu. Słysząc tylko trzask drzwi. Wrzask dziewczynki miesza się z wyciem zmierzchnika w przerażającym akcie intymności.

Chwytam Clair za rękę i odciągam. Ciało ma bezwładne, powłóczy stopami z zaskoczenia.

- Gabinet Krugmana, tylko na tym się skup, Clair, dobrze? Zaprowadź nas tam!

Dziewczyna kiwa głową, ale ciało ją zdradza. Zaczyna się trząść, przewracać oczami - Clair próbuje znaleźć sens w świecie, który zalała ciemność i krew. Dziewczyna zdejmuje szalik, owija sobie nim głowę.

- Co robisz?

- Moje jasne włosy. Zdradzają naszą pozycję nawet w ciemności.

- Nie, to zapach krwi ich przyciąga - wyjaśniam, po czym zdejmuję szalik i owijam jej szyję. - Dlatego mamy przewagę. Wiemy dokładnie, gdzie są łowcy. Będziemy się trzymać z dala od krzyków.

Clair kiwa nerwowo głową, ale podbródek jej drży.

- Zostań ze mną, Clair, a nic ci nie będzie. Znam zmierzchników, przeżyłem już wcześniej ich ataki. Wiem, jak się poruszają, gdzie, kiedy i dlaczego. Popatrz na mnie, Clair, popatrz mi w oczy!

Podnosi na mnie przerażony wzrok, a ja staram się przekazać jej swoją pewność i zdecydowanie. Niemal słyszę łomot jej krwi w żyłach. Dziewczyna kiwa powoli głową, głęboko nabiera tchu.

- Tędy - wskazuje. - Jesteśmy już prawie na miejscu.

Kiedy rusza, odzyskuje władzę w nogach. Krzyki - czasami pojedyncze, czasami

grupowe - rozbrzmiewają z różnych stron i musimy się cofać lub skręcać, żeby je omijać.

Rozmyte ciemne kształty przemykają przez wioskę niepokojąco blisko. Dwie dziewczyny próbują uciec z chaty przez okno, krzyczą o pomoc, patrzą błagalnie. Przechylają się przez framugę, wyciągają ręce. Nagle prostują się w napięciu, krzyki urywają się, oczy unoszą w agonii, widać tylko białka. Potem ciała opadają, zawisają bezwładnie na parapecie jak mokre pranie, zanim zostaną wciągnięte do środka.

Nie zwlekamy ani chwili. Pędzimy zaułkami, mijamy wąskie alejki.

- Tędy - powtarza Clair. Trafiamy na otwartą przestrzeń łąki przed warownym murem. Nad nami jak drogowskaz ciągnie się od środka wioski do narożnej baszty kabel energetyczny. Światło z panoramicznego okna przypomina aureolę.

## Rozdział 41

Gnamy po spiralnych schodach, nasze stopy łomoczą na stopniach, ręce rytmicznie zaciskają się na zakręconej poręczy. Jest tu niepokojąco pusto. W połowie drogi Clair łapie mnie za ramię i zatrzymuje. Z góry dochodzi cichy śpiew.

Chroń mnie przed ostrzem śmiertcionośnym, Uratuj z cudzoziemców rąk, Co usta mają pełne klów ostrych I szpony zdolne do zadania mąk.

Spoglądamy na siebie, a potem zaczynamy się wspinać. Nasze kroki stają się wolniejsze, spokojniejsze. Zatrzymujemy się, gdy głos Bena załamuje się ze strachu.

Synowie nasi w młodości kwiecie

Niech będą jak warowny mur

I jak filary najsmuklejsze w świecie

Niech będą ciała naszych cór.

W domostwach naszych niechaj nie zbraknie

Dostatków wszelkich, jakich dusza łaknie.

Na szczycie schodów kierujemy się śpiewem Bena. Docieramy prosto do gabinetu Krugmana. Drzwi są uchylone, przez wąską szparę widzimy chłopaka z arkuszem nut w drżącej dłoni.

Pokój oświetlają łagodnie lampy. Z kabla dobiega ciche brzęczenie elektryczności. Pomieszczenie wydaje się bardziej przytulne, kontury są łagodniejsze niż w ostrym świetle dnia na tle surowego krajobrazu za oknem. Krugman siedzi plecami do nas, patrzy w wysokie okno. Jest przygarbiony, wyciszony, trzyma pustą szklaneczkę po whisky jakby w toaście. Zachowuje się, jakby nie słyszał wycia i wrzasków, które mogłyby stłuc szybę.

Ben stoi przy regale pod ścianą. Twarz ma pobladłą i pustą, gdy przywołuję go gestem i przyciskam ostrzegawczo palec do ust. Chłopiec zerka na starszego, po czym podchodzi do nas na paluszkach. Wsuwam dłoń w rękę Sissy.

- Dokąd idziesz? - pyta Krugman cicho. W jego głosie nie ma ani groźby, ani pośpiechu. Jakby miał mnóstwo czasu, jakby fala zmierzchników nie przelewała się właśnie przez jego ukochaną wioskę. - Czemu nie wchodzić? Wszyscy?

Zaczynamy się wycofywać na korytarz.

- Bo mam nadzieję, że nie zamierzacie uciekać pociągiem? - ciągnie Krugman.

Zatrzymuję się. Sissy ciągnie mnie za ramię, ale coś w głosie mężczyzny...

- Bo to jak wyskoczyć z deszczu pod rynną. Właściwie to... - zawiesza głos, jakby

wiedział, że zdobył moją niepodzielną uwagę - „jak skok we wzburzoną kipieli” stanowi bardziej odpowiednie określenie.

Chichocze pod nosem.

- To znaczy? - nie wytrzymuję.

- Gene! - oburza się Sissy.

- Nie, poczekaj - uspokajam ją, potem podnoszę głos: - Wynosimy się stąd.

- Wasz wybór - odpowiada starszy ze znużeniem. - Odwlekacie tylko nieuniknione.

Sissy ponownie szarpie mnie za rękę. I znowu się opieram. Spoglądam na Krugmana.

- Jesteś za gruby i za stary, żeby zdążyć na pociąg. Dlatego nie chcesz, żebyśmy i my zdążyli. Chcesz nas opóźnić.

- A jednak tu jesteście, jednak jesteście. - Obraca się powoli w swoim fotelu, oczy ma przekrwione i nabiegłe łzami. Uśmiecha się smutno, głaszcząc wystający brzuch. - Nie zawsze byłem tak ociężały.

Mówi powoli, letargicznie, jakby z trudem wydobywał słowa z ust.

Jego rezygnacja, poddanie się losowi, budzi mój niepokój. Tacy jak Krugman nie garną się do gry na zwłokę lub zastawiania pułapek. Jeżeli nas zatrzymuje, chce coś wyznać.

Myśl, która przychodzi mi do głowy, przenika mnie chłodem.

- Uważasz, że pociąg to pewna śmierć - mówię. - Wyjaśnij dlaczego.

- Gene, chodź! - ponagla mnie Sissy.

- Wyjaśnij, dlaczego pociąg to pewna śmierć - naciskam na Krugmana.

Mężczyzna opuszcza dłonie na podłokietniki i klepie czule skórę fotela, jakby to były głowy dwójki dzieci.

- Doprawdy musisz tak krzyżeć? Nie dość ci krzyków na zewnątrz?

- Dobra, wychodzimy. - Odwracam się.

- Pewna śmierć to nie pociąg - słowa Krugmana padają z tak lodowatą czystością, jakby na chwilę odzyskał całkowitą trzeźwość umysłu i ciała. - To cel podróży. - A potem jego głos znowu rozmywa się w pijackim mamrotaniu: - Tyle śmierci i krzyku. Wiele... zbyt wiele...

- Powiedz, czym jest Cywilizacja.

Mężczyzna chichocze.

- Wyjaśnienie wymagałoby czasu. Wiele czasu. Zbyt wiele.

- Gene, nie daj się na to nabrać! On chce nas...

-...powstrzymać przed odjazdem w pociągu? - kończy Krugman. - No to idźcie, idźcie, proszę bardzo. Buziak na pożegnanie, uścisk dłoni i jedźcie, moi drodzy. Nie zatrzymuję was.

Nie spóźnijcie się przede mną na swój szkolny autobus.

Podchodzę do mężczyzny, wytrącam mu szklanę z dłoni. Naczynie przelatuje przez pokój, rozbija się na ścianie. Brzęk sprawia, że Krugmanowi wraca przytomność - jego spojrzenie robi się bystrzejsze, zaraz jednak zasnuwa je szklista mgła. Mężczyzna podchodzi do okna, jego postać odcina się na tle ciemnej szyby. Kolejny krzyk przecina mrok gdzieś w dole, tuż przy warownym murze. Bliskość tego wrzasku jest przerażająca.

- Gene - ponagla znowu Sissy.

Ignoruję ją. Muszę wiedzieć.

- Pociąg jedzie do Pałacu Władcy, prawda? - wołam. - Droga wiedzie po prostu do zagrody dla heperów. Mam rację?

Krugman znowu parska śmiechem.

- Chłopakowi należą się oklaski. Albo uśmiechnięta buzia dla naszego małego detektywa. - Wyciera łzy. - To tylko wierzchołek góry, chłopcze. Wydaje ci się, że jesteś sprytny? Myślisz, że udało ci się wszystko odgadnąć? Chcesz prawdy?

Clair krzyczy. Zmierchnik, blady, lśniący jak księżyc, spelza po szybie jak pijawka. Nie może nas dostrzec przez spolaryzowane szkło. Zatrzymuje się, jego twarz z rozdętymi nozdrzami zawisa tuż przed twarzą niewzruszonego Krugmana. A potem zmierzchnik zsuwa się niżej i znika. Czarna fala łowców przedziera się przez warowny mur.

Krugman wyciera nos grzbietem dłoni.

- Prawda zatem bez upiększeń - podejmuje zduszonym tonem. - Przygotujcie się na nią, dzieci. - Odwraca się od okna i spogląda na naszą czwórkę. - Jesteśmy sami. Ludzkość została wytrzebiona wiele pokoleń temu. Zmierchnicy zajęli świat. A nam nie udało się go odzyskać. Nie zdołaliśmy znaleźć lekarstwa, antidotum, trucizny. Nie znaleźliśmy niczego, tylko śmierć. Cywilizacja nigdy nie istniała.

Sissy przestaje mnie szarpać. Odwraca się powoli, niechętnie do Krugmana.

- Gdy opadł kurz, okazało się, że tylko kilka tysięcy ludzi przeżyło. Skazani na przerażającą egzystencję w lochach Pałacu Władcy, byliśmy więzieni i zmuszani do rozrodu. Jedynym celem naszego życia było zaspokojenie apetytu Władcy. A ten był nienasycony. Próbował zwolnić, opanować się, ale nie potrafił oprzeć się pokusie. Byliśmy zbyt blisko. I tak samo działo się w przypadku jego następców. Żaden nie umiał się powstrzymać. Populacja ludzkiej trzody zaczęła w alarmującym tempie spadać, i to coraz szybciej.

Pewnej nocy, wiele pokoleń temu, ówczesny Władca doznał olśnienia. Wpadł na pomysł, opracował genialny plan. Przyszedł do nas i zawarł umowę.

- Z kim?



- Z nami. Z ludźmi. Władca zgodził się uwolnić kilkuset z nas, żebyśmy założyli społeczność tutaj, w górach. Setki mil od Pałacu, za daleko, żeby jakiś zmierzchnik mógł wybrać się w podróż ze względu na odległość, nawet skracaną przez pociąg, i wystawienie na słońce. Ludzie się zgodzili. Jakby mieli jakiś wybór... I odeszli. Plan wdrożono w sekrecie, rzecz jasna. Wiedzieli o nim tylko ci najwyżej postawieni. I przez dziesięciolecia Władcy i ich następcy zaspokajali nasze potrzeby albo zachcianki. Tajemnica utrzymała się dłużej, niż ktokolwiek przypuszczał. Kolejni Władcy dochowali sekretu. Ale należało się spodziewać, że tajemnica, jak wszystkie inne, w końcu wyjdzie na jaw. - Krugman gładzi się po brodzie. - Ostatnio dotarły do nas strzępy plotek. O waśniach w Pałacu, pewnych frakcjach ostrzących sobie zęby na Misję. Nawet pogłoski o budowie chroniących przed słońcem łodzi, całej armady. Nie wierzyliśmy tym plotkom, lekceważyliśmy je. - Spogląda w nocne niebo. - To był błąd. Daliśmy się uśpić fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa. Zmierzchnicy zawsze dotrzymywali swojej części umowy.

- Opowiedz mi o tej umowie. Powiedz wszystko - rozkazuję.

- Rozmnażaliśmy się dla nich - szepcze Krugman. - Właśnie to jest celem Misji. To farma hodowlana. Zaopatrujemy Pałac w heperów, skapujemy im jak płyn w kroplówce część z nas. Jesteśmy na tyle daleko, że nie mogą nas pożreć, wyniszczyć nas podczas jednej niekontrolowanej wyprawy. W zamian zaopatrują nas we wszystko, co potrzebne do przeżycia, i tak, nawet spełniają kaprysy. Jedzenie, lekarstwa, materiały. Coś za coś. To piękna symbioza pod wieloma względami. Nie ma co marzyć o wspólnych śpiewach przy ognisku i pieczeniu ziemniaków, ale wiesz, co mam na myśli.

- Posyłałeś dzieci łowcom jako jedzenie - stwierdzam.

Krugman zniża głos.

- Oszczędź sobie tego oskarżycielskiego tonu, młodzieńcze. Powiem ci, co robiłem. Rozmnażałem nasz gatunek. Tylko dzięki mnie nie znaleźliśmy się jeszcze na skraju wymarcia. Na twoim miejscu pilnowałbym języka w gębie.

- Wszyscy chłopcy, których odesłałeś. Wszystkie te starsze dziewczyny... - wzdycha Clair.

Krugman podnosi na nią czule spojrzenie, w oczach wzbierają mu znowu łzy.

- Dałem wam szczęśliwe lata. Właśnie to uczyniłem. Muzyka, uśmiechy, radość, jedzenie, ciepło. Nie znaliście tyranii lęku, więzienia w zimnych celach, otoczenia pełnego śmierci i przemocy. Nie musieliście słuchać mrozących krew w żyłach krzyków bliskich, których pożerali zmierzchnicy. Nigdy nie musieliście żyć w strachu, że zostanie wylosowany wasz numer, że metalowe kajdany zacisną się wam na rękach, że zostaniecie odciągnięci od

innych. Ty i wszystkie dzieci Misji żyliście tu jak w raju, w prawdziwym Edenie. Co z tego, że musiałem wymyślić parę bajek o Cywilizacji? Ignorancja jest błogosławieństwem, a właśnie błogostan wam podarowałem.

- Skazałeś ich tylko na śmierć - zauważam.

- Och, czyż nie jesteśmy wszyscy skazani na śmierć? - prychnął Krugman, odwróciwszy się, by posłać mi groźne spojrzenie. - Przecież i tak umrzemy! Zaczynamy umierać już od chwili narodzin, nieprawdaż? Ale zauważ, że przynajmniej uczyniłem to znośnym. Nie, nawet więcej, sprawiłem, że czuli się szczęśliwi, stworzyłem dla nich idyllę. Radość, śpiew i dobre jedzenie. Spójrz na malunki na tym regale. Nie dostrzegasz w nich dziecinnej kapryśności, rozmarzonej niewinności? - Fałdy tłuszczu na jego twarzy trzęsą się mocno. - Ty. Zupełnie jak naukowiec z tym swoim oskarżycielskim tonem. Mówisz zupełnie jak on po powrocie do Misji. Wrócił i poczuł się za dobry dla tego miejsca.

- Gene - pogania mnie Sissy błagalnym tonem.

- To dlatego tyle tu ciężarnych dziewcząt... - Prawda staje się dla mnie przerażająco oczywista. - Właśnie tak Misja może przetrwać. Tak... zaopatruje Pałac. Żeby otrzymywać w zamian lekarstwa i zapasy, musi uzupełniać... - nie potrafię dokończyć tego zdania.

- Coś za coś - szepcze Krugman. - Coś za coś.

- Ale dlaczego odsyłałeś chłopców, gdy byli jeszcze dziećmi... Dlaczego?

Spojrzenie starszego staje się bardziej mroczne.

- Odsyłasz ich, zanim dorosną i staną się fizycznym zagrożeniem - uświadamiam sobie. - Tak? Nie ma tutaj miejsca dla chłopców.

Krugman odwraca wzrok.

- Nie ma produktywnego miejsca. - Długo milczy, zanim znowu odezwie się urywanym szeptem: - Starsi o to zadbali.

Nie patrzy na mnie, tylko w ciemność za oknem, skrywającą masakrę na ulicach.

- Jak długo... - zaczynam.

- Wieki. Byliśmy tutaj przez wieki. - Znowu zapada milczenie. Ciężkie poczucie winy marszczy mężczyźnie czoło, jakby u Krugmana zbudziło się właśnie długo uspięte sumienie. - I owszem, po latach zaczęły się pojawiać wady wrodzone, efekty uboczne długotrwałego rozmnażania się w małej populacji. Chów wsobny ma swoje konsekwencje. Smutne i nieuniknione. Ale dzieci z wadami szybko usuwaliśmy. Co z oczu, to z serca.

Zimny dreszcz przechodzi mi po plecach. Przypominam sobie zakapturzoną postać, która parę dni temu zaniósła niemowlę do Pokazywalni.

Krugman sięga po nową szklanę i butelkę. Gdy sobie nalewa, whisky rozchlapuje mu

się na palce. Najwyraźniej starszemu to nie przeszkadza.

- Przestań na mnie patrzeć tak oskarżycielsko. Zrobiłbyś to samo. Nie masz pojęcia, z jakimi naciskami musieliśmy sobie radzić. Kiedy nie wysyłaliśmy wystarczającej liczby ludzi, odcinano nam jedzenie i zapasy. Raz, podczas wyjątkowo suchej pory, zmierzchnicy postanowili pokazać, kto tu rządzi. Zrobili nam niespodziankę. W przysłanym jedzeniu znajdowało się jabłko. Z zewnątrz wyglądało zupełnie zwyczajnie, ale w środku ukryto maleńkie ostrze skażone śliną. Zaraziła dziewczynę, która ugryzła to jabłko. Zmieniła się. - Chichocze. - A my nareszcie zrozumieliśmy, dlaczego Pałac rozkazał nam zbudować Pokazywalnię parę miesięcy wcześniej. - Jego spojrzenie odbite w szybie napotyka moje. - To było ostrzeżenie. Przypomnienie, kim jesteśmy. Po tym zdarzeniu zaostrzyliśmy zasady. Podnieśliśmy... produkcję. Zaczęliśmy upiększać dziewczętom stopy, żeby żadna nie mogła się oddalić, odejść z Misji. Wysyłaliśmy coraz młodszych chłopców. Nauczyliśmy się myć wszystko, co dostarcza pociąg... Musieliśmy mieć pewność, że nic nie jest... skażone...

Dwa mlecznobiałe ciała zsuwają się po szkle. Odskakują równie szybko, jak się pojawiły, pozostawiając tylko kleisty ślad na szybie.

Sissy podchodzi do mnie, zmusza mnie, żebym spojrział jej w oczy.

- Gene! - szepcze. Wygląda, jakby postarzała się o dziesięć lat. - Chodźmy stąd. Po prostu chodźmy.

- Możecie zostać. - Oczy Krugmana wydają się przerażająco młode, jakby z tłustej, pomarszczonej klatki zarośniętej twarzy z podkrążonymi oczyma wychylał się mały chłopiec, wolny od lęku, żalu i wyrzutów sumienia. - Zostańcie, proszę. To koniec. Pogodziłem się z tym. Ale nie chcę umierać samotnie.

Nie mam dla niego ani odrobiny współczucia. Ręce tego mężczyzny plami krew tysięcy dzieci. Nie zrobił nic, by przerwać ten cykl śmierci, korzystał jedynie na tej straszliwej wymianie. Sprzedał własnych ludzi. I za co? Za jedzenie i picie oraz wolność zaspokajania swojej chuci w osadzie pełnej niewinnych dziewcząt.

- Pozwól, że powiem ci, jak to się skończy dla ciebie - rzucam, ruszając do wyjścia. - Wydaje ci się, że przygotowałeś się na tę chwilę, ale kiedy łowcy wieją się tutaj jak mroczna fala, która przerwała tamę, będziesz krzyczał. I będziesz sam. Rozumiesz?

W tłumie łowców uczujących na twoim ciele będziesz sam. Nie poznałeś jeszcze takiej samotności.

Odwracamy się, żeby wyjść.

- Proszę - jęczy mężczyzna. - Zostawcie chociaż chłopca. O nic więcej nie proszę...

- Chodźmy - spluwa Sissy.

-...tak bardzo przypomina mi mnie... Gdy byłem młody. Gdy byłem niewinny. Proszę! Wszyscy i tak jesteście już martwi. Chcę tylko posłuchać jego śpiewu... Zostawcie mi chłopca...

Wychodzimy. Sissy obejmuje Bena ramieniem. Drzwi zamykają się z trzaskiem i jęki Krugmana cichną.

## Rozdział 42

Na szczycie spiralnych schodów Clair łapie mnie za rękę.

- Nie, Gene, nie tędy!

- Więc którędy?

Wycie wprawia w wibracje metalowe stopnie i barierki.

- Mur warowny został przekroczony. W Misji jest pełno zmierzchników.

- Musimy wrócić do pociągu!

- Zapomnij o pociągu! - Twarz dziewczyny wykrzywia strach. - Nie słyszałeś, co powiedział Krugman? Pociągiem też dojedziemy tylko do zmierzchników!

- Nie mamy wyboru. Pozostanie tutaj to pewna śmierć. Pociąg przynajmniej daje nam szansę...

Clair zmusza mnie, żebym się do niej odwrócił. Spogląda na mnie twardo.

- Jest inny sposób, żeby się stąd wydostać. Możemy użyć lotni. Odleciś tam, gdzie chciał twój ojciec. - Ciągnie mnie dalej. - Ty i Sissy możecie użyć lotni treningowej dla dwojga.

- Nie ma mowy! - sprzeciwia się Sissy. - Nie zostawię chłopców, a oni są w pociągu...

- Zapomnij o nich! Nie można ich ocalić.

- A co z Benem? - wołam. - Co z tobą?

Clair potrząsa głową.

- Tego chciał twój ojciec. Żebyś poleciał na wschód. Trwają różne intrygi i machinacje, o jakich nie masz pojęcia, Gene. Ty i Sissy musicie lecieć na wschód. Zawsze miało to być was dwoje.

- Co powiedziałaś?

- Musicie lecieć na wschód...

- Co miałaś na myśli, gdy powiedziałaś, że to zawsze miało być was dwoje?

Przez jej twarz przemyka grymas żalu.

- Przykro mi. Naprawdę. Kłamałam wcześniej. Ta lotnia była dla ciebie i Sissy. Nie dla mnie. Twój ojciec podkreślał, że to ty i dziewczyna macie polecieć na wschód. Razem. - Oczy napełniają jej się łzami. - Tą dziewczyną nie byłam ja.

- Myślałem, że polecisz ze mną. Czy nie tak właśnie powiedziałaś?

Clair spuszcza oczy, garbi się ze wstydu i żalu.

- Nie ty jeden chcesz się dostać do Ziemi Obiecanej. Przepraszam. Pozwoliłam, żeby

moje marzenia wzięły górę nad tym, czego chciał twój ojciec. - Kręci głową. - To zawsze miałeś być ty i Sissy.

W dole rozlega się łomot i głośny trzask. Cisza. A potem na schodach rozlega się wycie.

- Tędy! - wskazuje Clair. Wie, że nie mamy innego wyjścia, jak iść za nią. Dziewczyna skręca w lewo, ciągnie nas w kolejny korytarz. Echo naszych kroków wyprzedza nas i niknie w zimnych cieniach. Z tyłu słyszę natarczywe szuranie szponów o podłogę.

Clair kopie pojemniki i pudła, po czym otwiera ukryte drzwi i wpycha nas w korytarz. Drzwi się zamykają. Dziewczyna prowadzi nas w całkowitej ciemności, ręką maca ścianę. A potem rozlega się trzask i pomieszczenie zalewa zielona poświata.

Z mroku wynurzają się zawieszono wysoko lotnie niczym ogromne ćmy. Ben na ich widok wytrzeszcza oczy.

Clair już ściąga dwumiejscowy model treningowy. Okazuje się zaskakująco lekki, dziewczyna nie ma problemu z jego uniesieniem.

Zza drzwi dobiega dudnienie. Po drugiej stronie łowcy drapią je paznokciami. Clair to ignoruje, chwytą wyposażenie, błyskacze i rękawice. Kolejne uderzenie niemal wyważa drzwi.

- Potrzebne są jeszcze dwie lotnie! - wołam. - Clair, musimy...

- Nie ma czasu na szukanie sprawnych. Niemal wszystkie są zniszczone i...

Kolejny łomot wstrząsa drzwiami.

- Zamknięcie długo nie wytrzyma - krzyczę. - Musimy uciekać! Już!

- Ruszaj pierwszy, dogonię cię - odpowiada dziewczyna. Podnosi parę gogli i torby. - Do końca korytarza, tam jest wyjście!

- Nie! Ruszamy wszyscy!

Za nami słychać kolejny łomot, potem całą serię, gdy ciała uderzają w drzwi jak deszcz. I wreszcie zgrzyt poddającego się metalu.

- Clair! - wołam. I już pędzimy korytarzem, upuszczając torby i sprzęt, ale nikt się tym nie przejmuje. Ważne są tylko lotnie.

Drzwi eksplodują i zmierzchnicy wbijają się do środka jak wystrzelony śrut. Gnają za nami po podłodze, po ścianach i suficie. Ich wrzask rani nam uszy.

Clair otwiera drzwi na końcu korytarza, wybiegamy tamtędy. Kopniakiem zatrzaskuję skrzydło i upadam, ale Sissy już wciska zasuwkę w klamrę. Zmierzchnicy wbijają się z impetem w metal, słychać tylko przerażający łomot. Podnosimy się, krew huczy nam w uszach, biegniemy po schodach i mijamy kolejne drzwi.

Na zewnątrz powietrze jest chłodne i słodkie. Spoglądam na ciągnący się mur - nasz pas startowy. Jest pusty, żadnego zmierzchnika w zasięgu wzroku.

Nie na długo jednak. Dostrzegli nas łowcy przeszukujący łąkę. Na nasz widok jak stado wron po rzuceniu kamienia zerwali się też ci, którzy czaili się pod murem. Pędzą za nami na czworakach, nogi i ręce rozmywają się w jasne smugi.

Clair próbuje mnie przypiąć do dwuosobowej lotni.

- Nie, Clair. Poleci Ben. Z Sissy.

- Nic z tego - protestuje Clair stanowczo. - To masz być ty i Sissy.

- Nie zamierzam tracić czasu na kłótnie - krzyczę. Pochylam się do dziewczyny, żeby nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie. - Zostaję. Ben i Sissy lecą.

- Pozwól, że powiem ci, co robi Sissy - wtrąca Sissy. - Sissy wraca do pociągu. Nie zostawię chłopców.

Warowny mur zaczyna drżeć. Fala zmierzchników wyje u podnóża na łące.

- Gene musi lecieć! - woła Clair. - Naukowiec powiedział...

Brzęk metalu. Sissy wyciąga sztylet i przyciska do szyi Clair.

- Przypnij się.

Drobniejsza dziewczyna uświadamia sobie, że opór nie ma sensu. Zapina uprząż. Sissy obserwuje ją uważnie.

Potem chowa sztylet i chwytą Bena za rękę.

- Sissy! - krzyczy chłopak.

- Ben! - Sissy zapina mu kurtkę, zakłada uprząż. - Znajdziemy cię. - Łączy karabińczyki. - Jesteś w dobrych rękach, Clair zabierze cię do Ziemi Obiecanej.

- Nie zostawiaj mnie. - Benowi drżą usta, łzy płyną po policzkach.

Wzdłuż warownego muru niesie się pomruk.

- Ruszajcie! - wołam. - Łowcy są blisko.

Sissy szybko obejmuje chłopaka. Jego łzy rozmazują się na jej twarzy, gdy go odsuwa.

- Lećcie! - woła do Clair.

Ruszają posłusznie, rozpędzając się na szczycie muru. Biegają równo, coraz szybciej. W końcu rzucają się w przepaść i znikają mi z oczu, by po chwili wznieść się w nocne niebo. Lotnia oddala się od gór. Dostrzegam rozwiane włosy Bena i jego sztywne ze strachu ramiona. Ale lotnia szybuje gładko, Clair prowadzi ją pewnie na wschód.

- Musimy wrócić na stację. - Rozglądam się w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Wycie zmierzchników słychać coraz bliżej. Gnają przez łąkę, uderzają w warowny

mur, próbują się wspinać.

Sissy odwraca się do mnie nieśpiesznie i z opanowaniem. Jej spojrzenie sprawia, że czas zwalnia. Po raz pierwszy od mojego powrotu do Misji możemy na siebie popatrzeć. Oczy dziewczyny wzbierają łzami, chociaż stara się utrzymać odważny uśmiech.

- Myślę, że oboje wiemy, Gene. To koniec.

Zmierzchnicy, bladzi i nadzy jak nowo narodzone szczury, ustawiają się półkolem wokół muru. Jesteśmy otoczeni. Wielkie Łowy, które rozpoczęły się wiele dni temu, dla nich prawie się kończą.

Sissy wyciąga dwa sztylety, podaje mi jeden.

- Walka do końca?

Przyjmuję broń.

- Zawsze.

Za naszymi plecami z brzękiem pęka szkło. Gabinet Krugmana. Nadzy zmierzchnicy wdrapują się po ścianach, wciskają do pokoju przez rozbite okno. Jak struga zgniłego mleka do zlewu. Przez piski i wrzaski łowców nie słyszę krzyków Krugmana, ale wcale nie muszę.

Światło padające z baszty nagle znika, lampy zostały zapewne rozbite, a wokół zapada jeszcze większa ciemność. Prąd wciąż płynie, widzę w mroku gabinetu strzelające iskry.

I do głowy wpada mi pomysł.

Patrzę na dach narożnej baszty. Tam długi kabel łączy gabinet z głównym generatorem w wiosce. Ciągnie się wysoko nad łąką i nad rojącymi się tam zmierzchnikami.

Z łomoczącym sercem chwytam Sissy za rękę. Nie mam czasu na wyjaśnienia.

Jakby rozpaleni naszą próbą ucieczki łowcy wyją z wściekłości.

Biegniemy. W ruchu niewiele widzimy - blade ciała wynurzają się zza muru jak fale rozbijające się po obu stronach. Zmierzchnicy wspinają się, rozglądają, żeby nas znaleźć, po czym skaczą na szczyt i ruszają za nami w pogoń.

- Twój pas na sztylety - wołam do Sissy.

Podaje mi go, gdy docieramy do kabla. Przerzucam pas przez przewód, pociągam, żeby sprawdzić, czy wytrzyma. Musi.

Sissy obejmuje mnie za szyję, a potem podskakuje i otacza mi nogami talię. Czuję przy policzku, że kiwa głową, potem przyciska wargi do mojej skroni.

Skaczę. Rzucam się w nocne powietrze. Pas mam owinięty wokół nadgarstków, Sissy przytrzymuje się moich barków. Szarpnięcie, gdy na pasie zawisa nasz wspólny ciężar, niemal wrywa mi ręce ze stawów. Kolejne szarpnięcia i kołysanie. Impet sprawia, że Sissy traci chwyt, ale mocniej ściska mnie nogami i to wystarcza, by znowu się złapała. I wtedy



zaczynamy zjeżdżać. Pędzimy szybciej, niż można by się spodziewać po skórze trącej metal. Iskry strzelają z pasa jak szalone. Dopiero gdy podnoszę głowę, dostrzegam, że to nie skóra, lecz metal ociera się o metalowy kabel - wysunął się jeden ze sztyletów. Ale lecimy. I wzbijamy snopy iskier.

Pod nami w oddali zmierzchnicy, którzy gnali do warownego muru, zatrzymują się w pół kroku. Na uniesionych twarzach maluje się zdumienie i gniew. Pędzimy bezpiecznie poza zasięgiem ich wyciągniętych rąk.

Sissy, która widzi, co się dzieje za nami, wzdycha zaskoczona. Odwracam głowę. Zmierchnik goni nas po kablu. Bez trudu utrzymuje równowagę i truchta z zaskakującą prędkością. Jego kończyny poruszają się w doskonałej synchronizacji, równie pewnie jak u ogiera w galopie po trawiastej równinie.

Zmierchnik jest przerażająco zniekształcony. Zapewne w desperacji, aby wyprzedzić setki innych łowców, opuścił ciemną jaskinię wcześniej i wystawił się na działanie promieni zachodzącego słońca. Jednak niezależnie od przyczyny teraz przypomina bezwłosego kota na równoważni. Połowa twarzy jest stopiona, wykrzywiona w grymasie obłędu. Zmierchnik otwiera usta, żuchwa opada mu dużo niżej, niż powinna, po czym krzyczy. I otwiera jeszcze szerzej usta - kąciki ust rozrywają się i rozciągają jak stopiony ser, odsłaniają nie tylko kły, lecz także rzędy trzonowców.

To brutalne stworzenie, pozbawione policzków i szczerzące nienaturalnie zęby, chyba się do mnie uśmiecha ze zdziwieniem.

Srebrzysty błysk. Sissy wyciągnęła z pasa sztylet i cisnęła. W zmierzchnika.

To bezpośrednie uderzenie. Ostrze zanurza się w torsie łowcy. I znika.

A potem z plaśnięciem wylatuje z grzbietu stwora, nie napotkawszy prawie oporu.

Zmierchnik zamiera. Nie ma pojęcia - dosłownie - co go trafiło. Wydaje się tylko trochę zaskoczony, jak ktoś, komu wyrwało się niechcący beknięcie. I tyle. Potem łowca znowu wbija we mnie wzrok i podejmuje pogoń.

Kolejny błysk, kolejny rzucony sztylet. Tym razem wymierzony w twarz łowcy, w jego oczy. Ciśnięty, aby oślepić i wypatroszyć.

Ale zmierzchnik zauważa rzut. Odchyła głowę i sztylet mija go ze świstem. Ale ruch wytrąca łowcę z równowagi. Chwieje się, próbuje utrzymać na kablu. I właśnie wtedy Sissy rzuca następny nóż. Ostrze przecina nogę zmierzchnika w kostce. Łowca mruga, a potem traci równowagę. Wymachuje dziko ramionami, jego krzyk milknie ze stłumionym plaśnięciem w trawie.

Sissy i ja docieramy do wioski chwilę później. Kabel znajduje się już równolegle i

nisko nad ziemią. Lądowanie okazuje się łatwe. W samą porę. Nie czuję już rąk.

Ataki w wiosce stały się tylko bardziej zajadłe. Wrzaski dochodzą z każdego zakamarka, a z najbliższej chaty słychać głośne mlaskanie.

- Pociąg odjedzie lada chwila - szepcze Sissy. - Musimy się śpieszyć.

- Trzymaj się ścian - nakazuję. - Staraj się trzymać ramiona przy bokach, jak najbardziej nieruchomo. Zmierchników przyciągają wahadłowe ruchy.

Zbliżający się krzyk. Przemykamy się zakosami, unikając brukowanych ścieżek, gdzie bylibyśmy bardziej widoczni. Trzymamy się wąskich przejść między chatami. Nagle Sissy przystaje.

- Co się dzieje? - pytam.

Dziewczyna rozgląda się zza węgła, patrzy na plac.

- Możemy się przekraść po tej stronie uliczki, a potem przebiec sto metrów tam, gdzie ścieżki są węższe. Albo możemy po prostu przejść przez plac. Ale wtedy będziemy bardziej widoczni.

- Nie ma czasu. Pociąg zaraz odjedzie. Pójdziemy przez plac. Trzymaj się nisko.

Przekradamy się skuleni. W połowie drogi Sissy zamiera. Jak zahipnotyzowana wpatruje się w uliczkę.

Odwracam powoli głowę. Na końcu ulicy, ledwie widoczna, stoi nieruchoma postać. Ubrana w biel i skąpana w srebrzystej poświacie księżycy przypomina marmurową statwę. Nie muszę nawet przyglądać się twarzy, żeby wiedzieć, kto to jest.

Ashley June.

## Rozdział 43

Płomienne włosy opadają na jej białe ciało jak kurtyna ognia. Jej oczy są jak szmaragdy, wpatruje się we mnie przenikliwie. Rusza ręką w kierunku. Na czworakach.

Sissy łapie mnie za rękę, ciągnie mnie naprzód. Ja jednak stoję twardo. Za późno na ucieczkę.

- Ty idź - szepczę.

- Nie. - Staje obok mnie, jej dłoń w mojej.

- Idź.

- Nie. - Ścisną mi mocniej palce.

Ashley June podchodzi bliżej, jej łopatki unoszą się na przemian przy każdym kroku. Ciało ma rozluźnione jak gepardzica w zoo, leniwie spacerująca po klatce w gorącą letnią noc. Tylko w oczach czai się dzikość i pragnienie. Do pleców zmierzchnica ma przywiązaną ciasno torbę.

Trzydzieści metrów od nas ugina tylne nogi. Jej ciało zmienia się, napina od skumulowanej energii. Zmierzchnica wyciąga ramiona, skacze, wypręża długie, smukłe ciało. Oczy ma wbite we mnie z obsesyjną żądzą i desperacją.

- To ja! - krzyczę. - To ja!

Ani śladu, że mnie rozpoznaje. Ani śladu wahania w długich skokach. Pędzi na mnie, unosząc wargi i odsłaniając kły.

Sissy instynktownie sięga po sztylet przy pasie. Ale i na to jest już za późno.

Ashley June nadchodzi, jej nogi i ręce rozmywają się pod wygiętym ciałem. Jeszcze dziesięć susów i rzuci mi się do gardła.

- Ashley June! - krzyczę.

W jej oczach rozbłyskuje rozpoznanie. Potrząsa mocno głową. Znowu spogląda mi w oczy, ale tym razem z odrobiną niepewności. Zmierzchnica zwalnia, potem się zatrzymuje. Ślina spływa z kącików jej ust, ciągnąca się i gęsta, niemal dotyka bruku. Łowczyni przechyla głowę. Marszczy brwi.

- To ja, Gene - mówię.

Przygląda się mojej twarzy, jakby próbowała sobie przypomnieć. Znowu błysk w oczach, potem spojrzenie łagodnieje. Usta Ashley June drżą. Zaczyna sobie przypominać.

- Ashley June. - Pomimo strachu mój głos wypełnia czułość. I poczucie winy.

Z gardła łowczyni dobywa się ciche warknięcie. Uderza stopami w ziemię, ale nie

zmniejsza dystansu między nami. I nagle w jej oczach pojawia się blask, wstrząsa nią. Wracają wspomnienia. Dziewczyna zawstydzona wyciera ślinę.

- Gene? - szepcze. Głos ma drżący, dziewczęcy i nieśmiały.

Cofam się. Kontrast między jej dzikim ciałem i łagodnym tonem, jakim wymawia moje imię, to niemal za wiele. Odwracam wzrok. Ashley June podnosi się, prostuje i staje tylko na nogach. Jakby chciała przywołać swoje człowieczeństwo. Jednak wewnętrzna bitwa nadal się w niej toczy, każdym włóknem łowczyni pragnie rzucić się na mnie jak drapieżny kot. Widzę to - ślina nadal spływa z jej odsłoniętych kłów, mięśnie drżą w napięciu. Łowczyni znowu wyciera usta. A potem skupia spojrzenie nie na mojej twarzy, lecz niżej.

Na mojej ręce. Wciąż w dłoni Sissy. Szmaragdowe oczy przesuwają się po ramieniu dziewczyny, ich spojrzenia się krzyżują. Zmierchnica zachowuje się tak, jakby dopiero teraz zauważyła Sissy.

Ashley June znowu opada na czworaka. Jej ciało napina się, spojrzenie twardnieje. Zmierchnica potrząsa głową, sznury śliny zataczają łuki, moczą jej włosy. Łowczyni przykuca, gotując się do skoku i zaspokojenia zwierzęcych żądz. I rzuca się na Sissy.

Oko za nią nie nadąża, jest jak spuszczone z cięciwy strzała. Na szczupłym ciele wybrzuszają się mięśnie ramion i ud, gdy Ashley June atakuje.

Sissy.

Przewraca dziewczynę, przypada do powalonej zdobyczy. Po drodze przewraca też mnie. Gdy zdołałem się podnieść, Ashley June zdążyła już unieruchomić Sissy i wbić kły w jej szyję. Głęboko. Widać tylko pokrwawione dziąsła. Zmierchnica spogląda na mnie leniwie, gdy ssie i ssie...

Sissy próbuje się wyrwać, ale ręce ma unieruchomione. Bezradnie przebiera nogami, siły ją opuszczają. Wstrząsają ją dreszcze. Płomienne włosy Ashley June rozsypały się na ciele Sissy jak rozcapierzone palce, jakby chciały ją chwycić i zatrzymać.

- NIEEE! - Rzucam się na Ashley June z całą siłą, jaka mi jeszcze pozostała.

Odpycha mnie mocno. Czuję drapanie paznokci na głowie, ale żadnego bólu. Ból przyjdzie później. Przelatuję nad brukowaną uliczką, zataczam łuk nad ziemią. Od upadku tracę dech w piersi. Podnoszę się, upadam. Zaczynam się czołgać do Sissy.

Ashley June zerka nade mną.

Kolejny zmierchnik wynurzył się z mroku przy chacie. W oczach ma tylko żądzę, gdy mnie dostrzega. Kuca nisko i podbiega bliżej jak krab, jego ręce i nogi wbijają się w ziemię jak szpikulce.

Ashley June unosi głowę znad szyi Sissy, krew spływa z ust. Warczy na intruza.

W ułamku sekundy zmierzchnik przestaje skradać się jak krab, biegnie jak puma. I pędzi na mnie.

Kiedy przeskakuje nad nieprzytomną Sissy, Ashley June wyciąga rękę i chwyta jego długie loki. Słyszę odgłos wrywanych ze skórą włosów.

Zmierzchnik potyka się i upada. Ashley June skacze na niego, zanim intruz zdąży się podnieść. Łowczyni przyciska go rękami i nogami, po czym zniża głowę tak, że oboje niemal stykają się nosami. Warczy i unosi wargi, szczerząc ostre jak brzytwa kły. Zmierzchnik w odpowiedzi również warczy i marszczy brwi z wściekłością. Lecz także ze strachem. Kłapie zębami na Ashley June.

Ashley June cofa głowę, żeby uniknąć ukąszenia. A potem płynnym, pełnym gracji ruchem chwyta zmierzchnika i odrzuca go przez plac. Zmierzchnik upada niezdarnie, górną częścią ciała uderza w okno, nogami w ścianę, zawisa zgięty na parapecie.

Ashley June odwraca się do mnie. Piers unosi jej się ciężko, szmaragdowe oczy, czyste i gorejące, są jednak łagodne, lśni w nich tęsknota. Mała torba przyczepiona do pleców łowczyni rozdarła się w walce, spod strzępu materiału wystaje książka.

Robię krok w tył.

Na plecy Ashley June skacze drugi zmierzchnik. Z jego ciała wystają odłamki szkła. Dwoje łowców rzuca się na siebie, splata w syczący kłęb pazurów i kłów.

Wykorzystuję te cenne kilka sekund, by podbiec do Sissy. Oczy dziewczyny są zamknięte, mamrocze bezładnie. Unoszę ją w ramionach, zaczynam biec. Nie oglądam się na walczącą z innym łowcą Ashley June, choć słyszę odgłosy tej walki. Nie zwracam uwagi na zmęczenie nóg, gdy przecinam łąkę za wioską, nie obchodzi mnie nawet pociąg, który rusza z peronu. Nie obchodzi mnie również coraz głośniejszy tumult za plecami, wiem, że łowcy z biura Krugmana wkrótce mnie dogonią. A przede wszystkim nie zwracam uwagi na gorączkę bijącą od skóry Sissy, pot na jej czole, szarzejącą i blednącą twarz. Nie obchodzi mnie, że dziewczyna zaczyna przemianę. Przemienia się w moich ramionach.

Wyrzucam z siebie krzyk, który dusiłem w sobie przez lata, przez całe życie, zdławioną, stłamszoną udrękę. Wydostają się ze mnie jak wzburzona fala wściekłości i przesłaniają wszystko inne - łyzy na moich policzkach, sztywnienie mięśni od kwasu mlekowego.

Grunt robi się miękki pod moimi stopami, nie mogę znaleźć twardego oparcia. Upadam, ponieważ brak mi sił, nie mogę zrobić kolejnego kroku. Bieganie i ciągła ucieczka wyczerpały mnie do cna. Upadam na trawę. Dość, dość, dość. Przytulam głowę Sissy do piersi, spoglądam w gwiazdy. Czuję, że ziemia pode mną drży. Słyszę zbliżanie się łowców,

są tak blisko. Mocne kroki, przenikliwe, raniące uszy wycie, histeria w każdym głosie.

Potem chwytają mnie dłonie, szarpiają za ręce, za nogi, próbują rozerwać.

- Gene! Wstawaj! Wstawaj!

Nade mną pochylają się Jacob i David. Podnieśli już i odciągają Sissy. Słyszę coraz więcej odgłosów stóp. Epap podnosi mnie za ramię.

- Gene, musisz mi pomóc. Nie uniosę cię. Rusz się, przeklęty draniu! Pociąg odjeżdża.

Ruszam się. Najszybciej jak umiem, ale jestem wykończony. Ledwie udaje mi się wejść na schody. Pociąg jest w połowie peronu, rozpędza się. Widzę, jak David i Jacob wspinają się do najbliższego wagonu, kładą tam Sissy. Pociąg przyśpiesza. Epap i ja będziemy musieli biec, żeby go dogonić. Za plecami słychać wrzask wściekłości. Zerkam za siebie. Z tuzin zmierzchników wyprzedziło horde. Dopadną nas najwyżej za dziesięć sekund.

Jacob zeskakuje z ostatniego wagonu, podbiega do mnie i Epara. Podtrzymuje mnie za drugie ramię, ciągnie.

- No, Gene, pomóż nam.

- Zostawcie mnie - dyszę. - Nie ma czasu.

Mam rację i chłopcy o tym wiedzą. Nie dogonimy pociągu, nie wtedy, gdy mój bezwładny ciężar będzie ich spowalniał. Wcześniej dopadną nas łowcy.

Jacob puszcza mnie, zaczyna biec naprzód.

- Nie zatrzymujcie się, dokończcie pociąg! - woła. Po czym pochyla się, podnosi wąż z peronu. Kiedy go mijamy, wciska guzik generatora. Z pomrukiem maszyna zaczyna pompować silny i ostry strumień wody.

Zmierzchnicy wbiegają na peron. Jacob kieruje na nich strugę z węża. Woda uderza w ich zdeformowane ciała. Ich tkanki - częściowo stopione i zmiękczone wcześniejszym wystawieniem na słońce - odpadają pod ciśnieniem strugi od kości. Nawet kości nie stawiają oporu wodzie, odłamki rozpryskują się na wszystkie strony. Woda rozrywa zmierzchników na strzępy. Jacob porzuca wąż i biegnie do nas.

Ale potyka się o kolejny przewód. Upada na peron.

Trzech łowców wyskakuje ze schodów. W okamgnieniu dopadają chłopaka.

- NIE! - wrzeszczy Epap. Puszcza mnie, przeskakuje przez duże pudło i sięga po kolejny wąż, ale zmierzchnicy już pochylają się nad Jacobem, wbijają mu kły w szyję i udo. Powieki łowców drżą z rozkoszy. Epap włącza wodę. W parę sekund ze zmierzchników zostają tylko strzępy ciał. Podbiega do Jacoba, podnosi go, nie zwraca uwagi na zadane młodszemu chłopcu rany, choć obaj zdają sobie z nich sprawę.

Tymczasem mnie się udaje odzyskać nieco siły. Na tyle, by wstać i odepchnąć leżące

na peronie przewody, które mogłyby utrudnić bieg Epapowi. Dogania mnie wkrótce i razem biegniemy za pociągiem.

Wyczuwam gorąco bijące od Jacoba. Nie muszę nawet patrzeć, żeby wiedzieć, że chłopak się przemienia, i to szybko. Został ukąszony i ugryziony przez trzech zmierzchników - jego przemiana będzie wyjątkowo gwałtowna.

- Szybciej! Pociąg się rozpędza! - woła David, który wychyla się zza otwartych drzwi ostatniego wagonu.

Strach pompuje adrenalinę w moje ciało i Epapa. Rzucamy się naprzód w ostatnim zrywie. Kiedy zrównujemy się z wagonem, David wyciąga rękę przez wciąż otwarte drzwi. Pomaga wskoczyć Epapowi z Jacobem, potem mnie. Upadamy na podłogę. Sissy leży obok, nadal nieprzytomna, otoczona klęczącymi dziewczynami z wioski. Piegowata praczka spogląda na mnie, potem z przerażeniem na zmierzchników, którzy rozpoczęli pogoń.

- Nie, nie, nie - jęczy Jacob. Trzęsie się, po skroni spływa mu pot. Na szyi ma ślady ukąszeń, nie parę nakłuć, skóra jest podziurawiona jak sito. Przemiana rozwija się w niesamowitym tempie.

Jacob to wie. Podnosi na Epapa przerażone spojrzenie.

- Nic ci nie będzie, Jacob! - Epap głaszcze chłopaka po włosach. - Wszystko będzie dobrze.

Z peronu słychać maniakalne wrzaski pogoni. Pociąg stopniowo nabiera prędkości, ale drzwi wciąż są otwarte.

- Gdzie jest Ben? - rozgląda się David.

- Ile jeszcze musimy przyspieszyć, żeby drzwi się zamknęły? - wołam do piegowatej dziewczyny. - Jak długo?

- Niedługo! - odkrzykuje. - Myślę, że już prawie osiągnęliśmy krytyczną szybkość.

I wtedy jak na zawołanie mechaniczny trzask zwiastuje zatrzaśnięcie się drzwi wagonu.

Na ten dźwięk Jacob podnosi głowę. Przeważenie i smutek wykrzywają mu spopielałą, bladą twarz.

- Przemieniam się - mówi. Patrzy na zasuwaną się drzwi. I chyba dociera do niego, że żadne z nas jeszcze tego nie przyjęło w pełni do wiadomości. Kiedy drzwi się zamkną, a chłopak się przemieni, w wagonie nikt nie przeżyje.

Jacob zrywa się na równe nogi. W okamgnieniu uświadamiam sobie, co zamierza zrobić. Wyciągam rękę, żeby go powstrzymać, przewrócić choćby. Ale zamieram. I to wahanie przez ułamek sekundy wystarcza - Jacob robi trzy susy i prześlizguje się przez coraz

węższy otwór. A potem znika. Drzwi zamykają się z trzaskiem.

- NIE! - krzyczy David. Doskakuje do prętów, próbuje je rozsunąć. Ale drzwi są zamknięte i tak pozostaną, dopóki nie dotrzemy do miejsca przeznaczenia. - JACOB! - krzyczy chłopak. - Jacob, Jacob!

Jacob podniósł się już, drży i krzywi się z przerażenia i szoku. Stoi po drugiej stronie prętów, samotny po raz pierwszy i jedyny w swoim życiu. To więcej, niż może znieść. Biegnie za pociągiem, żeby jeszcze choć przez chwilę pobyc z nami. David wyciąga ramiona przez pręty, a Jacob przyspiesza kroku i zrównuje się z pociągiem. Dotyka dłoni Davida. Włosy mu falują w biegu, oczy wzbierają łzami. Ten chłopiec marzył o karuzeli z cwałującymi rumakami, podskakującymi żabami i delfinami. Wydaje się taki mały. Został sam i nic nie możemy zrobić.

Pociąg przyspiesza i Jacob nie może dotrzymać mu tempa. Jego ręka zaczyna się wysuwać z dłoni Davida.

- Jacob!

Ich dłonie się rozdzielają.

Jednak Jacob nadal biegnie ile sił w nogach. Ramiona poruszają mu się szybciej, nogi rozmywają w ruchu. Chłopak nie chce być sam, nie chce zapaść w mrok, nie chce stracić z oczu jedynej rodziny, jaką miał. Ale traci dystans, przyspieszenie pociągu rośnie.

I wtedy Jacob się potyka i upada. Ledwie go widzę. Za ledwie błada plama wśród głębokiej czerni. Pochłania ją noc i Jacob znika mi z oczu.

Metalowe pręty wagonu zaczynają wibrować. Nie gwałtownie, raczej jak pomruk przebiegający po metalowej powierzchni w górę i w dół. Ale staje się coraz intensywniejszy, aż zaczynają się trząść konwulsyjnie. A potem nie tylko pręty, lecz cały wagon kołysze się z prawa na lewo.

Mocne bębnienie wypełnia nocną ciszę jak łomot kopyt tabunu koni. Lecz to nie galop dzikich rumaków. Konie nie wyglądają w ciemności jak blade plamy, nie syczą i nie plują, nie wyją i nie jęczą ani nie wyskakują z mroku z grymasem obłędu.

Wrzask. Zmierchnik wskoczył na wagon, złapał małą dziewczynkę, która siedziała przy ogrodzeniu. Przeciągnął ją przez pręty mniej więcej w jednym kawałku - połamane kości, wyrwane stawy. Na ziemi przycisnął ją i uciszył jej krzyki.

- Odsuńcie się od prętów - krzyczę.

Pieguska popycha dziewczęta na środek wagonu. Kolejny zmierzchnik wyskakuje z mroku, chwytą się metalowych tyczek jak małpa, a potem wyciąga rękę, żeby złapać swoją zdobycz.



- Pochylcie się, stłóćcie! - rozkazuje pieguska, gdy kolejny zmiernik ląduje na dachu.

Przypadamy do podłogi, podczas gdy zmiernicy próbują nas złapać. Łowca na górze syczy z wściekłości, nitki śliny spływają na nas jak trujące pędy. Przysuwam się do wciąż nieprzytomnej Sissy, zasłaniam jej ranę na szyi, by nie dostała się tam ani kropla zakaźnej wydzieliny, upewniam się też, że kończyny leżącej nie znajdują się w zasięgu rąk żadnego z łowców. Skóra dziewczyny jest zimna jak lód, ciałem wstrząsają spazmy.

Jeszcze jeden zmiernik wskakuje na wagon, potem kolejny. Klatka trzęsie się coraz mocniej. A jednak następni łowcy wdrapują się na pręty, aż ich nagie ciała pokrywają wszystkie wolne miejsca niczym blade, drżący pled. Wysuwają się z niego ramiona, wykrzywione obłędem usta kłapią, plują i syczą, wytrzeszczone oczy wbijają się w skulonych ludzi. Tak mógłby wyglądać najniższy krąg piekieł.

Pociąg turkocze, przyspieszając przed mostem.

Pode mną Sissy mamrocze, zмага się ze słowami. Oczy ma zamknięte. Wygląda, jakby się modliła. Albo odprawiała ostatni rytuał. Dla mnie. Dopiero teraz czuję ból z boku głowy, a kiedy odruchowo dotykam tego miejsca, na palcach zostaje mi krew. Tam, gdzie dosięgły mnie paznokcie Ashley June, mokre od jej śliny.

Pociąg łomocze, zmiernicy wyją coraz głośniejsze, ale jedyne, co potrafię zrobić, to zsunąć Sissy pasemko włosów za ucho. Potem drugie. Ostrożnie, niemal obsesyjnie, jak w transie.

Turkot zmienia tempo. Tu-tuk, tu-tuk. Tory przesuwają się pod nami coraz szybciej. Właśnie minęliśmy dolinę i wjeżdżamy na opadające zbocze, dzięki czemu pociąg nabiera prędkości. Tu-tuk, tu-tu-tuk, tu-tu-tu-tuk, tu-tu-tu-tu-tuk.

Patrzę w tył przez szczelinę między wiszącymi na prętach zmiernikami. Po drugiej stronie podnoszonego mostu dostrzegam rojących się łowców. Tuzinami spadają w przepaść.

A potem pociąg przyspiesza, skręca lekko wzdłuż wiodących łukiem torów, by ominąć wzgórze. I most, i Misja znikają mi z oczu.

## Rozdział 44

Podróż przez noc ciągnie się jak wieczność. Tulimy się do siebie, najpierw w obronie przed zmierzchnikami, którzy ani myślą odpuścić i kurczowo trzymają się klatki, potem - nieco później - dla ochrony przed przenikliwym chłodem. Przesuwamy pudła z zapasami tak, by nas otaczały, tłoczmy się w środku. Nikt nie śmie zasnąć, nikt nawet nie może, gdy pasma zakaźnej śliny kapią na nas z każdej strony, a gniewne skrzeczenie i okrzyki desperacji nieustannie zakłócają ciszę.

Sissy poci się, gorączka jej się podniosła. Konwulsje też ma silniejsze. Dziewczyna przemienia się powoli, a ja nie potrafię zrozumieć, dlaczego to tyle trwa - choć i tak niedługo proces dobiegnie końca. Nie można pozwolić, by to stało się tutaj. Kiedy proces zajdzie za daleko, będziemy zmuszeni uczynić niewyobrażalne - przesuniemy ją na skraj wagonu, w zasięg rąk zmierzchników, którzy zrobią to, czego my nie możemy. Nikt o tym nie wspomina, ale niewypowiedziana konieczność ciąży wszystkim na sercach. Zwłaszcza Epapowi. Nie może nawet drzeć, tylko głaszcze Sissy po włosach i obejmuje Davida.

Przysuwam się do Sissy. Gorączka jej rośnie. Wyciągam sztylet z pasa. Epap budzi się, sztywnieje na widok sztyletu. Patrzy na mnie, myśli, że chcę zadać cios łaski.

- Jeszcze nie - prosi. - Ona wciąż może...

- Nie o to chodzi - zapewniam.

Przyciskam ostrze do dłoni, potem przecinam.

Krew zbiera się w ranie. Zmierzchnicy popadają w obłąd. Rozchyłam dziewczynie usta i przybliżam dłoń, żeby kapała do nich moja krew.

- Na wszelki wypadek. Gdybym naprawdę był Początkiem. Jeżeli nim jestem, może mam lekarstwo we krwi.

Ale Epap kręci głową, w jego oczach maluje się smutek.

- To nasza ostatnia szansa. Nie mamy nic do stracenia.

Chłopak nie potrafi spojrzeć mi w oczy.

- Gene - wzdycha i wskazuje na zadrapania po paznokciach Ashley June na boku mojej głowy - ty też się zmieniasz.

Nie myli się. Widział to, czego ja nie chciałem dopuścić do świadomości - błądź mojej skóry, pot skroplony na czole, drżenie bynajmniej nie od zimnego wiatru, lecz od czegoś głębszego i chorego, początek konwulsji.

- Nie jesteś Początkiem - mówi Epap, po czym kładzie się i zamyka oczy. - Nie jesteś

lekarstwem.

Nadchodzi świt. Zmierzchnicy zeskakują z pociągu z wyraźną niechęcią i gniewem. Niektórzy próbują nas jeszcze złapać w nadziei, że nasza czujność osłabła. Tylko paru zostaje. Wreszcie i oni z wyciem puszczają pręty i znikają w gęstym lesie. Gdy tylko znika zasłona ich ciał, do wagonu przypominającego klatkę wpada przenikliwy podmuch.

Pozostaje tylko jeden zmierzchnik. I tylko dlatego, że nie ma wyboru. Skoczył jako pierwszy na wagon, a inni łowcy przypadkowo wepchnęli mu głowę między pręty, gdy poszli w jego ślady. Zmierzchnik nie zdołał się uwolnić, nawet po tym, jak wykręcił sobie kark i złamał szczękę chyba w pięciu miejscach.

Słońce wschodzi. Uszy wypełniają nam wrzaski uwięzionego zmierzchnika. W końcu jednak światło topi go jak masło, łowca osuwa się i spada jak worek pod koła. Pociąg rozjeżdża kleiste resztki na torach.

Jednak nareszcie jest ranek i promienie słońca ślą ukojenie po nocnym koszmarze. Nikt się nie odzywa, nadal siedzimy przytuleni, choć jest coraz cieplej i nie ma już zmierzchników.

Błada dziewczyna unosi twarz do słońca, mruży oczy. Napięte mięśnie, podkurczone nogi i zaciśnięte dłonie zdradzają przeżyty szok. Ale na jej twarzy maluje się także nadzieja, oczekiwanie, co czeka ją na końcu podróży. Cywilizacja - zdają się mówić jej błyszczące oczy. Cywilizacja. Dziewczyna zerka na mnie, nasze spojrzenia spotykają się na chwilę. Pręty klatki rzucają pasiaste cienie na jej twarz.

Może powinienem powiedzieć jej prawdę. Powtórzyć wszystko, co wyznał Krugman. Lecz nawet teraz, w gorączce, zaczynam kwestionować jego słowa. Ponieważ coś nie pasuje. Nie mówię jednak nic, tylko odwracam wzrok i spuszczam głowę. Blask dnia jest dla moich oczu jak kwas. Promienie słońca wciskają mi się przez pory pod skórę, docierają do szpiku kości, drażnią mocno zakończenia nerwowe, z których istnienia nie zdawałem sobie nawet sprawy. Epap ma rację. Zmieniam się. Wstrząsają mną dreszcze. Drzę.

## Rozdział 45

Po południu otwieramy pudła z zapasami. Jest tu mnóstwo ciepłych ubrań, których już nie potrzebujemy na niżej położonych, cieplejszych terenach. Znajdujemy też papier i przybory do pisania oraz podstawowe lekarstwa. I, na co krzyczymy z ulgi, skrzynię wypełnioną puszkami brzoskwiń. Dokładnie tuzin pełnych puszek, co przypadkowo odpowiada liczbie osób w wagonie. Przynajmniej teraz. Zanim nadejdzie zmierzch, może być o dwoje mniej. Piegowata dziewczyna rozdaje puszki. Po chwili namysłu stawia też jedną przy nadal nieprzytomnej Sissy. Ostrzega, żeby jeść z rozwagą - nie wiadomo na pewno, jak długo potrwa podróż. Może nawet kilka dni.

Epap wpisuje imię właściciela na każdej puszcze. Twierdzi, że to dobry sposób, żeby dowiedzieć się i zapamiętać, kto jak się nazywa. Chłopak stara się zachowywać odważnie, próbuje być silny. Zapisuje też imię Sissy na jej puszcze. Nie chce przyjąć do wiadomości, że za kilka godzin będzie musiał zrobić to, o czym boi się nawet myśleć. Najpierw dla Sissy, potem dla mnie. Epap zapisuje też moje imię, jakby dla podkreślenia swojego stanowiska.

Przyglądam się puszkom z brzoskwiniami, które stoją obok siebie. Moje imię i Sissy zapisane dużymi literami. Jak na naszych nagrobkach.

Nadchodzi noc. Spazmy nie pozwalają mi zasnąć, chłód pustyni przenika mnie do szpiku kości. Razi mnie nawet poświata księżycy. Przemiana dobiega końca. Zimny wiatr świszczący w wagonie, niesie zapach dymu. Siadam, zerkam naprzód. Wstęga dymu unosi się z komina lokomotywy. Silnik musiał włączyć się automatycznie, gdy pociąg zwolnił po zjechaniu ze zboczy gór. Utrzymuje nadal dużą szybkość, z którą zapewne dowiezie nas bez zwalniania prosto do Pałacu. Wszystko odbywa się automatycznie.

Jak moja przemiana.

Drzę, ciałem wstrząsają konwulsje. Serce mi wali, koszulę mam mokrą od potu i zimną. Proces stanowi sam w sobie powolną agonię. Blask księżycy wpada przez pręty, które rzucają ukośne cienie na mozaikę leżących na podłodze ciał. Od czasu do czasu któraś z dziewcząt jęczy przez sen w koszmarze. Podnoszę się, czuję trzask wysuszonych, kruchych kości. David śpi niespokojnie obok mnie, z jego ust dobywa się pełne udreki mamrotanie. Okrywam go pledem. Chłopak wyciąga ramię w bok, na puste miejsce, gdzie powinien spać Jacob.

Krajobraz ciągnie się i zostaje w tyle, mile nicości. Sissy leży u moich stóp z głową opartą o kolana Epapa. Sztylety schowane w pochwach przy jej pasie lśnią srebrzyście,

przyciągają mój wzrok. Palcami przesuwam po grubej, wyprawionej skórze. Odpinam trok, wyciągam jedno z ostrzy. Już czas.

Epap tego nie zrobi. Ale ja tak. Muszę. Najpierw ona, potem ja.

Przysuwam sztylet do szyi Sissy. Ostrze zanurza się w jej miękkie ciało, widzę, jak przy ostrzu pulsuje aorta.

Tętno jest równe i powolne, nie gwałtowne i dzikie. Marszczę brwi, dotykam skóry dziewczyny.

Skóra jest sucha. I ciepła.

Przyciskam dłoń do piersi Sissy. Serce bije lekko i wolno.

Sissy już się nie przemienia. Ona się odprzemienia.

Spoglądam na jej twarz, rozluźnioną i spokojną. Nic nie rozumiem. Wiatr świszczący wśród prętów sprawia, że trzęsę się z zimna, gorączka przemiany zmienia się w delirium.

- Sissy?

Powieki drżą jej lekko. Wkrótce dziewczyna się obudzi. Wyciąga rękę spod pledu, uderza lekko dłonią o puszkę. Moją i jej, stojące obok siebie.

Wydaje mi się, że coś dostrzegam, i serce zaczyna mi bić jeszcze szybciej, bynajmniej nie z powodu gorączki.

I wtedy przypominam sobie słowa ojca. Pamiętam jego głos z zaskakującą czystością nawet po tylu latach od rozłąki: Patrzysz, ale nie widzisz. Czasami rozwiązanie masz tuż przed nosem.

Sissy zaczyna się przeciągać. Wysuwa język, suchy i pobielawy, oblizuje spękane wargi. Rozchyła powieki, lecz nie z nerwowością jak za dnia, lecz pewnie i zdecydowanie.

Za chwilę ocknie się, usiądzie i spojrzy na mnie.

Ale jeszcze nie teraz. Ponownie wracam spojrzeniem do stojących obok siebie puszek. I do imion, które zapisał na nich Epap.

Gene. Sissy.

Nie wszystko pasuje. Ponieważ imię dziewczyny widoczne jest tylko częściowo. Trzy pierwsze litery, dwie pozostałe skrywa krzywizna konserwy.

Sis.

Imię, którym ochrzcił ją naukowiec.

I nagle przypomina mi się lotnia. Zawsze była przeznaczona dla was dwojga. Myślę też o Krugmanie, który upierał się, że Początek to jakiś zapis. I o Epapie, który powiedział, że mój ojciec zawsze nadawał imiona z ukrytym znaczeniem. I o mojej krwi, która zmieszała się z krwią dziewczyny.

Wpatruję się w zapisane imiona. Mam wrażenie, jakbym był ślepcem, który odzyskał wzrok.

Gene. Sis.

Gene. Sis.

Genesis.

Dziewczyna otwiera oczy. Oczy, w które nigdy już nie spojrzę obojętnie.

Patrzy na mnie. Nie krzywi się, nie mruga w księżycowej poświacie padającej jej na twarz. Pewnie myśli, że wytrzeszczam oczy z radości i ze zdumienia, że się nie przemieniła.

Jednak patrzę tak, ponieważ uświadomiłem sobie prawdę. Prawdę, którą cały czas miałem pod nosem.

Genesis.

Początek.

Nie ja. Nie ona. Lecz oboje.

Razem jesteśmy lekarstwem.

Koniec

## Podziękowania

Drayton nadal pozostaje agentem par excellence. Wdzięczny jestem, że mam przy sobie kogoś tak niezawodnego i obdarzonego prawdziwą smykałką do interesów, na kim nie tylko nauczyłem się polegać, ale i przyjmować za pewnik jego obecność. Dziękuję również utalentowanym ludziom z InkWell Management, szczególnie Richardowi Pine'owi, Lyndsey Blessing, Charliemu Olsenowi i Kristanowi Palmerowi.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec Rose Hilliard, mojej redaktor w St. Martin's Press. Głęboko cenię jej magiczne zdolności edytorskie, ciepłe zachęty do pracy i urocze przewodnictwo. Ta książka zyskała czystość, głębię i istnienie właśnie dzięki redaktor Hilliard. Dziękuję również Matthew Shearowi, Anne Marie Tallberg, Josephowi Goldscheinowi, Loren Jagers, Paulowi Hochmanowi, Jeffreyowi Dodesowi i NaNa V. Stoelzle.

Chcę podziękować także Ingrid Selberg, Venetii Gosling, Kathryn McKenna i reszcie zespołu w Simon & Schuster UK za zajęcie się moim cyklem z niestrudżonym poświęceniem.

Za nieszczerzenie słów i czasu wdzięczny jestem Andrei Cremer, Becce Fitzpatrick, Richelle Mead i Alyson Noël. Wasze wsparcie znaczyło - i znaczy - dla mnie wszystko. Dziękuję.

Pragnę też wyrazić wdzięczność dla Monsters Calling Home za inspirację.

I na koniec dziękuję Ching-Lee oraz chłopcom za miłość, wsparcie, zabawę i odpoczynek, nadzieję, radość, podniecenie oraz za sanktuarium i inspirację, i za setki tysięcy innych powodów do wdzięczności.